

URSULA POZNANSKI • ARNO STROBEL



THRILLER

# DARKNET

CZY **ODWAŻYSZ SIĘ** WYBRAĆ ZWYCIĘZCĘ,  
JEŚLI NAGRODĄ JEST **ŚMIERĆ?**

MANDO

URSULA POZNANSKI • ARNO STROBEL

# DARKNET

Przełożyli  
Anna i Miłosz Urbanowie

Originally published under the title ANONYM  
© 2016 by Rowohlt Verlag GmbH, Reinbek bei Hamburg, Germany  
Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz  
Redakcja: Katarzyna Onderka  
Korekta: Natalia Szumska  
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Kundra/Shutterstock  
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2076-4

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200  
[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk: GRAFARTI • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g vol. 2.0  
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Jak dym za ogniem rozbój się pomyka.  
(William Shakespeare, *Perykles*,  
przekład Leon Ulrich)

# Prolog

Rzucają go na ziemię i wszystko z niego zdzierają. Wyposażenie, mundur, bieliznę. Biją go i kopią. Stara się zasłonić twarz i genitalia, kuli się i obejmuje ramionami głowę.

Jest ich dwudziestu, może trzydziestu. Mają na sobie luźne szaty, wielu nosi na nich pasy z amunicją. Ansar Dine.

Zaatakowali ich na patrolu, w jakiejś dziurze w północnym Mali, niedaleko miasta Azawad, przez które przejeżdżał jeepem z dwoma towarzyszami. Serge i Ralf zginęli od kul, on został pobity kolbami i zawleczony na skraj wioski.

Wrzeszcząc, krępują mu ręce z przodu i brutalnie ciskają na ścianę jednego z domów. Kuca, oparty o nią plecami. Przedramiona opiera na nagich udach.

Podchodzi jeden z napastników i pokazuje mu granat ręczny. Od razu rozpoznaje model. Amerykański M67. Skuteczny w promieniu piętnastu metrów, w promieniu pięciu – śmiertelny. Zdobyty przez tych fanatycznych skurwysynów w czasie jakiegoś napadu albo kupiony na czarnym rynku od kogoś, kto popiera ich działalność.

Mężczyzna wypluwa niezrozumiałe słowa w języku Tuaregów. Wyjmuje zawleczkę i rzuca ją niedbale na ziemię. Potem bierze szybki zamach i kopie go niespodziewanie w pierś tak mocno, że boleśnie uderza plecami o ścianę. Gdyby jej tam nie było, padłby na ziemię. Zanim udaje mu się podnieść i znów przykucnąć, gość w luźnej szacie wciska granat między mur a jego plecy, na wysokości łopatek. Dźwignia spustowa kłuje go w skórę.

Gdzieś niedaleko rozlegają się kolejne krzyki. Wysoki, histeryczny głos. Mężczyźni nie kryją pogardy. Patrzą na niego po raz ostatni i odwracają się.

Skupia się na tym, by cały czas z taką samą siłą przyciskać granat do ściany. Jeśli pozwoli mu spaść albo choćby przekręcić się na tyle, by zwolnić dźwignię spustową, będzie po wszystkim. Zostaną mu tylko trzy sekundy do detonacji. A to za mało, by zerwać się z tej pozycji i uciec na bezpieczną odległość.

Krzyki przybierają na sile. Z bocznej uliczki wyłania się dwóch bojówkarzy Ansar Dine. Ciągną za sobą jakąś kobietę. Nie, to nie jest kobieta. Z tej odległości nie widzi dokładnie, ale... ma najwyżej piętnaście lat. Jest ubrana na zachodnią modłę, a twarz zasłaniają jej splątane czarne włosy.

Zatrzymują się kawalek od niego i rzucają dziewczynę na ziemię. Kuli się, tak samo jak on wcześniej. Mężczyźni wrzeszczą na nią, a potem zrywają z niej ubranie. Kolejny bojownik przynosi burkę. Siłą zakładają ją pojmanej dziewczynie, wiążą jej ręce i ciągną w stronę pierwszego więźnia. Kiedy są blisko, słyszy jej cichy płacz. Wie, że to panika i strach przed tym, co nieuniknione.

Kilka minut później dziewczyna znajduje się w takiej samej pozycji jak on, plecami oparta o mur.

Bojownicy stoją zbici w grupkę i przyglądają się jej przez chwilę. W końcu odwracają się i znikają za rogiem. Dwójka, która została, siada na ziemi, w cieniu jednego z domów pięćdziesiąt metrów do nich.

Zastanawia się, jak długo dziewczyna obok da radę. Dwie godziny, może trzy. Pod warunkiem, że ma silną wolę i jest wytrzymała fizycznie.

Niemal bez przerwy przemawia do niego płaczkliwym, błagalnym tonem. Mówi po francusku, a mimo to nie może zrozumieć ani jednego słowa. Patrzy na nią i mówi, żeby zamilkła i oszczędzała siły. Ona jednak mówi dalej. I dalej płacze.

Cierpną mu nogi. Pół godziny później zachodzi słońce. Minuty dzielą ich od zapadającej ciemności. Wieczór w tym cholernym kraju praktycznie nie istnieje.

Pojawiają się jacyś ludzie. Miejscowi. Zatrzymują się, patrzą, spuszczaają wzrok i odchodzą szybkim krokiem, ledwie zauważają uzbrojonych bojowników kawałek dalej.

Dziewczyna nie wytrzymuje trzech godzin. Nie daje rady nawet dwóch.

Detonacja niemal pozbawia go przytomności i wypełnia jego ciało bólem. Coś pryska na jego twarz. Coś ciepłego i mokrego. Kosztem nadludzkiego wysiłku udaje mu się zachować skupienie i nie stracić równowagi. Dopiero kiedy słyszy głosy innych bojowników, zaczyna rozumieć, co się stało. Dookoła walają się dymiące strzepy burki. Między nimi leżą pourywane kończyny i zmasakrowane kawałki młodego ciała.

Obraz znika. Wszystko znika.

Otwiera oczy i wpatruje się w sufit. To nie jest powolny powrót z koszmaru do rzeczywistości, lecz gwałtowne przebudzenie się ze snu. Jak włączenie lampy.

Przez chwilę wraca myślami do tamtego koszmaru i po raz setny przeżywa to samo. Afganistan, Kosowo, Mali. Dopiero dwanaście godzin później pojawił się konwój armii francuskiej. Żołnierze przepędzili bojowników Ansar Dine i pomogli mu się uwolnić. Dwanaście godzin, podczas których te skurwysyny nie spuszczały go z oczu, czekając, aż opuścą go siły i wykona niewłaściwy ruch. On trwał tymczasem jak skamieniały, jego ciało wypełniał ból, a na twarzy zasychały szczątki rozerwanej wybuchem dziewczyny. W głowie miał tylko jedną myśl: nie dać tym czubkom satysfakcji.

Siada i czuje, że wraca do rzeczywistości. Nadchodzący dzień będzie wymagał od niego pełnego skupienia.

Sen nie pozostawia w nim wzburzenia ani żadnych innych emocji.

Wtedy, tak samo jak teraz, w jego wnętrzu panowała kompletna pustka. Bardzo użyteczna pustka. I wtedy, i teraz.

# 1

Zbliża się ósma rano, a ja podjeżdżam pod komisariat. Znajduję miejsce parkingowe na uboczu, żeby przynajmniej zmniejszyć ryzyko uszkodzeń lakieru czy nawet wgniotek spowodowanych otwieranymi nieuważnie drzwiami innych aut. Po wyłączeniu silnika czekam jeszcze chwilę, bo z głośników płyną ostatnie tony *Music* Johna Milesa. Wsiadam dopiero, kiedy utwór się kończy. Ciepły wiatr głaszcze mnie po twarzy, a na niebie nie widać ani jednej chmurki. Wszystko to zapowiada dobry początek tygodnia.

Niestety, przy samym wejściu spotykam Helmuta Vogelbuscha, który sprawia, że muszę zweryfikować swoje optymistyczne nastawienie. Vogelbusch ma około pięćdziesięciu lat i w gruncie rzeczy jest całkiem w porządku. Problemem jest jego silne pragnienie, by zmieniać nie tylko świat, ale i wszystkich jego mieszkańców, każdego z osobna. Pchać ich ku dobremu, rzecz jasna. Czy tego chcą, czy nie.

– Dzień dobry – wita mnie przyjaźnie uśmiechnięty, lecz spogląda przy tym krytycznie na moją koszulę, szyty na miarę garnitur i ręcznie robione buty, a ja przeczuwam, że zaraz się dowiem, co o tym myśli. Helmut kupuje ubrania jedynie w sklepach oferujących rzeczy w pełni ekologiczne i wyprodukowane zgodnie z zasadami sprawiedliwego handlu. Każdy to wie.

Jednak tego ranka oszczędza sobie komentarza na temat mojej garderoby. Zamiast tego przenosi wzrok nieco na bok i spogląda na parking za moimi plecami. Znów wiem, czego mogę się spodziewać.

– Jak tam? Samochodem do pracy? Znowu wozisz powietrze?

– A tobie jak minął weekend? – staram się zignorować jego pytanie i w naturalny sposób zmienić temat na jakiś neutralny.



– Zdajesz sobie sprawę, że tylko jedna czwarta samochodów jeżdżących po ulicach odpowiada za dziewięćdziesiąt procent zanieczyszczenia spalinami?

Razem wchodzimy do holu komisariatu.

– Tak, coś mi się obito o uszy... – zaczynam, lecz Vogelbusch nie daje się zwieść ani zagadać.

– Niewielka część wszystkich pojazdów silnikowych jest odpowiedzialna za dziewięćdziesiąt trzy procent emisji tlenku węgla i siedemdziesiąt sześć procent emisji zanieczyszczeń organicznych takich jak benzol. Ty chyba jeszcze cały czas jeździsz tym przedpotopowym złodem, prawda? Co to konkretnie jest?

Przypomnisz mi?

Mam ochotę westchnąć, lecz niczego nie daję po sobie poznać.

– Jaguar E-type i co do jednego pełna zgoda: jest stary. Ale w żadnym razie nie nazwałbym go złodem – bronię się.

Mimo że to rzeczywiście złom. Tak, wiem. Jednak poruszenie tematu zużycia paliwa byłoby w przypadku tego auta równoznaczne z bluźnierstwem.

Docieramy do wind. Czekamy. Vogelbusch nic więcej nie mówi, ale sposób, w jaki na mnie patrzy, kręcąc przy tym głową... Jego spojrzenie, które waha się między współczuciem a osłupieniem, bardziej mnie dotyka niż jakikolwiek komentarz.

Nareszcie jedna z kabin jest wolna. Vogelbusch wybiera trzecie piętro, po czym stajemy obok siebie i spoglądamy na podłogę.

Kiedy winda się zatrzymuje, wysiadamy i żegnamy się skinieniem głów. Odwracam się i czuję ulgę, bo mam nadzieję, że już nic mi nie grozi, lecz w tym momencie słyszę jeszcze:

– Doczytaj sobie po prostu o swoim węglowym odcisku palca.

W końcu udajemy się do swoich biur.

Wypieram go z myśli, włączam komputer i spoglądam na zegarek. Piętnaście po ósmej. Za kwadrans rozpocznie się cotygodniowa odprawa w LKA 4 – wydziale do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu.

Komunikat na ekranie informuje o ładowaniu się systemu, a ja spoglądam na puste biurko naprzeciwko. Dziś po raz pierwszy ma pojawić się moja nowa partnerka. Jestem jej bardzo ciekaw, choć niewiele o niej wiem. W zasadzie chyba tylko tyle, że jest jeszcze bardzo młoda.

– Buchholz?

Podnoszę wzrok. W progu stoi moja szefowa, nadkomisarz Magdalena Arendt.

Jeszcze z korytarza głośno wywołuje nazwiska tych, z którymi chce rozmawiać. To typowe dla niej. W głosie przełożonej słyszę lekki wyrzut, nutkę, która sprawia, że nawet to jedno słowo brzmi tak, jakby mnie o coś oskarżała.

A wiem przy tym, że darzy mnie sympatią. Choć może nie tyle mnie, ile raczej sposób, w jaki pracuję.

– Jest pan idealnie o czasie. Mamy zwłoki na Peutestrasse. Dokładniej mówiąc, jest to teren jakiejś starej fabryki tuż przy kanale Hovekanal. Prewencja jest już na miejscu. Niech pan zgarnie kogoś do pomocy i rusza na miejsce. Ja zaraz dołączę. No, do roboty.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o dobry początek tygodnia. Wstaję zza biurka.

– Co powinienem wiedzieć?

– Anonimowa informacja o zwłokach dotarła do nas telefonicznie. I to nie jeden raz.

– Jak to nie jeden raz? To jakieś popularne miejsce? Dużo ludzi tamtędy chodzi?

– Nie. Dzwoniący mówili coś o jakimś forum internetowym, na którym ktoś opublikował post z informacją na temat zwłok.

– Forum internetowe. – Nie wierzę własnym uszom. – Chce pani powiedzieć, że ktoś znalazł martwego człowieka i zamiast wezwać policję, napisał o tym na jakimś forum w sieci?

Arendt kręci głową.

– Z tego, co wiem, wyglądało to raczej tak, jakby się chwalił, że go zabił. Koledzy z IT już nad tym pracują. No. Ruszamy, nie ma co

marnować czasu.

Idę za Arendt. Przy jednym z biurek widzę Christopha Janninga. Świetnie się składa.

– Chodź ze mną – mówię. – Szkoda marnować taką pogodę na siedzenie w biurze.

Christoph prowadzi pewnie i zna miasto, ale mimo sygnałów świetlnych i dźwiękowych dotarcie na miejsce zajmuje nam bite dwadzieścia minut.

Przy wjeździe na teren dawnej fabryki stoi umundurowany policjant. Gestem wpuszcza nas do środka, a kiedy go mijamy, z kamienną miną wita nas skinieniem głowy.

Podłużny ceglany budynek sprawia ponure wrażenie, a ciemne, pozbawione szyb otwory okienne pogłębiają te odczucia. Nieco dalej, z tyłu, widać ciemną wodę w kanale Hovekanal.

Jedziemy gruntową, błotnistą drogą w kierunku trójki umundurowanych funkcjonariuszy, dwóch mężczyzn i kobiety. Czekają na nas na skraju terenu odgrodzonego białoczerwoną taśmą. Pośrodku niego pracują ubrani w białe jednorazowe kombinezony technicy kryminalistyki i zabezpieczają ślady. Jeden z nich oraz medyk sądowy kucają obok leżącego na ziemi ciała – potężnej góry tłuszczu odzianej w ciemny garnitur. Wsiadamy i wkładamy identyczne białe kombinezony. Ubrani w nie przechodzimy pod plastikową taśmą.

Denat leży przed szpalerem wysokich krzewów bambusa, za którymi teren opada stromo w stronę kanału. Obok zwał żwiru znajduje się stos ułożonej kostki brukowej. Duże, ciemne plamy zaschniętej krwi upstrzone połyskującymi okruchami szkła wyglądają tak, jakby ktoś celowo umieścił je dookoła ciała.

Doktora Diewalda witam skinieniem głowy, kiedy tylko unosi wzrok.

– Dzień dobry. Ma pan już coś dla nas?

– Dobry. – Wskazuje brodą na głowę denata. Jego martwa, rozcięta skóra warg i policzków rozchodzi się tak szeroko, że widać

wnętrze ust. Dolną część twarzy pokrywa warstwa zaschniętej krwi.

– Ma jamę ustną pełną kawałków potłuczonego szkła. Drobnych, ostrych i cienkich, jakby z kieliszków do wina. Może po sekcji będę mógł ustalić to dokładniej.

Przez dwie, może trzy sekundy przygląda się nalanej, miękkiej twarzy.

– Wiele wskazuje na to, że sporą część szkła zdażył wcześniej połknąć. W takim przypadku ostre krawędzie musiały ciężko poranić wnętrza policzków, gardło i przełyk.

Dłonią wskazuje na plamy przy ciele.

– Jak patrzę na tę jatkę tutaj... musiał zwymiotować kilka razy z rzędu. Wykrwawił się, najpierw wewnętrznie, potem na zewnątrz. Ale to nie jest normalne. Nawet gdyby założyć, że pokaleczył się kawałkami szkła... i tak nie da się wytłumaczyć aż takiej utraty krwi. Możliwe, że wziął jakieś leki obniżające krzepliwość.

Mężczyzna leży twarzą do góry i plecami przygniata do ziemi ramiona. Pozbawione wyrazu oczy skierowane są w niebo. Kompletnie przemoknięta koszula opina się na potężnych zwałach tłuszczu formujących się od klatki piersiowej do bioder. Napór otyłego ciała urwał dwa guziki i ciemny materiał rozchodzi się na boki jak szeroka rana cięta. Widać pod nią skórę, całą umazaną krwią, która jedynie w okolicach wypchniętego na zewnątrz otłuszczonego pępka błyszczy jak żółty ser. Krawat zsunął się na bok i wisi spod podwójnego podbródka. Dolna część materiału leży w kałuży zaschniętej krwi.

– Jak można kogoś zmusić, żeby połknął kawałki szkła? – pytam.

Medyk sądowy wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może ktoś zatkał mu nos i kiedy nabierał powietrza ustami... to by wystarczyło. Ustalimy to dokładniej w czasie sekcji zwłok.

– Gość nazwa się Michael Kornmeier, jest adwokatem i mieszka w Eppendorfie – wyjaśnia jeden z techników zabezpieczających

ślady. – W wewnętrznej kieszeni marynarki miał portfel z dowodem osobistym. I trzystoma euro w gotówce.

– Rodzina?

– Sprawdzamy.

– Ręce ma związane na plecach?

– Tak, opaskami zaciskowymi.

Potakuję i wracam do rozmowy z lekarzem.

– Potrafi pan określić czas zgonu?

– Chyba pan wie, jak niedokładne są takie wstępne szacunki, ale obstawiałbym, że między północą a czwartą nad ranem.

Przyglądam się zwalitemu cielsku i zastanawiam, czy sposób śmierci tego człowieka może wiązać się jakoś z jego tuszą.

Diewald podnosi się i wskazuje na zwłoki.

– Musiał nieludzko cierpieć, bo ktokolwiek mu to zrobił, w ogóle się nie spieszył. Przesrane, żeby tak odejść.

Słyszę szum zbliżającego się samochodu i odwracam głowę. Szara bmw piątka. Moja szefowa.

Dopiero kiedy się zatrzymuje, dostrzegam jeszcze jedną osobę na miejscu pasażera. Otwierają się drzwi po obu stronach auta. Ze środka wysiada Arendt i jakaś młoda kobieta. Ma najwyżej trzydzieści, może trzydzieści kilka lat i kasztanowe włosy, które nosi spięte w niedbały kok. Idąc w ich stronę, przyglądam się nieznajomej dokładniej. Nosi legginsy wiernie oddające kształt jej ciała i równie dopasowaną koszulkę na ramiączkach, na której w okolicach pach zaznaczają się wyraźnie ciemne plamy potu. Wzdrygam się. Na nogach ma brudne buty do biegania i ogólnie nie prezentuje się jak ktoś, obok kogo chciałbym stanąć. Jeden z techników podaje jej kombinezon, który wkłada szybkimi, wprawnymi ruchami. Żywię wielką nadzieję, że to nie jest moja nowa partnerka. Arendt rzuca szybkie spojrzenie na denata za moimi plecami i dopiero wita się ze mną.

– To komisarz...

– Nina Salomon – kobieta wchodzi jej w słowo i podaje mi dłoń. Spojrzenie, jakim mnie taksuje, przypomina mi sposób patrzenia Vogelbuscha: jest pełne wyrzutu i nieco pogardliwe.

Odsuwam od siebie te myśli i chwytam jej dłoń. Jak na kobietę ma zaskakująco mocny uścisk.

– Prosto z treningu? – pytam i wskazuję głową na kombinezon, pod którym ukryła przepocone ubranie.

– Tak. – Znów to spojrzenie. – A pan? Prosto z zakupów?

Uuu! Jeszcze dobrze się nie przywitała, a już zaczyna od bezczelności! Czuję, że nasza współpraca może być burzliwa. Ukradkiem wycieram dłoń w płaszcz.

– Cieszę się, że od razu przypadliście sobie do gustu – mówi Arendt i głową wskazuje na zwłoki. – Koleżanka Salomon była akurat w trakcie treningu, kiedy zadzwoniłam i podjechałam, żeby ją podwieźć, ale bardzo mi zależało, żebyście nad pierwszą wspólną sprawą od samego początku pracowali razem. No dobrze, to do rzeczy. Co my tu mamy?

Staram się nie myśleć o zarozumiiałym spojrzeniu, jakim Nina Salomon patrzy mi prosto w oczy. Nie, zarozumiałe to złe słowo. Bezczelne byłoby lepsze. To dokładnie...

– Buchholz?

– A... tak. Już. – Odwracam się w kierunku szefowej, porządkuję myśli i w kilku słowach zdaję pierwszy raport. Kątem oka widzę, że Salomon uśmiecha się szyderczo, a potem mija mnie i rusza w stronę denata.

– Jeszcze jedna sprawa: to nie był napad rabunkowy – kończę pośpiesznie. – W marynarce miał portfel, a w nim ponad trzysta euro.

Potem odwracam się i doganiam Salomon, która zdążyła podejść do zwłok i przykucnąć obok.

– Znajdą się jakieś rękawiczki dla mnie? – pyta jednego z techników.

Mężczyzna potakuje gorliwie i wyjmując z kombinezону cienkie jednorazowe rękawiczki. Kusi mnie, żeby zapytać Salomon, co planuje, jednak się powstrzymuję. Kiedy jest już gotowa, chwyta denatę za lewe ramię i z zaskakującą lekkością przechyla go na bok.

Przez kilka sekund przygląda się spętanym za plecami dłoniom, a potem opuszcza ciężkie zwłoki na miejsce.

– Czy choćby przez chwilę przemknęło pani przez myśl, że technicy mogli jeszcze nie skończyć zabezpieczać śladów, a pani je właśnie zniszczyła? – pytam zdenerwowany lekkomyślnością, z jaką ta młoda kobieta postępuje.

– Oczywiście, dlatego zapytałam o to, kiedy pan grzecznie składał raporty.

– Wie pani co... – Jestem blisko wybuchu, ale opanowuję złość i zmuszam się do spokoju. – No dobrze, to może mi pani zdradzi, co pani osiągnęła tą spektakularną akcją? Udało się pani ustalić, że ofiara ma związane ręce? Mogła się pani tego dowiedzieć ode mnie na przykład. Tylko że to wymagałoby postawienia pytania, zanim rzuciła się pani do potrząsania denatem.

– Przede wszystkim udało mi się ustalić, że ten człowiek został zamordowany.

– Doprawdy?

Podnosi się i robi krok w moją stronę. Nasze twarze dzieli ledwie kilkadziesiąt centymetrów. Powoli zsuwa rękawiczki z palców.

– Doprawdy. W moim dotychczasowym miejscu pracy mieliśmy sprawę, w której facet próbował upozorować morderstwo, bo jego polisa ubezpieczeniowa nie obejmowała samobójstw. Sam związał sobie ręce na plecach. Ustaliliśmy to dzięki temu, że z racji ograniczonej swobody ruchów nie był w stanie zaciągnąć opasek zaciskowych tak mocno, jak zrobiłby to ktoś inny.

Robi przerwę i milczy przez kilka sekund.

– Tutaj opaski są tak ciasne – kontynuuje – że dosłownie wrzynają się w ciało ofiary. Sam sobie ich tak nie zaciągnął. Ale po co ja to

mówię, ze swoim doświadczeniem musiał pan to wiedzieć od samego początku. Następnym razem zapytam zamiast sprawdzać.

Odwraca się i rusza w stronę lekarza sądowego, który kilka metrów od nas robi zdjęcia.

Po dwóch krokach zatrzymuje się jednak i odwraca w moim kierunku.

– Tak przy okazji... już się cieszę na naszą współpracę.



## 2

Pięć i pół kilometra i wciąż paskudnie mi się biegnie. Pulsometr na moim nadgarstku pokazuje 172, co oznacza sto siedemdziesiąt dwa bolesne ukłucia w skroniach na minutę, a to wcale nie jest zabawne.

Ale – sama jestem sobie winna.

Zwiększam tempo. Albo w końcu poczuję się lepiej, albo się porzygam. Bieganie pomaga na złość i na kaca, a dziś potrzebuję podwój-

nego remedium.

Najwyraźniej jednak coś robię nie tak. Ból głowy przybiera nową, doskonalszą postać i z męczącego staje się piekielny. Biegaczowi, który mija mnie z przeciwka, najchętniej pięścią zmazałabym ten głupi uśmiezek z twarzy. Duży ruch na czteropasmowej drodze, wzdłuż której biegnę, nie poprawia mi humoru.

Taekwondo byłoby pewnie lepszym wyborem, ale nie miałam jeszcze czasu, żeby znaleźć dojo. Wystarczyło mi zamieszania z błyskawiczną przeprowadzką i szukaniem mieszkania na już.

Moja wina.

Wszystko to moja wina. Wszystko, włącznie z ostatnią nocą. Powinnam była spędzić ją z dala od alkoholu i mężczyzn, ale nie, skąd, siedzenie między kartonami z rzeczami nagle staje się nie do wytrzymania i Nina musi wyskoczyć na miasto. Rusza więc, choć nikogo tu nie zna, pije pięć tequili z rzędu i wraca do nowego lokum z jakimś artystą.

W czasie biegu nie mogę się śmiać, bo dostaję napadów kaszlu.

Głupi pomysł w każdym razie, jeśli chodzi o Toma. Z perspektywy poranka oczywiście. Sprawiał wrażenie kogoś nastawionego na coś więcej niż jednorazową przygodę. Snuł plany na przyszłość.

Chciałbym malować. Chciałbym namalować twoją twarz, taką, jak teraz, zamyśloną i jednocześnie dziką.

Czuję, że robi mi się niedobrze, i nie wiem, czy tak działa na mnie wspomnienie Toma, czy pozostały we krwi alkohol.

Idiotka.

Pewnie znacznie lepiej radziłabym sobie z wściekłością, gdyby w głowie nie rozbrzmiewały mi bez przerwy słowa Behringera. Sama jestem sobie winna. „Sama jesteś sobie winna, Salomon. Skoro dotychczas nie dotarło, że jest pani częścią zespołu, to ja pani pomogę i już nie będzie pani jego członkiem. Oszczędzę pani postępowania dyscyplinarnego, ale lepiej, żeby sama przeniosła się pani gdzieś indziej”.

Sześć kilometrów i oślepiające błyski przed oczyma. Ból głowy zwycięża. Zwalniam do truchtu, sięgam po butelkę wody i z kieszonki w pasku wydaję tabletki. Dwie thomapyryny i za pół godziny znów powinnam się czuć jak człowiek. I sprawiać wrażenie, że nie posiadam się z radości, stając przed – jak to Behringer powiedział – nową szansą.

Wkładam tabletki do ust i rozgryzam dwukrotnie. Dzięki temu szybciej działają. Nieważne, że mają przez to kurewsko gorzki smak. Popić i przełknąć.

Mam jeszcze butelkę przy ustach, kiedy zaczyna dzwonić mój telefon. Nieznany numer komórkowy.

– Salomon – zgłaszam się krótko.

– Dzień dobry, Arendt z tej strony. Rozmawialiśmy przez telefon, przypomina sobie pani?

Jakbym mogła zapomnieć. Magdalena Arendt, nadkomisarz. Spoglądam szybko na zegarek – spóźniłam się, czy co? Umawialiśmy się przecież na wpół do dziesiątej...

Nie czeka na moją reakcję.

– Musimy nieco zmienić plany i nie spotkamy się u mnie w biurze. Z samego rana wpłynęła informacja o zwłokach, duże

prawdopodobieństwo działania osób trzecich. Jadę właśnie na miejsce. Gdzie pani jest? W domu?

Przełykam resztki gorzkiej papki, która oblepia mi dziąsła.

– Na treningu. Wyszłam pobiegać.

– Gdzie panią znajdę?

Rozglądam się. Nie znam jeszcze Hamburga.

– Blisko centrum. Niedaleko takiego mostu...

– Most Kennedy’ego – wchodzi mi w słowo. – Świetnie, będę po panią za pięć do siedmiu minut. Proszę czekać przed Atlantikiem, dobrze?

Potrzebuję kilku sekund, żeby uświadomić sobie, że chodzi jej o hotel Atlantic. Rozłącza się, zanim zdążyłam potwierdzić.

Na miejsce spotkania docieramy niemal równocześnie. Elegancka fura zatrzymuje się tuż obok mnie, a szyba w drzwiach pasażera wędruje w dół.

– Pani Nina Salomon?

Potakuję i wsiadam.

Platynowy blond paż, drogi garnitur, mocne, niemal męskie perfumy. Spogląda na mnie krótko, ale w żaden sposób nie komentuje przepoconej koszulki na ramiączkach. Z miejsca przechodzi za to do rzeczy.

– Bardzo mi przykro, że nie będzie miała pani czasu na spokojną aklimatyzację i integrację z zespołem – mówi, włączając się do ruchu. – A ponieważ będzie pani współpracować z Buchholzem i od razu dostajecie zupełnie świeżą sprawę, pomyślałam, że wolałaby pani od samego początku brać udział w czynnościach.

– Nie pomyliła się pani. – Odchylam się i opieram wygodnie. Całe szczęście, że tabletki zaczynają działać. Arendt ma potencjał, żeby zyskać moją sympatię. Jest bezpośrednia, zorientowana na wynik i skuteczna. A te właśnie cechy cenię we współpracownikach najbardziej.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu. Kiedy otwieram usta, żeby poprosić o wprowadzenie do tej nowej sprawy, Arendt zaczyna

mówić.

– Nikomu nie powiedziałam, dlaczego się pani przeniósła. Moim zdaniem taka wiedza nikomu się u nas nie przyda. Oczekuję jednak, że u nas będzie pani przestrzegała zasad.

Spoglądam na nią kątem oka i liczę do trzech.

– Taki mam plan – mruczę w odpowiedzi i cieszę się, że powstrzymałam pierwsze słowa, które cisnęły mi się na usta. Od jakiegoś czasu moim odruchem jest mocna obrona, więc miałam gotową ripostę.

Docieramy na miejsce w niecałe piętnaście minut. Zaniedbane budynki w przemysłowej okolicy, przed jednym z nich parkuje kilkanaście samochodów. Kawalek dalej dobrze znany widok grupki ludzi schylonych nad jakimś kształtem na ziemi. Nad kimś. Pozostali stoją dwójkami albo trójkami i rozmawiają.

– Okej. – Arendt wyłącza silnik i otwiera drzwi. – Zobaczmy, co tu mamy.

Wysiadamy.

– Zanim zaczniemy, przedstawię panią Buchholzowi – informuje szefowa i rusza w stronę dwóch mężczyzn, którzy zasłaniają nam widok na miejsce, gdzie leżą zwłoki.

Obaj mają na sobie białe kombinezony jednorazowe, obowiązkowe na terenie otoczonym policyjną taśmą, ale zdjęli już kaptury i rozpięli zamki. Jeden z nich – wyraźnie niski, łysawy, z szerokim uśmiechem – wita nas przyjaznym skinieniem głowy.

Drugi pod białym kombinezonem ma ciemny garnitur.

Modłę się w duchu, żeby to krasnal okazał się moim partnerem, przede wszystkim dlatego, że gość w garniaku patrzy na mnie tak, jakbym wygramoliła się właśnie z gnojownika obok chlewu. Pieprzony snob.

Obie z Arendt zakładamy obowiązkowe kombinezony i przechodzimy pod policyjną taśmą. W końcu mogę dostrzec leżące na ziemi zwłoki. Kolejny typ w garniturku, mocna nadwaga, duża utrata krwi. I to on w znacznie większym stopniu wzbudza moje

zainteresowanie niż dwóch facetów, przy których stoję. Nie zamierzam przeciągać powitań.

Arendt ruchem głowy wskazuje na wyższego z nich. No pewnie! Życie to nie bajka.

– To komisarz... – przerywa na chwilę, jakby moje nazwisko wypadło jej z głowy.

– Nina Salomon. – Przedstawiam się szybko i wyciągam dłoń. Buchholz ujmuje ją z nieskrywaną niechęcią. Teraz przez kilka godzin będę waliła Diorem Homme, gość chyba musiał się kąpać w tych perfumach. Przesuwam wzrokiem po jego wypolerowanych na lustro, ręcznie sztych butach, osłoniętych jednorazowymi zabezpieczeniami z przejrzystego plastiku. Jasna cholera...

– Prosto z treningu? – pyta.

Błyskotliwe spostrzeżenie.

– Tak. A pan? Prosto z zakupów?

Nawet nie drgnęła mu powieka. Szkoda. Fajnie by było przywitać go małym trzęsieniem ziemi.

– Cieszę się, że od razu przypadliście sobie do gustu. – Arendt przesyła mi ostrzegawcze spojrzenie, a potem spogląda na mojego nowego partnera w sposób, którego nie potrafię zinterpretować. – Koleżanka Salomon była akurat w trakcie treningu, kiedy zadzwoniłam i podjechałam, żeby ją podwieźć, ale bardzo mi zależało, żebyście nad pierwszą wspólną sprawą od samego początku pracowali razem. No dobrze, to do rzeczy. Co my tu mamy?

Buchholz zwleka z odpowiedzią i nie odrywa ode mnie wzroku. Czyżby używał też lakieru do włosów? Bo żelu na sto procent. Poza tym – to zauważam dopiero teraz – ma starannie wypielęgnowane paznokcie.

– Buchholz! – powtarza Arendt, wyraźnie głośniej.

– A... tak. Już. – Odkasłuje. – Zwłoki zostały znalezione dzisiaj rano, krótko przed godziną ósmą. Piętnaście minut później na miejsce dotarli nasi ludzie. Bezpośrednia przyczyna śmierci wydaje

się wyjątkowo niecodzienna, bowiem denat zmarł w wyniku wykrwawienia z ran powstałych po połknięciu sporej ilości potłuczonego szkła. Doktor Diewald z całą pewnością będzie mógł powiedzieć o tym znacznie więcej. – Buchholz obserwuje mnie kątem oka, jakby nie był pewny, czy rzeczywiście powinnam słuchać tych wszystkich wiadomości. Niech mu będzie. Zresztą, wolę sama wyrobić sobie zdanie.

Zostawiam go z szefową i ruszam w stronę trupa, starannie omijając plamy krwi i tabliczki z numerami.

Martwy mężczyzna leży twarzą do góry, z rękoma pod plecami. Jedną nogę ma delikatnie zgiętą i widzę, że musiał strasznie krwawić z ust.

– Nina Salomon, komisarz – przedstawiam się technikom kryminalistyki. – Można już? Czy potrzebujecie jeszcze trochę czasu?

Obaj potakują.

– Praktycznie skończyliśmy – mówi niższy i robi mi miejsce. Kucam.

– Znalazłyby się dla mnie jakieś rękawiczki?

Tym razem potakuje wyższy i podaje mi to, o co prosiłam.

Kątem oka widzę buty szyte na miarę. Staranna, ręczna robota. Jakże by inaczej. Udaję, że ich nie zauważam. Chwytam denata za ramię i przekręcam na bok.

Plastikowe opaski. Tak mocno zaciśnięte, że wrzynają się w przerośniętą tłuszczem skórę na nadgarstkach. Mocna opuchlizna po obu stronach pasków ze sztucznego tworzywa.

– Czy choćby przez chwilę przemknęło pani przez myśl, że technicy mogli jeszcze nie skończyć zabezpieczać śladów, a pani je właśnie zniszczyła? – Buchholz tym razem nie ukrywa oburzenia. Rany, serio uważa mnie za żółtodzioba?

– Oczywiście, dlatego zapytałam o to, kiedy pan grzecznie składał raporcik.

Dobra, wiem. Nie musiałam dodawać tego grzecznie. Z drugiej strony dobrze, żebyśmy sobie od razu ustalili pewne rzeczy. W przyszłości też nie zamierzam go pytać o pozwolenie, ilekroć będę chciała coś zrobić.

– Wie pani co... – zaczyna ostro, ale natychmiast się powstrzymuje. – No dobrze, to może mi pani zdradzi, co pani osiągnęła tą spektakularną akcją? Udało się pani ustalić, że ofiara ma związane ręce? Mogła się pani tego dowiedzieć ode mnie na przykład. Tylko że to wymagałoby postawienia pytania, zanim rzuciła się pani do potrząśnięcia denatem.

Urażona męska duma, tego nie da się traktować poważnie. Mimo to gryzę się w język, żeby nie zaognić sytuacji i tłumaczę swoje powody. Na koniec schlebiam mu nawet delikatnie, choć nie bez nutki sarkazmu w głosie. Ale akurat do tego Buchholz będzie musiał się przyzwyczaić. Tak jak ja do otaczającej go woni perfum.

Znacznie ważniejszy jest w tej chwili lekarz sądowy, który ogląda zdjęcia na ekranie aparatu fotograficznego. Podchodzę, bo mam nadzieję spojrzeć mu przez ramię.

Buchholz nie idzie za mną. Pewnie musi teraz zracjonalizować sobie przegraną pierwszą rundę.

Świetny moment, żeby wyciągnąć do niego rękę. Dlatego odwracam się i patrzę na niego.

– Tak przy okazji... już się cieszę na naszą współpracę.

I naprawdę tak jest, przynajmniej na razie.

Nie mija wiele czasu, zanim zaczynam żałować tych słów, bo Arendt wykorzystuje je, by odmówić mi miejsca w swoim samochodzie, kiedy zwłoki zostały zabrane i wszyscy zbierają się do powrotu do komendy. Zamiast mnie gestem dłoni zaprasza na przednie siedzenie łysawego krasnala.

Kiwa głową w moją stronę.

– Pani pojedzie z Buchholzem – mówi.

W milczeniu idziemy na parking. W końcu nie mamy na sobie kombinezonów i mam możliwość przyjrzenia się Danielowi

Buchholzowi w jego nienagannie skrojonej garderobie. Muszę się powstrzymać, by nie skomentować tego w jakiś nieodpowiedni sposób. „Najpierw ofiara mordu, teraz ofiara mody”, na przykład.

O nie. Jak na pierwszy dzień współpracy i tak pokazałam mu dość dużo prawdziwej Niny Salomon.

Na resztę mamy jeszcze czas.



### 3

Nie mogę przeoczyć spojrzenia, jakim nowa partnerka lustruje mnie w czasie drogi do samochodu. Zatrzymuję się, kiedy docieramy do auta.

– Jeśli chciała pani o coś zapytać, to śmiało. Przecież nie gryzę.

W jej oczach pojawia się prowokacyjny błysk.

– Pan zawsze się tak ubiera?

– Tak, czyli jak?

– No, tak jak teraz. Jakby po pracy miał pan spotkanie z bankierami czy coś.

– A, rozumiem. – Potakuję kilka razy, co z niejasnego dla mnie powodu pomaga mi opanować złość, jaką wywołuje jej uwaga. – Otóż nie, nie mam żadnego spotkania z bankierami. Mam za to na względzie sposób, w jaki społeczeństwo postrzega funkcjonariuszy policji z wydziałów kryminalnych. – Na koniec długo i znacząco spoglądam na plamy potu na jej koszulce, po czym wsiadam za kierownicę i zapinam pas, a Salomon pada ciężko na swoje miejsce i trzaska głośno drzwiami. Ruszam i wyjeżdżam na Peutestrasse.

– I co pan sądzi o tej sprawie? – Pytanie zadaje bardzo rzeczowym tonem.

– Za wcześniej na spekulacje. Wiadomo jedynie, że to nie był napad rabunkowy.

– Serio w ogóle zakładał pan, że ktoś zmusił go do połknięcia tłuczonego szkła, żeby go na koniec okraść?

Rzucam jej krótkie spojrzenie. Pytanie zadała szczerze.

– Nie, nie zakładałem. Ale na razie nie potrafię ocenić pani umiejętności łączenia faktów.

Zaskoczona unosi brwi, ale zaraz potem uśmiecha się szeroko.

– Nie musi się pan o mnie martwić.

No proszę, umie przyjmować szpile, a nie tylko je rozdawać.

– Potłuczone szkło to nie jedyna zaskakująca okoliczność. Wiadomość o znalezieniu ciała dotarła do nas anonimowo, przez telefon i to z wielu źródeł. Z tego, co wiem, informacja o umiejscowieniu zwłok została najpierw ogłoszona na jakimś forum internetowym. Wcześniej nie mieliśmy pojęcia o popełnionym morderstwie.

Salomon marszczy brwi.

– Na forum? Jakim?

– Jeszcze nie wiem. Ale niedługo się dowiemy.

– Kto to zrobił? Ten, co znalazł ciało?

– Albo ktoś, kto je tam umieścił. Nasi specjaliści już nad tym pracują.

– Hm... czy w tym wpisie na forum znalazła się informacja o szkle?

– Nie wiem. Jak już wspomniałem...

– ... niedługo wszystkiego się dowiemy – kończy zdanie za mnie. – Może nadwaga tego gościa miała coś wspólnego z jego śmiercią? W jakiś pokrętny sposób oczywiście?

– Tak, też mi to przyszło do głowy, kiedy zobaczyłem zwłoki. Ale z drugiej strony, po co w ogóle ktoś miałby to robić? Komu mogłoby tak przeszkadzać, że denat miał nadwagę?

Kątem oka widzę, że spogląda w moją stronę.

– Nadwagę? Gość był śmiertelnie otyły. Ale racja, poza jego żoną i lekarzem nikogo nie powinno to obchodzić.

Potakuję.

– I jeszcze jedno: lekarz uważa, że musiał wcześniej przyjąć leki obniżające krzepliwość krwi. Dlatego krwawienie było aż tak obfite. Wyjaśnił, że przełknięcie pokruszonego szkła nie dawałoby gwarancji śmierci.

– Hm... – mruczy Salomon. – To by oznaczało, że sprawca niekoniecznie planował go zabić.

– Tak. Albo, z drugiej strony, że wiedział, jakie bierze leki.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu.

– Przy okazji. – Robię krótką przerwę i spoglądam w jej stronę. – Możemy zboczyć nieco z trasy i podskoczyć do pani, gdyby chciała pani wziąć szybki prysznic i zmienić garderobę.

Macha lekceważąco dłonią.

– To może poczekać. Teraz ważniejsza jest dla mnie sprawa z tym forum, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej.

Czyżby pani komisarz mi nie ufała?

– Ja również, ale tyle czasu musimy wygospodarować. Jeśli pojawią się jakieś nowe informacje, zostaniemy od razu powiadomieni. Wydaje mi się, że stosowniej byłoby zmienić ten... – nie przychodzi mi do głowy żaden adekwatny przymiotnik – ... ten przeпоcony strój sportowy na coś bardziej odpowiedniego, zanim pojawi się pani w swoim nowym miejscu pracy.

Śmieje się krótko.

– No proszę, twierdzi pan, że tak byłoby stosowniej. W takim razie może zechciałby mi pan podpowiedzieć, jak powinnam się nosić w nowym miejscu pracy, wyjaśniając morderstwo? Mała czarna i jedwabne pończochy byłyby okej? A może jasny garnitur z białą koszulą i czółenka?

To może szybko eskalować.

– Myślę, że na początek wystarczyłoby ugryźć się w język, zamiast od razu reagować złością. Jeśli – obojętnie z jakiego powodu – nie ma pani ochoty udawać się do mieszkania, mogę użyczyć pani swojej zapasowej koszuli. Będzie wprawdzie kilka rozmiarów za duża, ale jest przynajmniej czysta i sucha.

Jeśli do porządku w mieszkaniu przywiązuje podobną wagę jak do swojego ubrania, zdecydowanie nie mam ochoty tam wchodzić.

– Domyślam się, że to jakiś drogi designerski ciuch, co? Nie, dzięki. W takim razie wolę zahaczyć o dom.

Podaje mi adres w Ottensen.

Po dwudziestu minutach skręcam w odpowiednią ulicę i szybko znajduję miejsce parkingowe kilka kroków od kamienicy, w której mieszka Salomon.

Kobieta odpina pas i otwiera drzwi.

– Mam nadzieję, że jest pan w formie. Czwarte piętro, bez windy.

A kiedy wysiadamy, dodaje:

– Nie chcielibyśmy przecież, żeby przez plamkę potu na pana świeżo wyprasowanej koszuli trzeba było jeszcze zahaczać o pana mieszkanie.

Zaciskam zęby, żeby nie powiedzieć tego, co ciśnie mi się na usta. Postanawiam jednak, że jeśli dalej będzie próbowała porozumiewać się ze mną w ten sposób, porozmawiam z nią bardzo poważnie.

Elewacji budynku przydałoby się odświeżenie, a przynajmniej malowanie, jednak bogate zdobienia wciąż przypominają o blasku, jaki roztaczała tuż po wybudowaniu.

Staram się nie wątpić w swoją formę, jednak ciężko dyszę, kiedy w końcu docieram na podest przed drzwiami mieszkania Salomon.

Kobieta kręci głową i otwiera zamek.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała pana reanimować?

– W żadnym razie – sapię, choć staram się mówić pewnym tonem. Chcę dodać, że do zawału potrzebowałbym jeszcze kilku pięter, lecz w tej samej chwili rozlega się sygnał mojej komórki.

– Cześć, Marc z tej strony.

– Cześć. Coś nowego? – Wchodzę za Salomon do korytarza jej mieszkania. Zamyka za mną drzwi i spogląda, jakby oczekiwała, że jeszcze w trakcie rozmowy przekażę jej wszystko, czego dowiem się od Marca.

– O rany, coś ty taki zasapany? Truchtasz na komendę czy jak?

– Nie. O co chodzi?

– O to forum. Okazuje się, że nie tylko upubliczniono na nim lokalizację zwłok. Otóż znaleźliśmy na nim również zapowiedź popełnienia morderstwa.

– Słucham?! – podnoszę głos. Salomon sprawia wrażenie, jakby chciała wyrwać mi słuchawkę z dłoni.

– No właśnie. Nasi ludzie z IT już nad tym pracują i starają się ustalić, kto opublikował ten post. Tylko od razu cię uprzedzam, to nie

będzie łatwe, bo domena jest zarejestrowana w Królestwie Tonga. Chyba się domyślasz, że na żadną pomoc z ich strony nie mamy co liczyć. Adres forum to [www.morituri.to](http://www.morituri.to).

– O kurczę. Że też tacy zwyrodnialcy chodzą po świecie.

– No chodzą, chodzą. Ale może szczęście się do nas uśmiechnie i nasi informatycy znajdą zarządzającego forum. Jeśli ktoś jest tak chory, żeby w sieci chwalić się morderstwem, to jest szansa, że popełnił błąd, który go zdradzi.

Ja aż takim optymistą nie jestem, wręcz przeciwnie.

– Zobaczymy. Za pół godziny będę w biurze. Z naszą nową współpracowniczką.

– Kto to był? – pyta Salomon, ledwie kończę połączenie. – Coś się stało?

Staram się uporządkować myśli i przekazuję, czego właśnie się dowiedziałem.

– Ma pani jakiś sprawny komputer? – pytam.

– Tak, notebooka. Ale na nic się panu nie zda, bo nie wykupiłam jeszcze dostępu do sieci.

– W takim razie proszę się pospieszyć, bo musimy pędzić na komendę.

– Przecież mówiłam, że są ważniejsze rzeczy od mojego ubrania...

Macham zniecierpliwiony dłonią.

– Oj, po prostu proszę się pospieszyć.

– Dobra już, dobra. Proszę, niech się pan rozgości i znajdzie sobie coś, na czym można usiąść. Jeszcze nie udało mi się wszystkiego rozpakować po przeprowadzce. – Po czym znika za drzwiami kolejnego pomieszczenia.

Wchodzę do przestronnego salonu i rozglądam się uważnie. Wszędzie na podłodze stoją kartony, między którymi prowadzą wąskie ścieżki. Trzy wysokie okna na przeciwległej ścianie wpuszczają do wnętrza sporo światła. Po lewej stronie dwa regały w częściach czekają na złożenie. Z rozety pośrodku sufitu zwisa jakiś przewód i metr niżej kończy się blaszaną oprawką z wkręconą

nagą  
żarówką.

Pochyliłam się nad jednym z kartonów, odsuwam wieko i zaglądam do środka. Jakieś książki, dwie niewielkie drewniane szkatułki, telefon ze splątanym przewodem. Nic, co pozwoliłoby mi wysnuć jakiegokolwiek wnioski na temat Niny Salomon. Nie mam nawet pojęcia, dlaczego się przeniosła i jak trafiła akurat do nas. Jedyne, co wiem, to to, że nie przywiązuje zbytnej wagi do zdania innych i ma cholernie niewyparzoną gębę. Ale nad tym jeszcze popracu...

– Wie pan, co znaczy *morituri*? – pyta z korytarza. Musiała otworzyć drzwi do łazienki, bo słyszę ją bardzo głośno i wyraźnie.

– Oczywiście, że wiem. – Już samo postawienie takiego pytania jest obraźliwe. Jedna z jej niezliczonych bezczelności. – Idący na śmierć. Pasuje do forum jakiejś gry komputerowej.

– Najchętniej od razu obejrzałabym tę stronę.

Odwracam się gwałtownie, bo Salomon stoi tuż za mną. Nie zorientowałam się, kiedy wyszła z łazienki i przyszła do salonu. Ma na sobie płaszcz kąpielowy, a mokre włosy zwieszają jej się na ramiona.

– Słyszała pani coś o darknecie?

Wzrusza ramionami.

– Wystarczająco, żeby wiedzieć, z czym to się je.

– Mam nadzieję, że tylko służbowo.

– Ależ oczywiście, panie komisarzu – zapewnia mnie niewinnym głosem i przewraca przy tym oczyma.

Z zasady darknetem zajmują się koledzy z wydziału do walki z cyberprzestępczością, jednak i nam czasem zdarzają się dochodzenia, które zahaczają o ten ukryty dział internetu. Dlatego regularnie przechodzimy szkolenia, które przygotowują nas do takich spraw.

Przeciętny użytkownik internetu nie ma pojęcia o istnieniu darknetu i tak powinno być. Kto chce z niego korzystać, korzysta ze specjalnego oprogramowania. To zamknięty system. Bardzo

bezpieczny dla użytkowników, ale też gromadzący w znacznej mierze nielegalne treści.

– Szybko się w coś przebiorę i za trzy minuty możemy ruszać.

W rzeczywistości zmiana garderoby zajmuje jej cztery minuty, a kiedy wraca i oznajmia, że czas jechać, wciąż ma mokre włosy. Sportowy strój zmieniła na sprane dziurawe džinsy i obcisłą granatową koszulkę z krótkim rękawkiem. Nieformalny strój to naprawdę bardzo łagodne określenie tego, co włożyła. Na ramię zarzuca niewielki skórzany plecak, a miejsce brudnych sportowych butów zajmują niemal czyste sportowe buty.

– No i jak, panie komisarzu? Zadowolony z mojej metamorfozy? Odpowiednio na pierwszy dzień w nowej pracy?

Zrezygnowany unoszę dłoń.

– Lepiej nie poruszajmy tego tematu.

## 4

Toma już nie ma, kiedy przyjeżdżamy do mieszkania – to chyba pierwsza rzecz tego dnia, która układa się po mojej myśli. Choć odczuwam lekki zawód na myśl o minie, jaką zrobiłby Buchholz, gdyby przywitał go widok nagiego faceta wychodzącego z mojej łazienki. Nagiego faceta z pokrywającym prawą łopatkę tatuażem. Grafika przedstawia kwiat kwitnący shurikenami. W pierwszej chwili można pomyśleć, że to jakiś gangster, ale wystarczy go lepiej poznać.

W gruncie rzeczy dobrze się stało, że ich drogi się nie przecięły. Buchholz i tak już wystarczająco utrudnia mi życie. Domyślam się, że dla niego z seksem wiąże się zbyt wiele płynów ustrojowych, żeby w ogóle brać go pod uwagę. Diabli wiedzą, przecież w trakcie można się na przykład spocić.

To wszystko jednak traci na znaczeniu, kiedy dzwonią ludzie z komendy. Najchętniej od razu odpaliłabym komputer i sprawdziła, co to za forum to „Morituri”, co za szydera – ale wiem, że czeka mnie rundka zapoznawcza. Uściski dłoni z podkomisarzami i komisarzami, sztuczne uśmiechy i udawana radość.

W końcu siedzimy w samochodzie. Buchholz nie oszczędza pedału gazu i dwukrotnie ignoruje czerwone światło, przez co od razu czuję do niego większą sympatię.

*Morituri*. To słowo cały czas tłucze mi się po głowie. *Morituri te salutant*, to pozdrowienie gladiatorów wchodzących na arenę Koloseum. Jeśli ktoś stawia stronę internetową i ogłasza na niej zamiar popełnienia morderstwa, sam zakłada sobie pętlę na szyję. Domyślam się, że mamy do czynienia z osobowością narcystyczną i megalomanem. Tacy zazwyczaj błyskawicznie wpadają nam



w ręce, bo są uzależnieni od podziwu i rozgłosu i nie potrafią przez to trzymać gęby na kłódkę.

I tylko jedna sprawa nie daje mi spokoju. Buchholzowi najwyraźniej również.

– Nie mogę przestać myśleć o sposobie zadania śmierci. Człowiek z własnej woli nie połyka kawałków potłuczonego szkła, a na dodatek może to zrobić jedynie, kiedy nie jest zakneblowany. Teoretycznie ofiara miałaby wtedy szanse obudzić wrzaskami całą okolicę.

– A tam ktoś w ogóle mieszka? Na pierwszy rzut oka nie powiedziałabym.

– Nie, to raczej bezludna okolica, ale możliwe, że w którejś z okolicznych firm był stróż nocny. Poza tym co rusz pojawiają się tam parki... w wiadomym celu.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. W wiadomym celu.

– To akurat oczywiste. Bardzo romantyczny zakątek.

Buchholz rzuca mi szybkie spojrzenie i jednocześnie dość gwałtownie wjeżdża na pas dla ruchu w drugą stronę, żeby ominąć zaparkowany samochód.

– Nie posądzałem pani o nadmierny romantyzm. Nieważne zresztą. Dość często przyjeżdżają tam pary na szybki seks i istnieje szansa, że ktoś był akurat w pobliżu i coś zauważył. Nie możemy lekceważyć takiej możliwości.

I tutaj ma akurat rację, choć problem polega na tym, że jeśli ktoś na szybki numerek szuka bardzo ustronnego miejsca, to ma ku temu powód – nie chce świadków. A to oznacza, że takie osoby same na pewno się nie zgłoszą, nawet jeśli rzeczywiście coś by zauważyły.

– Anonimowe zgłoszenie... – szepcę pod nosem.

– Pełna zgoda – potwierdza Buchholz. – Na takie właśnie musimy liczyć.

Zatrzymujemy się dokładnie naprzeciwko budynku komendy zbudowanego na planie gwiazdy. Buchholz idzie przodem i prowadzi mnie przez lobby na sam tył, gdzie znajduje się służa

bezpieczeństwa. W dyżurce siedzi dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Witają go skinieniem głowy.

– Panowie, to Nina Salomon – przedstawia mnie. – Od dziś jest członkinią naszego zespołu.

„I bardzo jej się spieszy” – ciśnie mi się na usta, ale nic nie mówię, tylko wyczarowuję uśmiech, który utrzymuję przez kolejne pół godziny, rozpaczliwie starając się zapamiętać wszystkie usłyszane nazwiska. I skojarzyć je z twarzami.

Pierwszą osobą, którą spotykam, jest Marc Müller. Facet mniej więcej w tym samym wieku co ja. Od razu zwracam uwagę na jego dżinsy. W przeciwieństwie do Buchholza, który dalej zachowuje się, jakby miał kij w dupie, Marc od razu przechodzi ze mną na ty. Nie zatrzymuje nas na długo, bo spieszy mu się do pracy. Siedzi akurat przy komputerze i ogląda stronę „Morituri”. Najchętniej przysunęłabym sobie jakieś krzesło i dołączyła do niego, ale muszę przywitać się z kolegą Helmutem, który nie chce puścić mojej dłoni.

– Co sprawiło, że wolałaś nas od Bremy? – pyta prosto z mostu. W jego głosie słychać współczucie, ale na mnie to nie działa.

– Urok Hamburga – wyjaśniam z promiennym uśmiechem. – I koledzy, którzy nie zadają wścibskich pytań.

W końcu uwalnia moją dłoń.

– Skoro będziesz pracowała z Buchholzem, pilnuj, proszę, żeby nie przesadzał z wietrzeniem biura. Nie ma sensu ogrzewać miasta.

Moja mina musi wyrażać kompletną dezorientację, bo mężczyzna kręci głową, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

– To szkodzi środowisku. Przyspiesza zmiany klimatu. I generuje niepotrzebne koszty.

Aha.

– W takim razie, jaki jest optymalny czas wietrzenia biura? – pytam. Myślami jestem znów przy Marcu, który siedzi wpatrzony w monitor i nieświadomie dotyka dłonią ust. – Przyjmijmy, że na dworze jest dwanaście stopni?

– W takich warunkach dwie minuty powinny w zupełności wystarczyć, żeby zapewnić całkowitą wymianę powietrza w pomieszczeniu – odpowiada Helmut bez zastanowienia.

– Ustawię sobie timer i będę go pilnowała – zapewniam ze śmiertelną powagą. Zaraz potem Buchholz ciągnie mnie dalej. Do biura szefowej.

Na szczęście nie zatrzymujemy się tam na długo. Wszystko, co Arendt miała mi do powiedzenia, wyrzuciła z siebie już w aucie, więc teraz ograniczyła się do przywitania mnie w zespole. I do uścisku dłoni. Chyba jest zadowolona, że spieszy mi się do pracy.

Marc robi mi miejsce, kiedy przysuwam sobie krzesło do jego biurka. [www.morituri.to](http://www.morituri.to). Wątek, który właśnie czyta, ma tytuł: „Godny zwycięzca”.

Najchętniej wyrwałabym mu myszkę z dłoni i przesunęła ekran na sam początek.

– To o naszej ofierze? – zgaduję.

– Tak. Kornmeiera określają tutaj mianem zwycięzcy. Taki cynizm nie mieści się po prostu w głowie.

– Jakież wskazówki, dlaczego to robią?

Marc wzrusza ramionami.

– Na razie nie trafiłem na nic takiego, ale też czytam to forum raptem pół godziny.

*Ja obstawiałem innego kandydata, pisze ktoś posługujący się nickiem Calvin4545. Tego muzycznego maklera. Może by coś zaśpiewał:))*

– Innego kandydata? Co to może znaczyć? O kogo chodzi z tym muzycznym maklerem? – przysuwam się jeszcze kawałek, ale Marc chrząka znacząco.

– Staram się do tego dojść. – W jego głosie niespodziewanie słyszę dystans i domyślam się, że za mocno naciskam. Ale to jego problem, nie mój.

– Zechciałbyś pokazać mi wątek, w którym ten ktoś zgłasza dokonanie morderstwa?

Marc wzdycha.

– Jestem już dalej, wybacz, ale nie będę czytał tego dwa razy. Jak skończę, zostawię ci komputer.

Tak, pewnie. Odsuwam się, wstaję i idę szukać Buchholza. Znajduję go w pokoju obok, rozmawia przez telefon.

– Na którym kompie jest zainstalowany klient TOR-a?

Macha dłonią, jakby opędzał się przed natrętną muchą.

– TOR – powtarzam. – Przeglądarka. Czy na moim komputerze jest odpowiednie oprogramowanie? Mam dostęp do sieci? Dostanę jakieś hasła?

Dalej mnie ignoruje.

– Za pół godziny – mówi do słuchawki. – Gdybym się chwilę spóźniał, poczekajcie na mnie.

W końcu się rozłącza.

– Jadę do Instytutu Medycyny Sądowej na sekcję zwłok. Niech pani zapyta Marca albo kogokolwiek w biurze. Może ściągną nam tu kogoś z wydziału cyberprzestępczości. Swoją drogą, od razu powinni to zrobić, skoro sprawa „Morituri” zahacza o ich działkę. Hasła i dane dostępne do komputera znajdzie pani w czarnej teczce obok ekranu.

Potem wstaje, sięga po marynarkę i wychodzi. Jest pełen energii, jakby sekcja zwłok jakiegoś nadętego prawnika była bardziej nęcąca od wspólnego popołudnia w biurze.

W czarnej teczce obok ekranu znajduję nie tylko dane dostępne do komputera i do sieci wewnętrznej, ale też listę potrzebnych telefonów. Wydział LKA 54 to wydział do zwalczania cyberprzestępczości. Odruchowo sięgam w stronę słuchawki, lecz szybko zmieniam zdanie. Najpierw chciałabym sprawdzić, jak daleko uda mi się dotrzeć na własną rękę. Zawsze zdążę poprosić o pomoc z zewnątrz.

Nie mam zainstalowanego klienta sieci TOR, ale niczego innego się nie spodziewałam. Żaden problem, wystarczy chwila, żeby to

zmienić, ale nawet chwila to strata czasu, gdy tymczasem Marc siedzi w pokoju obok i już ma nade mną przewagę.

W darknecie nie funkcjonują żadne wyszukiwarki, a w każdym razie żadne skuteczne i niezawodne. Znaleźć można tylko tych, którzy chcą być znalezieni albo są zbyt nieporadni, by się odpowiednio zabezpieczyć. Domyślam się, że „Morituri” nie pojawi się ani w hidden wiki, ani w torlinks.

Ale przecież nie musi, bo mam adres. Strona ładuje się błyskawicznie. Jest utrzymana w kolorystyce brązowo-czerwonej, a wzór na bokach przypomina arkady. Zakładam, że to coś jakby Koloseum. Odwołania do starożytności, nieco mistycyzmu, ale wszystko w normie i nienachalnie. Miałam takie wrażenie już wcześniej, kiedy zaglądałam Marcowi przez ramię.

Struktura strony jest bardzo przejrzysta, a jej trzon stanowi niezbyt rozbudowane forum, stworzone na kształt shoutboxa, z wpisami dodawanymi jeden pod drugim, bez sortowania. Na samej górze przypięty jest wątek powitalny.

Klikam i wchodzę. Post jest dość krótki.

*Prędzej czy później, wszyscy musimy umrzeć. Kto, twoim zdaniem, powinien odejść prędzej?*

*Zasady gry są proste. Wy wybieracie, ja jestem ramieniem, które włada mieczem.*

*Areną gry jest Hamburg.*

W tym wątku nie można dodawać komentarzy, jest jednak okienko do wysyłania prywatnych wiadomości.

Klikam na nie, ale pojawia się komunikat, że muszę się zarejestrować, żeby korzystać z forum.

Czy gdybym miała tu konto, rzeczywiście mogłabym proponować, kto ma umrzeć następny?

Wracam na stronę główną forum. Pierwszy wątek poniżej powitalnego nosi tytuł: *And the first winner is... dead*. Numer 253 informuje o liczbie komentarzy.

Wątek dodał użytkownik Trajan, a pod jego nickiem widzę napis „admin” dodany znacznie mniejszą czcionką.

*Nazwisko zwycięzcy – wielu już pewnie zgadło, o kogo chodzi – to Michael Kornmeier. Niedługo go znajdą, powiem wam nawet gdzie – na terenie opuszczonej fabryki przy korycie Hovekanal.*

*Można przyjąć, że zachłysnął się i umarł. Nieciekawym widok. Kolejne głosowanie rozpoczynamy jutro o dziewiątej rano. Będziecie wybierali spośród czwórki kandydatów.*

Spoglądam na czas dodania wiadomości. Dziś o piątej dwadzieścia dziewięć rano. O tej porze nie było żadnych wezwań, żadnych informacji, nic.

Post Trajana wywołał prawdziwą burzę. Odpowiedzi zawierają pełen przekrój reakcji, od: *Czy kogoś tu kompletnie popierdoliło?*, przez *Pics or it didn't happen*, *Mam nadzieję, że to zarzutka, yeah, kill, kill, kill* aż do *Dzwonię na policję*.

Kwintesencja forów internetowych, zawsze te same wiadomości, czasem tylko inaczej sformułowane. Ktoś twierdzi, że zadzwonił do Michaela Kornmeiera i zamienił z nim kilka słów, a teraz naśmiewa się z łatwowiernych idiotów, którzy dali się nabrać.

Pewnie ten geniusz nie wpadł na to, że więcej niż jedna osoba może mieć to samo imię i nazwisko.

Przechodzę do biura obok. Marc nawet nie podnosi głowy, kiedy przekraczam próg.

– Trajan – też na niego wpadłeś?

Potakuje, ale nie odrywa wzroku od monitora.

– Oczywiście. Jutro rano zaczyna się kolejne głosowanie. Ale nie mogę znaleźć gdzie.

– Pewnie zdążył usunąć ten post – zgaduję. – Kto zgłosił nam tę stronę?

Po omacku sięga po jakiś wydruk i podaje mi go.

– Dwadzieścia trzy osoby, z tego dwie trzecie nie podało swoich numerów, więc będzie trzeba szukać. Jak się okazuje, już trzy dni

temu pojawiły się pierwsze informacje o tej stronie, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją sprawdzić.

Bo nikt nie wziął tego na poważnie, bo była cała masa ważniejszych spraw...

– Skąd? Wydział do zwalczania cyberprzestępczości?

– Tak jest. LKA 54. – W końcu podnosi wzrok. Jest zniecierpliwiony. – Czy to już wszystko? Jeśli trafiłaś na coś, co przeoczyłem, to wal. Jeśli nie, to wybacz, ale chciałbym wrócić do pracy. Wiedzą i ustaleniami wymieniamy się zwyczajowo na wieczornych odprawach.

– Bosko. – Współpracowników kierujących się maksymą „Moje ustalenia są moje” znam już z Bremy. Marc poczułby się tam pewnie jak w domu.

Siadam przed swoim komputerem i wracam do wątku, który czytałam wcześniej. Jest coraz dłuższy. Informacja o znalezieniu zwłok nie została jeszcze podana oficjalnie, więc w kolejnych postach pojawia się niedowierzanie.

I co z tym gościem?

Mówiłam, że zwykła zarzutka. Ale to i lepiej.

Nie wierzę, dwudziesty pierwszy wiek, ale ludzie dalej dają się łapać na takie bajki!

Spoglądam na zegarek. Nie mam pojęcia, o której Arendt powiadomi prasę, ale nie sądzę, żeby jeszcze długo zwlekała. Opinia publiczna dowiadyuje się o takich rzeczach tuż po rodzinie denata. Jeśli w ogóle po niej.

Ale nie dziś, bo Trajan ubiega policję. Na samej górze listy pojawia się nowy wątek z tytułem: *Ciekawi?*

Nie, ciekawa nie jestem. Właściwszym słowem byłoby przepełniona złymi przeczuciami. I nie bez racji.

W poście otwierającym wątek Trajan umieścił zdjęcie wykonane najprawdopodobniej tuż po wschodzie słońca. Ciepłe światło padające na wykrzywioną twarz Kornmeiera, jego rozcięte usta i wielką kałużę krwi dookoła. Widać wyraźnie każdy szczegół.

Chwytam za słuchawkę i jednocześnie otwieram teczkę z listą telefonów. LKA 54, Cyberprzestępczość. Wybieram pierwszy numer, na który trafiam.

– Andressen – zgłasza się głęboki głos po drugiej stronie.

– Salomon, wydział zabójstw. Nie, nie znamy się, ale to teraz bez znaczenia. Ta strona „Morituri” – zna ją pan?

Odpowiedź pada po krótkim wahaniu.

– Tak, oczywiście. My...

– Doskonale. Wywalcie to gówno z sieci. Od razu.



## 5

Dojazd do kliniki uniwersyteckiej w Eppendorfie zajmie mi około dwudziestu minut. Oczywiście, że mógłbym zabrać ze sobą Salomon, żeby zobaczyła Instytut Medycyny Sądowej. Ale z jakiegoś powodu wolę spotkać się i porozmawiać z doktorem Diwaldem bez mojej nowej koleżanki, która zapewne przerywałaby mi co drugie zdanie. Na tym etapie musimy szybko przeanalizować wszystkie ślady, a wątek z forum wydaje się bardzo, bardzo obiecujący. Salomon jest obeznana z komputerami, więc zamiast jechać ze mną do Instytutu, bardziej przyda się na tym odcinku.

Światło na najbliższym skrzyżowaniu zmienia się na żółte. Przyciskam pedał hamulca i błyskawicznie się zatrzymuję. Tuż przed maską drogę przecina mi jakiś biegacz w czerwonych krótkich spodenkach. Jego żylaste, umięśnione nogi sugerują, że regularnie pokonuje długie dystanse. Odruchowo kojarzę w myślach biegacza z Salomon.

Sam siebie okłamuję, tłumacząc sobie, że nie zabrałem jej do Instytutu, by dać jej wykorzystać znajomość komputerów. Prawda jest tymczasem taka, że uważam ją za męczącą osobę i nie mam ochoty wysłuchiwać jej zaczepek, przyglądając się sekcji zwłok ofiary morderstwa.

Będziemy musieli nauczyć się koegzystować i na pewno damy sobie z tym radę. Ale na tę chwilę przyjęta dawka Niny Salomon całkowicie mi wystarczy.

Wchodzę do sali sekcyjnej. Zamykają się za mną drzwi, a ja staram się oddychać możliwie płytko, żeby przyzwyczać nie tylko nos, ale i żołądek do tego charakterystycznego zapachu, który wypełnia pomieszczenie.

W czasie nauki i szkolenia najczęściej odczuwałem strach na myśl o widoku otworzonych zwłok. To głupi błąd, jak okazało się w czasie pierwszej sekcji – najgorszy był trudny do opisanie smród, od którego zbierało mi się na wymioty.

Lepko-słodka woń wydobywająca się ze świeżych wnętrzności rozciętego ciała jest bardzo nieprzyjemna, lecz nie da się jej porównać ze smrodem postępującego rozkładu kilkudniowego ciała. To właśnie ten zapach jest nie do wytrzymania i wywołuje gwałtowny odruch wymiotny.

Prawnik Michael Kornmeier z Eppendorfu jest na szczęście zupełnie świeży, więc nie potrzebuję zbyt wiele czasu, żeby się przyzwyczaić – jako tako przynajmniej.

Masywne, gąbczaste i rozlane ciało ofiary leży nagie na jednym z dwóch stołów sekcyjnych. Ma otwartą klatkę piersiową, a pionowe cięcie sięga od szyi niemal do spojenia łonowego. Otwarcie powstałego otworu utrzymywane jest przez błyszczące chromem klamry.

– Aaa, to pan. – Z bocznego pomieszczenia wychodzi Diewald, zatrzymuje się przy stole i zaciera dłonie. Ciemne, poprzetykane siwizną włosy nosi jak zawsze starannie zaczesane do tyłu. – Potwierdziły się moje przypuszczenia. Niech pan pozwoli, wszystko panu wytłumaczę.

Uśmiecha się i gestem przywołuje mnie bliżej. Wyraźnie cieszy się, że od samego początku prawidłowo ocenił sytuację. Jest dumny ze swojej wiedzy. Kiedy podchodzę do zwłok, woń śmierci staje się nieznośnie intensywna. W miejscu cięcia widzę pod skórą grubą żółtawą warstwę. Tkanka tłuszczowa.

– Proszę spojrzeć tutaj – mówi Diewald i wskazuje długopisem do wnętrza otwartej klatki piersiowej Kornmeiera na coś, co mnie przypomina wąską dętkę rowerową, którą ktoś w wielu miejscach ponacinał żyłką. – Uszkodzenia przełyku, tak samo zresztą jak rany w obrębie jamy ustnej i gardła, nie są w żadnym razie powierzchowne, jednak w normalnych warunkach nie

doprowadziłyby do groźnej dla życia utraty krwi, dokładnie tak, jak na początku przypuszczałem. Otóż we krwi denata znaleźliśmy NOAC. NOAC to angielski skrót od nowe doustne antykoagulanty celowane, które już od jakiegoś czasu są dostępne na rynku. To środki podawane pacjentom z migotaniem przedsionków lub podwyższonym ryzykiem powstawania zakrzepów czy zatorów w celu zastąpienia antagonistów witaminy K, najczęściej Marcumar albo Falithrom. NOAC obniżają krzepliwość krwi, a w zależności od potrzeby uzyskania konkretnego wyniku stosuje się bardzo dokładnie wyliczoną stałą dawkę, przy czym ich działanie nie jest uzależnione od diety pacjenta ani nie wchodzi one w reakcję z innymi środkami farmakologicznymi.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś wywołał u niego coś w rodzaju hemofilii?

Diewald potakuje.

– W chwili śmierci jego organizm właśnie tak reagował. Nie udało mi się znaleźć żadnych wskazań uzasadniających stosowanie przez niego takich leków. A jeśli chodzi o dawkę, to poziom oznaczony w jego krwi świadczy o ponad dwudziestokrotnym przekroczeniu najwyższej przepisywanej dawki.

– To by znaczyło, że sprawca podał mu te leki NOAC, jeszcze zanim zaczął go karmić tłuczonym szkłem... jak szybko po przyjęciu zaczynają działać?

Diewald wydyma dolną wargę.

– Hm... przy normalnej dawce trochę to trwa, ale przy ilości przyjętej przez naszego denata po godzinie od podania jego krew praktycznie całkowicie straciła krzepliwość.

– W jakiej formie występują te lekarstwa?

– Tabletki. W normalnych warunkach pacjent przyjmuje jedną tabletkę dziennie. Tutaj musiał przyjąć ich dwadzieścia naraz. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zostało to osiągnięte. Może po analizie wymiocin będę wiedział coś więcej. Bo żołądek ma pusty.

Z kieszeni wyjmuję notatnik, zapisuję kilka słów i znów spoglądam na Diewalda.

– Te wymiociny... co mogło je sprowokować? Tabletki czy szkło?

– Prawdopodobnie ani jedno, ani drugie. Kiedy szkło poraniło jego jamę ustną i gardło, pozbawiona krzepliwości krew błyskawicznie zaczęła wypełniać żołądek. Obfite krwawienie wywołało mdłości, co w połączeniu z przepelnionym żołądkiem doprowadziło do wiadomego finału.

Tę informację również zapisuję, słuchając równocześnie, jak Diewald opowiada o aktualnych i przebytych chorobach Kornmeiera.

Kiedy się żegnam, lekarz obiecuje przekazać mi najświeższe wyniki badań laboratoryjnych, kiedy tylko sam je dostanie.

Droga powrotna zajmuje mi więcej czasu, gdyż w centrum miasta panuje znacznie większy ruch. Po nieco ponad półgodzinie docieram na parking komendy w Alsterdorf, wysiadam i zmierzam prosto do biura Arendt, by zdać relację z wizyty w Instytucie Medycyny Sądowej u doktora Diewalda.

Szefowa wysłuchuje mojego raportu bardzo uważnie i w trakcie zadaje tylko dwa czy trzy pytania. Kiedy kończę, dziękuje mi i sięga po jakieś dokumenty, które piętrzą się na brzegu jej biurka. Wyraźnie daje mi znać, że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Miałbym jeszcze jedno pytanie, jeśli można.

Arendt odrywa wzrok od kartki.

– Dlaczego Salomon pracuje w naszym zespole?

– Bo się tu przeniosła. Tak bym obstawiała.

Typowa odpowiedź w stylu Arendt.

Przez chwilę zastanawiam się, jak sformułować kolejne pytanie.

– Na podstawie dotychczasowych doświadczeń dochodzę do wniosku, że w Bremie mogła mieć problemy ze współpracownikami i współpracowniczkami.

Arendt odkłada wydruk i splata dłonie.

– Rozumiem. A co, po raptem kilku godzinach znajomości, skłania pana do takich, a nie innych wniosków?

No właśnie, tu jest pies pogrzebany, bo jedyne, co mam, to przecucie, którego nie potrafię nawet ubrać w słowa. A przynajmniej nie bez przyklejenia sobie łatki starego szowinisty, który z góry ocenia młodszą koleżankę.

– Trudno mi to w tej chwili opisać – staram się jakoś wymigać, na co Arendt reaguje w przewidywalny sposób.

– Tak właśnie myślałam. Uważam, że koleżanka Salomon to dobra policjantka, a powody, dla których się do nas przeniosła, nie mają związku z jej pracą w naszym zespole.

– Pozwalam sobie mieć na to inne spojrzenie. – Złości mnie, że nie potrafię przytoczyć faktów potwierdzających moje przecucie. A jeszcze bardziej zły jestem o to, że Arendt musi wiedzieć, dlaczego Salomon do nas trafiła, ale nie chce mi tego powiedzieć. – Jakkolwiek by patrzeć, to ja będę z nią najbliższej współpracował. Jeśli więc w Bremie wydarzyło się coś, co doprowadziło do jej przeniesienia, taka wiedza może okazać się bardzo przydatna.

Rozlega się pukanie i zanim Arendt może zareagować, drzwi otwierają się gwałtownie, a do biura wpada Meierhofer. Prokurator ma na sobie swój standardowy strój składający się z ciemnego garnituru z kamizelką tak ciasno opinającą jego brzuch, że boję się, czy kolejny głębszy wdech nie pośle guzików rykoszetem po całym biurze. Kolorowy krawat jest obrazą dla oczu, a brązowy pasek gryzie się z butami w brązie o innym odcieniu, które na dodatek wyglądają, jakby od dawna nikt ich nie czyścił. Prokurator nosi krótkie włosy, ale nie można tego nazwać fryzurą. Nie po raz pierwszy tłumię w sobie złość, że te wszystkie szczegóły od razu rzucają mi się w oczy. I odciągają mnie od najważniejszego.

– Jak stoimy z Kornmeierem? – pyta opryskliwie, zanim zdąży mnie minąć.

Spoglądam na Arendt i wiem, co myśli: bardzo jej się nie podoba ton Meierhofera.

– Kolega Buchholz wrócił właśnie z Instytutu Medycyny Sądowej – odpowiada wyjątkowo spokojnie. – Wiemy na razie stosunkowo

niewiele. – Po czym w kilku słowach streszcza moje sprawozdanie z sekcji. Kawałki szkła, leki obniżające krzepliwość krwi, wymioty.

– To oznacza, że sprawca dobrze orientuje się w medycynie – wnioskuje Meierhofer. Spogląda na mnie, jakby dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z mojej obecności.

– Niekoniecznie – mówię z przyjaznym uśmiechem. – Wystarczy, żeby miał dostęp do komputera z internetem. Jeśli ktoś chciałby się dowiedzieć, jaki efekt będzie miało połknięcie tłuczonego szkła, błyskawicznie znajdzie odpowiednie informacje w sieci. A jeśli do tego będzie potrzebował listy leków, które doprowadzą do wykrwawienia się nawet przy niewielkiej ranie, również nie będzie problemu z przygotowaniem takiej listy.

– Rozumiem. W takim razie, co wiemy na temat sprawcy? Zupełnie nic?

– Coś jednak wiemy – protestuje Arendt i opowiada Meierhoferowi o forum internetowym i o tym, co udało się dotychczas ustalić na podstawie znalezionych tam informacji. Po kilku zdaniach prokurator przerywa szefowej.

– Dobrze, już dobrze. Jest jeszcze jedna sprawa, ale do omówienia w cztery oczy. – To wiadomość skierowana do mnie. Mam zostawić ich samych. Ale w ogóle nie jestem o to zły.

Skinieniem głowy żegnam Arendt i ruszam w stronę drzwi.

– Kolego Buchholz – słyszę, jak mnie woła, więc zatrzymuję się w drzwiach i odwracam. – Jeśli chodzi o pana pytanie: skoro koniecznie chce pan wiedzieć... powinien pan porozmawiać z osobą, której ono dotyczy.

Potakuję i wychodzę. Dokładnie taki mam plan.

## 6

Dwie godziny później funkcjonariusz wydziału do walki z cyberprzestępczością Andressen zarzeka się, że przynajmniej pięć razy usiłował doprowadzić do zamknięcia strony „Morituri”, bezskutecznie.

– Chodzi o to, że właściwa strona jest umieszczona w darknetcie – wyjaśnia. – A darknet to jakby zamknięte pudełko bez żadnych otworów, w którym nie ma możliwości odnalezienia konkretnego adresu. Jej mirror, czyli wierna kopia, trafia na setki serwerów w naszym internecie. – Próbuje ubrać to w słowa zrozumiałe dla zwykłych śmiertelników. – Zupełnie jakby to forum pojawiało się dosłownie znikąd. Gdy skasujemy jeden mirror, użytkownik automatycznie trafia na kolejny, identyczny jak poprzedni, bo to kolejna lustrzana kopia oryginału. To trochę jak walka ze smokiem o trzydziestu tysiącach głów. – Śmieje się ponuro. – Pokażcie mi rycerza, który zdołałby obciąć je wszystkie.

To niemal słodkie, że sam siebie porównuje do rycerza.

– A jak wygląda sprawa z tożsamością gościa, który założył forum? Ewentualnie jakiegoś admina, jeśli to dwóch różnych czubków? Dasz radę ustalić takie dane?

– Praktycznie zerowe szanse. W każdym razie jeszcze mniejsze niż zablokowanie strony. Mówiłem już, że to darknet. Słowo klucz to anonimowość. Gdyby dało się ją spenetrować, już dawno posadzilibyśmy wszystkich handlarzy pornografią dziecięcą.

Wpatruję się w ekran. Liczba użytkowników forum ustawicznie rośnie. Widzę zmieniające się cyferki i budzi się we mnie świadomość, przeciwko czemu stajemy. Ogarnia mnie chęć zniszczenia czegoś. Mój wzrok pada na dziwaczną designerską

lampę biurkową Buchholza, która wygląda jak łopoczący na wietrze żagiel z błyszczącego chromu.

– Mimo to próbuj wszystkich możliwych sposobów – mówię, ponownie zwracając się do Andressena. – I daj mi znać, jeśli trafisz na cokolwiek przydatnego.

*Właśnie podali w wiadomościach...*

To tytuł kolejnego wątku, który w trakcie mojej rozmowy telefonicznej z Andressenem dodała użytkowniczka o nicku MissyLissy. W chwili kiedy odkładam słuchawkę, ma już sześćdziesiąt pięć postów. Tym razem piszą głównie ci, którzy dotychczas uważali całość za słaby żart – i to mimo zdjęć.

*Co za pojeb. RIP Michael Kornmeier.*

*Wyrazy współczucia dla rodziny.*

*O Boże, proszę, to nie może być prawda!!!*

*Właśnie zgłosiłem tę stronę policji.*

*W końcu cię dopadną, wtedy się doczekasz.*

I tak dalej. Z czasem zaczęły się pojawiać pojedyncze głosy poparcia:

*Ale przecież to prawnik;)*

*Na niewinnego nie trafiło.*

*Ten grubas i tak szybko by zdechł na zawał.*

Najwyższy czas skończyć z biernym czytaniem forum i włączyć się w dyskusję. Pewnie powinnam omówić to najpierw z Buchholzem, albo przynajmniej dać znać Marcowi w pokoju obok... Ale ze słów jednego i drugiego wynikało, że tu każdy pilnuje tylko własnego nosa.

Poza tym kolejnego kroku i tak nie dałoby się uniknąć.

Wybieram sobie nick Leyla, jak tytuł piosenki Claptona. Poza tym domyślałam się, że przeciętnie zakompleksiony facet uzna, że to seksowne imię. A ja właśnie do takich użytkowników chcę dotrzeć.

Otwieram wątek z fotografią. *Ciekawi?*



Nie czytając, co znajduje się w pozostałych dwustu sześćdziesięciu siedmiu postach powyżej, dodaję własny.

*Nie dajcie się robić w konia. Przecież to na sto procent fejk. Ktoś robi z was głupków, a wy dajecie się nabrać.*

Wiem, że zaraz zgłoszą się pierwsi przemądrzalcy. Większość z nich nie będzie potrafiła się oprzeć pokusie udowadniania, że to oni mają rację, a ja się mylę. To dokładnie ta sama grupa użytkowników, która potem nie będzie miała najmniejszych oporów, żeby obciążyć innych. Notuję sobie ich nicki, choć wiem, że to prawdopodobnie bez sensu. Mimo wszystko czuję się trochę tak, jakbym zyskiwała w ten sposób przewagę.

*Ślepa jesteś? – pisze pierwszy mądrała. – Przecież wszędzie o tym piszą.*

Potem pojawiają się linki do trzech stron z wiadomościami i w krótkich odstępach dwa posty sugerujące, żebym się zamknęła, skoro piszę głupoty.

*Czyli to prawda? – odpowiadam od razu. – O Boże, dlaczego? Co on takiego zrobił?*

Pierwszy odpowiedź publikuje ktoś o nicku Roger-Rabbit:

*Zwyciężył.*

A potem kilka uśmiezków.

Zbieram się, żeby mu odpisać, ale w tej samej chwili ktoś puka.

– Nie teraz! – wołam, lecz to w najmniejszym stopniu nie zraża mojego gościa. Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi policjant, którego widziałam wcześniej z Buchholzem na miejscu znalezienia zwłok. Ma najwyżej metr sześćdziesiąt pięć – ani milimetra więcej! – i trzyma się prosto jak trzcina, co jest charakterystyczne dla ludzi jego wzrostu. Promieniują od niego spokój i luz, choć wyczuwam również zainteresowanie. Jest przy tym bardzo pewny siebie.

Czy został mi wcześniej przedstawiony? Nie pamiętam, może po prostu zapomniałam, jak ma na imię.

– Ponownie witam w naszym zespole – mówi i zamyka drzwi za sobą. – Nie mieliśmy okazji się poznać. Christoph Janning.

– Nina Salomon.

Ma suche dłonie i silny uścisk.

– Wiem. Gdyby nie ten martwy adwokat, byłabyś dziś tematem numer jeden.

Przysuwa sobie fotel obrotowy Buchholza i siada obok. Stopami ledwie sięga podłogi. Widzi, że zwróciłam na to uwagę i szeroko się uśmiecha.

– Możesz wybierać między dwiema frakcjami: część kolegów uważa, że nazywanie mnie krasnalem jest superzabawne, pozostali, że pchełka jest zabawniejsza. Ani jedno, ani drugie przezwisko mnie nie rusza.

Wierzę mu na słowo.

– A jak zwraca się do ciebie Buchholz?

– Po imieniu. Christoph.

– Mnie też to odpowiada, więc będzie Christoph. – Obracam monitor w jego stronę i powiększam zdjęcie z ciałem Kornmeiera, które Trajan umieścił na forum. – Widziałeś już?

Kręci głową i nachyla się lekko.

– Z tego, czego się dowiedziałam przez ostatnie dwie godziny z lektury forum, wynika, że zginął, bo w jakimś głosowaniu dostał najwięcej głosów. – Wyjaśniam pokrótce Christophowi, jakie informacje znalazłam na forum. Ani razu nie próbuje mi przerwać. Słucha w milczeniu i spogląda na monitor, nawet kiedy kończę swój monolog.

– Wyraźnie napisali, że będzie kolejna runda? – pyta w końcu.

– Tak. Jutro ma zostać opublikowana lista z nowymi kandydatami.

Zamyślony stuka palcami w blat biurka.

– Nie ma szans, żebyśmy do tego czasu zablokowali tę stronę. – Spojrzenie na zegarek. Wstaje i kładzie mi dłoń na ramieniu. Ku własnemu zaskoczeniu nie uciekam przed jego dotykiem.

– Mieć sprawcę cały czas na widoku i jednocześnie absolutnie nic o nim nie wiedzieć... Nigdy jeszcze nie byłem w takiej sytuacji –

mruczy. – Ale robisz dobrą robotę. Namieszaj im trochę, zasiej ferment. Może któryś straci panowanie nad sobą.

Wychodzi, a ja postanawiam, że czas na krótką przerwę. Zamykam stronę z forum i ruszam na poszukiwanie ekspresu do kawy.

Kiedy go znajduję, ktoś się przy nim krząta i ustawia na tacy trzy filiżanki aromatycznego naparu. To kobieta mniej więcej w moim wieku z asymetrycznie wyciętym bobem.

– Pia – przedstawia się i wita mnie skinieniem głowy, kiedy podaje jej swoje imię. – Pracujesz z Buchholzem, prawda?

– Tak.

– W takim razie powodzenia. – Podnosi tacę i chce odejść.

– Dlaczego miałabym go potrzebować?

Pia nieruchomieje i się waha.

– Tak tylko powiedziałam. Chodzi o to, że Daniel i kobiety... nieważne zresztą. Sama zobaczysz.

Wychodzi, zanim udaje mi się zapytać, co naprawdę miała na myśli.

– Przycisk podwójnego espresso wiesz się czasem – słyszę, jak woła na odchodnym.

Wybieram właśnie tę opcję i to dwukrotnie. Ani razu się nie zawiesił, co odczytuję jako dobry omen.

Nieco przedwcześnie, jak się okazuje. Bo kiedy wracam za biurko i otwieram forum, znajduję kolejny wątek. Założony przez Trajana.

*Drodzy stróże prawa, witamy na „Morituri”!*

*Znaleźliście już na pewno naszego pierwszego zwycięzcę i bez wątpienia trafiliście też na tę stronę. Rozgośćcie się, czujcie się jak u siebie w domu. Życzę miło spędzonego czasu i świetnej rozrywki; ze swojej strony mogę zapewnić, że będzie ciekawie.*

Nowe komentarze pojawiają się co pięć sekund i prezentują bardzo szerokie spektrum poglądów. Od *Powstrzymajcie tego szaleńca* do *CHWDP*.

Czytam każdy kolejny wpis. Być może już teraz będzie łatwiej oddzielić ziarno od plew. Hejterzy z założenia mnie nie interesują,

skupiam się na wyszukiwaniu tych użytkowników, którzy starają się ukrywać swoją wrogość. Mam wrażenie, że tak samo jak Trajan cieszą się perspektywą zobaczenia nas nad kolejnym ciałem ze świadomością, że wiedzieliśmy o zbliżającym się morderstwie, lecz nie o mordercy.

W tej chwili największe nadzieje pokładam w pracy naszego zespołu zabezpieczającego ślady. Jeśli sprawca zgubił choćby jeden włos albo trochę za wcześnie zdjął rękawiczki, znacząco posuniemy się do przodu.

Dzwoni mój telefon, to Christoph.

– Musimy wziąć się mocno do roboty. „Morituri” jest wszędzie – w gazetach, na portalach informacyjnych i w telewizji, nie wspominając o mediach społecznościowych.

Uruchamiam zwykłą przeglądarkę i w Google wpisuję „Morituri”. W tej chwili kilkaset trafień. To koszmar, ale taki, na który byłam przygotowana. Liczba użytkowników forum wzrosła dziesięciokrotnie, wzmocniona zainteresowaniem mediów.

Już teraz mam problem, żeby na bieżąco czytać wszystkie nowe posty, a wiem, że za kilka godzin będzie to niemożliwe.

Wracam na stronę „Morituri”. Wątek z powitaniem dla policji cieszy się ogromną popularnością. Pojawiające się w nim wpisy obejmują cały przekrój reakcji, od wściekłości przez szyderstwo aż do pogardy. Skroluję coraz niżej, aż nagle jeden z postów przyciąga moją uwagę. Nie, nie pomyliłam się. Ktoś stracił panowanie nad emocjami.

*Spokojnie, Trajan, pisze Timo776. Jesteśmy już blisko. Dopadniemy cię, niezależnie jak będziesz się nadymał. Ciebie i ten cały motłoch tutaj, który myśli, że może bezkarnie podniecać się kolejnymi przypadkowymi ofiarami!*

*To nie są przypadkowe ofiary, wręcz przeciwnie – odpisał mu któryś z użytkowników i opatrzył swoją wypowiedź uśmiechniętą buźką.*

Dopiero teraz zauważam, że obgryzam nerwowo paznokieć kciuka. Odsuwam szybko palec od ust. Czy ten cały Timo to może być ktoś z naszego zespołu? Jeśli tak, musi wylecieć. Bo gdy ktoś już teraz daje się sprowokować, a przecież to dopiero początek pierwszego dnia dochodzenia, to na sto procent nie wytrzyma, kiedy zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

Kawałek dalej trafiam na odpowiedź Trajana.

*Cześć, Timo776, miło poznać! Wiem przecież, że czytacie to wszystko z zainteresowaniem. Życzę miłej lektury. Jeśli myślałeś, że cię zablokuję, to się pomyliłeś. Dlaczego miałbym to zrobić? Jesteś tu tak samo mile widziany jak pozostali użytkownicy. Może chciałbyś zaproponować kogoś do następnej rundy?*

Zrywam się z fotela i wpadam do biura Marca.

– Marc, to ty piszesz na forum?

Zniecierpliwiony odrywa wzrok od monitora.

– Nie. Mam za dużo czytania, żeby jeszcze pisać.

– To dobrze. Ale ktoś się tam zalogował i podał za glinę.

Pokazuję mu odpowiedni wątek i znajduję właściwy post.

– Teraz sprawa szybko może wymknąć się spod kontroli.

Marc czyta i kręci głową, ale nic nie mówi.

– Musimy ustalić, czy to ktoś od nas – naciskam.

– Na sto procent nie – mówi krótko. – Przynajmniej moim zdaniem.

Okej, dotarło. Mam wrażenie, że jedyna osoba, z którą da się tu normalnie porozmawiać, to Christoph.

Wracam do swojego biura. Buchholz jeszcze nie wrócił. Pewnie to nawet lepiej.

# 7

Salomon podnosi na chwilę głowę, kiedy wchodzi do naszego wspólnego biura, a potem wraca do komputera, i czyta coś w skupieniu.

– Jakież użyteczne informacje? Cokolwiek?

Kilkakrotnie potakuje, jednak nie odrywa wzroku od monitora.

– Zarejestrowałam się na forum, żeby móc dodawać posty. Nie mogę uwierzyć, co ci idioci tam wypisują. Niestety, wygląda na to, że jeszcze przynajmniej jedna osoba od nas dołączyła do forum, bo jakiś facet otwarcie podał się za policjanta.

Nieruchomieję nad fotelem, na którym miałem zamiar usiąść.

– Słucham?!

Salomon potakuje i wskazuje głową na monitor.

– Niech pan sam zobaczy, specjalnie otworzyłam.

Obchodzę swoje biurko, opieram dłonie na jej krześle i spoglądam ponad jej ramieniem. Przez kilka sekund szukam wzrokiem właściwego komentarza.

– Niech to diabli – przeklinam odruchowo, ledwie kończę czytać odpowiedź administratora forum. – Taki był cel Trajana. Dokładnie taki. Chciał nas sprowokować. A ten cały... Timo zatańczył, jak Trajan mu zagrał. Dobrowolnie oddał mu piłkę. Co za... czy to może być ktoś od nas?

Salomon kręci głową.

– Sprawdziłam. Müller jest przekonany, że tylko my mamy tam konta.

– Może to ktoś z wydziału do walki z cyberprzestępczością? Jeśli tak, to jest to ktoś bez doświadczenia.

Wracam do swojego biurka, uruchamiam komputer, loguję się do systemu i otwieram program pocztowy. Czeka na mnie tylko kilka

wiadomości i żadna z nich nie jest ważna.

– Co powiedział lekarz po sekcji? – pyta Salomon i znów mnie rozprasza. Streszczam jej wszystko, czego dowiedziałem się od Diewalda.

– Czy to znaczy, że sprawca podał Kornmeierowi środki rozrzedzające krew, a potem godzinę czekał, aż zaczną działać, żeby nakarmić go tłuczonym szkłem?

– Wszystko na to wskazuje.

– Tylko po co miałby zadawać sobie tyle trudu?

– Może zależało mu na tym, żeby zaprezentować użytkownikom swojego forum coś niecodziennego i spektakularnego? Całe morze krwi? Tak przy okazji, ilu użytkowników obecnie liczy sobie to forum?

Salomon przesuwając palcami po klawiaturze i klika kilka razy myszką, by w końcu z niedowierzaniem pokręcić głową.

– W tej chwili ponad trzysta tysięcy. I z każdą chwilą ich przybywa.

Trzysta tysięcy. Jak wielu z nich to zwykli gapie, tacy jak ci, którzy zbiegają się do każdego wypadku samochodowego? Ludzie, których podnieca widok nieszczęścia spotykającego innych?

Zastanawiam się jednocześnie, ilu z tej perwersyjnej zbieraniny aktywnie uczestniczy w życiu forum, pisząc kolejne komentarze?

– Ma pani adres ofiary?

– Tak. – Salomon przewraca jakieś kartki na blacie swojego biurka i w końcu znajduje tę, której szukała. – Ulica Eppendorfer Landstrasse. Żonaty. Bez dzieci.

– Kto tam pojechał?

– Już... zaraz... Kannstein i Peters. Nie znam ani jego, ani jej.

Arendt często wybierała Manuelę Peters, kiedy chodziło o przekazywanie złych wieści. Wstaję z fotela.

– Okej, w takim razie podejść i zapytać, jak im poszło, a potem sami udamy się z wizytą do pani Kornmeier.

– Tylko że chciałam jeszcze...

– O ile dobrze panią zrozumiałem, nasi ludzie zajmują się tym forum – przerywam jej i wychodzę z biura. Nie mam cierpliwości na

takie dyskusje.

Biuro Manueli Peters znajduje się na samym końcu korytarza. Kiedy wchodzę, policjantka właśnie pisze raport. Dowiaduję się od niej, że żona Kornmeiera ma na imię Nicole i że wiadomość o śmierci męża przyjęła stosunkowo dobrze, jednak zaraz potem przyszło załamanie. Otrzymała wsparcie lekarza i sprowadzono jej starszą siostrę, żeby się nią zajęła. Manuela i Kannstein próbowali zadawać jej jakieś pytania, ale szybko się przekonali, że to bez sensu.

Piętnaście minut później jadę samochodem, a w fotelu obok siedzi Nina Salomon. W czasie drogi bardzo mnie kusi, żeby zapytać o powód jej przenosin z Bremy do Hamburga, jednak zostawiam to na kiedy indziej. Lepiej poczekać kilka dni z takimi tematami. Poza tym jest w tej chwili sporo ważniejszych spraw do omówienia. Opowiadam więc, czego dowiedziałem się od Manueli Peters o żonie ofiary, i staram się uważać, jak prowadzę. Wszędzie dookoła parkują potężne SUV-y i luksusowe limuzyny zaparkowane w dwóch rzędach. Niektórzy kierowcy bezczelnie poblokowali prawidłowo zostawione samochody innych. Jest przez to tak ciasno, że tylko z największym wysiłkiem przeciskam się dalej. Ogromne ilości pieniędzy, którymi dysponują mieszkańcy tej okolicy, zdają się sugerować właścicielom aut, że w ogóle nie muszą przejmować się przepisami o ruchu drogowym.

Mieszkanie ofiary znajduje się na pierwszym piętrze czteropiętrowej kamienicy. Kobieta, która otwiera nam drzwi, pasuje do opisu siostry żony Kornmeiera. Niemalże dorównuje mi wzrostem, ma pewnie około metr osiemdziesiąt i jest bardzo szczupła. Ma wydatne kości policzkowe, które zdominowały jej twarz okoloną brązowymi prostymi włosami z przedziałką, które sięgają jej do ramion.

– Dzień dobry. Nazywam się Buchholz, policja kryminalna, Hamburg. To moja współpracowniczka Nina Salomon. Chcielibyśmy zamienić kilka słów z panią Kornmeier.



Przez kilka sekund kobieta spogląda na mnie, jakby nie rozumiała, co powiedziałem, lecz w końcu potakuje w milczeniu i odsuwa się kawałek, by zrobić nam miejsce. Wymieniam szybkie spojrzenie z Salomon i wchodzimy do mieszkania. Zatrzymujemy się w przestronnym korytarzu i czekamy, by szwagierka ofiary zamknęła drzwi.

– Klassen – przedstawia się kobieta. – Susanne Klassen. Jestem siostrą Nicoli.

Salon jest ogromny i bardzo jasny. Nicole Kornmeier leży na białej skórzanej kanapie, która jest częścią zestawu wypoczynkowego składającego się z kilku foteli, wielkich poduszek do siedzenia i mniejszych, dwu- i trzymiejscowych sof. Nie widzę twarzy żony ofiary, bo zakrywają ją rozpuszczone blond włosy.

Jeśli nawet zauważyła nasze przybycie, nie daje tego po sobie poznać. Susanne podchodzi do siostry, nachyla się nieco i kładzie jej dłoń na czole.

– Nicole? Przyszli państwo z policji i chcieliby z tobą porozmawiać.

Nicole Kornmeier nieskończenie powolnym ruchem odsuwa włosy i odsłania bladą twarz, po czym przygląda się nam dziwnym wzrokiem, jakby szukała w pamięci, czy przypadkiem nie widzieliśmy się już wcześniej.

– Pani Kornmeier, jest nam bardzo przykro, że przeszkadzamy pani w takiej chwili – zaczyna Salomon. Słyszę wyraźnie, jak wiele wysiłku wkłada w to, żeby mówić miękkim tonem. – Niestety, musimy zadać pani kilka pytań. Czy czuje się pani na siłach, by nam na nie odpowiedzieć?

Zamiast odpowiedzi, pani Kornmeier potakuje bardzo powoli. Kiedy kończy, siada na kanapie, składa dłonie na udach i zamiera w bezruchu. Milczy wpatrzona w jakiś nieokreślony punkt gdzieś pomiędzy nami. Jest niższa od siostry i na moje oko ma trzydzieści kilka lat. Sprawia wrażenie osoby bardzo kruchej, wręcz filigranowej, i nawet nienaturalnie blada skóra i zaczerwienione oczy nie maskują faktu, że to wyjątkowo piękna kobieta. Mimowolnie wyobrażam

sobie, jak taka drobna dziewczyna musiała wyglądać obok tak zwalistego męża.

– Czy moglibyśmy usiąść? – pytam ostrożnie. Nicole dalej trwa w bezruchu, jednak jej siostra potakuje i wskazuje głową na trzyosobową kanapę obok nas.

– Pani Kornmeier, proszę przyjąć wyrazy współczucia w związku z tym, co się wydarzyło – zaczynam, kiedy już siedzimy, i jednocześnie wyjmuję notes z wewnętrznej kieszeni marynarki. Drobna blondynka spogląda na mnie.

– Dziękuję. Ja sobie też współczuję – mówi tak cicho, że muszę wyęźać słuch, żeby ją zrozumieć.

Przez chwilę milczę.

– Czy jest ktoś – zaczynam po jakimś czasie – kogo podejrzewałaby pani o to, że byłby zdolny do popełnienia czegoś takiego?

Jej spojrzenie z początku wyraża zaskoczenie i niezrozumienie. Odwraca wzrok, patrzy na siostrę, jakby szukała u niej pomocy, a potem znów zwraca się do mnie.

– Jak to... podejrzewałabym?

– Czy pani mąż miał wrogów? Czy był z kimś w sporze?

– Dlaczego Michael miałby mieć wrogów? On jest cudownym... był cudownym i ciepłym człowiekiem. – Łzy ściekają jej po policzkach i zostawiają na skórze błyszczące ślady.

Potakuję.

– Był adwokatem. Czy wie pani, czym konkretnie się zajmował?

– Prawo karne. Bronił ludzi przed sądem. – Wciąż jeszcze robi długą przerwę po każdym słowie, jakby za każdym razem zastanawiała się nad resztą zdania.

– Czy specjalizował się w konkretnych sprawach? – włącza się Salomon. Nicole Kornmeier kręci głową.

– Nie. Ale był bardzo dobrym adwokatem. Większość spraw wygrywał.

– Może otrzymywał jakieś pogróżki? – znów przejmuję pałeczkę. – Skoro wygrywał większość spraw, to musi istnieć cała rzesza ludzi, którzy z nim przegrali. Może ktoś z nich miał podstawy, by go nienawidzić?

– Nie. A w każdym razie ja nic nie wiem o żadnych pogróżkach.

– A ta sprawa sprzed dwóch lat? – wtrąca się Susanne Klassen.

– Jaka sprawa?

– Ta z dziewczyną, której ojciec ciągle do niego wydzwaniał? Pamiętasz? Przecież raz nawet do was przyjechał.

– Ale to było przecież ponad dwa lata temu...

– Czas nie ma w tej chwili znaczenia – przerywam jej. – Zechciałaby pani opowiedzieć o tej sprawie?

– Jak to... – przerywa. Milczy przez sekundę. – Chodziło o jakąś młodą kobietę. Ona została... – znów się zacina. Krótkie spojrzenie w stronę siostry, jakby znów szukała u niej pomocy. – Mogłabyś ty opowiedzieć? Ja...

Susanne Klassen potakuje i spogląda mi w oczy.

– Ta dziewczyna była jeszcze bardzo młoda, miała najwyżej szesnaście lat, z tego co pamiętam. Przez kilka dni była gwałcona. Potem znaleziono ją na wysypisku śmieci. Na zdjęciach z policyjnych kartotek rozpoznała swojego oprawcę. Recydywista, skazywany wcześniej za przestępstwa seksualne. Kontakt nawiązali najprawdopodobniej przez internet. Michael został jego obrońcą. Udało mu się doprowadzić do jego uniewinnienia.

Spogląda na swoją siostrę, a ja przez chwilę mam wrażenie, że w jej wzroku widzę błysk wyrzutu. Po trwającej sekundę pauzie znów zwraca się do mnie:

– Ojciec tej dziewczyny dzwonił potem kilka razy na prywatny numer Michaela. Zarzucał mu, że przez niego oprawca jego córki cieszy się wolnością. Ale to wszystko wiem tylko z opowiadań szwagra. Z czasem było coraz gorzej, aż w końcu ten człowiek pojawił się tu osobiście. Michaelowi udało się zdobyć dla niego sądowy zakaz zbliżania się.

– Czy w tamtym czasie pojawiły się jakieś konkretne groźby? – wtrąca się Salomon.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że nie. Szwagier nic o tym nie wspominał.

Ponownie zwracam się do Nicole Kornmeier.

– Pamięta pani tę sytuację? Czy pani siostra zapomniała o czymś? A może chciałaby pani dodać coś, co tylko pani wie?

– Nie.

– Czy zechciałaby nam pani podać nazwisko tego człowieka?

– Nie, ja... ja nie potrafię go sobie przypomnieć.

Zakrywa twarz dłońmi i zaczyna szlochać. Siostra siada obok i obejmuje ją ramieniem, a drugą dłonią głaszcze po blond włosach.

– Pani Kornmeier... – zaczyna Salomon bardzo ostrożnie, jednak nie daje jej dokończyć i wstaje z sofy.

– Myślę, że na razie to wszystko, czego potrzebujemy, jednak z całą pewnością jeszcze się tu pojawimy. – Żadna z kobiet nie reaguje na moje słowa, więc dodaję: – Sami trafimy do wyjścia. Do widzenia.

Ledwie zamykam za nami drzwi, Salomon zaczyna mówić:

– Dobra, bardzo szybko namierzemy tę sprawę sprzed dwóch lat. Pytanie tylko, czy cokolwiek nam to da.

Doganiem ją na schodach.

– Póki co, to jedyna wskazówka, jaką dysponujemy.

– Niestety. – Spogląda na mnie krótko. – Mam tylko nadzieję, że nie będziemy teraz ślęczeć nad jakąś sprawą sprzed lat, skoro i pan, i ja wiemy, że jutro na forum zaczyna się głosowanie dotyczące kolejnego morderstwa.



Nie odrywa wzroku od licznika użytkowników. Trzysta pięćdziesiąt sześć tysięcy osiemset siedemdziesiąt siedem. Dwie sekundy później dołączają kolejni. I jeszcze.

Gromadzą się, owieczki, wokół obrazu, który im pokazał, by go podziwiali. Tłoczą się i przepychają, podniecają i oburzają, ale przyciąga ich ciekawość. Nikt nie pozostaje obojętny, nikt nie zachowuje spokoju. Wszyscy chcą w tym uczestniczyć, w ten czy inny sposób.

Drobiazgowo przemyślał, jaki koniec spotka adwokata. Nie chciał niczego trywialnego, bo jego widownia zasłużyła na coś specjalnego. Coś, co wizualnie budziłoby silne emocje, a jednocześnie przyciągało wzrok, a nie zmuszało do odwracania głowy.

Czyta, jak rozprawiają o szczegółach, których policja nie ujawnia. Skąd tyle krwi? Czy zginął od strzału w usta?

Oczywiście, że nie. Krew ciekłaby wtedy nie po jego klatce piersiowej, tylko z potylicy, a to wyglądałoby zupełnie inaczej...

Sami eksperci od makabry.

Jeśli myślą, że prawnik musiał połknąć szkło dlatego, że był grubasem, albo musiał się wykrwawić dlatego, że przez niego wykrwawiali się inni, to proszę bardzo. Sam gardzi takim tanim symbolizmem, lecz jeśli widowni na tym zależy...

Jemu chodzi o coś zupełnie innego.

Upija łyk wody. Trzysta pięćdziesiąt osiem tysięcy dwieście czterdzieści osiem. Logują się ze wszystkich zakątków świata – większość jest oczywiście niemieckojęzyczna, jednak głosować można w każdym kraju na ziemi. Na forum działa program tłumaczący – lecz zdjęcie zastępuje słowa wyjaśnienia.

Jak wygodnie jest decydować ze swojej kanapy w Japonii czy Norwegii, kto przeżyje, a kto umrze. Być częścią tej gry i jednocześnie nie ryzykować stania się jej ofiarą. Emocje bez ryzyka, a wszystkie miejsca na widowni znajdują się w pierwszym rzędzie.

Dokonał już wyboru do następnej rundy: czworo kandydatów i cztery różne powody, dla których ktoś mógłby życzyć im śmierci. Nie może się już doczekać, którego z nich wybierze społeczność forum. Czy potwierdzą jego przypuszczenia? A może zaskoczą go i sprawią mu niespodziankę – a te w życiu prawie go nie spotykają.

Wie już za to na pewno, w jaki sposób zginie kolejna wybrana osoba, i to niezależnie od ostatecznego wyboru głosujących. Przygotowania są w toku i całość wygląda bardzo obiecująco.

Śmierć zostanie zadana w sposób diametralnie różny niż ostatnim razem, ale bez najmniejszych wątpliwości wyniesie całość na nowy poziom.

A to bardzo ważne. Pod żadnym pozorem nie chce się powtarzać, inspirować wcześniejszym czynem czy choćby pozostać w jego cieniu. Chce zaprezentować zupełnie nowy show i uświadomić obserwującym ich frustrującą bezsilność.

Trzysta sześćdziesiąt jeden tysięcy trzysta trzydzieści dziewięć.

Jak długo jeszcze, zanim najwyższe instancje zaczną go błagać, żeby przestał to robić? I co mu zaoferują w zamian?

Nieważne. Cokolwiek mieliby mu zaproponować, nie mógł się doczekać, jak zareagują, kiedy odrzuci ich ofertę.

## 8

Daniel nie zamierza odpuścić, więc przez dziesięć minut wiszę na telefonie, aż w końcu dostaję nazwisko i adres, których szukamy. Ofiara gwałtu sprzed dwóch lat nazywa się Denise Wilbers i mieszka z rodziną kawałek za Hamburgiem, w Barsbüttel.

– Pojedziemy teraz do niej – decyduje Buchholz.

– Pan pojedzie, znaczy się. Ja wracam na komendę i postaram się dla odmiany zająć czymś sensownym...

Chwyta mnie za ramię.

– Koleżanko Salomon, pozwoli pani, że powtórzę to z całym spokojem: jedziemy tam razem. Denise Wilbers jest w tej chwili jedyną osobą, którą możemy rozpytać. To nie jest jakiś anonimowy awatar, nick czy jeszcze coś innego. Na dodatek ma bezpośredni związek z osobą zamordowanego. Chyba nie zamierzała pani tego zignorować?

Serio? Będzie mnie teraz przepytawał ze znajomości podręcznika technik prowadzenia dochodzeń? Uwalniam ramię z jego uścisku.

– Jeśli chce pan zastosować schemat postępowania F, to proszę bardzo. Ale chyba nie ma potrzeby, żeby dwie osoby marnowały czas, prawda? My sobie tutaj gadu-gadu, a na forum trwa dyskusja i co sekundę pojawiają się nowe wpisy. W którymś z nich może znaleźć się coś bardzo ważnego...

– Na miejscu mamy dość osób, które się tym zajmują – przerywa mi. W jego głosie słyszę delikatną zmianę. Na fasadzie grzeczności pojawiają się pierwsze rysy. Niech mu będzie. – Wydział cyberprzestępczości, kolega Müller, pewnie jeszcze Vogelbusch... Pani byłaby tam... – wyraźnie szuka właściwego słowa – zbędna.

– Cyberprzestępczość jest zajęta próbami usunięcia strony forum z sieci i na razie nie ma się czym pochwalić – odpowiadam. –

Müller – zgoda, ale to stanowczo za dużo dla jednej osoby. Poza tym... – przerywam i nie kończę zdania. Niezbyt dobrze bym wypadła, gdybym powiedziała, co miałam na końcu języka: poza tym to ja chciałabym go dorwać przed innymi.

Nabieram głęboko powietrza i uśmiecham się tak radośnie, jak tylko potrafię.

– Pojadę metrem i autobusem, więc za pół godziny będę siedzieć przy swoim biurku. Do zobaczenia.

– Koleżanko Salomon. – Zdążyłam się odwrócić i ruszyć z miejsca, lecz ton jego głosu sprawia, że się zatrzymuję. Dobra, czyli koniec z uprzejmościami. Może w końcu będziemy mogli pogadać jak normalni ludzie.

– Koleżanko Salomon: jedzie pani ze mną. Może nie wyraziłem się dość jasno, ale to nie była propozycja ani w żadnym razie prośba. To było polecenie służbowe. Jako pani bezpośredni przełożony mam nadzieję, że tym razem mnie pani zrozumiała.

Przez kilka sekund patrzę na niego i milczę. W końcu trzaskam obcasami i salutuję przesadnie obszernym gestem.

– Tak jest. Sir.

Prowokuję go, lecz on mnie ignoruje. Nie robi nawet min typu: „Czym sobie na taką zasłużyłem” ani nic. Odwraca się, spokojnie podchodzi do samochodu i wsiada za kierownicę. Nie pozostaje mi nic innego, jak ruszyć za nim. Uruchamia silnik, ledwie otwieram drzwi pasażera.

Przez całą drogę w samochodzie panuje cisza. Znacznie lepiej bym się czuła, gdybyśmy sobie dogryzali. To jest chyba jedyna rzecz z czasów spędzonych w Bremie, za którą tu tęsknię. Ulf, mój tamtejszy partner, był równie szurnięty jak ja. Głośny, bezpośredni i zawsze mówił to, co myślał. Mogliśmy wrzeszczeć na siebie jak dzicy, obrzucać się przekleństwami i obrażać, a za trzy minuty znów pracowaliśmy razem w najlepsze, jakby nic się nie stało.

O takich stosunkach mogę zapomnieć z panem jestem-pani-przełożonym Buchholz.



Wilbersowie mieszkają w czteropokojowym mieszkaniu w kamienicy, która najlepsze czasy ma już za sobą. Otwiera nam przysadzisty facet w okularach. To Manfred Wilbers, ojciec Denise. Spogląda na nas zdezorientowany. Kiedy mu wyjaśniamy, po co przyszliśmy, odsuwa się i wpuszcza nas do środka.

Wydeptany dywan, trzy kanapy ułożone w podkowę, wszystkie w kolorze betonu. Kolorowe poduszki, których zadaniem jest tchnąć radość i życie w ponure wnętrze salonu, zawodzą na całej linii.

– Nie wiem, czy Denise będzie chciała z wami rozmawiać – oznajmia Wilbers i stawia na stoliku przed Buchholzem i mną po szklance wody mineralnej. – Nie ufa obcym.

Doskonale ją rozumiem. Kolega, który znalazł dla mnie jej akta i podyktował adres, zdążył przedstawić telefonicznie zarys tamtej sprawy: zwyrodnialec nie tylko przetrzymywał ją przez dwa dni, zgwałcił osiem albo dziewięć razy, ale też torturował ją, zanurzając jej głowę w wiadrze z wodą, bił smyczą, oddawał na nią mocz, a na koniec tak pobił, że złamał jej nos.

Olaf Resch, rok temu zginął w wypadku samochodowym. Alkoholik. Jednak wcześniej, dzięki pracy doktora Michaela Kornmeiera, został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Sąd uznał, że między nim a Denise doszło do stosunku seksualnego za obopólną zgodą, dość brutalnego, lecz oskarżony postępował w ten sposób na wyraźne życzenie dziewczyny. Która wówczas miała ledwie szesnaście lat.

Dziś jest osiemnastolatką i skrywa się za długimi brązowymi włosami i czterdziestoma kilogramami nadwagi. Niepewnie wchodzi do salonu.

Na krok nie odstępuje jej dwudziestoletni blondyn. Trzyma dłoń na jej ramieniu, jakby zapewniał ją, że cały czas jest tuż obok.

– Denise, Henri – państwo są z policji – wyjaśnia Wilbers zmęczonym tonem.

Dziewczyna prawie nie reaguje na jego słowa, za to chłopak od razu się spina i przyjmuje postawę obronną. Po sposobie, w jaki Buchholz zmienia pozycję, wiem, że też to zauważył.

Przedstawia nas, odwala całą obowiązkową część formalną, która i tak nigdy nikogo nie interesuje, po czym wali prosto z mostu, że Michael Kornmeier nie żyje. Został zamordowany.

Uważnie obserwuję reakcje całej trójki. Ojciec jest wyraźnie zaskoczony, nie wiedział o tym wcześniej. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem spuszcza wzrok i z delikatnym uśmiechem spogląda na klapki na stopach.

Jego córka siedzi dalej nieruchomo i nic nie mówi, ale jest pewnie tak znieczulona lekami, że nie możemy się temu dziwić.

Za to syn wiedział wcześniej. Usiłuje wprawdzie udawać zaskoczenie, bo otwiera szeroko usta i wytrzeszcza oczy, ale robi to zbyt nachalnie. Zbyt mocna i zbyt żywa reakcja. Wbijam w niego wzrok.

– Czyżby słyszał pan o tym jeszcze przed naszym przyjazdem? – pytam z przyjaznym uśmiechem.

Zdecydowanie kręci głową.

– Nie. To dla mnie nowość.

– Zaskakujące – odpowiadam. – We wszystkich wiadomościach o tym trąbią.

Tym razem nie wie, co powiedzieć. Jest zdezorientowany. Mogę się założyć, że dowiedział się o tym z forum. Nawet jeśli to nie on zaproponował Kornmeiera jako kandydata do morderstwa, Henri Wilbers z całą pewnością właśnie stamtąd dowiedział się o końcu adwokata. I najpewniej widział też jego zdjęcie. Morze krwi o wschodzie słońca.

– Rzadko oglądamy telewizję – tłumaczy ojciec. Nie zauważył, jak jego syn zareagował na nasze pytania, bo całą uwagę poświęca córce.

– Znacie państwo może forum internetowe „Morituri”? – słyszę Buchholza.

W spojrzeniu Denise nic nie zakłóca pustki, za to w oczach Henriego pojawia się błysk. Zgaduję, że myśli teraz gorączkowo, czy mimo anonimowości, którą zapewnia mu darknet, możemy trafić tam na jakiś jego ślad. Byłabym głupia, gdybym nie wykorzystwała jego niepewności.

– Pisuje pan tam, panie Wilbers, prawda? – mówię, jakbym wcale nie potrzebowała potwierdzenia. – Specyficzne forum. Zechciałby nam pan nieco o nim opowiedzieć?

Henri waha się wyraźnie, po czym kręci głową.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

W tej chwili Denise unosi głowę. Nie patrzy na żadne z nas. Mam wrażenie, że zatrzymuje wzrok na szklankach na stoliku.

– To dobrze, że on nie żyje – oznajmia. Ma silny i jednocześnie delikatny głos. Zupełnie jakby rzadko się odzywała.

Jej ojciec unosi dłoń i robi nieokreślony gest. Mam wrażenie, że chce ją pogłaskać, ale jednocześnie nie zamierza do niej podchodzić.

– Dobrze panią rozumiem – mówię i zaraz czuję, że Buchholz nie za dobrze przyjmuje moje oświadczenie. Nie potrafi zaakceptować tego, jak reaguję na ulgę Denise na wieść o śmierci Kornmeiera. Jego problem, mówiłam mu, żeby mnie tu nie ciągnął.

– Jak Kornmeier zachowywał się w czasie procesu? – pyta. – Czy był dla pani nieprzyjemny?

– Zachowywał się jak kawał skurwysyna – wtrąca się Henri. – Wszystko tak poprzekręcał, że na koniec sąd uznał, że to Denise uwiodła jego klienta!

W końcu Denise unosi wzrok na tyle, żeby spojrzeć mi w oczy. Patrzy na mnie, a ja nie potrafię wyczytać z jej twarzy jakichkolwiek emocji.

– Czułam się tak, jakbym znów musiała to przeżywać – mówi. – I znów. I jeszcze raz. Na oczach ludzi na sali, którzy stwierdzili potem, że nic takiego się nie stało.

Mimowolnie zaciskam palce na wytartej tapicerce kanapy. Wiem, co ma na myśli. Potrafię sobie wyobrazić, jaki show dał tam Kornmeier.

– Wróćmy w takim razie do tego forum – proponuję. – Uważamy, że to, co się na nim dzieje, ma duży związek z morderstwem.

– Nie mamy pojęcia o żadnym morderstwie – przerywa mi brat Denise ostrym tonem. – Ani o żadnym forum.

Nigdy nie potrafiłam znieść spokojnie, kiedy ktoś kłamał mi prosto w oczy.

– Wie pan co? – Uśmiecham się do niego. – W takich przypadkach najrozsądniej byłoby współpracować z nami. Bo kiedy pojechaliśmy porozmawiać z rodziną zamordowanego i zapytaliśmy o wrogów Kornmeiera, zaraz na początku padło nazwisko pańskiego ojca. I tylko jego. – Zwracam się do Manfreda Wilbersa. – Jeździł pan do jego prywatnego mieszkania i kierował w jego stronę groźby. W końcu sąd wydał panu zakaz zbliżania się. Czy tak było?

Denise wstaje i wychodzi z salonu. Najwyraźniej przynajmniej ona ma już dość. Henri chce ruszyć za nią, ale Buchholz zdecydowanym gestem każe mu zostać.

– Tak było. To był czas, kiedy jeszcze starałem się walczyć o sprawiedliwość – tłumaczy Wilbers. – Ale już dawno temu złożyłem broń. Teraz liczy się tylko pomoc Denise. Tylko to. – Uśmiecha się do syna. – Obaj robimy, co możemy, żeby ją wspierać.

O tak, nie mam co do tego wątpliwości. Tyle że Henri wybrał dość kontrowersyjny sposób pomagania siostrze. Nie potrafię dłużej usiedzieć spokojnie. Wstaję z kanapy i świdruję wzrokiem brata Denise.

– Odniosłam wrażenie, że nazwa „Morituri” coś jednak panu mówi. Kręci głową.

– Nigdy jej nie słyszałem.

– Jest pan pewien? Hmm... W takim razie może razem udamy się do pana pokoju i rzucimy okiem na komputer? I tak muszę

szybko znaleźć jakąś dobrą pizzerię w Ottensen, więc moglibyśmy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Co pan na to?

Ruszam w jego stronę. Zrywa się z kanapy. Jest zdezorientowany i gorączkowo się zastanawia, jak mnie powstrzymać.

– Salomon! – Niezbyt głośno, ale zdecydowanie. Zupełnie jakby Buchholz przywoływał nieposłusznego psa.

– Tak? Słowo honoru, że zignoruję wszystkie strony z pornografią, jeśli pan Wilbers na nie wchodził. Interesuje mnie tylko to, co dotyczy naszej sprawy. – Zatrzymuję się dokładnie przed chłopakiem. Henri nie chce się odsunąć.

– Koleżanko Salomon, myślę, że na nas czas.

Przy takim stanie faktycznym żaden prokurator nie odważy się podpisać pod nakazem przeszukania mieszkania. Tym bardziej że Kornmeier w swojej karierze musiał w podobny sposób załatwić jeszcze przynajmniej trzydziestu czy czterdziestu przeciwników. Nie mam wątpliwości, że tak by było. Żaden się nie zgodzi.

Czuję dłoń na swoim ramieniu i odwracam się gwałtownie. Buchholz mierzy mnie spojrzeniem, nie groźnym, ale ostrzegawczym.

– Wracamy na komendę. Panie Wilbers, z panem jeszcze się spotkamy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Proszę o kontakt, jeśli przypomni pan sobie coś, co mogłoby nam pomóc w dochodzeniu.

Podaje wizytówkę ojcu Denise i popycha mnie w stronę wyjścia.

Dotychczas udawało mi się panować nad złością wywołaną zarówno kłamstwami Henriego Wilbersa, jak i okrucieństwem losu, jaki spotkał tę nastolatkę. Jednak ledwie przechodzę przez próg mieszkania i znajduję się na klatce schodowej, czuję ponownie, jak wzbiera ze znajomą gwałtownością.

Zaciskam zęby i rzucając się schodami w dół. Przeskakuję po dwa stopnie naraz.

„To dobrze, że on nie żyje”.

O tak, Denise, twój punkt widzenia rozumiem aż za dobrze. Tyle że tego gościa ktoś nakarmił tłuczonym szkłem. Braciszek ci nie

powiedział?

Wypadam na dwór, kiedy Buchholz jest jeszcze dwa piętra powyżej. Ruszam przed siebie, szukając kosza na śmieci, który mogłabym kopnąć, żeby dać upust złości.

## 9

Kiedy wychodzę z klatki schodowej na dwór, Salomon czeka na mnie z rękoma głęboko w kieszeniach spodni i opiera się plecami o drzwi pasażera naszego samochodu. Odwróciła się i patrzy na ulicę, jakby działo się na niej coś wartego uwagi.

Idę w jej kierunku i zastanawiam się, czy powinienem zachować dla siebie oburzenie jej zachowaniem u Wilbersów. Odniosłem bowiem bardzo delikatne wrażenie, że rozmowa z nimi poruszyła ją tak bardzo nie tylko w zawodowym kontekście.

Powstrzymuję się na razie i wsiadam do samochodu. Salomon czeka jeszcze chwilę na zewnątrz, by w końcu do mnie dołączyć. Wzdychając ciężko, siada w fotelu pasażera. Czyżby naprawdę chciała mnie w ten sposób sprowokować?

– Jeśli chodzi o rozpytanie... – zaczynam.

– Tak, wiem. Może pan sobie oszczędzić kazania.

Patrzy przez przednią szybę i nie rusza głową.

Nie, nie będę grał na jej warunkach. Zachowam się spokojnie.

– Może zechciałaby pani zmienić swoje przyzwyczajenia i nie wchodzić mi za każdym razem w słowo, kiedy coś mówię?

W końcu odwraca się i spogląda na mnie.

– No to słucham, co takiego chciał pan powiedzieć?

– Odniosłem wrażenie, że za pani dociekliwością kryło się nie tylko zawodowe zainteresowanie?

Przez jej twarz przebiega cień i przez krótką chwilę widzę w jej oczach zaskoczenie. To mi wystarczy, bym miał pewność, że się nie pomyliłem.

– Nie tylko zawodowe zainteresowanie? Że niby co chce pan przez to powiedzieć?

Nie widzę powodu, żeby się powtarzać. I po raz pierwszy, odkąd poznałem Ninę Salomon – mimo że znamy się dopiero parę godzin – kobieta unika mojego wzroku i patrzy uparcie przez przednią szybę.

– Zresztą, to nie pana interes.

– Pewnie, nie mój – potwierdzam spokojnym tonem. – Ale też ani razu nie twierdziłem, że to moja sprawa. Jedyne, czego chciałem, to podzielić się swoimi spostrzeżeniami.

Uruchamiam silnik i ruszam. Pierwsze minuty mijają nam w milczeniu. Nie wiem, czy Salomon rozmyśla o czymś tak intensywnie, czy może jest po prostu wściekła – ja w każdym razie czekam.

Dopiero po trzech minutach przerywa ciszę.

– Chodzi o coś podobnego. Ale to było dawno. I nie chcę o tym rozmawiać. Nie teraz.

Potakuję.

– W porządku.

I nie ma o czym mówić. W końcu praktycznie się nie znamy. Mimo to czuję się spokojniejszy, bo na szczęście komunikacja z moją nową partnerką nie ogranicza się jedynie do mędrkowania i docinków.

Skupiam wzrok na drodze, a myślami wracam do naszej sprawy. Kiedy wrócimy do komendy, rozpocznie się akurat pierwsza odprawa zespołu pracującego nad dochodzeniem. Już się nie mogę doczekać, co też ustalili koledzy z wydziału cyberprzestępczości. Może udało im się w końcu usunąć „Morituri” z sieci? Obawiam się, że czeka nas długi wieczór.

Ta myśl wywołuje natychmiastowe skojarzenie. Martina Schlebeck. Poznaliśmy się tydzień temu, na jakimś wernisażu, i zdążyliśmy się już umówić na kawę. Czarująca kobieta: trzydzieści kilka lat, szczupła i piękna. Ubiera się stylowo i jest świadoma swojej urody. Na pierwszej randce była nieco spięta, ale to przecież nic nadzwyczajnego, kiedy spotykamy się z kimś, kogo jeszcze dobrze nie znamy.



Umówiliśmy się po raz kolejny, tym razem na obiad. I to akurat dzisiaj. Niech to diabli!

– Co jest? – pyta Salomon. Dopiero teraz dociera do mnie, że zakląłem na głos.

– Nic takiego, o czymś zapomniałem.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuję telefon, z listy kontaktów wybieram numer Martiny i dotykam zielonej słuchawki, po czym unoszę aparat do ucha. Słyszę monotony sygnał wołania i czuję na sobie spojrzenie Salomon. Czy mi przeszkadza, że będzie świadkiem rozmowy? Nie, zupełnie nie. Może przecież wiedzieć, że odwołuję spotkanie.

– Patrzę i nie wierzę. – Salomon śmieje się cicho. – Pan komisarz kocham-przestrzegać-przepisy-Buchholz rozmawia w czasie jazdy.

Chcę jej odpowiedzieć, ale zanim mi się to udaje, Martina odbiera połączenie.

– Tak?

– Cześć, to ja, Daniel. Dzwonię, bo pojawił się mały problem z dzisiejszym wieczorem. Niestety wyskoczyło mi coś w pracy. Wybacz, że tak późno odwołuję nasze spotkanie, ale szefowa zwołała odprawę, w której muszę wziąć udział. Nowa sprawa, sporo trzeba ustalić.

Dwa, trzy głośnie oddechy.

– Aha. I naprawdę dowiedziałeś się o tym dopiero godzinę przed naszym spotkaniem? Świetny początek, nie ma co. – Wzdycha z umęczeniem. – Zdradź mi tylko: gdybyśmy mieli się częściej spotykać, za każdym razem mam do ostatniej chwili żyć w niepewności, że zaraz zadzwonisz i dasz mi kosza?

– Dam ci kosza? Przepraszam, ale przecież wyjaśniłem...

– Tak, tak, że masz jakieś niesamowicie ważne spotkanie. Wiem. Tak strasznie ważne, że za żadne skarby nie możesz go dla mnie przesunąć. Dopiero zaczynamy, ale jeśli już teraz jest tak... – Znow wzdycha. – Inni mężczyźni na twoim miejscu odwołaliby taką

odprawę, a nie randkę. Rozumiesz chyba, że to ten etap związku, kiedy powinieneś robić na mnie dobre wrażenie, prawda?

Z taką reakcją zupełnie się nie liczyłem. Zaczynam nawet podejrzewać, że jej napięcie w czasie pierwszej krótkiej randki wynikało jednak z tego, że zawsze jest spięta i nerwowa. Robię, co mogę, żeby zachować spokojny ton, choćby ze względu na Salomon, która siedzi obok i uważnie słucha naszej konwersacji.

– Martino, szybko nadrobimy to dzisiejsze spotkanie, jestem tego pewien. Ten wieczór po prostu...

– ...mam spędzić we własnym towarzystwie, doskonale cię zrozumiałam. Na pewno będę się świetnie bawiła. Telewizor i butelka wina. Bo chyba rozumiesz, że jest już za późno, żebym zorganizowała sobie coś innego! – Śmieje się ponuro. – Miłej odprawy! – Znow się śmieje. – Czy może to odprawa raczej dla mnie? – Dwuznaczny ton, jakim wymawia kluczowe słowo, jest aż nazbyt oczywisty. – Za to następnym razem...

– ...następnym razem – wchodzę jej w słowo i teraz już naprawdę z trudem panuję nad tonem – możesz umówić się z kim tylko masz ochotę. Z wyjątkiem mnie! Z ulgą rezygnuję i życzę ci miłego wieczoru przed telewizorem!

Wsuwam telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki i niemal fizycznie czuję na sobie spojrzenie Salomon.

– Co takiego?

– Nie, nic – odpowiada, jakby rozmawiała z koleżanką. – Jestem zafascynowana odkryciem, że pod chropowatym pancerzem urzędnika skrywa się prawdziwy, delikatny człowiek.

A po chwili milczenia dodaje jeszcze:

– Od dawna się pan z nią spotyka?

– Nie. W zasadzie nawet się nie znamy. Wyszliśmy dopiero raz, to wszystko.

– Ups.

– Raz. A właściwie dwa: pierwszy i ostatni.

Nawet jeśli Salomon chciałaby jeszcze o coś zapytać, nie robi tego, a ja jestem jej wdzięczny.

Na komendzie czekają już tylko na nasz powrót. W wieczornej odprawie poza naszą dwójką bierze udział szefowa, Müller, Janning, Vogelbusch i Pia Lindner. Z wydziału do walki z cyberprzestępczością pojawił się tylko jeden funkcjonariusz i już na początku informuje mnie, że dotychczasowe próby usunięcia „Morituri” z sieci spełzły na niczym.

Przed wejściem do sali, w której ma się odbyć spotkanie, zamieniam parę słów z Arendt. Kiedy tam stoimy, mija nas Pia i wchodzi do środka. Witam ją przyjaźnie, na co ona tylko nerwowo potakuje i przyspiesza kroku, żeby jak najszybciej się oddalić.

Ta nowa fryzura zupełnie jej nie pasuje, stwierdzam po chwili. Wolałem, kiedy miała długie włosy, bo doskonale podkreślały rysy jej twarzy. Tamtej nocy, kiedy...

– W takim razie zaczynamy – oznajmia Arendt i wyrywa mnie z zamyślenia, po czym gestem wskazuje na drzwi.

Pierwsza wita wszystkich zebranych.

– Panie i panowie, znaleźliśmy się w potrzasku. To, że wiadome forum jest w jakiś sposób powiązane z badanym morderstwem, jest oczywiście nie tylko dla nas, ale również dla użytkowników wszystkich mediów społecznościowych. Kolega z działu IT zaraz powie na ten temat więcej. – Wygładza spódnicę. – Przynajmniej tak samo złą wiadomością jest to, że media nie dają mi przez to spokoju. Wiecie chyba doskonale, co się dzieje, kiedy takie informacje są przekazywane przez wszystkich na Facebooku czy Twitterze. Dziennikarze natychmiast zaczynają drążyć, nagłaśniać i koloryzować. Dlatego potrzebujemy jakichś sukcesów. Czegóż, czym moglibyśmy nakarmić opinię publiczną. Musimy działać.

Kończy, rzuca mi krótkie spojrzenie i siada na krześle.

W skrócie prezentuję wyniki obdukcji ciała ofiary i pytam Pię, czy rozesłała już do wszystkich zainteresowanych pisemny raport z sekcji.

– Tak, oczywiście – odpowiada poirytowana. Moim zdaniem, jej zdenerwowanie jest zupełnie niepotrzebne.

Od razu zauważam reakcję Salomon, która spogląda na Pię, przenosi wzrok na mnie, a potem znów na nią. Staram się to zignorować i opowiadam dalej, tym razem o wizycie w domu Kornmeiera i o tym, czego dowiedzieliśmy się od jego żony i jej siostry. Kiedy przechodzę do wizyty u Wilbersów, pomijam zachowanie Salomon i w podsumowaniu zaznaczam jedynie, że naszym zdaniem brat ofiary gwałtu co najmniej zna stronę forum „Morituri”.

Salomon na szczęście nie próbuje wchodzić mi w słowo ani nie wrywa się, żeby cokolwiek uzupełniać, więc mogę przekazać głos koledze Andressenowi.

Policjant ma minę, jakby właśnie ugryzł świeżą cytrynę.

– Niewiele mam do przekazania: porażka na całej linii. Ktokolwiek prowadzi to forum, cholernie dobrze zna się na rzeczy i wie nie tylko, jak ukryć taką stronę w darknecie, ale też jak powiełać jej mirrory, bo mimo setek zablokowanych adresów IP nie udało nam się nawet trochę ograniczyć jej obecności w sieci.

– Albo to on osobiście, albo ma kogoś, kto się na tym zna – wtrąca się Salomon, na co Andressen potakuje.

– Tak, oczywiście, tę możliwość również bierzemy pod uwagę. – Z kieszeni wyjmuję jakąś kartkę i spogląda na nią. – Serwisy społecznościowe wałkują temat tego forum, więc nie mamy wątpliwości, że jego popularność będzie szybko rosła. – Kolejne spojrzenie na kartkę. – Pół godziny temu miało ponad pół miliona zarejestrowanych użytkowników.

Arendt potakuje.

– Trzymajcie rękę na pulsie. Postaram się zorganizować wam do pomocy specjalistów z policji federalnej, BKA. I jeszcze jedna sprawa – dodaje i rozgląda się z przepraszającym uśmiechem. – Może to nie temat na odprawę, ale inaczej znów zapomnę: czy ktoś od was mógłby przyjść sprawdzić, co się dzieje z moim laptopem?

Wyraźnie coś jest nie tak, bo ostatnio zaczął strasznie wolno chodzić.

Potem wraca na swoje miejsce, a ja znów zabieram głos:

– Marc, przedstawiś swoje uwagi na temat forum?

Müller od razu wstaje z krzesła.

– W tej chwili nowe posty ukazują się praktycznie nieprzerwanie, więc nie ma już możliwości, żeby je na bieżąco czytać. To, co mamy dotychczas, pozwala zakładać, że prawie na pewno forum „Morituri” nie tylko jako pierwsze powiadomiło o morderstwie Kornmeiera, ale też odegrało – ono, ewentualnie jego założyciel i prowadzący – znaczącą rolę w zaplanowaniu i przeprowadzeniu tej zbrodni.

Salomon wzdycha ciężko.

– Przecież wszyscy wiemy to już od dawna. Tyle godzin przed monitorem i serio nie masz niczego więcej?

Otóż ma. Widzę to po wyrazie jego twarzy. Znam ten z trudem powstrzymywany uśmieszek, który zdradza, że zaraz powie coś ważnego.

– Właśnie do tego zmierzam. Krótco przed naszym spotkaniem pojawił się niespodziewanie temat z wczoraj, który admin wcześniej ukrył.

Salomon prostuje się gwałtownie, jakby poraził ją prąd.

– W pierwszym poście znajduje się grafika z czterema kolorowymi paskami, każdy z osobnym opisem. – Müller przerywa, milczy przez trzy czy cztery sekundy i dopiero potem mówi dalej: – Pod paskiem z największą zakolorowaną częścią znajduje się *Adwokat, który uchronił gwałticiela przed sprawiedliwą karą*.

W sali momentalnie robi się głośniejsze, ale Arendt szybko prosi o ciszę i ucina wszystkie rozmowy.

– To by potwierdzało, że odbyło się głosowanie, kto zostanie zamordowany – podsumowuję krótko.

– I że admin forum tak doskonale ukrytego i zabezpieczonego, że nasi specjaliści nie potrafią go zablokować, okazał się głupkiem,

który niechcący przywrócił usunięty wątek? – Salomon z niedowierzaniem kręci głową.

– Też się nad tym zastanawiałem, droga koleżanko – odpowiada Müller lodowatym tonem. Widzę, że z trudem trzyma nerwy na wodzy. – Doszliśmy do wniosku, że on to zrobił celowo. Pogrywa sobie z nami.

– I na razie świetnie mu idzie – ucina Arendt, wstaje i opuszcza salę.

## II

Idzie za nim, zachowując wystarczający odstęp. Zwalnia za każdym razem, kiedy staruszek się zatrzymuje, bo jego kundel wtyka nos w krzaki, obwąchuje latarnię czy siki innych kundli. Mężczyzna nie wie, że jest śledzony, bo całą uwagę poświęca swojemu psu. Tylko raz rozgląda się nieco uważniej. Odwraca się wtedy szybko i udając zainteresowanie, przygląda się kamienicy, przed którą akurat stoi. Ale staruszek robi to tylko dlatego, że jego kundel przykuca na brzegu eleganckiego trawniczka przed czyimś domem, przykurcza głowę i spina się, jakby zaraz miały mu wypaść oczy. Dopiero kiedy śmierdzący zasraniec kończy załatwiać się na czyjejs trawie, staruszek idzie niewzruszony dalej.

A on podąża za nimi. To już drugi spacer tą samą drogą. Wygląda na to, że zawsze tędy chodzą. To bardzo ułatwi sprawę, jeśli będzie trzeba.

Kilka minut później za staruszką i jego kundlem zamykają się drzwi, a on rusza zadowolony do auta, które zostawił w bocznej uliczce, i jedzie do następnego celu.

Pół godziny później przejeżdża przed dużym budynkiem. Wie, że tutaj będzie znacznie trudniej. Żadnych spacerków trzy razy dziennie tą samą trasą. A mimo to jest przekonany, że znajdzie sposób. Dotychczas zawsze znajdował, nawet w znacznie trudniejszych sytuacjach, a czasem, wydawałoby się, w sytuacjach bez wyjścia.

Parkuje niewielki samochód na parkingu dla gości i pewnym krokiem zmierza w stronę szerokiego głównego wejścia, jakby szedł w jakieś konkretne miejsce.

Zatrzymuje się w przestronnym holu, rozgląda szybko i kieruje w prawo, w stronę ściany z tablicą informacyjną. Szybko znajduje to, czego szuka, wsiada do windy i jedzie na czwarte piętro.

Tutaj musi być ostrożniejszy. Nie może rzucać się w oczy. Wskazówki na ścianach prowadzą go do celu. Dwukrotnie skręca w tym labiryncie przejść wyłożonych linoleum tak wytartym, że aż błyszczą. W końcu jest na miejscu.

Zwalnia kroku, czyta tabliczki przy drzwiach po obu stronach korytarza i odnajduje nazwisko, którego szukał. Znajduje się obok dużego przeszklonego pomieszczenia, w którym, na szczęście, nikogo nie ma. Zatrzymuje się i rozgląda. Kilka sekund, to wystarczy. Potem odwraca się i wraca tą samą drogą, którą się tu dostał.

Wcześniej tylko przypuszczał, ale teraz ma już pewność: tutaj, na górze, na pewno się nie uda. To zbyt ryzykowne. Musi wymyślić jakieś inne rozwiązanie, ale to go nie przeraża. Ma zdolność szybkiej adaptacji do nowych okoliczności. Zawsze to potrafił.



# 10

Ta cała odprawa to jakiś żart. Każdy po kolei przypisuje sobie jakieś wymyślane zasługi, a Müller to już w ogóle jakaś kpina. Jemu serio się wydaje, że to on odkrył post z wykresami!

Ledwie Arendt znika na korytarzu, zrywam się z miejsca i wychodzę. Mam za sobą całe zmarnowane popołudnie, które powinnam była spędzić przy komputerze. Jestem zła na Buchholza, bo to jego wina. Tutaj mogłabym posunąć śledztwo naprzód.

Już pierwsze spojrzenie na stronę forum przekonuje mnie, że nie mam szans przedrzeć się przez zalew nowych wiadomości, tyle tego zebrało się przez ostatnich kilka godzin. Za to bardzo szybko znajduję wpis, który przesądził o losie Kornmeiera. *Adwokat, który uchronił gwałciciela przed sprawiedliwą karą. O dobrych osiem procent wyprzedził: Nauczycielkę, co przyłączyła się do uczniów, którzy dręczyli innych. Daleko w tyle pozostał Makler ze słabością do jazzu wciskający klientom nic nie warte papiery i Kierowca autobusu, który biegnącym zamyka drzwi przed nosem.*

Dziwaczny i interesujący dobór kandydatów, więc nie jestem zaskoczona, że Kornmeier wysunął się na prowadzenie i wygrał głosowanie.

Wygrał. Akurat. Muszę przestać używać języka, który narzucił mi sprawca.

I muszę w końcu zacząć pracować na kilku poziomach jednocześnie. Poza klientem TOR-a otwieram zwykłą przeglądarkę. W jednej karcie uruchamiam Facebooka, w drugiej Twittera. Śmierć Kornmeiera wszędzie jest tematem numer jeden, a hashtag *#morituri* ma trzydzieści siedem trafień.

Nie da się przeoczyć tego, co się dzieje. I nie da się wszystkiego przejrzeć i przeanalizować, co jest tragedią, bo jestem przekonana,

że przynajmniej część użytkowników dałoby się zidentyfikować. Przynajmniej tych, którzy na wszystkich portalach korzystają z tych samych nicków. Jeśli obecny na „Morituri” cookiemonster77 ma konto o takiej samej nazwie na Twitterze, to będzie nasz.

Na Facebooku ktoś założył grupę *Zatrzymać morituri*. W tej chwili ma dwa tysiące użytkowników. Z tego, co widzę, większość z nich czyta forum w darknecie, a na Facebooka wklejają obszerne cytaty z postów – te, które szczególnie ich poruszyły.

Druga grupa nazywa się *Arena Hamburg*, ale jej członkowie i członkinie głównie szydzą i kpią. Padają propozycje, kogo można by dodać do głosowania. Padają nazwiska wielu polityków.

W przeciwieństwie do członków tej grupy większość użytkowników internetu jest wyraźnie poruszona tym, co się dzieje. Ludzie piszą o przerażającym samosądzie, o barbarzyńskich zwyczajach i upadku zasad rządzących zdrowym społeczeństwem.

Ktoś wkleił grafikę, w której do nazwy „Morituri” została dodana jeszcze jedna literka, zapisaną taką samą czcionką. Efekt to „Mordituri”. W ostatnich trzech godzinach obrazek został udostępniony na Facebooku ponad trzy tysiące razy.

Mimo oburzenia na forum w coraz większym tempie przybywa nowych członków, a cyferki licznika przeskakują tak szybko, że ledwie je widać. Dla spragnionych sensacji, ale mieszkających poza Hamburgiem, to musi być prawdziwe święto: nie ma ich na miejscu, lecz mogą przyglądać się relacji z pierwszej ręki. I mieć pewność, że nic im nie grozi.

Szybki telefon do wydziału cyberprzestępczości.

– Cały czas próbujecie usunąć tę stronę?

Funkcjonariusz wzdycha ciężko.

– Tak. Robimy, co możemy. Poprosiliśmy o pomoc kolegów ze Stanów i oni też dają z siebie wszystko. Tyle że na razie nie widać efektów.

Okej. W takim razie ja też zrobię, co w mojej mocy, żeby namieszać tam od środka. Jak tylko uda mi się wyłuskać kogoś, kto zaproponował kandydata do głosowania, reszta tych tchórzliwych szcurków pochowa się po kątach. A bez graczy nie będzie rozgrywki.

Szukam wątku przeznaczonego do zgłaszania swoich kandydatów do głosowania.

*Przecież to wszystko to ściema – piszę jako Leyla. – Za duże ryzyko, żeby kogoś zgłaszać, bo psy sprawdzą wszystkie kontakty takiej osoby i dowiedzą się, komu mogłoby zależeć. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się przecież tak wystawiał.*

Odpowiedzi na mój post pojawiają się już od pierwszej sekundy po opublikowaniu. Niektórzy przyznają mi rację, a inni starają się wyjaśnić, na czym polega działanie darknetu.

Słyszę, że drzwi się otwierają, ale nie podnoszę wzroku. Buchholz bez pytania przygotował mi kawę i stawia na biurku przede mną podwójne espresso.

– Dzięki.

– Coś nowego?

– Tak dużo, że nie jestem w stanie nadgonić.

Siada przy swoim biurku, również z filiżanką kawy. W tym samym momencie rozlega się jakiś sygnał z głośników komputera, a przy mojej nazwie użytkownika na forum „Morituri” pojawia się czerwona jedyńka. Dostałam wiadomość prywatną.

Od razu ją otwieram. Pochodzi od kogoś, kto podpisuje się nickiem BigBastard i to dokładnie to, na co czekałam.

*Hej, Leyla, chciałem Ci tylko powiedzieć, że się mylisz. Tutaj nic nie jest na niby. Sam kogoś zgłosiłem i nie mogę się doczekać jutra, żeby zobaczyć to nazwisko na liście. Może mój kandydat dostanie szansę :)*

Jeśli ktoś sam wybiera sobie nick BigBastard, możliwe, że oczekuje zainteresowania i podziwu szarych myszek. Decyduję się właśnie na taką taktykę.

*Ale ty tak serio? Odważnie, nie powiem. A jeśli ktoś będzie cię za to szukał?*

Buchholz nachyla się nad biurkiem.

– Zdradzi mi pani, co tam pani tak pisze?

Kręcę przecząco głową.

– To nie najlepszy moment. – I nie kłamię, bo właśnie otrzymuję odpowiedź od BigBastarda.

*A jak by mieli mnie znaleźć? Przecież to niemożliwe. I na tym polega dowcip.*

Aha. Dobra, to pora na przynętę, może połknie haczyk.

*Ja i tak się trochę boję. Nigdy nie wiadomo. Też jestem z Hamburga. Co będzie, jeśli ktoś zgłosi akurat mnie?*

Jego odpowiedź to długi rząd uśmiechniętych buziek, które chyba mają mnie uspokoić, i pytanie:

*Dlaczego ktoś chciałby się ciebie pozbyć? Jesteś niegrzeczną dziewczynką?*

Teraz moja kolej na uśmieški.

*To zależy, co masz na myśli.*

BigBastard reaguje zgodnie z oczekiwaniami. Chce wiedzieć, ile mam lat i czym się zajmuję, a ja staram się nakarmić jego chore fantazje. I tak Leyla staje się dwudziestojednoletnią brunetką, która pracuje jako kelnerka. Nie zdradza, gdzie konkretnie. Za to wspomina, że ma tatuaże. Sporo. I piercingi. Ale też nie pisze gdzie.

Buchholz wstał i stanął za mną. To chyba niezbyt dobry moment, żeby go ostrzec, że szczerze nienawidzę, kiedy ktoś zagląda mi przez ramię, gdy pracuję. Przynajmniej nie komentuje w żaden sposób tego, co robię. Dobre i to.

*Zainteresowałaś mnie, kotku – pisze akurat BigBastard. – Wyślesz mi jakieś fotki?*

No pewnie. Nikt nie kupi kota w worku, to już tak nie działa. Mimo to jego prośba wprawia mnie w zakłopotanie. Chętnie bym się z nim spotkała, szczególnie jeśli jego propozycja pojawi się jutro na liście

do głosowania. Nie mam jednak zamiaru pokazywać mu wcześniej, jak wyglądam.

*Może... – odpowiadam i znów dołączam całą masę emotek. – Ale jeszcze nie teraz. Daj mi jutro znać, czy twój kandydat przeszedł. Papa!*

Odchylam się na oparcie fotela.

– To tylko jeden z sześciuset trzydziestu tysięcy użytkowników forum – mówię cicho. – Ale może się nam poszczęści i zaproponowana przez niego ofiara znajdzie się jutro na liście.

Buchholz oparł się o moje biurko i przygląda mi się teraz nieprzeniknionym wzrokiem.

– Nieźle – mówi w końcu. – Ale chyba zdaje sobie pani sprawę, że jeśli ma dojść do spotkania z tym napalonym byczkiem, to tylko w ramach skoordynowanej akcji. Żadnych działań na własną rękę.

Udaje mi się powstrzymać od przewrócenia oczyma.

– Skoro to takie ważne, niech będzie.

Potakuje.

– Rozmawiałem wcześniej z prokuratorem na temat nakazu przeszukania mieszkania Wilbersów. Nie pozostawił mi cienia nadziei, więc musimy poradzić sobie inaczej.

– Spodziewałam się. Szkoda, że nie pozwolił mi pan rzucić okiem na komputer Henriego Wilbersa.

– No cóż. Szkoda – zgadza się ze mną. – Ale mimo to nie mieliśmy prawa tego robić. U nas, jak widać, sprawy toczą się nieco inaczej. Choć domyślałam się, że w Bremie też nikt by na to nie dał zgody.

Trafiony, zatopiony. Wracam do komputera i otwieram kolejny wątek, żeby Buchholz nie próbował drażnić tematu.

On jednak dalej opiera się o moje biurko i nie zamierza wracać do siebie. Kiedy znów podnoszę wzrok, dalej na mnie patrzy.

– Coś jeszcze?

– W pewnym sensie tak.

– To słucham.

Uśmiecha się szeroko. Chyba po raz pierwszy, od kiedy go poznałam, widzę w jego minie coś chłopięcego.

– Powinniśmy skończyć z tym panowaniem i paniowaniem i przejść na ty. Zgoda?

Naprawdę mnie zaskoczył.

– Bardzo chętnie.

Sięga po opróżnioną do połowy butelkę wody mineralnej, którą zostawił na stole, i nalewa nam do szklanek. Potem podaje mi jedną, jakby w środku był co najmniej chablis.

– Za dobrą współpracę. Jestem Daniel.

– Nina. Mogę mówić do ciebie Dani?

Uśmiech zmniejsza się przynajmniej o połowę.

– Wykluczone.

– Ups. – Wznoszę toast i piję. – Marc jest jeszcze w biurze? Czy pojechał już do domu?

Buchholz wraca za swoje biurko, siada w fotelu i odstawia szklankę obok stosu papierów.

– Dla Marca wyjście z biura na samym końcu to sprawa honoru. Jest strasznie ambitny, nie mów, że jeszcze nie zauważyłaś? W przypadku takiego dochodzenia jak to będzie pracował do upadłego i zrobi wszystko, żeby nikt go nie ubiegł.

Czyli dokładnie tak, jak podejrzewałam.

– Nie jest graczem drużynowym?

– Zdecydowanie nie.

Drzwi się otwierają i do środka zagląda Christoph.

– Cześć, ja już lecę do domu. Rodzina zaczyna mi się burzyć. Do zobaczenia jutro.

Zupełnie jak na komendę oboje unosimy na pożegnanie nasze szklanki w jego kierunku. Nie mogę powstrzymać uśmiechu; może to ze zmęczenia?

– Widzisz? Ledwie przeszliśmy na ty, od razu działamy jak pływacy synchroniczni.

Znów się uśmiecha.

– Nawet w najśmielszych snach nie formułowałem takich oczekiwań.

Przez pięć następnych godzin ślęczę nieprzerwanie przed komputerem. Nie wiem jeszcze, czego dokładnie szukam, ale wiem, że się zorientuję, kiedy to znajdę. Tyle że liczba dodanych postów jest tak nieprzebrana, a na dodatek część z nich się powtarza, że całość przestaje mieć sens.

Dopiero godzinę po otrzymaniu zauważam SMS-a od Toma: *Jak minął dzień? Wyjdziemy razem na obiad? Pomóc Ci rozpakować kartony? A może pomóc w czymś jeszcze?....*

Odpisuję mu szybko, że utknęłam w pracy i dam znać, jak się odkopię, czyli w ciągu najbliższych dni. Pewnie nie będzie już zainteresowany. Nie moja wina.

Krótko po pierwszej w nocy składam broń. Literki na ekranie rozmywają mi się przed oczyma i zlewają w nieczytelną masę, mam wrażenie, że ktoś wbija mi paznokcie prosto w kręgosłup, tak strasznie bolą mnie plecy.

– Koniec na dzisiaj? – pyta Daniel.

– Tak. Dłużej nie wysiedzę.

– Ja tak samo. Ale co tam, przebiliśmy Marca. Wyszedł z biura pół godziny temu.

W ogóle tego nie zauważyłam. Pocieram oczy i w tej samej chwili przypominam sobie, że nie przyjechałam do pracy samochodem. Arendt zgarnęła mnie z treningu swoim wozem, a potem Daniel podwiózł mnie do domu i do biura. Nie mam pojęcia, jak wrócić o tej porze do siebie.

Zaglądam do portfela.

– Ile może kosztować taksówka do Ottensen?

Daniel wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dwadzieścia pięć euro? Albo coś koło tego. Chyba nie chcesz wracać taksówką, co? Bez sensu. Odwiozę cię.

– Serio? – Od kiedy jesteśmy na ty, wydaje mi się znacznie sympatyczniejszy.

– Pewnie. – Uśmiecha się i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Chociaż... naprawdę masz ochotę nocować wśród tych nierozpakowanych kartonów? Wiesz co? Mam propozycję: mieszkam w Eppendorfie, to ledwie kilka minut stąd. Pojedziemy do mnie, wypijemy jeszcze kieliszeczek i pościelę ci na kanapie. Co ty na to?

Ostrzeżenie Pii, którego z początku nie zrozumiałam, nagle stało się jasne, a mój dobry humor ulotnił się w okamgnieniu. Czy on naprawdę myśli, że tak się to załatwia? Bez wysiłku i praktycznie bez kosztów?

Zrzucam szybko jego dłoń z ramienia.

– Oho, ktoś chyba błędnie ocenił sytuację albo coś mu się wydaje.

– Słucham? Jaką sytu...

– Serio sobie wykombinowałeś, że skoro przepadła ci randka, to skołujesz sobie zastępstwo? Szybki numerek z koleżanką już pierwszego dnia pracy? Skoro się jeszcze nie rozpakowała, to ubierzemy to w szatki troski i po sprawie?

Jego kompletnie zaszokowane i zdeorientowane spojrzenie sprawia, że zanim jestem w połowie tyrady, zaczynam mieć wątpliwości, czy aby na pewno się nie mylę, ale niestety, nie potrafię ot tak przerwać.

– Poważnie mówisz? Uważasz, że tego właśnie od ciebie chcę? – wyrzuca z siebie z trudem.

– Nieważne, co uważam. Tak to wygląda.

W jego oczach pojawia się niespodziewanie zacięcie, które widziałam już wcześniej, w czasie jego rozmowy telefonicznej w samochodzie.

– To tak drastycznie nie w moim stylu, a ty tak bardzo nie jesteś w moim typie, że nawet nie znajduję słów, którymi mógłbym wyrazić oburzenie bez obrażania ciebie.

Zdecydowanymi ruchami pakuje jakieś dokumenty do teczki i rusza w stronę drzwi. Tam odwraca się jeszcze na chwilę. Jest błydy ze złości.



– Musiałaś mieć okropne doświadczenia z okropnymi ludźmi, skoro w taki sposób reagujesz na przyjacielską propozycję.

– Coś w tym jest. I nie mam zamiaru dalej zbierać takich doświadczeń.

Otwiera gwałtownie drzwi.

– Wyraży współczucia. Z mojej strony na pewno nic takiego cię nie spotka. Jeśli potrzebujesz pieniędzy na taksówkę, w pierwszej szufladzie biurka mam pięćdziesiąt euro, możesz sobie pożyczyć. Dobranoc.

Zamyka za sobą drzwi. Z trzaśnięciem.

Ledwie wychodzi, zaczynam żałować, że coś takiego zasugerowałam. Zastanawiam się, czy nie wysłać mu jakiejś wiadomości, ale daję sobie z tym spokój. Jutro oboje będziemy znacznie spokojniejsi i na pewno znajdzie się okazja, żeby wszystko sobie wytłumaczyć.

Pięćdziesiątki z jego biurka nie ruszam, bo przypomniałam sobie, że w sali odpraw stała kanapa. Kładę się na niej i owijam kurtką.

Już pierwszego dnia pracy spędzam noc w biurze. Założę się, że Marc zzielenieje z zazdrości.

# 11

Leżę w łóżku z dłońmi splecionymi pod głową i wpatruję się w sufit sypialni. Jestem wzburzony i nie mogę zasnąć. Zbyt wiele spraw wytrąca mnie z równowagi i pozbawia spokoju. Morderstwo. Forum. Jego administrator. Przesłanki, którymi się kieruje.

Czy to po prostu jakiś psychopata? Szaleniec? A może nerd komputerowy, piwniczak bez przyjaciół i znajomych, niepozorny przegryw, który chciałby raz w życiu zyskać nieco uznania i zainteresowania? Na brak tego nie może w tej chwili narzekać, to na pewno. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co się będzie działo, jeśli w ciągu najbliższych kilku dni nie wpadniemy na jego ślad. Może koledzy z wydziału do walki z cyberprzestępczością zrobią jutro jakiś postępek. Może Müllerowi się uda. Albo Salomon.

Salomon. Kolejny powód, przez który nie mogę zasnąć. Jestem ogromnie zły i jednocześnie nie mam pewności, co ją tak naprawdę wywołało. Czy jej chora reakcja na moją propozycję? Arogancja, z którą zakłada, że każdy facet będzie czegoś od niej chciał? A może sam fakt, że złożyłem jej tę propozycję mimo całego dnia znoszenia jej uroczego stylu bycia? Powinienem był zachować się rozsądniej. Roztrząsanie tego wprawia mnie w jeszcze większą złość. To spirala, z której nie mogę się uwolnić.

Stanowczo zbyt jaskrawe czerwone cyferki zniekształcają wygląd nocnego radiobudzika i sprawiają, że przypomina mi gigantycznego prehistorycznego chrząszcza z lekko wybrzuszonym pancerzem. Jego kształt zlewa się z ciemną powierzchnią, na której stoi. Wytężam wzrok i staram się dostrzec w ciemności jego zarys, lecz osiągam tyle, że chrząszcz-budzik zaczyna się poruszać. Zaciskam powieki i znów nie mogę obronić się przed myślami o Salomon. Nie, nie pojawia się w nich ot tak. Ona mnie nawiedza i męczy. Tak jak

robiła to przez cały miniony dzień. Czy z kimś takim na dłuższą metę da się pracować? Czy ja będę to potrafił? I czy tego chcę?

*Oho, ktoś chyba błędnie ocenił sytuację albo coś mu się wydaje.*

Co ona sobie w ogóle wyobraża? Jediną osobą, która błędnie oceniła sytuację, była ona sama! Nie podobają mi się kobiety, które co kilka chwil mi przerywają, są przemądrzałe i nie mają szacunku dla innych. A już z całą pewnością nie pociągają mnie plamy potu pod ubraniem!

Niespodziewanie przypominam sobie o Ulli i podświadomie się z tego cieszę, bo przynajmniej na chwilę wyparłem z głowy myśli o Salomon.

Poznaliśmy się na urodzinach któregoś z moich ówczesnych kolegów. Była wysoka, szczupła i diabelnie piękna. Od razu oboje poczuliśmy chemię i wszystko szło w jak najlepszym kierunku, aż do drugiej nad ranem, kiedy przysunęła się do mnie bardzo blisko na kanapie w moim mieszkaniu.

Pot. Stary pot.

Do dziś doskonale pamiętam jej niedowierzanie, kiedy oznajmiłem, że jednak jestem śmiertelnie zmęczony. Na to ona przysunęła się jeszcze bliżej i szepnęła tym swoim zachrypniętym głosem, że zaraz postara się mnie obudzić. Jej kwaśny, przesycony winem oddech dokończył dzieła.

Kiedy dzwoniłem po taksówkę dla niej, tłumaczyła mi, że to chyba jakiś żart i że jeszcze nigdy nie spotkało jej coś takiego. Wcisnąłem jej do ręki płaszcz i delikatnie, ale zdecydowanie wypchnąłem za drzwi. Na odchodnym oznajmiła, że jestem skończonym idiotą, który nie wie, czego chce.

Możliwe, że miała rację i rzeczywiście jestem idiotą. Wyglądała naprawdę świetnie. Bóg jeden wie, że nie była przy tym pierwszą atrakcyjną kobietą, której szanse przekreślił zapach albo jakiś inny drobiazg. W jednym przypadku był to ślad szminki na zębach. Chyba naprawdę jestem niespełna rozumu.

Mam w sobie więcej z mojej matki, niż jestem gotów przyznać.

Moje myśli powoli stają się coraz mniej wyraźne, aż w końcu osuwam się w mglistą nicość snu. Mam wrażenie, że czuję przy tym przenikliwą woń starego potu.

Nieprzyjemnie wysoki sygnał budzika wrywa mnie godzinę wcześniej niż zwykle z głębokiego snu. Mija ledwie kilka sekund, a moje myśli same z siebie znów zaczynają krążyć wokół aktualnego śledztwa.

Z zamkniętymi oczyma zaczynam nowy dzień gorącym prysznicem. Po chwili namysłu postanawiam, że w rozmowie z Niną Salomon nie będę poruszał tematu jej zachowania poprzedniego wieczoru. Przynajmniej na razie. Mamy przed sobą bardzo poważną sprawę do rozwiązania i im więcej czasu zmarnujemy na załatwianie jakichś prywatnych niesnasek, tym większe prawdopodobieństwo, że Kornmeier będzie nie jedyną, a pierwszą ofiarą tajemniczego forum.

Po śniadaniu złożonym z jajka na półmiękkko, dwóch tostów i szklanki świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego sprzątam kuchnię i udaję się do komendy.

Widok Salomon za biurkiem jest dla mnie zaskoczeniem, kiedy o wpół do ósmej rano wchodzę do biura. Ma na sobie te same rzeczy co poprzedniego dnia, a to oznacza, że jednak nie wzięła taksówki.

– Dzień dobry – witam się i staram, by mój ton brzmiał możliwie naturalnie. Mam nadzieję, że uda mi się zachować pozory.

Unosi wzrok i odpowiada mi skinieniem głowy.

– Dobry.

– Czyżby nocowała pani w biurze?

– O, znowu jesteśmy per pani?

Mój błąd, choć niezamierzony.

– Nie, przepraszam, jeszcze się dobrze nie obudziłem. Zacznijmy od początku: czyżbyś nocowała w biurze?

– Tak, na kanapie w sali konferencyjnej. – Mam wrażenie, że się delikatnie uśmiecha. – Müllerowi omal oczy nie wypadły z orbit,

kiedy przywitałam go serdecznie o siódmej rano, ledwie wszedł do firmy.

– Niezłe, mogę sobie wyobrazić jego minę. – Siadam za biurkiem i włączam monitor. – Jakieś nowości?

– Nie. Szefowa też jest już u siebie. Odprawa o dziewiątej piętnaście.

– Piętnaście po?

Potakuje.

– Tak. O dziewiątej na forum ma się pojawić nowa lista kandydatów do głosowania. Nie udało mi się jeszcze dodzwonić do Andressena, tylko do innego gościa z cyberprzestępczości. Dołożyli sobie nocną zmianę i są w stałym kontakcie ze specjalistami ze Stanów. Tyle że na razie bez rezultatów.

Potakuję i skupiam się na swoim monitorze. Salomon, tak samo jak ja, nie ma chyba ochoty poruszać tematu poprzedniego wieczoru.

– A, właśnie. Przejrzyj sobie wydania online dzisiejszej prasy.

Domyślam się, co mnie tam czeka, lecz kiedy ładuje się strona główna pewnej bulwarówki, nie potrafię ukryć zaskoczenia.

Nagłówek nie tylko zajmuje całą szerokość ekranu, ale też wypełnia go niemal w całości. Wielkimi, krwistoczerwonymi literami na czarnym tle gazeta krzyczy do czytelników:

***FORUM MORDERCÓW!***

***NIEMAL MILION UŻYTKOWNIKÓW WYBIERZE KOLEJNĄ OFIARĘ!***

***POLICJA BEZRADNA!***

A poniżej zrzut ekranu strony głównej „Morituri”. Pchany jakimś przeczuciem, najeżdżam kursorem na fotografię i strzałka zamienia się w dłoń. Kliknięcie potwierdza moje obawy. Pod fotografią ukryty jest link prosto do forum i to działający w najzwyczajszej przeglądarce. W pierwszym odruchu zastanawiam się, jak to w ogóle możliwe, a potem przypominam sobie wyjaśnienia Andressena, że administrator forum umieszcza jego działające kopie na zwykłych serwerach.

– Niech to szlag – wyrzucam z siebie i mimowolnie uderzam płaską dłonią w blat. Salomon patrzy na mnie zaskoczona.

– Czy ci cholerni idioci naprawdę muszą pokazywać wszystkim, gdzie mają szukać?

– Masz na myśli podlinkowane zdjęcie? Chyba wszystkie gazety zrobiły coś takiego. Tyle że dla nas to właściwie żadna różnica. Już nie. Nieważne, czy ktoś sam sobie wpisze adres w przeglądarkę, czy trafi tam po kliknięciu. I tak większość będzie chciała zobaczyć to forum na własne oczy.

Niestety, Salomon ma rację.

Powstrzymuję się, choć mnie kusi, i nie otwieram wątku na samej górze listy, o tytule: *Kolejne głosowanie zaczynamy o dziewiątej*. Przez chwilę patrzę na licznik użytkowników i zamykam kartę.

Dziewięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy czterysta trzydzieści cztery! W nocy przybyło zatem około trzystu tysięcy nowych!

Robi mi się niedobrze na samą myśl, jak to będzie wyglądało za kilka godzin, kiedy jeszcze więcej osób przeczyta artykuły w gazetach. I jak o sprawie doniosą również media z zagranicy, bo nie mam najmniejszych wątpliwości, że teraz to już tylko kwestia czasu.

Kończę przeglądać artykuł, który w sensacyjnym tonie donosi o forum i jego związku z morderstwem Kornmeiera. Strony internetowe pozostałych gazet i portali informacyjnych również uczyniły z tego news dnia. Nawet periodyki uważane za trzymające poziom nie pomijają szansy, by powiadomić czytelników o „Morituri”, choć muszą przecież zdawać sobie sprawę, że w ten sposób tylko przysporzą forum nowych użytkowników.

Zaparzam kawę dla siebie i dla Salomon, a potem poświęcam nieco czasu na przeczytanie raportów kolegów i koleżanek, którzy niemal bez wyjątku zajmują się forum. Punktualnie o dziewiątej i ja, i Salomon wpatrujemy się jak zaczarowani w swoje monitory i co kilka sekund przyciskiem F5 odświeżamy stronę, by nie przeoczyć zmian, na które czekamy. Punktualnie minutę po dziewiątej pojawia

się lista. Czwórka kandydatów, czworo potencjalnych ofiar mordercy.

*Facet, którego pies najchętniej załatwia się na trawnikach sąsiadów.*

*Żona, która ma romans ze szwagrem.*

*Lekarz-fuszer, który zwala winę za błędy na kolegów, a sam zarabia na prywatnych wizytach.*

*Gość, o którym każdy wie, że podpalił schronisko dla emigrantów.*

Dziesięć minut później siedzę obok Niny w sali odpraw i mam wrażenie, że powoli, ale nieubłaganie, jakaś wielka dłoń zaciska się na moim żołądku.

Arendt rozpoczyna spotkanie od odczytania listy kandydatów z forum, a potem odkłada kartkę na blat przed siebie, odsuwa okulary w górę, we włosy i przesuwa wzrokiem po wszystkich po kolei.

– Skupimy się teraz na tych opisach i spróbujemy ustalić, o kogo może chodzić.

– Będziemy potrzebowali kupy szczęścia – wtrąca się jakiś młody policjant obok. – W samym Hamburgu są pewnie setki osób, które pasują do tego...

– W takim razie sprawdzicie setki osób z Hamburga. – Arendt ostrym tonem ucina dyskusję. – Mamy dwa dni, żeby znaleźć właściwych. I musi nam się udać, nieważne, jakim kosztem. W przeciwnym razie pojutrze czeka nas kolejna ofiara... i jeszcze coś...

Znów przesuwa wzrokiem po naszych twarzach.

– Sprawca zapowiedział, cytuję, że tym razem czeka nas dodatkowa niespodzianka. Koniec cytatu. Cokolwiek miał na myśli, jestem przekonana, że przysporzy mu to jedynie nowych użytkowników.

Nagle otwierają się drzwi i wszyscy odwracają się w stronę wejścia. Prokurator Meierhofer nie zadaje sobie nawet trudu, by za sobą zamknąć ani żeby mruknąć cokolwiek na powitanie.

– Dlaczego wszyscy siedzą tu i nic nie robią, zamiast ścigać tego szaleńca? – wrzeszczy. – Nie zauważyliście, że jest już nowa lista ofiar?

Zatrzymuje się obok Arendt, która odsuwa się szybko o dwa kroki.

– Wiemy o tym. Właśnie... – zaczyna, ale Meierhofer nie daje jej dokończyć i ucisza zniecierpliwionym machnięciem dłoni.

– Burmistrz nie daje mi spokoju. Poza tym dzwonił do mnie minister spraw wewnętrznych. I żeby było jasne – nie krajowy, tylko federalny! Dodatkowo odbyłem krótką, ale bardzo zdecydowaną rozmowę z prokuratorem generalnym.

Przerywa i patrzy na nas. Dopiero po chwili kontynuuje.

– Żeby nie przedłużać: tutaj gra się toczy nie tylko o mój stołek, ale również o wasze.



# 12

– Dobrze wiem, że moja żona sypia z moim bratem, ale naprawdę nie chcę, żeby coś jej się stało. Ja nawet nie chcę się z nią rozwodzić... przynajmniej jeszcze nie. – Mężczyzna mówi głośno, histerycznie i tak szybko, że mam problem, żeby go zrozumieć.

– Dlaczego pan uważa, że to ona znalazła się na liście z tego forum? Kto miałby ją tam zgłosić?

– Nie uważam! Ja wiem, że to ona! – Facet jest chyba bliski łez. – Przecież chyba nikt nie robi takich rzeczy, prawda? To, co robi, nie jest normalne. No i mieszkamy w Hamburgu.

Zapisuję sobie jego nazwisko, ale nie tłumaczę mu, że jest już trzecią osobą, która w ciągu dwóch ostatnich godzin zgłosiła nam potwierdzony lub jedynie domniemany romans żony ze szwagrem.

Telefon nie milknie, od kiedy zakończyliśmy odprawę i wróciliśmy do swoich biur:

– Jakbym czytał opis mojego szefa. Doktor Wegerich. Okulista z kliniki Asklepios. Znam kilka osób, które otworzą flaszkę, jeśli na niego trafi. Tylko żeby pani nie myślała, że to ja go zgłosiłem – ale są ludzie, których bym o to podejrzewał.

– Sąsiad mojego szwagra ciągle wyprowadza psa na trawniki przed domem innych mieszkańców ulicy. Podać pani nazwisko i adres?

Tak, proszę go o to. Notuję wszystkie dane dzwoniącego i domniemanego celu morderstwa. Tak samo postępuję w przypadku matki, która, szlochając, błaga, żebym ochroniła jej syna, nawet jeśli to on mógłby rzucić koktajlem Mołotowa w budynek, do którego wprowadzili się emigranci. Ale tam przecież na pewno nikogo nie było. I gdyby to był on, to żałowałby przecież z całego serca.

Ochrony oczekuje również jeden z mieszkańców dzielnicy Altona, który od początku wzbrania się przed podaniem mi nazwiska i adresu.

– Doskonale wiem, czyja to sprawka! On się na mnie mści! – wrzeszczy do słuchawki. – Otruł mi już dwa psy, a teraz chce się mnie pozbyć!

– Proszę podać mi swoje imię i nazwisko.

– A dostanę ochronę, jeśli to zrobię?

Oczywiście, że nie, co mu bezzwłocznie wyjaśniam. Wrzeszczy na mnie, że jestem głupią policyjną suką, która pierdzi w stołek i nic nie robi, za to żyje z jego podatków.

– W takim razie sam się będę bronił, wszystkimi dostępnymi środkami. Ostrzegalem was! – Po czym się rozłącza.

Odkładam słuchawkę obok telefonu, bo potrzebuję chwili odpoczynku od tego całego szaleństwa. Buchholz zajmuje się tym samym co ja. Patrzę na niego i widzę, jak zgrzytając zębami, zapisuje rewelacje każdego kolejnego rozmówcy. Informacje zaczniemy sprawdzać dopiero, kiedy zauważymy powtarzające się nazwiska i wskazówki.

Rzut oka na ekran i jestem na bieżąco z wynikami głosowania. Właściciel psa wyprzedza o włos lekarza-fuszera, a na trzecim miejscu plasuje się niewierna żona. Za to podpalacz został daleko, daleko w tyle. Odczłowieczenie głosujących jest przerażające w świetle tych wyników, jednak z punktu widzenia dochodzenia to prawdziwa katastrofa; liczba posiadaczy psów w samym Hamburgu jest prawdopodobnie nie do sprawdzenia.

Nie mogę oderwać wzroku od wykresu z liczbą głosów. Użytkownicy chętnie uczestniczą w głosowaniu i w ten sposób biorą w swoje ręce odpowiedzialność za czyjeś życie i śmierć. Nie mogą przecież traktować tego na zasadzie żartu, nie po tym, jak morderca opublikował zdjęcie zwłok Kornmeiera! Nie po oficjalnie upublicznionej informacji o morderstwie i wiadomościach we

wszystkich  
mediach.

Mimo to zgadzają się na współudział. Może kieruje nimi ta sama ekscytacja, która napędzała mnie i moje koleżanki, kiedy jeszcze jako dzieci dzwoniłyśmy do obcych domów i uciekałyśmy z chichotem. Wiedziałyśmy, że nie wolno tego robić, ale byłyśmy wystarczająco szybkie. Nikt nas nigdy nie złapał.

Minionej nocy Trajan założył jeszcze jeden wąż i nadał mu tytuł: *Obudźcie moje sumienie*.

Chcecie, żebym przestał? Wytłumaczcie mi, dlaczego miałbym skończyć. Przekonajcie mnie.

Cztery tysiące dwieście trzynaście osób podjęło wyzwanie. W ten czy inny sposób. Jednocześnie w znacznie krótszym czasie znalazło się sto sześćdziesiąt osiem tysięcy użytkowników, którzy oddali swoje głosy, skazując na śmierć kogoś, kogo nawet nie znają.

Odsuwam krzesło i wstaję.

– Niedobrze mi.

Buchholz od dwóch godzin nieprzerwanie odbiera telefony od obywateli. Unosi wzrok, patrzy na mnie zniecierpliwiony i potakuje. Mam pozwolenie. Mogę zrobić sobie przerwę.

Po drodze do windy spotykam Christopha, który bez słowa powitania podaje mi dłoń.

– Jakiś ład na horyzoncie?

– Żadnego. Zbyt wiele informacji jest często znacznie gorsze niż brak jakichkolwiek informacji. Nie mamy najmniejszych szans, żeby je zweryfikować. – Przywołuję przyciskiem kabinę. – A teraz wyobraź sobie, że ktoś podał nam dane właściwej osoby. I wyjdzie, że mieliśmy dane przyszłej ofiary, ale nic nie zrobiliśmy, żeby ją uratować.

Przeczesuje palcami rzadkie włosy.

– Wszyscy rzucą się nam do gardeł.

Zjeżdżam na dół, wychodzę na dwór i stoję przez kilka minut bez ruchu. Świeże powietrze. Chłodny wiatr.

Trajan musi zdawać sobie sprawę z tego, co się u nas dzieje, i jestem gotowa pójść o zakład, że pokłada się teraz ze śmiechu. Zastanawiam się, jak się przygotowuje. Na pewno obserwuje przebieg głosowania i organizuje wszystko, co mu będzie potrzebne, żeby porwać osobę, którą typuje na „zwycięzcę”. Czy może nie? No właśnie... czy Trajan gra fair? To chyba najważniejsze pytanie. Może już dużo wcześniej ustawił wyniki tak, żeby zgadzały się z jego planem? Może porwał przyszlą ofiarę dużo wcześniej, a głosowanie to tylko show?

Nie da się tego wykluczyć. Wszystkie opcje są równie prawdopodobne.

Żałuję, że rzuciłam palenie!

Gdy wracam do biura, Daniel wciąż siedzi ze słuchawką przy uchu. Kiedy mnie nie było, podwinął do łokci rękawy koszuli Ralphi Laurena i chyba kończy mu się cierpliwość.

– Tak, zapisałem nazwisko. Tak. Oczywiście. Bardzo mi przykro, że tak pana potraktowali w czasie dializy, ale... nie. Okej. Niestety, muszę zakończyć tę rozmowę. Dziękuję za sygnał.

Ledwie odkłada słuchawkę, rozlega się kolejny dzwonek. Buchholz patrzy na aparat i w milczeniu kręci głową.

– Nic nam to nie da.

– Wręcz przeciwnie. – Uśmiecha się krzywo. – Da nam ból głowy.

W podziękowaniu za ten pierwszy, choć słaby, objaw humoru sięgam do torebki, wydaję blister aspiryny i wyciskam na dłoń dwie tabletki. Przez chwilę spogląda na mnie niepewnie, jakby analizował ryzyko wprowadzenia do swego organizmu czegoś, co miało styczność ze mną. W końcu odbiera tabletki, wkłada je do ust i popija resztką kawy. Musimy zmienić taktykę. Wywabić ludzi spod ochrony anonimowości i spotkać się z nimi w prawdziwym świecie. Otwieram wczorajszą wymianę wiadomości z użytkownikiem forum. BigBastard. Chcę w końcu zobaczyć czyjąś twarz.

*Hej, jak tam? Facet z psem z problemami gastrycznymi to Twój sąsiad?* – piszę, ale zaraz zmazuję. Zbyt inteligentny dobór słów.

Cze – zaczynam kolejne podejście. – *Widziałeś już listę kandydatów? Jest tam Twój typ?*

Odpowiedź otrzymuję po niecałych trzech minutach.

*Nie, a szkoda. Mój kandydat był fajniejszy niż ta czwórka złamasów. Może następnym razem będę miał więcej szczęścia.*

To, że BigBastard od razu wysłał mi wiadomość, może oznaczać, że albo jest bezrobotny i siedzi o tej porze w domu, albo że pracuje przy komputerze.

Zapewniam go, że trzymam kciuki i że szanuję to, że nie daje się ludziom, którzy go wkurzają.

Bezkrytycznie spija słowa z mojej klawiatury. Znów prosi mnie o fotkę. Odmawiam mu, co wywołuje nieprzyjemną reakcję.

*Co z tobą? Taka wstydliva czy brzydka?*

*Nikt jeszcze nie nazwał mnie brzydką – odpisuję. – Ale dla zasady nie wysyłam fotek nikomu, kogo sama jeszcze nie widziałam.*

Po pięciu sekundach wysyła mi swoje zdjęcie. Jak zazwyczaj w takich sytuacjach, rzeczywistość rozmija się z wyobrażeniami na temat osoby po drugiej stronie komputera. BigBastard jest dość wysoki, ale ani nie jest gruby, ani umięśniony. Na zdjęciu siedzi przy drewnianym stole ustawionym gdzieś na dworze i trzyma kufel piwa o takim samym słomianym kolorze jak jego włosy. Czarna koszulka Motorhead to chyba najgroźniejsza rzecz, jaką dostrzegam na fotografii. Okej, poza jego koślawymi zębami, które prezentuje w szerokim uśmiechu.

*Dwudziesta – proponuję. – The Rock Café, St. Pauli.*

Jest zachwycony. Nie prosi mnie już o zdjęcie, tylko o numer telefonu. Którego mu oczywiście nie podaję.

Drukuję zdjęcie, które wysłał, i kładę kartkę na blacie biurka przed Danielem.

– Trzymaj. Jeden z użytkowników forum dał się wywabić. Zakładam, że akurat ten przybliży mi proces nominacji kandydatów i być może miał też kontakt bezpośrednio z Trajanem.

Daniel z kamienną twarzą przygląda się fotografii.

– Jak ci się to udało? Umów się z nim na jutro, optymalnie jakoś około południa. Umieścimy dwójkę funkcjonariuszy gdzieś w pobliżu, może nawet w tym samym lokalu. W przeciwnym razie ryzyko będzie zbyt duże.

Powinam się była domyślić.

– Weź, nie przesadzaj! Spotkam się z nim dzisiaj wieczorem.

Daniel odkłada wydruk.

– Otóż nie. Nie spotkasz się z nim dziś wieczorem. Żadnych samowolek.

– O matko, nie wyskakuj mi znowu z przełożonym i podwładną, co? – Jestem coraz bardziej zła. – Zapieprzam jak jakiś niewolnik, żeby posunąć dochodzenie naprzód, a ty chcesz mnie cofnąć?

– Niezaplanowane i pozbawione wsparcia działania w terenie są zbyt niebezpieczne – odpowiada. Mówi głośniej niż dotychczas. – Możesz mi wierzyć, doceniam twoje zaangażowanie, ale nikt nie skorzysta na dobrym pomysle, jeśli schrzanisz coś przez brak planu i przygotowania.

Zaciskam zęby i liczę do dziesięciu.

– W porządku – mówię w końcu. – Niech będzie. Robimy to po twojemu.

Wyraz zaskoczenia i dezorientacji na jego twarzy wart byłby zdjęcia na pamiątkę.

– Dziękuję, Nino. Daj mi, proszę, znać, kiedy ustalisz godzinę i miejsce spotkania.

Godzinę później robię ponurą minę i informuję Daniela, że BigBastard wyjeżdża następnego dnia z Hamburga i nie może się spotkać. Nie wspominam mu za to, że już wcześniej umówiłam się z nim na wieczór. I nie tylko z nim, ale też z innym użytkownikiem forum. Z Manxxo mam się spotkać o wpół do dziesiątej.

BigBastard przybrał na wadze od czasu, kiedy zrobiono mu zdjęcie przy drewnianym stole, lecz bez problemu go rozpoznaję, i to nie tylko po piwie, które czeka przed nim na barze.

Mnie, dla odmiany, nie poznałby nikt ze znajomych, chyba że przyjrzałby mi się bardzo dokładnie. Mocny makijaż, doczepione włosy sięgające tyłka, wydekoltowana sukienka i buty na obcasie. Anty-Nina.

Nie słyszy, jak podchodzę; muzyka jest zbyt głośna. Odwraca się dopiero, kiedy siadam na stołku obok i uśmiecham się do niego.

– Cześć.

Ta jedna chwila wystarczy, żeby wysiłek włożony w maskaradę uznać za opłacalny. BigBastard robi minę, jakby wygrał właśnie w totka i to nawet nie wypełniając kuponu.

– ... Leyla...? To ty...?

– No ja, ja. – Odrzucam sztuczne włosy na plecy. – Tak naprawdę to Lena, ale w internecie Leyla.

– Leyla idealnie do ciebie pasuje.

– A ty? – Z jakiegoś powodu nie mogę oderwać wzroku od jego koślawych zębów. – Przecież nie będę mówiła do ciebie Bastard, co nie?

Puszcza do mnie oko i gestem przywołuje barmana.

– Benni. Czego się napijesz?

Wybieram campari soda, a Benni, z miną znawcy, przekazuje zamówienie barmanowi.

– Dla mnie jeszcze jedno piwo. – Spogląda na mnie. – Tak mnie rozgrzewasz swoim widokiem, że potrzebuję trochę ochłody.

Śmieję się, jakbym nigdy w życiu nie słyszała równie oryginalnego komplementu.

Pięć minut później mam go owiniętego wokół małego palca. Benni nie może uwierzyć, że na takim forum da się poznać takie niesamowite dziewczyny. Jest ciekaw, co mnie tam przyciągnęło. I jak mi się tam podoba.

Kłamię. Chętnie i bez zahamowań. Zwalniam dopiero, kiedy zaczyna się ekscytować, jakie superrzeczy dzieją się na forum.

– Bo wiesz – tłumaczy. – Dawniej organizowano publiczne egzekucje – przekrzykuje muzykę. – I dziś ludziom tego brakuje.

Co?

Skinieniem głowy przyznaję mu rację. Po chwili opowiada mi o swoim byłym szefie, skończonym dupku, który wywalił go z roboty w firmie spedycyjnej, bo w jego szoferce znalazł dwie puste butelki po piwie.

– I dlatego go zgłosiłeś? – upewniam się.

– No a co.

– I miałeś rację. Serio. – Kładę mu dłoń na ramieniu. – A powiedz mi... ten Trajan. Miałeś z nim kontakt? Taki bezpośredni? Co to za gość w ogóle?

Nie podoba mu się, że wyrażam zainteresowanie kimkolwiek poza nim. Czuję to wyraźnie.

– Tylko ze sobą pisaliśmy. Chciał wiedzieć, jak mój były szef się nazywa, gdzie mieszka i jeszcze kilka szczegółów. No i konkretnie dlaczego go tak bardzo nienawidzę.

– No ty akurat masz pełne prawo go nie lubić – utwierdzam go w przekonaniu, że dobrze zrobił. – Zupełnie nie łąpię, dlaczego Trajan nie wybrał go do głosowania. Przygłup jeden.

– Właśnie, co nie? – Benni znów jest w swoim żywiole. – Gdyby ktoś usunął Hornika, to byłaby to przysługa dla ludzkości.

Hornik. Spedycja. Powtarzam te informacje w myślach, żeby dobrze je zapamiętać, a potem upijam łyczek praktycznie nietkniętego drinka.

– Ile czasu wybiera kandydatów? No wiesz, ten Trajan? Może za późno się zgłosiłeś?

– Nie sądzę. – Kolano Benniego dotyka mojego, cofa się i zaraz wraca. – Pięć dni wcześniej. Przesłałem zgłoszenie, kiedy jeszcze trwało pierwsze głosowanie. – Wzrusza ramionami. – Może pojawi się na kolejnej liście. Kto wie? Bo zgłaszasz kandydatów ogólnie, a nie do konkretnego głosowania.

Kładzie dłoń na mojej i obejmuje ją palcami. Ma zbyt ciepłą i stanowczo zbyt spoconą skórę. Wytrzymuję to przez trzy długie



minuty, po czym uśmiecham się zakłopotana i oznajmiam, że muszę na chwilę wyjść.

– Tak coś czuję, że dzisiaj campari mi nie służy.

Chce iść ze mną, ale daję mu znak, żeby został. Odetchnę świeżym powietrzem i wracam.

Zaraz za rogiem znajduję przystanek taksówek.

Przed spotkaniem z Manxxo ścieram połowę makijażu z twarzy i odczepiam sztuczne włosy, żeby go nie przestraszyć. Sądząc po przesłanej fotce, ma najwyżej dwadzieścia dwa lata, ale żeby to zamaskować, nosi długą do piersi brodę.

Wstaje, kiedy wchodzę do kawiarni, i podaje mi flakowatą dłoń.

– Cześć, Leyla.

– Na żywo Lena – odpowiadam i uśmiecham się szeroko.

W przeciwieństwie do Benniego Manxxo nie chce się przedstawić, przynajmniej nie od razu. Ponoć nie należy również do tych, którzy zgłaszali swoich kandydatów do głosowania. Jak sam mnie zapewnia, jest raczej „dyskretnym obserwatorem”.

– Trajan ma kompleks boga – mówi ponuro. Zamawia kawę; ja proszę o to samo. – Byłem jednym z pierwszych użytkowników forum. I na początku to było nawet zabawne. Nikt go nie brał na serio. Ale teraz... – Zaciska pięści. – Widziałaś zdjęcie? Tego adwokata?

– Tak – szepczę i przełykam głośno ślinę, a potem wzdycham poruszona. – Boję się, że na każdego może trafić. Na ciebie. Na mnie. Zastanawiałam się już nawet, czy nie byłoby lepiej wyjechać z Hamburga.

– Może to i dobra myśl – podchwytuje Manxxo. – Policja nic nie zdziała, chyba że Trajan zostawi jakiś ślad biologiczny, który zdołają zidentyfikować.

Tutaj ma niestety sporo racji.

– Naprawdę tak uważasz? – pytam niewinnie.

– Wiem o tym. Sam siedzę w komputerach i próbowałem pokrzyżować mu szyki, ale gdzie tam. To niewykonalne. – Po raz

pierwszy spogląda mi prosto w oczy. – Dlaczego naprawdę chciałaś się ze mną zobaczyć? Nie uwierzę, jak powiesz, że spodobało ci się moje zdjęcie. Nie mogło, a już na pewno nie takiej lasce jak ty.

Odpowiedź, jaką mu daję, tylko częściowo jest kłamstwem.

– Szukam sprzymierzeńców – oznajmiam. – Mam dokładnie takie same odczucia jak ty: policja nie jest przygotowana na takie wyzwania. Ale może udałoby się zniszczyć ten twór od środka.

Moja wizja przypada mu do gustu. Przez następne pół godziny zasypuje mnie mnóstwem technicznych szczegółów i pomysłów, a ja coraz dotkliwiej odczuwam skutki krótkiej nocy i długiego dnia, które mam za sobą.

Nie zatrzymuje mnie, kiedy mu przerywam, żeby się pożegnać.

– Lars – mówi na koniec, jakby uznał, że zasłużyłam, by poznać jego prawdziwe imię.

Tym razem nieco dłużej szukam taksówki, lecz kiedy już wsiadam do auta, czuję nieprzyjemny chłód na myśl o samotnej nocy wśród nierozpakowanych pudeł.

Pewnie jutro będę tego żałowała, ale w tej chwili się nie waham. Wyjmuję telefon i wybieram numer Toma.

– Tęsknię za tobą – kłamię. – Za dwadzieścia minut? U mnie?

# 13

Otwieram oczy szesnaście minut po szóstej rano i wyłączam budzik cztery minuty przed tym, zanim wyda swój nieszczęsny dźwięk. Przez jakiś czas leżę w łóżku i staram się nie zasypiać ponownie. W mojej głowie myśli zaczynają układać się w logiczne ciągi. Przypominam sobie wydarzenia minionego dnia, jak film oglądany w przyspieszonym tempie, który tylko w niektórych miejscach zwalnia na tyle, żebym mógł zobaczyć poszczególne sceny normalnie, a po kilku sekundach znów pędzi nieubłaganie dalej.

Taką chwilą zwolnienia jest poranna odprawa i telefony od mieszkańców Hamburga, którzy uważają, że znają osoby wytypowane do losowania na forum. Inni twierdzą, że to właśnie o nich chodzi. Potem jeszcze rozmowy z Niną, te zwykłe, kiedy podawała mi jakieś informacje, i te bardziej rozbudowane, w czasie których omawialiśmy konkretne sprawy. Udało nam się względnie dobrze przeżyć drugi wspólny dzień pracy, choć nie byłem optymistą po nieszczęśliwie udanym pierwszym, który zakończył się nieprzyjemnym spięciem.

Odsuwam od siebie to wszystko i siadam na łóżku. „Morituri”. Na tym powinienem skupić myśli. Wszystko pozostałe powinno się ułożyć.

Pięć po siódmej siedzę w samochodzie i próbuję uruchomić silnik. Dziesięć minut później rozmawiam z młodą kobietą, która mi wyjaśnia, że Stephan Grünewald, szef serwisu autoryzowanej stacji obsługi Jaguara nie pojawia się tak wcześnie w pracy. Przecież dopiero minęła siódma rano.

– Wiem, która jest godzina – przerywam jej podenerwowany. – Ale mój samochód ignoruje takie drobiazgi i niezależnie od pory nie chce zaskoczyć, a ja muszę się dostać do pracy. Proszę przekazać panu

Grünewaldowi, żeby zabrał wóz ode mnie spod domu. Nazywam się Buchholz. Daniel Buchholz.

– Buchholz – powtarza kobieta. – Daniel... Jaki model jaguara pan posiada?

– E-type.

– Uuu – mówi z uznaniem. – Piękne auto, ale trzeba o nie dbać. Jest pan pewien, że nie da się nim jeździć, panie... Buchholz?

Czuję, że robię się czerwony.

– Jestem pewien.

– Dobrze. A czym objawia się usterka?

Nabieram głęboko powietrza.

– Silnik. Nie. Działa.

– Silnik nie działa – powtarza powoli. – Dobrze. Już zapisałam. Mogę poprosić o adres?

– Pan Grünewald wie, gdzie mieszkam – odpowiadam, starając się panować nad nerwami, i po szybkim podziękowaniu i pożegnaniu kończę połączenie. Chcę uniknąć kolejnych pytań. Zapowiada się cudowny dzień...

Wzywam taksówkę i do biura docieram dziesięć minut przed ósmą. Nina siedzi już przy swoim biurku i rozmawia przez telefon. Nie wygląda, jakby przespała całą noc. Ma szarą, pozbawioną blasku skórę i cienie pod oczyma.

– Dzień dobry – witam się, na co ona kiwa głową i unosi dłoń. Czekam, aż skończy rozmawiać.

– Znów ktoś, komu się wydaje, że znalazł się na liście?

Potakuje i zmęczonym gestem unosi dłoń, żeby potrząść policzek.

– Znów spędziłaś noc w biurze?

– Nie. Skąd w ogóle taki pomysł? – Patrzy na mnie zdziwiona.

– Tak tylko...

Na porannej odprawie Arendt oznajmia, że powiększa grupę specjalną „Morituri” praktycznie dwukrotnie. Dołączy do nas profiler, specjaliści IT z policji federalnej, psycholog i dwóch funkcjonariuszy z ministerstwa spraw wewnętrznych. Ich rolę w naszym zespole

omija milczeniem. Nie może nam powiedzieć, czym się mają zajmować. Albo nie chce.

Dialogi z forum są analizowane. Andressen zapewnia, że wciąż trwają próby usunięcia strony forum z sieci. Ale nie przedłuża, bo przekaz jest jasny: nie posunęliśmy się ani o krok naprzód.

– Szlag by to, kurwa, trafił – mruczy Nina, kiedy w końcu wychodzimy z sali. – Jak to możliwe, że nasi specjaliści, wyszkoleni przecież zawodowcy, nie radzą sobie z zablokowaniem jednej głupiej strony?

Otwieram jej drzwi i puszczam przodem.

– Hakerzy zawsze są o krok przed nami. Piszą wirusy i złośliwe oprogramowanie szybciej, niż my ich wyłapujemy. To niestety...

Zatrzymuję się gwałtownie i milknę. Nina spogląda na mnie zniecierpliwiona.

– Co jest?

– Chodź szybko – mówię, po czym zawracam i ruszam w stronę sali odpraw. Mam szczęście, bo Andressen dopiero wychodzi. Zastępuję mu drogę.

– Szybkie pytanie. Czy kolega zna ludzi z hakerskiego świata?

Waha się wyraźnie i przez chwilę gorączkowo myśli, do czego zmierzam.

– Trudno tu mówić o jakichś znajomościach, ale co rusz mamy do czynienia z kimś z WPC. Dlaczego?

Spoglądamy na siebie i obaj mamy świadomość, że nie mam pojęcia, co to WPC. Andressen nie widzi jednak podstaw, by bez prośzenia zacząć mi to wyjaśniać. Dlatego idę mu na rękę.

– A co to takiego to WPC?

– Web Professionals Community. Zarejestrowane stowarzyszenie. Same świry. Twierdzą, że potrafią złamać zabezpieczenia każdego systemu. I, niestety, często mają rację.

Dopiero teraz przypominam sobie, że gdzieś już o nich słyszałem albo czytałem.

– Że niby co? – pyta Nina. Opiera się o ścianę i kręci z niedowierzaniem głową. – Zarejestrowane stowarzyszenie hakerów? To żart?

Andressen wydaje z siebie ten rodzaj śmiechu, który zwiastuje, że oto ktoś posiadający ogromną wiedzę podzieli się jej fragmentem z nieświadomymi.

– To raczej coś w rodzaju giełdy zleceń dla komputerowych geeków. Zasada ich działania jest bardzo prosta: włamują się do narażonego na ataki systemu i zostawiają wiadomość. I to wszystko. Niczego nie niszczą ani nie kradną. Zostawiają swoją wizytówkę i odchodzą. Co najciekawsze, robią to zupełnie oficjalnie. Firmy – ale i instytucje państwowe – często chcą zidentyfikować słabe punkty w swoich zabezpieczeniach. Czy można zrobić to łatwiej, niż zatrudnić kogoś obeznanego z takimi narzędziami, żeby wskazał, co trzeba poprawić?

– Jak się z nimi skontaktować? Telefonicznie? Mejlowo? – pytam, co wywołuje szeroki i pełen rozbawienia uśmiech na twarzy Andressena.

– Przy odrobinie szczęścia można z nimi osobiście zamienić kilka słów, bo WPC ma siedzibę w Hamburgu. Tylko do czego oni mogą nam być potrzebni?

Po wyrazie jego twarzy widzę, że zaczyna rozumieć, zanim wypowiada pytanie do końca. A w następnej chwili złości się, że nie wpadł na to pierwszy.

– Chcemy pozbyć się tego forum z sieci – wyjaśnia Nina i odbiera mi satysfakcję udzielenia odpowiedzi. – Czy można zrobić to łatwiej, niż zatrudnić kogoś obeznanego z odpowiednimi narzędziami, żeby pokazał, jak się do tego zabrać?

– Nieźle – mówi, kiedy chwilę później wchodzimy do biura. Nie patrzy przy tym w moją stronę.

Pół godziny później zmierzamy do Harburga, gdzie oprócz centrum dydaktycznego uniwersytetu technicznego dla prawie pięciu tysięcy

studentów znajduje się siedziba zarejestrowanego stowarzyszenia hakerów WPC.

Najniższy z dwunastu czy piętnastu dzwonek zaniedbanego budynku opatrzony jest ręcznym podpisem „WPC”. Po pierwszym naciśnięciu nic się nie dzieje, więc przyciskam go jeszcze raz i nie puszczam. Po kilku sekundach rozlega się metaliczne brzęczenie i możemy otworzyć drzwi. Tonący w mroku korytarz pachnie duszną wilgocią.

– Elegancka lokalizacja, nie ma co – szepce Nina i marszczy nos.

Sam w zasadzie nie wiem, jakie wcześniej miałem wyobrażenie o hakerach, jednak mimo to jestem rozczarowany widokiem mężczyzny, który wita nas zainteresowanym spojrzeniem. Jest tuż po trzydziestce, nie jest ani gruby, ani chudy, nie ma rzadkiego zarostu i nie nosi okularów. Jego garderoba też raczej nie rzuca się w oczy. Po namyśle stwierdzam, że jest pod każdym względem przeciętny.

– Dzień dobry, Buchholz, policja kryminalna, Hamburg, a to moja współpracowniczka, komisarz Salomon.

Krzyżuje ramiona na piersi.

– Okej. O co chodzi?

– Mielibyśmy kilka pytań. Możemy wejść?

Nie reaguje na moje pytanie. Stoi w tym samym miejscu i powtarza znudzonym tonem:

– A o co chodzi?

Brakuje tylko, żeby wyciągnął z kieszeni pilnik do paznokci i zaczął robić sobie manicure.

– Jak już wspomniałem, jesteście...

– Chodzi o „Morituri” – przerywa mi Nina. Znowu!

Znudzona mina na twarzy chłopaka ustępuje miejsca rozbawionemu uśmiechowi. W końcu opuszcza ramiona i odsuwa się kawałek.

– Niektórzy robili już zakłady, kiedy pojawi się u nas jakiś stróż prawa. Ale że przyjdzie od razu dwójka... nikt nie podejrzewał. To

dla nas zaszczyt.

Każde jego słowo dosłownie ocieka ironią i wszystko we mnie krzyczy, bym odpowiedział mu dosadnie, lecz zabraniają mi tego dobre maniere. Poza tym może się okazać, że jesteśmy skazani na pomoc tych ludzi. Dlatego powstrzymuję się przed komentarzem i ograniczam jedynie do groźnego spojrzenia. Przed sobą mamy dwoje zamkniętych drzwi, więc czekam, by poprowadził nas do właściwych. Kładzie dłoń na klamce tych po prawej, ale zatrzymuje się nagle i odwraca.

– Bez urazy, ale zanim państwa wpuszczę do naszych świętych hal, chciałbym zobaczyć jakieś legitymacje czy coś. – Uśmiecha się przemądrzale. Bez słowa sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki i pokazuję mu odznakę. Nina robi to samo. Facet przygląda się naszym papierom z przesadną uwagą.

– Buchholz i Salomon. W porządku. Wchodźcie.

– Pan Buchholz i pani Salomon – syczy Nina ze złością. – Wypadaloby, żeby pan też się przedstawił.

– Jens. Vogt. – Otwiera drzwi.

Święte hale WPC okazują się podłużnym pomieszczeniem o powierzchni około siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu metrów kwadratowych. Poza różnymi szafkami, rowerem i całą masą komputerów doliczam się sześciu biurków. Na każdym stoją po dwa duże monitory i leżą całe masy papierów, książek, teczek i innych przedmiotów.

Przy dwóch siedzą jacyś chłopcy, a trzecie zajęte jest przez kobietę. Tylko ona odwraca się w naszą stronę, kiedy wchodzimy do pomieszczenia.

– Uwaga! Słuchajcie! – woła Vogt. – Mamy ważnych gości! Policja!

– Dzień dobry! – zabieram głos. – Buchholz i Salomon, policja kryminalna, Hamburg. Jesteśmy tu z powodu „Morituri”. Domyślam się, że nie pierwszy raz słyszą państwo nazwę tego forum.



Jeden z chłopaków odsuwa się od biurka, opiera wygodniej i składa ręce na wystającym nieco brzuchu. Jest wyraźnie młodszy od Vogta i z rzadkim trzydniowym zarostem bardziej odpowiada mojej wizji komputerowego nerda.

– Oczywiście, że tak. Całkiem interesująca sprawa.

– Interesująca? – wybucha Nina. – Mówiąc to, zdaje pan sobie sprawę, że forum jest bezpośrednio powiązane ze śmiercią człowieka? I to uważa pan za interesujące?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Z czysto zawodowego punktu widzenia, tak. Co jak co, ale ktoś doskonale wie, jak przyciągać nowych użytkowników. Wystarczy popatrzeć na licznik. A sposób ukrycia strony to majstersztyk. Nie da się wyśledzić, gdzie właściwie jest umieszczona. Ten, kto to robi, zna się na rzeczy jak mało kto.

– Zanim zaczniemy rozmawiać, chciałbym poznać państwa nazwiska – oznajmiam i wyjmuję notes. – I czym się zajmujecie, kiedy nie siedzicie przy komputerach.

Może nieco zmiękną i stracą tupet, kiedy będziemy znali ich nazwiska. Ku mojemu zaskoczeniu bez słowa sprzeciwu dyktują mi swoje dane. Dziewczyna i Vogt są informatykami, Paul Johansen i Rainer Gerber matematykami.

– Czy ktoś z państwa ma cokolwiek wspólnego z tym forum? – pyta Nina, a ja notuję. – Może coś o nim wiecie? Albo domyślacie się, kto może je prowadzić?

Grubasek, który przedstawił się nam jako Paul Johansen, wstaje od biurka, podchodzi do stolika z boku i nalewa soku jabłkowego do papierowego kubeczka.

– Żadne z nas nie miało i nie ma nic wspólnego z tym forum, to przecież oczywiste. I nie mamy pojęcia, kto za nim stoi.

– Co wcale nie znaczy, że sami nie potrafilibyśmy czegoś takiego stworzyć – dodaje Vogt.

Spoglądam na niego zaskoczony.

– Skoro potrafiłby pan stworzyć takie forum, to powinien pan wiedzieć, jak dotrzeć do tej strony i ją wyłączyć.

Na jego twarzy znów pojawia się zarozumiały uśmiech.

– Może... A ile takie informacje byłyby dla was warte?

Otwieram usta, żeby mu ostro odpowiedzieć, lecz zanim zaczynam mówić, kątem oka dostrzegam gwałtowny ruch z boku. W następnej chwili Nina stoi tuż przed Vogtem i świdruje go wzrokiem.

– Ile byłoby to dla nas warte? – syczy wściekła. – Na przykład tyle, że nie posadzimy twojej żalösnej dupy za kratkami za utrudnianie dochodzenia w sprawie morderstwa. – Podchodzi jeszcze bliżej, a chłopak cofa się przestraszony. W końcu nie ma gdzie uciekać i opiera się plecami o ścianę. – Naprawdę pomyślałeś o cenie za taką pomoc? Zawsze tak robisz? Kiedy ktoś obok ciebie tonie, to też najpierw chcesz kasę? Ile? Za trzy stówy wyciągniesz gościa z wody? Czy to za mało? No, chyba że to będzie zbyt interesująca sprawa, co? Żalösne.

– Nina! – Próbuję ją powstrzymać, lecz ona zachowuje się, jakby mnie nie słyszała.

– Jeśli masz pomysł, jak usunąć to pieprzone forum z sieci, albo podejrzewasz, kto za nim stoi, to lepiej zacznij gadać, i to szybko, bo inaczej osobiście zawlokę cię na komendę i następne dwadzieścia cztery godziny spędzisz w celi.

Podchodzę do niej i chwytam za ramię. Odwraca się i patrzy na mnie, a w jej oczach widzę błysk złości. Czuję, że wszyscy czekają, co dalej, więc mam nadzieję, że mnie zrozumiała i nie będę musiał niczego mówić.

Potakuje niechętnie i odwraca się z powrotem do Vogta.

– To jak?

Uśmiech bez śladu zniknął z twarzy Vogta.

– Eeee... nie.... – jąka wyraźnie zaskoczony i zmieszany.

– Nikt od nas nie ma pojęcia, kto zarządza tym forum – mówi Manuela Donell, informatyczka. Jest spokojna i ma opanowany głos,

za to na Vogta spogląda z wyrzutem. – Nie wiem, po co te idiotyczne przechwałki, Jens.

Nina nie ma ochoty zostawić Vogta, ale w końcu się odsuwa i odchodzi kilka kroków.

– Czy ma pani pomysł, co zrobić, żeby to forum zniknęło z sieci? – pytam Donell. Mam wrażenie, że to najrozsądniejsza osoba ze wszystkich. Dziewczynę uprzedza Johansen.

– Nie. Nie da się tego zrobić. Możecie poblokować setki adresów IP, a kolejna wersja mirrora z darknetu będzie lądowała na działającym serwerze. I wszystko od nowa. Nie ma szans, żeby to przerwać. A tak z innej beczki... we wszystkich wcześniejszych sprawach, kiedy policja się u nas pojawiała, próbowaliście nam wmówić, że to my jesteśmy odpowiedzialni, bo przecież tacy z nas straszni hakerzy. A teraz wpadacie jakby nigdy nic i prosicie o pomoc? Dziwne.

Odwraca się demonstracyjnie i skupia na monitorze.

Daję Ninie znak głową i ruszamy w stronę drzwi. Tutaj niczego sensownego i tak się nie dowiemy.

– Odprowadzę gości do wyjścia – oferuje Gerber, który dotychczas nie powiedział ani słowa. Wyprowadza nas na zatęchły korytarz, zamyka drzwi i szepce:

– Dajcie mi wizytówkę z numerem telefonu. Rozejrzę się i posłucham, może czegoś się dowiem.

Wyjmuję z portfela wizytówkę.

Dopiero kiedy jesteśmy na zewnątrz, zatrzymuję się i spoglądam na Ninę.

– Co to miało być, tam w środku? Zgoda, facet zachował się jak buc, ale twoja reakcja...

Mierzy mnie wzrokiem jeszcze bardziej lodowatym niż ten, którym świdrowała Vogta.

– Ten gnojek powiedział, że „Morituri” jest interesujące. Ale miał na myśli, że jest podniecające, nie zauważyłaś? Kręci go przyglądanie

się. Jemu nie zależy, żebyśmy złapali mordercę. Kiedy teraz o tym myślę, to uważam, że byłam dla niego stanowczo zbyt miła.

Potem odwraca się i rusza w stronę auta.

### III

Szuka miejsca spełniającego bardzo określone wymagania. Szczególnie jeden z warunków jest nieodzowny do spełnienia, jeśli ma się udać, a to czyni poszukiwania wyjątkowo żmudnymi. Cała reszta już dawno jest gotowa.

Od dwóch godzin jeździ wzdłuż brzegu Łaby i skręca w każdą przejezdną drogę prowadzącą nad wodę. Czasem, jeśli okoliczności na to pozwalają, zostawia samochód na poboczu i maszeruje piechotą w stronę linii brzegowej. Dotychczas za każdym razem tylko po to, żeby szybko zawrócić, bo kolejna lokalizacja się nie sprawdza.

W końcu ulica Elbchaussee przechodzi w Dockenhudener Strasse, jednak tutaj wszystko wygląda jak dotychczas. Większość zejść nad wodę jest dość daleko, lecz to nie problem. W niektórych przypadkach może podjechać jeszcze kawałek samochodem, co akurat jest wielką zaletą. Lecz dotychczas za każdym razem wszystko rozbija się o jedną rzecz. A raczej o jej brak.

Zniechęcony zamierza przerwać poszukiwania, kiedy sto metrów przed sobą widzi jeszcze jedną boczną uliczkę odchodzącą w lewo. Skręca w nią. Najpierw prowadzi obok domów z elegancko przystrzyżonymi trawnikami, a potem przez rozległy, zaniedbany teren, który nieco przypomina mu wydmy.

Ma jeszcze około trzystu metrów do brzegu, kiedy dostrzega to, czego szukał. Uświadamia to sobie z nagłą jasnością, podobną do tej, która towarzyszy reakcji na zmianę światła na zielone.

Sto metrów dalej droga się kończy. Zatrzymuje samochód i wysiada. W miejscu, w którym stoi, zaczyna się wąska, piaszczysta ścieżka, prowadząca łukiem na brzeg Łaby. Da radę. I teraz, i później.

Zmierza nad wodę i wchodzi na betonową platformę wrzynającą się kilka metrów w nurt rzeki. Tam staje i odchyła głowę. O tak, to jest dokładnie to, czego szukał. Przesuwa spojrzeniem po krawędziach platformy, by ustalić właściwy punkt. W końcu go znajduje. Odwraca się i udaje z powrotem do samochodu. Otwiera bagażnik i przez chwilę przygląda się jego zawartości, by zaraz potem wyjąć ze środka czerwoną plastikową skrzynkę. Jest ciężka – tak ciężka, że ze świstem nabiera powietrza, kiedy przenosi ją nad krawędzią bagażnika.

Przygotowania trwają około godziny. Jest pewien, że nikt go nie widzi, mimo że to przedpołudnie. A nawet jeśli ktoś go zauważy, weźmie go za robotnika, który coś naprawia. Wyników jego pracy również nikt nie zobaczy, nawet jeśli ktoś będzie patrzył bezpośrednio na nie. Każdy pomyśli, że jest tak, jak powinno być.

Zadowolony siada ciężko na dużym kamieniu i wyjmuje telefon, by sprawdzić wyniki głosowania. Tendencja jest jednoznaczna. Chowa słuchawkę, opiera przedramiona na kolanach i wpatruje się w połyskującą srebrem powierzchnię rzeki. Potem w myślach powtarza kolejne kroki.

# 14

Siadam zgarbiona na fotelu pasażera i uparcie wpatruję się w widok za bocznym oknem, a mimo to czuję na sobie przenikliwy wzrok Daniela.

Pierwsze dziesięć minut drogi mijają nam w ciszy. Powoli zaczynam się odprężyć, kiedy nagle słyszę jego znaczące chrząknięcie.

– Wciąż jeszcze zła? – pyta zwyczajnym tonem.

– Daję radę.

– Narobisz sobie kłopotów, jeśli nie będziesz potrafiła zapanować nad takimi wyskokami. Vogt nie złoży na ciebie skargi, ale następna osoba, albo któraś z kolei, w końcu to zrobi.

Pieką mnie oczy; ostatnia noc była zdecydowanie za krótka. Za to jaka piękna, dzięki ramionom Toma.

– Całe szczęście, że mam ciebie – mówię, wciąż nie odwracając oczu od bocznej szyby. – Mam wzór do naśladowania i stróża, który nie pozwoli mi posunąć się za daleko, gdybym zamierzała urazić czyjeś uczucia.

Słyszę jego ciężkie westchnienie.

– Wiecznie tylko szukasz zwady.

Zaciskam powieki.

– Nieprawda. Nie wiecznie.

Brzmi to tak, jakbym chciała ustąpić i załagodzić całą sprawę. A to nieprawda, bo wcale mi się to nie uśmiecha. Wołałabym, żeby zaczął robić mi wyrzuty, które mogłabym, jeden po drugim, odrzucać i wyśmiewać, aż do chwili, kiedy zmęczona przestałabym odczuwać ból palący moje wnętrze.

– Nie zawsze. No właśnie – powtarza cicho. – Tak mi się wydawało. Dlatego chciałbym...

Na szczęście nie kończy zdania, a ja wolałabym chyba odgryźć sobie język, niż zapytać, co miał na myśli. Kiedy zatrzymujemy się na kolejnych światłach, proszę, by podjechał do jakiejś apteki. Muszę uzupełnić zapas aspiryny.

Nowa sterta papierów na moim biurku. Lista dzwoniących z całego poranka, z zapisem ich obaw i przypuszczeń. Bezgłośnie odsuwam wszystko na bok, włączam komputer i loguję się na „Morituri”.

Jestem zaskoczona, ale wyniki głosowania diametralnie się zmieniły. Z pierwszego miejsca spadł gość z psem, a okupuje je teraz lekarz-fuszer. *Który zwala winę za błędy na kolegów, a sam zarabia na prywatnych wizytach.*

I to jest fenomenalna wiadomość! Obracam monitor odrobinę, żeby Daniel mógł zobaczyć wyniki.

– Sprawdziłaś już głosowanie na forum?

Nachyla się w moją stronę.

– Czekaj... na prowadzenie wyszedł lekarz?

– Dokładnie. I ma już całkiem sporą przewagę.

Nie czekając na jego reakcję, przekładam papiery ze stosika. Liczba zgłoszeń dotyczących sąsiada ze srającym wszędzie psem jest zdecydowanie największa, za to fuszerujących lekarzy i niewiernych żon wypada mniej więcej po równo. Podpalaczy jest chyba tylko kilku.

– Dobra, to jedno z nas będzie szukało powtarzających się osób wśród dzisiejszych zgłoszeń, a drugie sprawdzi procesy dotyczące błędów lekarskich z ostatnich lat. Co ty na to? – proponuję.

Daniel uśmiecha się szeroko.

– Fantastyczny pomysł.

Pół minuty później mam na biurku jego protokoły zgłoszeń i od razu zabieram się do ich sortowania, a on loguje się do portalu prawnego Hamburga, żeby odszukać odpowiednie procesy.

Po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęliśmy śledztwo, mam wrażenie, że zrobiliśmy kroczek naprzód, bo wśród zgłoszonych telefonicznie lekarzy trzy nazwiska powtarzają się stosunkowo często.



Pierwszy z nich to doktor Gottfried Passow, chirurg plastyczny. Dawniej pracował w klinice uniwersyteckiej w Eppendorfie, a teraz prowadzi małą prywatną klinikę nad jeziorem Aussenalster.

Drugim najczęściej wymienianym lekarzem jest doktor Benedikt Valent, chirurg ortopeda w szpitalu Marienkrankenhaus, który również przyjmuje prywatnie.

Trzeci lekarz ma tytuł profesora, nazywa się Roman Michael Escher i jest szefem oddziału gastroenterologicznego szpitala Asklepios Westklinikum w Hamburgu.

Wyszukuję ich zdjęcia w Google'u, drukuję wszystko, co o nich mam, i kładę na biurku Daniela.

– Spójrz, proszę, szybko na to. Masz jakieś trafienia?

Przegląda przygotowane przeze mnie materiały, a ja sprawdzam, co się dzieje na forum „Morituri”. Lekarz umocnił się na prowadzeniu. W tej chwili jest już bardzo mało prawdopodobne, żeby w najbliższych godzinach ktoś go wyprzedził.

– Passow... – mruczy Daniel. – Tak, tego mam. Był jednym z oskarżonych w procesie przeciwko lekarzom, którzy mieli dopuścić się błędu w sztuce. Pęknięte implanty silikonowe. Według zapewnień wszczepiono najlepszy towar na rynku, który okazał się jakimś tanim zamiennikiem z Azji. – Przesuwa stronę, którą czyta na komputerze. – Proces toczył się cztery lata temu, a Passow był wówczas współpracownikiem innej kliniki. Został uniewinniony, bo nie dało mu się udowodnić, że wiedział, co wszczepia. Cała odpowiedzialność spadła na innych.

Dalej przeglądam protokoły zgłoszeń telefonicznych.

– Wygląda na prawdziwego przyjemniaczka. Despotyczne zapędy i styl zarządzania współpracownikami... Tylko tutaj mam trójkę takich, którzy sami odeszli, bo nie mogli znieść jego sposobu działania.

W przypadku doktora Benedikta Valenta zgłaszającymi są głównie jego byłe pacjentki.

– Pięć kobiet twierdzi, że musiało poprawiać jego fuszerki w innych klinikach. – Podaję Danielowi odpowiednie protokoły. – Masz tam w bazie jakieś procesy z nim w roli głównej?

Coś wpisuje w okienku wyszukiwania i naciska enter.

– Nie. Albo... czekaj... jest jedna sprawa. Choć pojawia się w niej jedynie jako świadek. Chodzi o operację, którą prowadził nie on, tylko jakiś młody lekarz tuż po egzaminach. I nie poradził sobie z operacją biodra. Pacjent zmarł. – Daniel czyta i skroluje dalej, by w końcu zaprzeczyć. – Ten młody chirurg twierdził, że działał pod pełnym nadzorem Valenta i wykonywał jego polecenia. Za to anestezjolog i instrumentariuszka zeznali, że Valent pojawił się tylko na chwilę i to też tylko na początku zabiegu, a potem wezwano go gdzie indziej.

– Co się stało podczas procesu?

– Ten młody lekarz dostał wyrok. Został uznany za winnego niedopełnienia staranności, popełnienia błędów i przecenienia swoich możliwości. Dostał pół roku w zawieszeniu i grzywnę w wysokości siedmiu tysięcy euro.

– Tylko ten jeden proces? Naprawdę nic więcej?

Wygląda na to, że wśród rzeszy niezadowolonych klientów nie znalazł się nikt, kto by go pozwał do sądu. W sumie nawet możliwe.

– Co z Escherem?

– On ani razu nie pojawia się w bazie danych. Zero. – Daniel wstaje i sięga po marynarkę. – Może zaczniemy od Passowa, co? Biegacz, który mija nas nad jeziorem Aussenalster, przypomina mi boleśnie, że przez dłuższy czas nie wrócę do tego wspaniałego sportu. Dochodzenie pochłania bez wyjątku całą moją energię i czas.

Mimo to świeże powietrze dobrze mi robi. Widok wody i życia dookoła. Daniel jest dobrych dziesięć metrów przede mną. Odwraca się i przywołuje mnie zniecierpliwionym gestem.

– No chodźże już, to tutaj.

Śnieżnobiała stara kamienica, czteropiętrowa, z pięknie zdobioną fasadą i sztukateriami wokół okien. Do drzwi wejściowych prowadzą

wyłożone marmurem schody. „Centrum medycyny estetycznej Passow”, informuje skromna tabliczka wykonana z przejrzystego szkła, która wisi obok dzwonka.

Daniel dzwoni, a pięć sekund później rozlega się szum elektrycznego zamka. W recepcji siedzi młoda kobieta, która nie raz już musiała korzystać z wprawnego skalpela doktora Passowa. Idealny nos, foremne, wydatne usta i nawet najmniejszej zmarszczki na twarzy.

Przyglądam się Danielowi, jak wyjmuje legitymację służbową. I choć spodziewałam się szarmanckiego męskiego uśmiechu, jego twarz pozostaje nieporuszona.

– Daniel Buchholz, policja kryminalna. To moja współpracowniczka Nina Salomon. Musimy jak najszybciej spotkać się z doktorem Passowem.

Kobieta za ladą nie krzywi się ani nie uśmiecha. Domyślam się, że nawet, gdyby chciała, nie jest w stanie wykrzesać ze zoperowanej twarzy żadnej mimiki.

– Doktor Passow ma akurat pacjentkę. Konsultacja potrwa jeszcze chwilę, więc gdyby państwo zechcieli...

W końcu Daniel się uśmiecha, ale zdecydowanie nie szarmancko.

– Kiedy mówię jak najszybciej, to mam na myśli jak najszybciej.

Dziewczyna się waha. Mimo jej nieporuszonej twarzy mogę się domyślić, że strachem napawa ją reakcja szefa, gdyby mu przerwała, mimo że chodzi przecież o policję. Rany, to musi być naprawdę superfacet, myślę sobie.

W końcu sięga po słuchawkę i wybiera numer dwa. Po przeraźliwie długim oczekiwaniu ktoś odbiera połączenie.

– Panie doktorze, są tu państwo z policji. Mówią, że to bardzo pilne.

Buchholz bez słowa wyjmuje jej słuchawkę z dłoni, przykłada sobie do ucha i milczy przez chwilę. Słyszę jedynie, że lekarz wykrzykuje coś ostrym tonem.

– Doktorze Passow, nazywam się Buchholz i nie sądzę, żeby musiał pan później wyjaśniać sekretarce, co to znaczy zakaz przeszkadzania. Muszę za to poprosić, by podszedł pan do nas. Jak najszybciej. W najlepiej pojętym własnym interesie. – I nie czekając na jego reakcję, odkłada słuchawkę.

Czekamy. Trzy minuty. Pięć. Dzwonek do drzwi; jakaś pacjentka, która zaraz ma umówioną wizytę. Sekretarka kieruje ją do poczekalni.

Tym razem staram się zachować spokój, za to widzę, że Daniel robi się coraz bardziej spięty. Żadne z nas nie ma wątpliwości, że Passow chce nam pokazać, kto tu rządzi. W końcu otwierają się drzwi po przeciwległej stronie korytarza i staje w nich wysoki mężczyzna w białym fartuchu.

– Bardzo mi przykro – oznajmia doktor Passow i podchodzi do nas. – Dziś mam naprawdę urwanie głowy. O co chodzi?

– O pańskie życie – odpowiada Daniel krótko. – Chciałby pan, żebyśmy pomogli je panu ocalić?

Gabinet lekarza jest wypełniony symbolami statusu społecznego. Drogie meble, na ścianach dyplomy w ramkach i oprawione zdjęcia Passowa na jachcie.

Mężczyzna siedzi naprzeciwko nas i trzyma w dłoni wydruk z opisem z forum: „Lekarz-fuszer, który zwała winę za błędy na kolegów, a sam zarabia na prywatnych wizytach”.

Ma przemądrzały, wyniosły uśmiech, kiedy przesuwając po blacie kartkę i mi ją oddaje.

– To nie może być o mnie. W żadnym razie.

– Sporo osób jest innego zdania – zapewnia go Daniel. – Dziś rano odebraliśmy setki telefonów ze zgłoszeniami i pańskie nazwisko pojawia się w nich zastanawiająco często.

Passow spogląda na swoje dłonie. Długie palce i zadbane paznokcie.

– Wie pan, ja świetnie zarabiam i to nie jest tajemnica. Na pewno potraficie wydedukować, że nie byłoby tak, gdybym był słabym

chirurgiem albo popełniał błędy, które przypisywałbym kolegom.

– Cieszę się pana szczęściem – cedzę i wyjmuję kolejną zadrukowaną kartkę. Jest na niej zdjęcie zamordowanego Kornmeiera w kałuży krwi. – W ostatnim głosowaniu zwycięzcą został pewien adwokat. To, co pan tu widzi, to nagroda za pierwsze miejsce. Tym razem prawie na pewno będzie chodziło o lekarza, którego opis właśnie pan przeczytał.

Spoglądam na niego z najserdeczniejszym uśmiechem, na jaki mnie obecnie stać.

– Czy zgodzi się pan na policyjną ochronę? Jeśli nie, zaraz nas tu nie ma.

Zdjęcie budzi w nim strach, który potrafi dobrze ukryć. Kręci kilka razy głową i zapewnia, że to jakieś szaleństwo, ale w końcu zgadza się na ochronę.

Czekamy na funkcjonariuszy, którzy mają go pilnować, a potem schodzimy do samochodu.

Najbliżej mamy do szpitala Marienkrankenhaus – znacznie bliżej niż do kliniki Asklepios, więc Daniel rusza najpierw tam.

– Spróbuj, proszę, zadzwonić się do nich, żebyśmy nie musieli czekać na Valenta, dobrze?

Świetny pomysł. Wybieram numer szpitala, łączę się z centralą i proszę telefonistkę o przełączenie mnie do doktora Benedikta Valenta z ortopedii.

Muzyka zamiast sygnału wołania. Pół minuty, a potem znów słuchawkę podnosi telefonistka z centrali.

– Bardzo mi przykro, doktor Valent nie odbiera.

– Czy ma dziś dyżur?

– Nie mogę udzielić pani takich informacji. Proszę skontaktować się z sekretariatem oddziału. – Próbuje mnie tam przełączyć, ale numer jest zajęty, a my właśnie podjeżdżamy pod szpital.

Oddział ortopedyczny znajduje się w budynku numer jeden. Tym razem Daniel nie bawi się w uprzejmości. Już w klinice doktora Passowa miałam wrażenie, że takie miejsca wywołują u niego

niepokój, za to teraz, kiedy idziemy do gabinetu szefa oddziału, nie mam co do tego wątpliwości.

Daniel puka, ale nie czeka, aż ktoś zaprosi nas do środka, tylko naciska klamkę i z legitymacją w dłoni wchodzi do środka.

– Daniel Buchholz, policja kryminalna.

Sekretarka patrzy na niego zaskoczona.

– ...tak?

– Próbowałam się do państwa dodzwonić – wtrącam się, panując nad nerwami. – Niestety, nikt nie odbierał. Musimy koniecznie zobaczyć się z doktorem Valentem.

Kobieta uśmiecha się krótko.

– Nie wy jedni. My też chętnie byśmy z nim porozmawiali. Na popołudnie ma wyznaczoną długą operację, ale po przerwie obiadowej jakby zapadł się pod ziemię.

Kurwa mać. Wymieniamy z Danielem szybkie spojrzenie. Nie, to nie może być prawda!

– Czy próbowała pani dodzwonić się do niego na komórkę? – pyta Daniel.

– Tak, ale nie odbiera. Ma wyłączony telefon, od razu zgłasza się poczta głosowa.

– Czy doktor Valent ma jakąś rodzinę? – pytam. – Żonę? Partnerkę? Rodziców? Kogoś, kto mógłby wiedzieć, co się z nim dzieje?

Sekretarka kręci głową.

– Przykro mi. Trzy lata temu rozwiódł się z żoną i od tamtego czasu mieszka sam. Jego żona zabrała dzieci i przeprowadziła się do Lüneburga. Zadzwoiłam już do niej, ale też nic nie wie.

Świadomość, że spóźniliśmy się o włos, jest jak rozgrzany ołów, który wypełnia moje ciało. Nie muszę patrzeć na Buchholza, żeby wiedzieć, że wyciągnął dokładnie te same wnioski.

– Czy to aktualny adres doktora Valenta? – Pokazuję sekretarce karteczkę z danymi, które zebrałam jeszcze w biurze. – Ma może jeszcze jakieś inne mieszkanie? Domek nad morzem?

Kobieta kręci głową. Bierze wizytówkę i obiecuje, że sprawdzi cały oddział, popyta innych lekarzy i zadzwoni, jeśli czegokolwiek się dowie.

Buchholz jest już prawie za drzwiami i po raz pierwszy, od kiedy się znamy, dotrzymuje mi kroku.

Korytarz, którym się tu dostaliśmy, pokonujemy teraz w drugą stronę. Tym razem biegiem.

# 15

– Zadzwoń do biura – krzyczę do Niny, kiedy biegniemy w stronę auta. – Niech ustalą, w której stacji przekaźnikowej logowała się komórka Valenta i czy jeszcze jest włączona.

Wskakuję za kierownicę i uruchamiam silnik, nie czekając, aż Salomon zatrzaśnie drzwi i zapnie pasy. Jadąc już, otwieram boczną szybę i umieszczam na dachu sygnał świetlny na magnetycznej podstawce, a potem włączam syreny. Nina rozmawia z kimś z komendy, a ja przeciskam się służbowym audi przez zatłoczone ulice Hamburga. Na przemian muszę hamować i trąbić na opiesziałych kierowców, którzy niewystarczająco szybko zjeżdżają mi z drogi. Czuję wyraźnie, że teraz gra toczy się o każdą sekundę. A mimo to boję się, że może być już za późno.

Po około dziesięciu minutach dojeżdżamy do eleganckiego domu Valenta. Stoi kawałek od drogi, nieco z tyłu, wciśnięty między krzaki i drzewa.

Jeszcze się nie zatrzymaliśmy, a Nina otwiera drzwi i wyskakuje. Wyłączam silnik i ruszam za nią brukowaną ścieżką prowadzącą do wejścia. Dobiegam do niej, kiedy naciska kciukiem dzwonek. Czekamy kilka sekund. Nic się nie dzieje.

Daję jej znak głową.

– Próbuj dalej, ja sprawdzę od ogrodu.

Na wąskim chodniczku prowadzącym na tył domu wyjmuję służbowego P6 z kabury przy pasku i wsłuchuję się uważnie w otoczenie. Ostrożnie, ale stosunkowo szybko, robię krok za krokiem. Oddycham coraz gwałtowniej i mam wrażenie, że jestem przez to zbyt głośny. Krew szumi mi w uszach, słyszę każde uderzenie serca.



Zatrzymuję się przy końcu budynku i spoglądam zza narożnika na ogród. Szeroki taras, masywny drewniany stół z drewna, rattanowe krzesła, grill gazowy.

Duży basen, a nieco dalej zadbane, przystrzyżony trawnik. Idylla. Pustka.

Wstrzymuję oddech i nasłuchuję. Z początku tylko cisza, ale potem... przytłumione kroki. Za mną! Odwracam się, unosząc broń... i natychmiast opuszczam ją lufą w dół, bo widzę przerażone oczy Niny.

– Niech to szlag! – syczę zdenerwowany. – Życie ci zbrzydło?

Nie komentuje tego. Wskazuje brodą w stronę ogrodu i pyta:

– No i?

– Nic. Cisza – mówię i ruszam dalej. Świetlne refleksy na szerokiej szybie nie pozwalają zajrzeć do środka domu, więc osłaniam oczy dłońmi, przyciskam je do szkła i dopiero wtedy widzę, jak wygląda salon. Jest pusto i czysto, z wyjątkiem talerza zostawionego na stole.

– Jeśli w czasie przerwy wrócił tu na obiad, to bardzo mu się spieszyło, kiedy wychodził – mówi Nina. Ona też zagląda do środka.

– Wszystko na to wskazuje.

– Musimy sprawdzić pozostałe pomieszczenia – podejmuje decyzję. – Może leży gdzieś na podłodze?

Odsuwam się kawałek i rozglądam. W końcu dostrzegam metalowe drzwi w ścianie po lewej stronie tarasu. Podchodzę i naciskam klamkę, ale okazują się zamknięte, więc wracam do Niny i przyglądam się oknu. Rama jest z plastiku.

– Poczekaj! – rzucam i ruszam biegiem z powrotem do samochodu. Wracam po chwili z łyżką do opon, na co Nina uśmiecha się krzywo.

– Że też ty wozisz takie rzeczy ze sobą!

– To podstawowe wyposażenie auta – wyjaśniam. Szukam miejsca, gdzie mógłbym wsunąć spłaszczony koniec łomu. Kilka minut później zamek zostaje wyłamany. Zaczyna wyc alarm.

Ignorujemy wysoki, modulowany dźwięk i wchodzimy do salonu. Teraz również Nina trzyma w dłoniach broń, skierowaną lufą w podłogę.

Nieco później wiemy z całą pewnością dwie rzeczy. Że koledzy z lokalnej prewencji potrzebują ledwie czterech minut od uruchomienia alarmu, by przyjechać na miejsce. I że doktora Valenta nie ma w domu.

Proszę policjantów, żeby zostali jakiś czas na miejscu i dali nam znać, gdyby poszukiwany lekarz jednak wrócił, a potem wychodzimy i idziemy do samochodu.

W aucie Nina przeczesuje włosy palcami i kręci głową.

– Niech to, kurwa, szlag trafi! Dopadł go przed nami!

Spoglądam na nią i najchętniej zapewniłbym ją, że przecież nie mamy jeszcze pewności.

– Może on tylko...

Patrzy na mnie takim wzrokiem, że momentalnie milknę. Każde kolejne słowo byłoby i tak nieszczerze. Valent wpadł w ręce psychopaty i jestem o tym przekonany tak samo jak Nina. Możliwe nawet, że już nie żyje.

– Zadzwoń, żeby... – Znów nie mogę dokończyć. Tym razem to nie Nina mi przerywa, tylko jej telefon zaczyna dzwonić. Odbiera, powtarza kilka razy „Tak, tak”, potem „Zaraz” i opuszcza słuchawkę, ale nie kończy połączenia.

– Komórka Valenta jest zalogowana do stacji przekaźnikowej przy szpitalu. Ostatnie odebrane połączenie miało miejsce osiem minut przed dwunastą, dzwonił ktoś z publicznego aparatu ustawionego w lobby szpitala.

Spoglądam szybko na zegarek.

– Natychmiast zarządzić poszukiwania. I... podaj mi słuchawkę! – Wyciągam dłoń, lecz ona, zamiast oddać mi telefon, przysuwa go sobie do ucha.

– Zarządźcie poszukiwania doktora Valenta. Roześlijcie jego zdjęcie do wszystkich patroli i radiowozów, aktualnie znajdziecie na

stronie szpitala. Wyślijcie kilka osób na miejsce, niech przepytają pracowników i pacjentów, generalnie wszystkich w okolicach lobby, czy widzieli Valenta, samego albo w towarzystwie. Może ktoś zwrócił uwagę na osobę, która osiem minut przed południem korzystała z telefonu. Zostawcie kogoś na oddziale Valenta na wypadek, gdyby jednak wrócił. Wszystko jasne? Świetnie.

Rozłącza się, chowa słuchawkę i patrzy na mnie.

– Co jest?

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale w tej chwili dzwoni mój telefon. Spoglądam na wyświetlacz, od razu rozpoznaję numer i z trudem powstrzymuję przekleństwo. Tylko nie to. Nie teraz. Chowam telefon i żałuję, że w ten sam sposób nie mogę schować wyrzutów sumienia, które mnie opanowują. Ale to nie teraz. To musi poczekać.

– Nina, jeśli wydaję polecenie, że masz mi przekazać telefon, to oczekuję, że je wykonasz!

Kobieta przewraca oczyma.

– Rany... no i co zrobiłbyś dodatkowo ponad to, co ja zrobiłam?

Przez chwilę mam ochotę wyjaśnić jej dosadnie, czym zakończy się kariera funkcjonariusza, który ustawicznie ignoruje polecenia służbowe, ale zaciskam zęby i biorę się w garść. To nie czas ani okoliczności, które pozwalałyby na rozmowy o pryncypiach i przepisach.

Najgorsze, że ma rację. Nie dodałbym niczego do tego, co sama zarządziła. Mimo wszystko...

Na komendzie, zanim choćby zbliżyłem się do swojego biura, zostaję poinformowany, że Arendt chce mnie pilnie widzieć. U siebie. Ustaliam z Niną, że kiedy ja będę u szefowej, ona zajmie się koordynacją pracy funkcjonariuszy w szpitalu i zespołu poszukiwawczego.

Nieco później pukam do gabinetu Arendt i otwieram drzwi. Wbrew oczekiwaniom nie jest sama, tylko w towarzystwie prokuratora

Meierhofera. Chcę przeprosić, że przeszkadzam, i wycofać się dyskretnie, lecz ona zaprasza mnie gestem do środka.

– Czekaliśmy na pana, kolego Buchholz. Proszę wejść i zamknąć drzwi.

Mina Meierhofera nie zwiastuje niczego dobrego. Wpatruje się we mnie wzrokiem osoby, która zastanawia się, jak przekazać informację o zwolnieniu.

– Kolego Buchholz – zaczyna w końcu swoim typowym, aroganckim tonem. – Czy ja dobrze rozumiem, że już dziś przed południem dysponował pan danymi na temat tożsamości potencjalnej ofiary tego psychopaty?! I że ktoś zadzwonił do was, żeby przekazać, o kogo może chodzić?

– Zgadza się. Mieliśmy dane jego i kilkuset innych osób, również potencjalnych ofiar – wyjaśniam.

Meierhofer unosi prawą brew.

– Chce pan powiedzieć, że mieliście dane kilkuset lekarzy, którzy popełnione błędy zwalają na kolegów i zarabiają w prywatnych klinikach? Nie miałem pojęcia, że Hamburg ma aż tylu majątnych medyków spełniających te kryteria!

– Domyślam się, że nie o to dokładnie chodziło – wtrąca się Arendt. – Do południa nie było wiadomo, kto otrzyma największą ilość głosów, przy czym przez większość czasu ktoś inny prowadził w głosowaniu.

Rozlega się pukanie, do środka wpada zdyszany Andressen i nieruchomieje na widok Meierhofera. Sądząc po jego wyrazie twarzy, tak samo jak ja jest zaskoczony obecnością prokuratora.

– Pani komputer... – zaczyna i podaje jej laptopa. – Miała pani trojana.

Szefowa unosi brwi.

– Ale... jak to możliwe? Skąd go miałam?

– Prawdopodobnie przyszedł jako załącznik do poczty. To złośliwe oprogramowanie było właśnie tam zainstalowane, więc w najgorszym razie ktoś miał dostęp do pani poczty. Na pocieszenie

dodam, że hakerom najczęściej zależy na adresach mejlowych z listy kontaktów.

– Pani program antywirusowy dał plamę – burczy Meierhofer pogardliwie i czeka, aż Andressen zamknie za sobą drzwi. – No dobrze, skoro problemy z komputerem ma pani już rozwiązane, to może wrócimy do meritum? Jak wygląda sytuacja?

Wymieniam z Arendt szybkie spojrzenia. Naprawdę jeszcze nie wie? Szefowa ledwie zauważalnie wzrusza ramionami. Niech będzie.

– Pojechaliśmy do szpitala, gdzie okazało się, że doktor Valent nie wrócił z przerwy obiadowej na dyżur, choć na popołudnie miał zaplanowaną jakąś dużą operację. Potem udaliśmy się do niego do domu, ale tam też go nie zastaliśmy. Sprawdziliśmy jego komórkę, krótko przed dwunastą ktoś zadzwonił do niego z lobby szpitala. Jego telefon dalej jest zalogowany do stacji przekaźnikowej obok miejsca pracy. Wysłaliśmy tam naszych ludzi, wszyscy starają się ustalić, co się właściwie stało.

– Jednym słowem chce pan powiedzieć, że nie macie zielonego pojęcia, gdzie jest doktor Valent i co się z nim dzieje, tak?

– Tak – potwierdzam, co prokurator kwituje niezadowolonym prychnięciem.

– To znaczy, że może już nie żyć, zgadza się?

– Teoretycznie istnieje taka możliwość. Ale teoretycznie istnieje również możliwość, że za dziesięć sekund jakiś samolot rozbije się o budynek komendy. – Wstaję z krzesła. – Teoretycznie. Bo nie wiemy tego. Tak samo jak nie wiemy, czy w głosowaniu chodziło rzeczywiście o doktora Valenta. Poza tym nie mieliśmy najmniejszych szans, żeby wcześniej do niego dotrzeć. Ma pan pojęcie, co się u nas teraz dzieje?

Widzę zmieniający się wyraz twarzy Arendt i uświadamiam sobie, że to nie jest odpowiedni ton na rozmowę z prokuratorem, nawet jeśli chcę podkreślić głupotę i bezsens takich przepychanek.

– Nie wiem, co się u was dzieje, ale wiem, co u mnie – odpowiada Meierhofer zaskakująco delikatnie i wstaje z krzesła. Podchodzi do okna i przez chwilę wygląda na zewnątrz. Potem mówi dalej, nie odwracając się. – I nawet nie chcę sobie wyobrażać, co się będzie działo, jeśli ten lekarz odnajdzie się martwy, a prasa zorientuje się, że wiedzieliśmy, kto będzie kolejną ofiarą. I że nie zareagowaliśmy w porę, żeby go uratować.

Nie przepadam za Meierhoferem, ale tym razem rozumiem, co ma na myśli.

– Róbcie dalej co w waszej mocy, żeby go znaleźć. – Arendt daje mi znak, że to koniec spotkania. – Proszę wykorzystać do tego wszystkich ludzi z zespołu.

Niny nie ma w biurze. Znajduję ją obok Marca, przy jego komputerze. Oboje siedzą wpatrzeni w monitor.

– Valent bez przerwy zwiększa przewagę nad pozostałymi – mówi, kiedy podchodzę i staję za nimi. – Moim zdaniem nie ma szans, żeby wynik mógł się jeszcze zmienić.

– Marc, zgarnij wszystkich, którzy zostali w biurze, i jedźcie do szpitala. Macie rozpytać tam każdego, kto w południe był w okolicach wejścia. Ktoś musiał widzieć Valenta. Jego albo człowieka, który zadzwonił do niego z publicznego telefonu.

Marc spogląda na mnie zaskoczony.

– Ja mam jechać? Ale ja przecież...

– Wystarczy, jeśli Nina będzie miała oko na forum. Ruszajcie.

Potem odwracam się, wchodzę do biura i wyczerpany padam na fotel. Spoglądam na zegarek. Za szesnaście siódma wieczorem. Za dwie godziny i kilkanaście minut Trajan ogłosi wyniki.

Kilka chwil później wraca Nina i natychmiast włącza swój komputer.

– Marc nie jest zachwycony.

– Niewiele mnie to obchodzi.

– Teraz mnie już nie lubi, bo jego zadanie powierzyłeś mnie, swojej nowej partnerce. Tak to mniej więcej wyraził.

– A skąd pewność, że wcześniej cię lubił?

Na twarzy Niny pojawia się cień uśmiechu.

– W sumie racja.

Rozlega się dźwięk przypominający gitarowy akord. Salomon wyjmując telefon, spogląda na ekran, kręci głową i chowa go z powrotem do kieszeni. Nie pytam, o co chodzi.

Cały czas jesteśmy w kontakcie z ludźmi na miejscu, w szpitalu, ale dalej nie mamy żadnych nowych informacji.

Punktualnie o dziewiątej wieczorem znika przycisk do głosowania pod listą kandydatów na forum. Oboje siedzimy i nie odrywamy wzroku od monitora. W następnej chwili opis lekarza zaczyna pulsować i pojawia się nowy post Trajana.

*Dokonaliście wyboru.*

*Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem.*

To wszystko. Ani słowa więcej. Po paru sekundach pod spodem pojawiają się odpowiedzi od użytkowników. Przesyłają gratulacje zwyczajcy, swoje wątpliwości, że to wszystko to głupi żart i wyrażają swoje przerażenie, jak można być tak zezwierzęconym jak prowadzący forum i cała reszta biorących udział w głosowaniu. Oba obozy wymieniają się obraźliwymi i obscenicznymi inwektywami, groźbami i docinkami.

– Zupełnie jak w prawdziwym życiu – mówi Nina.

Osoba kontaktowa z telekomu informuje nas, że telefon doktora Valenta dalej jest włączony i zalogowany do tej samej stacji przekaźnikowej. Przekazuję tę nowość Arendt, na co ona wydaje polecenia dowiedzenia odwołów policji, by móc przeszukać centymetr po centymetrze cały teren szpitala – i znaleźć albo sam telefon, albo telefon i doktora Valenta. Potem udaje się do domu.

Komórka zostaje znaleziona krótko po północy. Leży w krzakach obok przyszpitalnego parkingu. Po zaginionym lekarzu nie ma śladu.

Oboje postanawiamy zostać w biurze. I tak żadne z nas by nie zasnęło. Nina nie przestaje przeglądać forum, a funkcjonariusze w szpitalu kończą rozpytania. Ja od początku analizuję wszystkie zebrane informacje. A jest ich niewiele. W zasadzie tyle co nic.

Krótko przed drugą, kiedy walczę z opadającymi ze zmęczenia powiekami, Nina wydaje przytłumiony krzyk. Unoszę wzrok. Siedzi bez ruchu i wpatruje się w monitor. Milczy.

Zrywam się, podbiegam do niej i spoglądam przez ramię.

W następnej chwili sam gwałtownie nabieram powietrza.



# 16

Kolejne zdjęcie, przebiega mi przez myśl w pierwszej chwili, kiedy pod banerem z nazwą forum pojawia się ciemny prostokąt. Zdjęcia zwłok doktora Valenta, niepodważalny dowód naszej porażki.

Obraz się wyostrza. I zaczyna poruszać. Trajan, ten skurwysyn, przesyła wideo.

Dźwięk, którego nie mogę powstrzymać, zwraca uwagę Daniela. Staje za moimi plecami i kładzie dłonie na oparciu fotela.

Kształty są mieszaniną czerni i różnych odcieni zielonego, niektóre tak jasne, że aż prawie białe. Nagrywanie w podczerwieni, tryb noktowizyjny. Tylko chwilę zajmuje mi zorientowanie się, na co właściwie patrzę. Twarz Valenta wypełnia cały ekran, ale jest do góry nogami. Porusza ustami. Czy coś mówi? Może krzyczy? Niezależnie od tego, jak bardzo zwiększam głośność komputera, z głośników niczego nie słyszę. Trajan woli pokazać sam obraz. A jaki jest przerażający, orientuję się dopiero, kiedy robi oddalenie i pokazuje większy kadr.

Woda. Nie widać brzegu, bo obraz obejmuje niewielką przestrzeń. Poza tym niemal cały ekran wypełnia postać doktora Valenta.

Lekarz wisi do góry nogami, podczepiony łańcuchem do niewielkiego wysięgnika. Tuż pod nim połyskuje płynąca woda, w której zanurza się całą głową, aż do ramion. Nie widzę jego dłoni, bo, jak się domyślam, ma je spętane na plecach, ale dostrzegam za to, jak spina się cały, żeby zgjąć się, unieść tors i wynurzyć spod powierzchni, by zaczerpnąć powietrza. Pięć sekund. Dziesięć. Nie wytrzymuje dłużej. Głowa i ramiona na powrót znikają pod wodą.

Mam wrażenie, że sama nie mogę nabrać powietrza, tak ogromnie wypełniają mnie wściekłość, strach i nienawiść. Od dawna nie było

ze mną aż tak źle, jednak to teraz bez znaczenia. Valent walczy, wciąż walczy, ale nikt nie wie, jak długo starczy mu sił.

– To Łaba – słyszę Daniela. Mówi głuchym głosem zza moich pleców. – To musi być gdzieś nad Łabą, w miejscu, gdzie można wyciągać łodzie z wody. Musimy go znaleźć!

Sięgnął wcześniej po telefon i wybiera teraz jakiś numer.

– Wszystkie wozy nad rzekę – woła tonem, którego wcześniej u niego nie słyszałam. – Wezwijcie helikoptery, wszystkie, jakie będą dostępne. Mają szukać przystani albo pomostu z żurawiem do wyciągania łodzi, na którym wisi człowiek do góry nogami. Przejmijcie koordynację akcji. Meldować w razie wyników.

Valent znów się wynurza. Szeroko otwartymi ustami nabiera powietrza, udaje mu się utrzymać tuż nad powierzchnią wody. Ze sposobu, w jaki poruszają się jego wargi, wnioskuję, że próbuje krzyczeć i wzywać pomocy. Z całego serca pragnę, by ktoś go usłyszał, nie zlekceważył i powiadomił policję. Liczy się każda minuta. Każda.

Niespodziewanie poddają się jego mięśnie brzucha i znów zanurza się pod powierzchnię, wcześniej niż ostatnim razem i wcześniej, niż planował. Unosi się gwałtownie, kaszle i krztusi się, wytrzeszcza oczy.

Niemal nie zwracam uwagi na to, że nagle rośnie liczba komentarzy i przybywa użytkowników oglądających wideo. Czterysta pięćdziesiąt pięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt siedem. Niemal pół miliona osób przygląda się, jak Benedikt Valent powoli się topi.

Mimowolnie wyobrażam sobie zaślinionych z podniecenia gapiów, którzy siedzą radośnie w suchych, ciepłych pokojach i zakładają się, ile jeszcze razy lekarz podniesie głowę nad wodę.

Znów go widzę, znów jest nad wodą i znów drży. Wyciągam dłoń po słuchawkę, opuszczam ją, a potem mimo wszystko podnoszę.

Andressen poszedł już do domu, ale odbiera jakiś inny funkcjonariusz wydziału do walki z cyberprzestępczością. Nie dosłyszałam jego nazwiska, lecz to bez znaczenia.

– Wyłączcie to! Wyłączcie to, do kurwy nędzy! – wrzeszczę do mikrofonu. – Gównu mnie obchodzi, jak! Macie to wyłączyć!

Ktoś odbiera mi słuchawkę; delikatnym, ale zdecydowanym ruchem wyjmuję mi ją z dłoni.

– Wybaczcie – słyszę Daniela. – Nerwy nam tu już siadają. Oglądacie to, prawda? Tak. No właśnie. Śmigłowce muszą być w pobliżu.

Rozłącza się, a po chwili czuję jego palce na ramieniu. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że cała drzę.

– Nina.

Zrzucam jego dłoń. Jeśli jeszcze raz odważy się mnie dotknąć, to coś mu zrobię. Valent znów znika pod wodą, tym razem na dłużej niż ostatnim razem. Liczę mijające sekundy. Dwadzieścia jeden. Dwadzieścia dwa. Dwadzieścia trzy...

Mija niemal pół minuty, zanim znów może nabrać powietrza. Unosi się mniej energicznie, jakby każdy centymetr kosztował go nieskończenie wiele wysiłku, choć jest już u kresu. Widzę, jak głęboko łapie powietrze. Widzę jego wykrzywioną twarz. Zwierzęce przerażenie.

Dziewięćset trzydzieści jeden tysięcy czterystu sześćdziesięciu dwóch użytkowników. Komentarze pojawiają się w najróżniejszych językach.

Zaraz ktoś zadzwoni. Zaraz któryś z pilotów helikoptera da znać, że znaleźli miejsce nad rzeką.

Zaciskam na chwilę powieki, żeby utrzymać emocje pod kontrolą.

– Jak długo jeszcze? – szepczę. – Jak długo da radę?

– Najwyżej pół godziny – mówi Daniel po krótkim namyśle. On również jest wyraźnie poruszony. – Pod warunkiem że jest w dobrej kondycji i nie wpadnie w panikę. Jeśli wykorzysta chwile pod wodą do odpoczynku.

W tej samej chwili Valent znów się zanurza. Tym razem mniej gwałtownie.

Szacuję, że jednostki poszukiwawcze muszą być w drodze od dobrych dziesięciu minut. Dlaczego nikt nie daje znać? Dlaczego nikt się nie melduje? Dlaczego...

Valent się wynurza. Wytrzymuje nad wodą przez dokładnie dwa oddechy. Potem znów znika pod wodą.

Możliwe, że udało mu się znaleźć odpowiedni dla siebie rytm. Albo po prostu traci siły. Może obie rzeczy naraz...

Liczę. Nigdy jeszcze nie oddychałam tak świadomie jak teraz, zupełnie, jakbym razem z nim nabierała powietrza do płuc. Dwadzieścia sekund. Trzydzieści.

Potem znów ruch pod wodą. Drżenie, którego wcześniej nie było, i w końcu pojawia się głowa, tylko na tyle, żeby zaczerpnąć jeden oddech. I zaraz znów znika pod powierzchnią.

Milion trzysta tysięcy. Przyglądają się, patrzą po prostu, bo to podniecające, bo czują, że żyją, bo mogą dotknąć śmierci, samemu nie umierając.

Ja też patrzę, mimo że nie mogę pomóc, bo muszę, jakby to było moje pieprzone przeznaczenie.

Daniel cały czas stoi za mną. Kiedy odzywa się jego telefon, odwracamy się oboje, lecz to on szybciej chwyta słuchawkę.

– Tak? – W jego głosie słyszę nadzieję, którą też czuję. Widzą go, są tuż obok, dopadli Trajana...

Szybkie spojrzenie na monitor, bo liczę się z tym, że zaraz pojawią się na nim snopy światła policyjnych szperaczy i obraz zrobi się prawie biały...

Nie. Valent jest właśnie pod wodą i zgina kolana, jakby w ten sposób chciał się wywindować nad powierzchnię. Bez sukcesu.

– Tak – mówi Daniel. To samo słowo co na początku, ale teraz brzmi zupełnie inaczej. Odwracam się i patrzę. Jego spojrzenie mówi wszystko. – Tak. Już jedziemy.

Valent daje radę unieść głowę. Drży, nabiera powietrza i opada z powrotem. Znów patrzę na Daniela, ale nie rozumiem rezygnacji, która gości na jego twarzy.

– Co się dzieje?

Odwraca głowę.

– Znaleźli go. Już za późno.

– Ale jak... – Dopiero po chwili dociera do mnie, co się stało, ale mój mózg wzbrania się, by to pojąć. Wpatruję się w ekran, w obraz, który, jak dotychczas wierzyłam, był transmitowany na żywo.

W kolejnym, nieskończenie pełnym cierpienia wysiłku Valent unosi się i bierze oddech.

– Chodź, Nina. Musimy tam jechać.

– Nie.

Nie ruszę się stąd. Nie teraz. Już nie ma pośpiechu, a nie mogę zostawić go samego. Zasłużył, żebym została z nim do końca.

Znów słyszę telefon; jak przez mgłę docierają do mnie urywki słów. Daniel rozmawia z Arendt, a ja odliczam sekundy, które lekarz spędza pod wodą.

Trzydzieści dwie. Potem podrywa się, jakby tylko rozpacz pozwalała mu to zrobić. Nie potrafię dostrzec, czy udało mu się nabrać powietrza.

Dwadzieścia sekund, potem jakiś ruch. Jakby próbował rozkołysać łańcuch, na którym wisi. Bez skutku. Ruch ustaje.

– Nina?

Valent unosi głowę nad wodę. Ma tors zgięty niemal tak wysoko, jak na samym początku. Wytrzymuje tak cztery sekundy. Kilkukrotnie nabiera powietrza, zaczyna drżeć i znów znika pod wodą.

Skurcz, myślę. Skurcz mięśni brzucha.

– Nina.

Lekarz nie wisi już spokojnie. Wije się, drży i rzuca, udaje mu się wynurzyć głowę, krztusi się i znów znika.

Może da radę jeszcze choć raz. Albo dwa.

Trzy razy. Przy ostatniej próbie mogłabym przysiąc, że widzę jego twarz pod powierzchnią wody, trzy, może cztery centymetry. Wytrzymuje tak tylko ułamek sekundy, a potem znika w mrocznej toni.

Czekam na moment, kiedy się podda, w którym jego ciałem wstrząśnie ostatnie drżenie. Kiedy zamiast powietrza jego płuca wypełni woda.

Kiedy jest już po wszystkim, odsuwam krzesło i wstaję. Bez słowa mijam Daniela, wychodzę na korytarz i zmierzam do windy.

Lobby komendy jest puste, nie licząc dyżurnych przy wejściu. Nic nie mówię. Jestem już na dworze, na powietrzu. Jest noc.

Każdy oddech ma smak poczucia winy.

# 17

Wsiadam do windy i jadę na dół, lecz nie do garażu podziemnego, tylko kierując się jakimś przeczuciem, wsiadam na parterze. Funkcjonariusze z dyżurki witają mnie skinieniem głów. Obaj mają bardzo poważne miny. Wiedzą przecież, co się stało. Każdy, kto tej nocy jest na komendzie, musi to wiedzieć. Wszyscy to widzieli.

Ninę widzę od razu po wyjściu z budynku. Siedzi na niskim murku kilka metrów od wejścia i ciasno obejmuje się rękoma. Zwiesza głowę i pochyla się nieco. Staję obok i powstrzymuję się, żeby jej nie podnieść i nie przytulić. Domyślam się, że by mnie uderzyła. Znam ją chyba na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak zareaguje.

– Nina. – Nawet ja słyszę, że mój głos brzmi obco. Czuję, że jest obcy. Jakby moje struny głosowe przykrył piasek. – Muszę tam jechać. Jedziesz ze mną?

Czekam. Na tyle cierpliwie, na ile teraz potrafię. Po jakimś czasie, który wydaje się ciągnąć w nieskończoność, odwracam się i ruszam do auta. Po kilku krokach słyszę jakiś szelest. Odwracam się. Idzie.

Schodami dostajemy się do garażu podziemnego. Bez słowa, stopień po stopniu, schodzimy coraz niżej, wsiadamy do samochodu i ruszamy.

– Chciałabym go zabić – oznajmia Nina niespodziewanie, kiedy zatrzymuję się na jakichś światłach. Ulice o tej porze są zupełnie puste. Czuję jej spojrzenie, więc odwracam się i patrzę na nią.

– Jestem policjantką, a mimo to chciałabym zastrzelić tego skurwysyna. Potrafisz to zrozumieć?

Potakuję i na powrót skupiam się na drodze przed samochodem. Patrzę skupiony na czerwone światło.

– Tak.

Naprawdę.

– I splunęłabym w twarz tym gnojom, którzy siedzą wygodnie przed monitorami i to oglądają.

Sposób, w jaki to mówi... każde jej słowo jest jak splunięcie. Nigdy bym nie uwierzył, że ta kobieta tak mocno emocjonalnie zaangażuje się w jakąś sprawę.

Światło zmienia się na zielone, ale poza nami na skrzyżowaniu nikt nie czeka. Dlatego zanim ruszam, patrzę raz jeszcze w jej stronę. Ignoruje moje spojrzenie. Siedzi wyprostowana, skupiona na widoku przed przednią szybą. Widzę, jak zaciska szczęki.

Zwłoki zostały znalezione mniej więcej dwa kilometry od miejsca, w którym ulica Elbchaussee przechodzi w Dockenhudener Strasse.

Ostatnie sto metrów dzielące nas od brzegu pokonujemy na piechotę.

Na miejscu pracują już policyjni nurkowie. Przed naszym przybyciem wydobyli ciało z wody, uwolnili z łańcuchów i przenieśli na ląd.

To oczywiście bezsens, ale wydaje mi się, że na twarzy Valenta dostrzegam cień cierpienia, które musiał przeżywać, gdy woda wypełniała jego płuca i pozbawiała go świadomości.

Po niecałych piętnastu minutach standardowej rozmowy z lekarzem sądowym i kolegami z zespołu techników kryminalistyki możemy wracać.

– Podrzucić cię do domu? – pytam po uruchomieniu silnika.

Potakuje.

– Poproszę.

Kiedy zatrzymuję się przed jej kamienicą, Nina patrzy w moją stronę.

– Dorwiemy go. I mam wielką nadzieję, że przez niego dotrzemy też do tych gnojków z forum. – Po czym wysiada bez pożegnania i zatraskuje za sobą drzwi.

W domu kładę się do łóżka i jestem przekonany, że długo nie będę mógł zasnąć. Jednak zanim w mojej głowie pojawia się kolejna myśl, wszystko zaczyna się rozplýwać.



Następnego ranka do biura docieram przed Niną. Na moim biurku leżą dzisiejsze gazety. Przeglądam je, jedną po drugiej, i czytam tytuły z pierwszych stron. Wszystkie brzmią podobnie.

*SZALONY MORDERCA Z INTERNETU ZNÓW UDERZA!*

*HAMBURSKA POLICJA BEZRADNA*

*MORD PUBLICZNY*

*SETKI TYSIĘCY OSÓB PRZYGLĄDAJĄ SIĘ TRANSMISJI ZE ŚMIERCI!*

*POLICJA BEZRADNA!*

– Buchholz? – Arendt popycha uchylone drzwi i zatrzymuje się w wejściu do mojego biura. – O, widzę, że zajmuje się pan już naszymi fanami. To świetnie, będzie pan przygotowany. Konferencja prasowa o dziesiątej. Pan, Andressen, nasz rzecznik prasowy, Meierhofer i ja. Proszę się uzbroić w dużą dozę cierpliwości, bo zapowiada się bardzo nieciekawie.

Potem odwraca się i odchodzi. Słyszę jeszcze, jak idzie korytarzem i wita się z kimś, a zaraz potem w drzwiach pojawia się Nina. Jest bardzo zmęczona, widzę to, bo czuję się podobnie.

– Dobry. – Ma zachrypnięty głos, jakby po raz pierwszy tego dnia użyła strun głosowych.

Rzuca plecak na podłogę obok biurka, siada ciężko na krześle i opiera głowę na dłoniach.

– Też nie mogłeś zmrużyć oka?

– Eee... byłem tak zmęczony, że niemal natychmiast zasnąłem. – Czy to krótkotrwałe, dziwne palące uczucie to wyrzuty sumienia? Czy czuję się winny dlatego, że dobrze spałem, podczas gdy moja partnerka przewracała się z boku na bok, bo nie mogła przestać myśleć o dochodzeniu? Niemożliwe! Poza tym ile ja spałem! Trzy godziny raptem, trudno to nazwać snem, bo wyspany na pewno nie jestem.

– Zazdroszczę – odpowiada i siada prosto. – No dobra, to od czego zaczynamy?

– O dziesiątej odbędzie się konferencja prasowa, w której udział wezmą Arendt, Andressen, prokurator i ja – tłumaczę i rzucam jej gazety na biurko. Przegląda pierwsze strony, potakuje i włącza komputer. – Niczego innego się nie spodziewałam. A pytania na konferencji prasowej będą utrzymane w podobnym tonie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Ma rację, tak właśnie będzie.

Krótko przed dziesiątą siadam na miejscu opatrzonym tabliczką z moim nazwiskiem, między Arendt a Andressenem. Przyglądam się twarzom zebranych dziennikarzy i zaczynam się obawiać tego, co nas zaraz czeka.

Pomieszczenie jest pełne. Nawet z tyłu, za ostatnimi rzędami krzeseł stoją stłoczeni dziennikarze. Bezpośrednio przed dwoma stołami, przy których siedzimy, czeka cała bateria wycelowanych w nas kamer i aparatów na statywach. Na konferencję przybyli również przedstawiciele stacji telewizyjnych.

Arendt rozpoczyna od krótkiego i stosunkowo ogólnego przedstawienia dotychczasowych wydarzeń. Ledwie pozwala na zadawanie pytań, wszyscy się zgłaszają i zaczynają krzyczeć jeden przez drugiego. Dopiero kiedy widzą, że siedzimy nieruchomo i milczymy, uciszają się sami, choć też nie od razu. W końcu zaczynają zgłaszać się podniesieniem ręki. Arendt wybiera jakąś młodą kobietę z drugiego rzędu.

– Sandra Meissner, redakcja „Hamburger Aktuelle Tageszeitung” – przedstawia się dziennikarka i wstaje. – W poniedziałek rano odnaleziono zwłoki Michaela Kornmeiera. Wiemy już, że tanto morderstwo zostało zainicjowane przez użytkowników forum „Morituri”. Dziś jest czwartek i zostają znalezione kolejne zwłoki. I znów, jak się okazuje, to zwycięzca z rzeczonoego forum. Co przez ostatnie trzy dni robiła policja, żeby usunąć tę stronę z internetu i aresztować jej założycieli?

– Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. – Arendt mówi rzeczowym i spokojnym tonem. – Osobie lub osobom prowadzącym

tę stronę udaje się póki co wykorzystywać najnowsze technologie, żeby umożliwić nam dotarcie do serwera, na którym się znajduje. Więcej na ten temat powie państwu szef wydziału do walki z cyberprzestępczością.

Głos przejmuje Andressen i daje około trzyminutowy wykład, który do tego stopnia najeżony jest fachowymi zwrotami, że nie potrafię sobie wyobrazić, by można było umieścić te informacje w artykule prasowym. Ale ja się tym nie muszę zajmować.

Kiedy kończy, znów wystrzeliwiają w górę ręce, jednak Sandra Meisser nie zamierza siadać.

– Brzmi to wszystko strasznie technicznie, ale miałam na myśli co innego: jak to możliwe, że tak wielka i tak szaleńczo droga w utrzymaniu machina, jaką jest hamburska policja, mimo pełnych trzech dni na działanie dalej nie ma bladego pojęcia, co się w ogóle dzieje? Czy może jednak macie jakieś podejrzenia?

– Ze względu na dobro śledztwa – wtrąca się prokurator Meierhofer – nie będziemy informowali państwa o szczegółach śledztwa. Mogę jednak zapewnić, że naprawdę robimy wszystko, co możliwe. Mamy wsparcie BKA, federalnej policji kryminalnej, oraz niezależnych ekspertów z różnych dziedzin.

– Uuu, zaraz czuję się bezpieczniej. Mieszkańcy Hamburga mogą spać spokojnie! – Męski głos, gdzieś z okolic środka sali. Nikt nie reaguje na jego słowa.

Padają kolejne pytania i wszystkie sprowadzają się do zasadniczej kwestii, dlaczego śledztwo nie posuwa się naprzód. Część dziennikarzy przyjechała z zagranicy i zwracają się do nas po angielsku.

Po półgodzinie ton zadawanych pytań staje się coraz bardziej bezczelny, więc Arendt zamyka dyskusję i dopuszcza do głosu ostatnią osobę. Znów las rąk. Chudy facet z pierwszego rzędu zaczyna krzyczeć niepytany.

– Steffen Schröter, redakcja „Blitzreporter.de”. Panie Buchholz, jest pan zastępcą szefa grupy operacyjnej „Morituri” i odpowiada pan za

wszystkie działania w terenie. Zgadza się? – Schröter spogląda jeszcze raz na swój telefon, po czym chowa go do kieszeni spodni.

– Zgadza – potakuję.

Zanim znów otwiera usta, wiem już, że ma coś w rękawie. I że zaraz będę żałował, że to on zadaje pytanie.

– Czy dostrzega pan związek między wczorajszym morderstwem i odnalezionym dzisiaj w Langenhorn mężczyzną, nieprzytomnym i skrępowanym smyczą?

Przez salę przechodzi szmer. W głowie wirują mi myśli. Natychmiast pojmuję, do czego zmierza dziennikarz, który teraz patrzy na mnie z przemądrzałym uśmieszkiem.

Związany smyczą. Kandydat, który zajął drugie miejsce w głosowaniu. Miał pozwalać swojemu psu załatwiać się na trawnikach sąsiadów. Tyle że nie mam pojęcia, że ktokolwiek został znaleziony. Twarze Arendt i Andressena również wyrażają zaskoczenie i bezradność.

Nachylam się lekko.

– Przykro mi, jednak nie mam informacji o takim fakcie. – Szum w sali przybiera na sile. – Zastanawia mnie jednak, skąd pan o nim wie.

– Może bardziej powinno was zastanawiać, dlaczego wy o nim nie wiecie. W świetle braku właściwej komunikacji wewnątrz samej policji to jednak nie dziwi. Tak samo jak brak postępów w śledztwie. Dziękuję za odpowiedź. Mimo że pan nie odpowiedział.

Po tych słowach siada.

Czuję przemożne pragnienie, by zerwać się z miejsca i kilkoma uderzeniami zmazać mu z twarzy tę bezczelną minę. Ledwie Arendt kończy konferencję, wstaję zza stołu i wychodzę z pomieszczenia.

Jakby nie wystarczyło, że ten śmieć z forum z nami pogrywa, to teraz jeszcze jakiś niedorobiony pismak przekazuje nam informacje, które powinniśmy posiadać przed nim! Ale jeśli to prawda...

– Ten dziennikarz nie zmyślał – mówi Arendt. Podchodzi do mnie i chowa telefon, przez który właśnie rozmawiała. – Znaleźli go

godzinę temu. Był związany smyczą. Po psie nie ma śladu.

Franz Kollerbach, rzecznik prasowy, wychodzi z sali i nas mija. Zatrzymuję go.

– Kto to był? Ten facet, który jako ostatni zadawał pytanie?

Kollerbach wzrusza ramionami.

– Nie znam go. Dzisiaj po raz pierwszy pojawił się na konferencji u nas. Ponoć to redaktor jakiegoś magazynu online. „Blitzreporter.de”. Bulwarówka, jakich mało. Dno dna.

– I ktoś taki ma dostęp do naszych wewnętrznych informacji? Tak świeżych, że nawet my ich jeszcze nie dostaliśmy?

Nie czekając na ich odpowiedź, mijam szefową i wracam do sali konferencyjnej. Jest już prawie pusta, ale tym razem mam szczęście: Schröter jeszcze jest na miejscu, choć zbiera się do wyjścia. Podchodzę do niego szybkim krokiem i kładę dłoń na ramieniu.

– Proszę poczekać.

Odwraca się. Uśmiecha się, ale w jego oczach nie widać wesołości.

– Skąd pan wiedział o mężczyźnie spętanym smyczą?

Wyraz jego twarzy się zmienia. Bezczelnie szczyrzy zęby.

– Ależ panie Buchholz, ja pana bardzo proszę! Jestem przecież dziennikarzem, nie mogę zdradzać swoich źródeł!

– Taką informację mógł pan dostać jedynie od kogoś, kto przez przypadek był świadkiem znalezienia tego człowieka.

Przesadnie teatralnym gestem unosi ramiona, tak wysoko, aż nie widać jego chudej szyi.

– Możliwe. A jakże inaczej mógłbym się dowiedzieć?

Od kogoś spośród naszych ludzi – przechodzi mi przez myśl. Schröter puszcza do mnie oko i wychodzi.

Przez chwilę odprowadzam go wzrokiem, po czym odwracam się wściekły i ruszam przed siebie. W drodze do biura wydaję telefon i wyłączam tryb samolotowy. Ledwie loguję się do sieci, otrzymuję wiadomość od Niny.

*Dziesięć minut temu w Langenhorn znaleziono nieprzytomnego mężczyznę. Informacja o nim przyszła anonimowo. Facet związany smyczą. Jestem w szpitalu uniwersyteckim, zajrzę do niego.*

Sprawdzam szczegółowe dane wiadomości. Została wysłana siedem minut po dziesiątej. Zaraz po rozpoczęciu konferencji prasowej. Chowam komórkę do kieszeni i patrzę w podłogę.

Ten cały Schröter... Wiadomość o znalezieniu nieprzytomnego mężczyzny musiał otrzymać już w czasie trwania konferencji. I bez najmniejszych wątpliwości musiała pochodzić od funkcjonariusza.

# 18

– Grzybek z piany – tłumaczy doktor Diewald i drewnianą szpatułką wskazuje na usta Valenta. – Już gaśnie, ale zobaczy pani, że po otwarciu ciała znajdziemy jeszcze jego resztki w tchawicy.

Buchholz zajął się konferencją prasową, więc ja przejęłam sekcję zwłok. Tak jest lepiej; doskonale zdaję sobie sprawę, że akurat dziś nie zniostabym bezczelnych i aroganckich dziennikarzy. Tutaj, przy stole sekcyjnym, odpowiedzi na pytania są znacznie prostsze i bardziej jednoznaczne. Śmierć przez utonięcie? Tak. Działanie osób trzecich? Zdecydowanie tak. Nawet gdyby pominąć milion świadków, przyglądających się tej śmierci, obrażenia na ciele denata mówią same za siebie.

Diewald przecina opaski zaciskowe, którymi Valent miał spętane ręce. Na skórze pozostają głębokie bruzdy, w niektórych miejscach widać rozcięcia. Na kolanach i na plecach widać wyraźne otarcia.

– Wiele wskazuje na to, że sprawca ciągnął ofiarę po czymś szorstkim. – Metalową pincetą chwytą jakiś ciemny okruch przyklejony do skóry i umieszcza go we fiolce. Mam wrażenie, że to niewielki kamyk. Chyba.

Tam gdzie więzy na kostkach przesuwają się i naciągają, otarcia są znacznie szersze i w wielu miejscach również głębsze. Wyglądają prawie jak rany cięte.

– Oglądał pan nagranie? – pytam.

– Tak, choć dopiero dzisiaj rano. Pani koledzy byli tak uprzejmi i przygotowali dla mnie kopię. W połączeniu z moimi obserwacjami wszystko składa się w logiczną całość.

Znam tę nutkę zadowolenia w tonie medyka sądowego i przez chwilę zazdroszczę Diewaldowi grubej skóry, która wykształciła się

z biegiem czasu, chroniąc jego wrażliwość.

Doktor Diewald kończy zewnętrzne oględziny i opis zwłok, po czym sięga po skalpel, a ja przyglądam się twarzy Valenta i przed oczyma pojawiają mi się obrazy z poprzedniej nocy, nakładają się na siebie i mieszają z tym, co widzę. Dotychczas ofiary przestępstw widziałam dopiero po śmierci. Jego widziałam, jak umiera. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jaka to ogromna różnica.

– Dylatacja prawej komory serca – dyktuje Diewald do mikrofonu zawieszzonego nad stołem sekcyjnym. – Uszkodzenia nabłonka przy wpuście żołądka, zawartość... wodnista.

– Kiedy będzie pan mógł powiedzieć, czy był pod wpływem jakichś środków? – Spoglądam do otwartej klatki piersiowej, a lekarz wyjmuje z niej płuca.

– Badania toksykologiczne zajmą nieco czasu – mówi. – Ale próbki są już w laboratorium i rozpoczęto testy. – Znów nachyla się w stronę mikrofonu. – Ostra rozedma wodna płuc. Wyraźnie widoczne plamki Paltauf'a pod opłucną. Płuca...

Niespodziewanie odzywa się moja komórka. Odbieram połączenie i jednocześnie odchodzę kilka kroków od stołu. Początek numeru wskazuje na komendę, ale nie mam jeszcze zapisanej tej końcówki.

– Salomon. Słucham.

– Cześć, to ja, Christoph. Jesteś z Danielem na konferencji?

– Nie, Daniel pojechał tam sam. Ja jestem w Instytucie Medycyny Sądowej.

– Dobra. To słuchaj. Właśnie otrzymaliśmy zgłoszenie. Chwilę temu w Langenhorn dzięki anonimowej informacji znaleziono nieprzytomnego człowieka. Leżał w krzakach i miał ręce związane smyczą dla psów. Mówi ci to coś?

O tak, mówi. Dużo.

– Kandydat z drugiego miejsca.

– No właśnie, tak samo sobie pomyślałem. Wiozą go właśnie do szpitala uniwersyteckiego w Eppendorfie, czyli tam, gdzie jesteś,



prawda?

– Zgadza się. Dzięki, Christoph. Mamy dane tego nieprzytomnego mężczyzny?

– Nie. Z tego, co wiem, miał na sobie jedynie bieliznę. Brak komórki, portfela czy dokumentów.

Odwracam się w chwili, kiedy Diewald wyjmuję z ciała śledzionę.

– Niestety, muszę lecieć. Gdzie znajdę izbę przyjęć oddziału ratunkowego?

Oblepionym skalpelem wykonuje jakiś nieokreślony ruch.

– My jesteśmy w N81, pani musi trafić do O10. Jak pani wyjdzie, proszę skręcić w lewo, a potem cały czas prosto. Budynek złożony jakby z dwóch, nie da się go nie zauważyć.

Nie chowam telefonu, tylko idąc, piszę wiadomość do Daniela, bo domyślałam się, że trwa już konferencja prasowa. Niespodziewanie ogarnia mnie przeświadczenie, że ten dzień nie jest aż tak nie do zniesienia, jak mi się wydawało. Możliwe, że Trajan popełnił ogromny błąd, zostawiając przy życiu potencjalnego świadka. Nawet jeśli ten człowiek go nie widział, sam się przecież nie związał: musiał zaistnieć kontakt między nim a sprawcą. A każdy kontakt zostawia ślady.

Bez problemu odnajduję oddział O10 i izbę przyjęć, gdzie muszę chwilę poczekać. Mężczyzna trafił już do szpitala, jest badany, ale nie odzyskał jeszcze świadomości.

Dopiero teraz, kiedy siedzę w poczekalni i powoli uspokajam oddech, ogarniają mnie wątpliwości. Może to fałszywy ślad? Znalezione go półnagiego i związanego. Może być wiele przyczyn takiego stanu rzeczy.

Pół godziny później z jednej z sal wychodzi lekarz i robi zniecierpliwioną minę, kiedy zastępuję mu drogę i pokazuję legitymację policyjną.

– Muszę porozmawiać z tym pacjentem. Najszybciej, jak się da.

– Będzie pani musiała uzbroić się w cierpliwość.

Uśmiecham się do niego. A przynajmniej unoszę kąciuki ust.

– Cierpliwość to nie jest moja mocna strona.

Odpowiada mi uśmiechem.

– No cóż, współczuję pani... tym bardziej że pacjent wciąż jest nieprzytomny. Do tego mocno wychłodzony i mocno osłabiony. Damy pani znać, kiedy będzie można z nim porozmawiać. Ale proszę przygotować się na dłuższe czekanie.

Pięć minut później mijają mnie, wieziony na wózku. Jest szczelnie okryty, więc widzę tylko wąską twarz i przerzedzone, siwawe włosy, które sterczą na wszystkie strony jak podeptana trawa.

Dopiero godzinę później do poczekalni wpada Daniel. Jest zdyszany i podminowany. Idę do automatu i przynoszę nam kawę – albo to coś, co sprzedają pod tą nazwą.

– Jak było na konferencji?

Patrzy gdzieś obok mnie.

– Gorzej, niż się spodziewałem. Dzięki za informację. Niestety, za późno ją odczytałem.

Unosimy plastikowe kubeczki i przepijamy do siebie. Daniel opróżnia swój jednym ciągiem.

– Trajan jednego dnia porwał dwie dorosłe osoby. Dwóch mężczyzn – mówi zamyślony. – Jednego uśmierca w bardzo wymyślny i wymagający sporego wysiłku sposób, a drugiego porzuca gdzieś w krzakach. I nikt go nie łapie. Czy jeden człowiek może dokonać czegoś takiego?

Ja też już wcześniej się nad tym zastanawiałam, ale nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Trajan dysponował jakimś zespołem.

– Powiedział, że to on jest ramieniem, które włada mieczem, a nie „My jesteśmy ramieniem”. Nie wierzę po prostu, żeby ktoś, kto nazywa się imieniem jednego z największych rzymskich cesarzy, był gotów dzielić się swoją wątpliwą sławą z kimkolwiek innym.

Daniel otwiera usta, ale zanim może odpowiedzieć, na korytarzu pojawia się lekarz, z którym wcześniej rozmawiałam.

– Pani Salomon? Ten człowiek obudził się pięć minut temu. Ma pani szczęście, bo jedyne, czego chciał, to rozmawiać z policją.

Gustav Beranski ma sześćdziesiąt pięć lat i jest emerytowanym pracownikiem poczty. Niewysoki, szczupły mężczyzna. Trajan pewnie się nawet nie spocił.

– Gdzie jest Minnie? – Patrzy głównie na mnie, jakby w jego oczach Daniel nie był właściwym adresatem jego pytania. – Znaleźliście Minnie?

Nachylam się w jego stronę.

– A kto to Minnie, panie Beranski?

– Moja suczka. Wyszliśmy na spacer, jak zawsze, a potem... coś się stało.

– Co dokładnie? Pamięta pan cokolwiek?

Mężczyzna kręci słabo głową.

– Nie. Poszliśmy na spacer... niczego więcej nie pamiętam. Gdzie jest Minnie?

– Jestem przekonany, że się znajdzie. – Głos Daniela ma w sobie coś uspokajającego, co sprawia, że pan Beranski uśmiecha się krótko. – Gdzie wyszedł pan na spacer? W Langenhorn?

Beranski spogląda na niego, jakby rozmawiał z wariatem.

– Oczywiście, że nie! Po kiego diabła mielibyśmy chodzić po Langenhorn? Byliśmy w lasku Eissendorfer Forst, bo tam mogę ją spuszczać, żeby sobie pobiegała, a to niedaleko naszego domu.

– O której dokładnie wyszedł pan na spacer?

Mężczyzna zaczyna się zastanawiać. Widać wyraźnie, jak wiele wysiłku go to kosztuje.

– To był nasz wieczorny spacer. Piętnaście po siódmej, tak, dokładnie. Chciałem wrócić przed rozpoczęciem wieczornego filmu w telewizji. – Zapisujemy jego adres, po czym Daniel przeprosza nas na chwilę i wychodzi. Zgaduję, że chce wysłać kogoś na miejsce.

Beranski leży i spogląda w bok. Jest zmęczony i pewnie zaraz zaśnie.

– Mógłby pan opisać Minnie? – proszę go.

Od razu trzeźwieje i skupia się na zadaniu.

– To mała beagielka, nie sięga nawet kolan. Jest bardzo ruchliwa i lubi się bawić. Ma siedem lat... zaraz pani pokażę jej zdjęcie, w komórce mam... – Kiedy się orientuje, że nie ma już telefonu, przerywa i wzdycha ciężko. – Reaguje na swoje imię. Wystarczy zawołać, to od razu przychodzi.

Daniel wraca do sali i siada na krześle.

– Wysłałem Marca i Pię.

Do Beranskiego do domu. Dobry ruch. Moje kolejne pytanie formułuję w sposób możliwie delikatny.

– Czy pokłócił się pan z którymś z sąsiadów? Szczególnie chodzi mi o sytuacje, w których Minnie stała się zarzewiem kłótni?

Mężczyzna marszczy czoło.

– Tak, około rok temu. Rodzina Probstów. Oni po prostu nie lubią ps... – Nagle wytrzeszcza oczy i milknie przerażony. Zaczyna rozumieć, o co go pytamy. Nie sądzę, żeby był dobrze obeznany z internetem, ale informacje o forum i mordercy są przekazywane przez wszystkie media.

– Pani myśli, że... – szepce. – Że ta sprawa z gazety... no wie pani, głosowanie... że człowiek z psem... to o mnie chodzi?

– Na tym etapie nie możemy tego wykluczyć – odpowiada Daniel. – Wróćmy do Probstów. To dla nas bardzo ważne. Czy poza nimi miał pan zatargi z kimś jeszcze?

Beranski prawą dłonią chwyta lewą i zaczyna ją nerwowo ugniatać.

– Nie – wydusza w końcu. – To przecież niemożliwe...

Słyszę, że ktoś otwiera drzwi do pokoju, więc się odwracam. Lekarz z uśmiechem, ale stanowczo prosi nas o wyjście na korytarz i pozostawienie pacjenta w spokoju.

– Musiał go porwać, zanim dopadł Valenta – mówi Daniel, kiedy jesteśmy na parkingu przed szpitalem. – A to oznacza, że gra fair. Nie manipuluje wynikami głosowania. Wolał zaryzykować porwanie dwóch osób, z których każda miała szansę na wygraną, żeby mieć pewność, że zabije właściwą.

Jak przystało na dżentelmena najpierw odprowadza mnie do mojego samochodu, a dopiero potem idzie do swojego. Siadam za kierownicą i zamykam na chwilę oczy. Jestem taka zmęczona. A przede mną jeszcze cały długi dzień.

Cześć, *Leyla* – odczytuję wiadomość ze skrzynki na forum „Morituri”. Jej autorem jest Lars, alias Manxxo, mniej antypatyczny użytkownik forum, z którym we wtorek umówiłam się na randkę. – *Widziałaś nagranie z wczoraj? Co Ty na to? Wiele o Tobie myślałem i chciałbym Cię jeszcze zobaczyć. Co byś powiedziała na jakieś spotkanie? Możliwe, że dowiedziałem się czegoś ciekawego.*

W pierwszym odruchu chcę pokazać wiadomość Danielowi, ale w porę się powstrzymuję. Uświadamiam sobie, że przecież nie ma pojęcia o tym, że się umówiłam z dwoma osobami z „Morituri”. W żadnym razie nie chcę zmieniać tego stanu rzeczy.

Waham się, co odpisać Larsowi. Możliwe, że rzeczywiście posiada jakieś ciekawe wiadomości. Ale jeśli chce w ten sposób skusić mnie na kolejne spotkanie, to na długo je zapamięta...

Rozlega się sygnał mojej komórki. Dostałam SMS-a: *Dziś wieczór? Ty, ja, butelka wina i ramię, na którym będziesz mogła się oprzeć? Daj znać, Tom.*

Ciężko i tęsknie wzdycham, na co Daniel unosi wzrok znad biurka.

– Coś się stało?

Wzruszam ramionami.

– Nie, wszystko w porządku. Nie mam po prostu sił, żeby sobie jakoś ułożyć wieczór.

Przez kilka chwil spogląda na mnie badawczym wzrokiem, po czym wraca do monitora.

*Nie mam pojęcia, o której dzisiaj skończę* – odpisuję Tomowi. – *Ale już teraz padam ze zmęczenia. Nie będziesz miał ze mnie pożytku.*

Potem wyłączam dźwięk w telefonie i próbuję dodzwonić się do techników zabezpieczających ślady. W końcu mi się udaje. Sprawdzili bieliznę Beranskiego pod kątem obcych włókien, ale nie

znaleźli niczego przydatnego. Zabezpieczyli za to sporą ilość próbek pyłu i zarodników pleśni.

– Całkiem możliwe, że długo leżał na podłodze w jakiejś piwnicy i stąd takie, a nie inne ślady – wyjaśnia mi funkcjonariusz, z którym rozmawiam.

Staram się ułożyć w całość wszystkie elementy, ale nie wyłania się z tego żadna spójna historia. Zaczyna boleć mnie głowa. Może pójde po jeszcze jedną kawę... Może...

– Nina?

Unoszę gwałtownie wzrok. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że musiałam bezwiednie zamknąć oczy. Obok mnie stoi Daniel i delikatnie dotyka mojego ramienia. Robi to ostrożnie, jakbym była psem, który zaraz może ugryźć.

– Wracaj do domu. Albo nie, czekaj. Ktoś cię odwiezie. Zaraz coś zorganizuję. A rano wpadnę po ciebie o wpół do ósmej.

– Ale ja przecież dam ra... – protestuję słabo, lecz Daniel jest nieugięty i natychmiast mi przerywa.

– Wręcz przeciwnie, nie dasz. Ani pracować do wieczora, ani tym bardziej prowadzić w takim stanie. Idź się wyspać. Proszę.

Przestaję się buntować, dopiero kiedy dociera do mnie, że nie mam żadnych argumentów, żeby zostać. Potakuję więc. Dziesięć minut później siedzę na tylnej kanapie passata, którego prowadzi nieznana mi policjantka. Odwozi mnie do Ottensen.

Potrząsa mnie za ramię, kiedy jesteśmy pod domem, bo po drodze zdążyłam usnąć. W domu wszystko wygląda tak samo jak kilka dni wcześniej. Deprymująco. Nie mam jak się rozpakować i nie mam kiedy zrobić zakupów, nie wspominając już o innych rzeczach. I nawet jeśli nie jestem akurat głodna, wiem, że w nocy, pewnie o trzeciej nad ranem, zachce mi się jeść i nic na to nie poradzę.

Sięgam po komórkę, kierując się niewłaściwymi przesłankami. Nie tęsknię. Chodzi o moją wygodę. Tylko tyle. Do głosu dochodzi Ego-Nina: *Wróciłam wcześniej, niż planowałam. Już w domu. Fajnie będzie Cię zobaczyć. Przynieś coś na kolację.*

Trzy minuty później potwierdza, że jest już w drodze. Tuż przed wpół do siódmej stoi przed drzwiami obładowany jedzeniem z chińskiej restauracji, które pachnie niesamowicie kusząco.

Siadamy na kanapie, karmi mnie chrupiącą kaczką, kiełkami bambusa i smażonym makaronem. Opowiada o obrazie, który dzisiaj skończył. Pokazuje mi jego zdjęcia na komórce. Malowidło utrzymane w odcieniach zielonego i niebieskiego, ze srebrnymi wstawkami. Noc.

Opieram się o jego ramię i próbuję sobie wyobrazić, jak to jest żyć, tworząc.

Pytam go o to, na co wybucha śmiechem i mnie całuje. Jego usta mają smak sosu sojowego.

– Jest cudownie – wyjaśnia. – W najlepszych chwilach człowiek ma wrażenie, że stapia się z dziełem i staje się siłą sprawczą. Nic innego się nie liczy. – Przesuwa palcami po mojej brodzie. – A jak to wygląda u ciebie? Jakie chwile w twojej pracy są najlepsze?

Sama myśl o tym przypomina mi o trudach dnia, który właśnie minął.

– W tej pracy nie ma najlepszych chwil. Są tylko nieco mniej złe.

Głaszcząc mnie po plecach, a ja zamykam oczy. Kiedy znów unoszę powieki, leżę oparta o jego kolana. Przykrył mnie kocem i włączył sobie telewizor ustawiony prowizorycznie na pudłach z książkami.

Mrugam. W wiadomościach widzę twarz Daniela, jest spięty.

– Zastanawia mnie jednak, skąd pan o nim wie – mówi.

Tom czuje, że się obudziłam, i przeczesuje palcami moje włosy.

– Strasznie po was jadą.

– Wiem. Wyłącz to, proszę.

Sięga po pilota, a ja siadam. W głowie mi dudni, ale jestem już w znacznie lepszej formie. Wpół do jedenastej. Tom uśmiecha się do mnie znacząco.

– Nie chciałaś być sama, prawda?

A niech tam, myślę. Jeszcze ten raz, a potem mu powiem, że nie szukam niczego na stałe. Ani tym bardziej niezobowiązującego.

Zaciąga mnie do sypialni, na łóżko, i kładzie się obok. Wsuwa dłoń pod moją koszulkę. Przymykam oczy. Niespodziewanie widzę przed sobą twarz Daniela, poważną i surową. Żałuję, że w ogóle przeniosłam się do Hamburga.



# 19

W piątek rano, tuż przed dziewiątą, siedzę w biurze i razem z Niną wpatrujemy się spięci w monitor. Wiemy, że nie tylko my, ale miliony ludzi na całym świecie mają otwartą tę samą stronę.

Siedzą w swoich mieszkaniach i domach, czekają. Podnieca ich obrzydliwość tego, co wydarzyło się poprzedniej nocy, i co zaraz znajdzie kontynuację.

Jesteśmy bezsilni. Czuję, jak wzbiera we mnie wściekłość, jest jak odległy grzmot, który przybiera na sile. Jedno Trajanowi udało się bezsprzecznie: w ciągu kilku dni wskoczył na pierwsze miejsce najbardziej znanych psychopatów świata.

Punkt dziewiąta. Mimowolnie wstrzymuję oddech. Trwa to cztery, może pięć sekund, potem obraz się odświeża i pojawia się nowa lista. Czytam ją powoli i zmuszam się, by zaakceptować fakt, że te trywialne, codzienne rzeczy zamieszczone w opisach stanowią dla kogoś powód, by zabić.

– O Boże... – szepce Nina i zakrywa usta dłonią. W tej samej chwili zauważam, co ją tak poruszyło.

Poza facetem, który jest zwykłym pasożytem, bo pije każdą kolejkę, ale nigdy nie płaci, kobietą, która ma szczęście w życiu i wszystko przychodzi jej bez wysiłku oraz nieprzyjemnym współpracownikiem, który jest zbyt arogancki, żeby odpowiedzieć na powitanie, na liście kandydatów znalazła się jeszcze jedna osoba: jedenastoletnia dziewczynka, która utopiła kotka swojej koleżanki.

– Dziecko? – sapię wstrząśnięty. – Umieścił na liście jedenastoletnie dziecko?

Nina nie odpowiada. Jak skamieniała wpatruje się w ekran i czyta pierwsze komentarze, które już zaczynają się pojawiać.

Lektura pierwszego przynosi mi delikatną ulgę, bo utrzymany jest w tonie, który potwierdza rodzące się we mnie przecucie – nie, właściwie to nadzieję – że tym razem gnojek strzelił sobie samobójczą bramkę, umieszczając na liście dziecko. W ten sposób musiał przekroczyć granicę akceptacji nawet mocno skrzywionych użytkowników.

*Debilu jeden, dziecko na tej posranej liście? Pojebało cię?*

Kolejne komentarze mają podobny wydźwięk.

*Mam nadzieję, że cię szybko dopadną, świnió.*

I jeszcze:

*I że dopadną tego śmiecia, co ją zgłosił. Bo na pewno nie zrobiła tego ta jej koleżanka.*

I tak pięć czy sześć postów. Już chcę wyrazić na głos swoją ulgę, kiedy pojawia się dłuższy post, a zarówno jego treść, jak i dobór słów odbierają mi mowę.

*Przy całym oczywistym oburzeniu faktem, że w szranki stanęło dziecko, nie powinniśmy tracić z oczu meritum tej nominacji, a mianowicie powodu, dla którego znalazła się tu ta dziewczynka. Zabiła kota i zrobiła to w okrutny sposób. A ma dopiero jedenaście lat. Nieźle, prawda? No właśnie. Co ciekawe, od dawna już wiadomo, że osoby przejawiające za młodu brak współczucia i skłonności sadystyczne, jako dorośli stają się zagrożeniem dla społeczeństwa. Bo wtedy możliwe, że nie zaspokoi swoich chorych ciągót na zwierzętach i zaczną krzywdzić ludzi. Możemy zatem postrzegać to jako działanie prewencyjne, które wszystkim przyniesie zysk. Dlatego z całego serca popieram jej kandydaturę. Ma mój głos!*

Tego nie mógł napisać żaden z idiotów śliniących się przed monitorami. Oni wyrażają się zupełnie inaczej. Ten gość jest inteligentny. I to czyni go jeszcze gorszym.

Ktoś reaguje oburzeniem, a potem pisze jakaś kobieta, przynajmniej sądząc po nicku.

*Moim zdaniem ten bachor powinien cierpieć tak samo jak kotek, którego zabiła. Żadnej litości dla takiego potwora. Oby wygrała i umierała bardzo powoli. A ty, mały, skrzywdzony kotku, obyś był szczęśliwy po drugiej stronie tęczy.*

– Chyba się porzygam – chrypi Nina i rzeczywiście wstaje i wybiega z biura.

Czytam jeszcze cztery czy pięć kolejnych komentarzy, po czym sam wychodzę, żeby jeszcze przed poranną odprawą zamienić kilka słów z szefową. Arendt spotykam już na korytarzu. Nie jest sama.

Towarzyszy jej dwóch mężczyzn, obaj w świetnie dopasowanych garniturach, białych koszulach i identycznych ciemnych krawatach.

– Widział pan listę? – pyta Arendt, kiedy się wszyscy zatrzymujemy. Potakuję, jednak nie mogę oderwać wzroku od jej towarzyszy. Nie mam pojęcia dlaczego, ale sprawiają wrażenie, jakby tu nie pasowali. Mężczyzna po lewej stronie jest mniej więcej mojego wzrostu, ma krótkie brązowe włosy i jest bardzo wysportowany. Drugi jest nieco niższy i ma delikatny brzuch. Za to kolor włosów i fryzura podobne do pierwszego.

– Panowie przylecieli ze Stanów Zjednoczonych, żeby wesprzeć nasz zespół i dochodzenie. Obaj są specjalistami z dziedziny przestępczości internetowej, mają na tym polu ogromne doświadczenie i mogą się pochwalić wieloma sukcesami.

– Gregory Payne – przedstawia się mężczyzna po lewej stronie szefowej. Mówi po niemiecku niemal bez obcego akcentu i uśmiechnięty podaje mi dłoń. Ma przyjemnie mocny uścisk.

– Jason Moore. – Nie ma nawet cienia obcego akcentu. Domyślam się, że jego rodzice muszą być niemieckimi emigrantami.

– Jak rozumiem, panowie zajmą się usunięciem tej strony z sieci, czy tak? – pytam.

Payne potakuje, a jego uśmiech staje się jeszcze nieco szerszy.

– Tym również. Ale przecież nie fatygowalibyśmy się do Niemiec, żeby robić tylko to. Będziemy służyć wsparciem na każdym etapie dochodzenia. Psychopaci to nasza specjalność.

– Proszę patrzeć na naszą obecność tutaj w ten sposób – dodaje Jason Moore. – Szanse, by dopaść tego gościa, właśnie wydatnie wzrosły. – Uśmiechu uczyli się obaj chyba w tej samej klasie.

– Agent Moore i agent Payne zajmą wolne biuro obok waszego – dodaje Arendt. – A teraz ruszajmy na odprawę.

Zatem mamy do czynienia z agentami CIA. I to agentami bardzo pewnymi siebie i swoich możliwości. Niech im będzie.

W sali odpraw wpadam na Ninę. Usiadła w ostatnim rzędzie i wygląda, jakby rzeczywiście wymiotowała.

Zajmuję miejsce obok niej.

– Wszystko w porządku?

– Nie. Nic nie jest w porządku. To wszystko to jedno gigantyczne gówno. Katastrofa. Nie ogarniam tego. Dlaczego ten skurwysyn umieścił dziecko na liście?

Obawiam się, że nikt normalny tego nie zrozumie.

– Ja za to nie mogę pojąć, jak ktoś może na nie głosować.

Arendt jest bardzo poruszona, gdy mówi o nowej liście. Przedstawia także naszych gości, którzy pozdrawiają nas uniesieniem dłoni. Potem zaczyna się właściwa odprawa.

Ledwie wracamy do biura, Nina siada przed monitorem i uruchamia komputer. Po kilku kliknięciach uderza otwartą dłonią w blat.

– Mała nie prowadzi, ale ma dość głosów, żeby zająć trzecie miejsce. Ci ludzie są chorzy.

Nie pytam, kto jest na pierwszym miejscu. Głosowanie dopiero co się zaczęło, więc do jutrzejszego wieczoru sporo może się wydarzyć, myślę ponuro.

– Tym razem mamy jeszcze mniejsze pole manewru przed zakończeniem głosowania niż w przypadku Valenta. Opisy są tak ogólne, że nie ma szans zawęzić grupy potencjalnych ofiar.

Nina prycha cynicznym śmiechem.

– Valent nie żyje. Dla niego nie mogliśmy nic zrobić. Kompletnie nic. Więc co, tym razem możemy zrobić jeszcze mniej niż nic? –

Wstaje, chowa dłonie w kieszeniach i podchodzi do okna. – A teraz jeszcze ci Amerykańcy. Co oni sobie w ogóle myślą...

Nina milknie, bo dzwoni moja komórka. Spoglądam na ekran. Znów ten numer, niech to diabli. Zapomniałem oddzwonić. Musi chodzić o coś ważnego.

Wstaję.

– Przepraszam, to prywatna sprawa. Zaraz wracam. – Jestem już na korytarzu, kiedy słyszę głośne trzaśnięcie. Mam wrażenie, że Nina kopnęła z całej siły w szafkę.

– Dzień dobry, panie Buchholz, przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebujemy pana pomocy. To pilne – zaczyna kobieta po drugiej stronie, a ja szukam jakiegoś spokojnego miejsca. – Pańska matka nie dopuszcza nikogo z nas w pobliże siebie. Twierdzi, że chcemy ją zabić.

Znowu to samo.

– Wie pani, to nie najlepsza chwila. Mam tutaj bardzo ciężki wypadek...

– Bardzo mi przykro, ale jeśli nie znajdzie pan czasu, żeby się z nią spotkać i przemówić jej do rozsądku, będziemy musieli podać jej środki uspokajające i ją unieruchomić.

Tak, wiem doskonale, jak to wygląda. Już przez to przechodziliśmy. Zmienią ją w zombie. Nie mam wyjścia, muszę tam jechać. Mam tego dość.

– No dobrze, w takim razie proszę poczekać i nie podejmować żadnych drastycznych kroków. Zaraz ruszam. Będę najpóźniej za godzinę.

Rozłączam się i wracam do biura. Nina siedzi przy swoim biurku. Spojrzenie, jakim mnie wita, nie zwiastuje niczego dobrego i mam jedynie nadzieję, że to nie z powodu jakiejś strasznej wiadomości związanej z forum.

– Coś się stało?

Znów ten krótki, cyniczny śmiech.

– No właśnie, czy coś się stało? Co się z tobą dzieje? – Podnosi głos. Nie mam zielonego pojęcia, o co może jej chodzić, więc siadam zdezorientowany na swoim krześle.

– Słucham?!

– To znowu ta laska, z którą kręcisz, co? I bardzo dobrze, rób, co chcesz, mam gdzieś, z kim wskazujesz do łóżka. Ale w tej chwili powinniśmy poświęcić się całkowicie tej sprawie, bo inaczej nie dopadniemy tego skurwysyna. Więc może z łaski swojej poprzesuwałbyś swoje prywatne rozmówki na wieczór.

Czuję, że palą mnie policzki, a skóra na czole i szyi kłuje, jakby przebijało ją tysiąc igieł naraz.

– Uważaj, co mówisz – zaczynam ostro. – Nie mam pojęcia, kto i jak cię skrzywdził, ale powoli mam dość bycia twoim workiem do wyładowywania swoich frustracji. Gdybyś zastanowiła się choć przez chwilę, doszłabyś do wniosku, że są różne powody rozmów przez telefon. I że nie trzeba na każdym kroku obrażać innych.

Podchodzę do drzwi, zatrzymuję się i jeszcze raz na nią spoglądam.

– Ale niech będzie, w jednej rzeczy masz rację. Rozmawiałem z kobietą. Tyle że z pielęgniarką z domu opieki, w którym mieszka moja matka. Wezwali mnie na miejsce, bo są z nią jakieś poważne problemy. Już wczoraj próbowali się ze mną skontaktować, ale zapomniałem oddzwonić, bo ta cholerna sprawa pochłania wszystkie moje myśli!

Wychodzę z biura i zamykam za sobą drzwi, po czym szybkim krokiem przecinam korytarz, mijam windy i docieram do klatki schodowej. Nie mam ochoty czekać na pustą kabinę. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Nina chciała mnie dogonić, ale na wszelki wypadek wolę nie ryzykować. Na pewno wolałbym uniknąć sytuacji, w której próbowałaby mnie przeproszać, bo wtedy musiałbym to zaakceptować, przynajmniej dla dobra naszej współpracy. Tymczasem nie chcę jej wybaczać takiego zachowania.

Jeszcze nie.

Dom opieki znajduje się w dzielnicy Billstedt, a przejazd na miejsce zajmuje mi niecałe czterdzieści minut. W czasie jazdy załatwiam kilka telefonów z komendą. Mimowolnie wracam myślami do Niny. Staram się przed tym bronić, ale nie potrafię. Jak to możliwe, że kilkoma słowami umie wyprowadzić mnie z równowagi? I to do tego stopnia? Jestem przekonany, że to nie dlatego, że podoba mi się jako kobieta. Bo mi się nie podoba. Nie jest w moim typie.

Gdzieś w głębi duszy, w jakimś ciemnym zakątku mózgu kryje się odpowiedź na to pytanie. Chowa się przede mną. Ale w końcu ją znajdę. Jestem o tym przekonany.

W drodze do pokoju matki mijam biuro przełożonej pielęgniarek. Widzi mnie przez otwarte drzwi i zaprasza do środka.

– Dobrze, że pan już jest. Został pan poinformowany, co się dzieje? Od wczorajszego popołudnia pańska matka nie dopuszcza do siebie nikogo z personelu. Nie pozwoliła się wieczorem umyć, a jednej z pielęgniarek wytrąciła z rąk tacę z jedzeniem i lekarstwami. Mam wielką nadzieję, że pan ją jakoś uspokoi, bo w przeciwnym razie będziemy musieli sięgnąć po środki farmakologiczne.

Zapewniam ją, że na pewno dam sobie radę. Idę do matki, zatrzymuję się przed drzwiami jej pokoju i nabieram głęboko powietrza. Dopiero wtedy wchodzę do środka.

Matka siedzi na wózku inwalidzkim obok łóżka i wpatruje się w ścianę.

– Cześć, mamo – witam się. – Jak się czujesz?

Idiotyczne pytanie, wiem.

– O, w końcu jesteś – mówi z wyrzutem. – Wytarłeś buty i umyłeś ręce?

Całe szczęście, że mnie rozpoznała, a nie pomyliła z ojcem, bo to jej się często zdarza.

– Oni chcą mnie tu zabić, ale nikogo to nie interesuje! Oni tylko czekają, żeby mnie złożyć do grobu! Może ci tutaj też są z nimi w zмовie?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Jak to, skąd. Przez dach – wyjaśnia i patrzy na mnie, jakbym miał nierówno pod sufitem.

– Słucham?

– No dach. Chcieli, żebym stamtąd spadła. Zaplanowali sobie, żeby to wyglądało na wypadek. Danielu... – zmienia ton, jakby mnie zaklinała. – Musisz mnie stąd zabrać, zanim im się uda.

Za każdym razem jestem pełen podziwu dla jej wyobraźni, kiedy odkrywa powiązania i spiski albo rozwiązuje tajemnice planowanego morderstwa.

– Ale... dlaczego pracownikom tego domu miałyby zależeć na tym, żebyś spadła z dachu? Przecież troszczą się o ciebie od rana do wieczora.

– Sam ich zapytaj.

O tak, z całą pewnością to zrobię. Wtedy nieodwołalnie wpadną tu ze strzykawką. Jeśli jednak zależy mi, żeby się uspokoiła, muszę dać jej poczucie, że biorę jej obawy na poważnie.

– Niech będzie – mówię w końcu. – Zapytam, wychodząc.

– Nie, idź teraz. Zapytaj ich od razu. Zapytaj, dlaczego zamknęli mnie na dachu. Na kilka godzin. Zobaczysz, jak dziwnie zareagują. No dalej, pytaj.

Dwoma ruchami ramion przejeżdża wózkiem do wezgłowia i przyciska czerwony guzik, służący do przywoływania personelu.

Znam pielęgniarkę, która chwilę później wchodzi do pokoju. To Maria, około pięćdziesięcioletnia kobieta o bardzo troskliwym podejściu do pacjentów.

– No zapytaj! Zapytaj ją! – pogania mnie matka, jeszcze zanim Maria ma szansę się przywitać. Wskazuję głową na zewnątrz i nachylam się w stronę matki.

– Dobrze, zaraz to wyjaśnię – szepczę jej na ucho, po czym wychodzę z Marią na korytarz.

– Jest przekonana, że wczoraj chcieliście zrzucić ją z dachu – wyjaśniam, zamykając za sobą drzwi.



Wbrew moim oczekiwaniom pielęgniarka potakuje i uśmiecha się lekko zawstydzona.

– Ach, to o to chodzi... Nie miałam pojęcia, bo z nami przestała rozmawiać. To dla nas bardzo przykra sprawa. Naprawdę nie mam pojęcia, jak to się mogło stać. Zapomnieliśmy o niej!

– Słucham? – Nie rozumiem, do czego zmierza.

– Jedna z pielęgniarek zawiozła pańską matkę wczoraj po obiedzie na dach. To wspaniałe miejsce. Zawsze przy ładnej pogodzie staramy się zabierać tam naszych seniorów, żeby odetchnęli świeżym powietrzem i zakosztowali nieco słońca. Nie mamy niestety ogrodu, żeby zabierać ich na dwór.

Taras na dachu, wiem, że funkcjonuje i sam byłem tam z mamą.

– No właśnie... a potem ktoś zapomniał, że ona tam została. I ta pielęgniarka przypomniała sobie o niej dopiero, kiedy przyszła kolejna zmiana. Od razu ją stamtąd zabrały, ale pańska matka spędziła na dachu dwie godziny.

– W takim razie nie wymyśliła sobie tego?

Znow zawstydzony uśmiech.

– Wie pan, ona tam tylko była, ale nikt nie chciał jej zrzucić!

– To teraz musimy jej to razem wyjaśnić.

Przez bite pół godziny staramy się wyjaśnić matce, że jej przedłużony pobyt na tarasie na dachu wynikał z przeoczenia.

Zostaję z nią jeszcze chwilę, rozmawiamy o jakichś sprawach z przeszłości w tonie, jakby wydarzyły się dopiero co, a ja ignoruję jej werbalne ataki, w których co chwilę zarzuca mi udział w spisku na jej życie.

Kiedy zamykam za sobą drzwi jej pokoju, opieram się o ścianę obok i przymykam powieki. Wciąż jeszcze ciężko mi widzieć matkę w takim stanie. Mimo tylu już lat.

Pamiętam pierwsze niepokojące objawy jej schizofrenii. Strach przed tajemniczymi prześladowcami. Napady histerycznego płaczu, kiedy zwijała się w jakimś kącie albo na podłodze i szlochała. Jej

maniakalna dbałość o higienę... miałem dziesięć lat, kiedy straciłem do niej zaufanie.

Bywały dni, w których trzykrotnie musiałem brać prysznic i szorować się szarym mydłem i szczotką ryżową, żeby zmyć z siebie bakterie i pasożyty, które, jak twierdziła, zamieszkały w porach mojej skóry i chciały zniszczyć moje ciało, zanieczyścić organizm i zjeść od środka. Wciąż pamiętam wieczory, kiedy leżałem w łóżku i bałem się choćby poruszyć, bo cała skóra paliła mnie żywym ogniem.

Potem zaczęła się wędrówka po lekarzach, pobyty w szpitalach, leczenie na zamkniętych oddziałach i sanatoria. Przed siedmioma laty sytuacja wszystkich przerosła. W swoim obłędzie stała się zagrożeniem dla siebie samej i dla wszystkich w jej otoczeniu, w szczególności dla ojca. Wtedy trafiła do domu opieki.

Z zamyślenia wyrывa mnie dzwonek telefonu. Kolega z grupy operacyjnej. Dzwoni, żeby przekazać, że jedenastolatka przesunęła się na pierwsze miejsce w głosowaniu.

## 20

Po wyjściu Daniela potrzebuję niemal trzydziestu minut, żeby się ogarnąć i móc na czymkolwiek skupić.

Jego matka.

Nie po raz pierwszy jestem dla kogoś niesprawiedliwa i za szybko wyciągam wnioski. Tyle że nigdy jeszcze nie czułam się po tym tak okropnie. Prawie go nie znam, a mimo to przy pierwszej lepszej okazji zarzucam mu niewłaściwe postępowanie, opierając się tylko na swoich przypuszczeniach. Zupełnie jakbym wiedziała coś na pewno. Zupełnie jakbym miała do tego prawo...

Jestem przekonana, że będzie mnie teraz traktował jak kogoś nieobliczalnego.

A jego jedynym przewinieniem było znalezienie się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Nie zszedł mi z linii strzału. Z taką samą agresją zaatakowałabym każdą inną osobę, która by mi się wtedy nawinęła i dała jakikolwiek powód. Podświadomie szukałam sposobu, żeby pozbyć się tego wewnętrznego ciśnienia.

Niezdecydowanie sięgam po telefon. W zasadzie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym do niego zadzwoniła. Pewnie i tak nie odbierze, ale wtedy zostawiłabym przeprosiny nagrane na pocztę głosowej. I nie musiałabym patrzeć mu w oczy. I nie czekałabym, co mi odpowie.

Bardzo wygodne rozwiązanie. I przy tym tchórzliwe.

Nie, poczekam na pierwszą spokojniejszą chwilę, żeby z nim porozmawiać. Następnym razem ugryzę się w język. A teraz wracam do pracy.

Przez cały czas patrzyłam na ekran, ale nie skupiałam się na tym, co widziałam. Nie jestem na bieżąco z forum. Dopiero teraz

zaczynam świadomie czytać kolejne posty i momentalnie zbiera mi się na wymioty.

*Oddaję głos na tę małą! Nie odważysz się, Trajan! Zakład?*

Komentarze pojawiają się bez chwili przerwy. Miesza się w nich rozsądek z szaleństwem, nienawiść z paniką i głód sensacji z obrzydzeniem.

*Kto morduje kotki, nie zasługuje, żeby żyć. Niezależnie od wieku.*

*To przecież dziecko! DZIECKO! Nie dociera, barany?*

*Może w końcu pieprzona policja się obudzi, co?*

*Sama mam jedenastoletnią córkę, którą właśnie odbieram ze szkoły. Nawet na chwilę nie spuszczę jej z oczu.*

*Już nie mogę się doczekać, co Trajan dla niej przygotował!*

Otwieram jedno z okien na całą szerokość i czuję, jak zimne powietrze wypełnia pokój, lecz to nic nie pomaga. Mdłości nie odpuszczają, ale nie mogę przecież znów się porzygać, jestem w końcu częścią pieprzonej policji, która ma się obudzić.

Która w końcu musi się obudzić.

Niechętnie zamykam wąż i wracam na stronę główną, gdzie odbywa się głosowanie. Nic, co tam zobaczę, nie będzie dobre, ale mam nadzieję, że przynajmniej najgorszego scenariusza uda się uniknąć.

Nadzieja jest matką głupich. Pasek jedenastolatki jest zakolorowany prawie w połowie i wskazuje trzydzieści siedem procent. Zaraz za nią plasuje się kobieta, która ma szczęście w życiu.

Staram się skupić na głębokich oddechach, żeby tylko uniknąć podejmowania decyzji, które mogą okazać się nieprzemyślane. Trzydzieści siedem procent to bardzo dużo, mimo że głosowanie dopiero się rozpoczęło. Byłam strasznie naiwna, wierząc w naturalny instynkt, który każe nam chronić przede wszystkim dzieci.

Poza tym – jak to Daniel ujął ostatnio? – Trajan gra fair. Jeśli dziewczynka zwycięży, będzie musiała umrzeć. Czy już ją porwał? A może właśnie teraz przygotowuje się do porwania? O tej porze

większość jedenastolatek będzie pewnie w szkole, ale czy tam są bezpieczne? I czy dadzą radę bezpiecznie wrócić do domów...

Nie, nie wytrzymam dłużej wpatrzona w ekran komputera. Wybiegam z biura i prawie zderzam się z Christophem, który mierzy mnie zatroskanym spojrzeniem.

– Cholernie nieciekawa sprawa – mówi cicho.

– Cholernie.

– Moja córka ma dziesięć lat i uwielbia kotki, ale i tak nawet na chwilę nie wyjdzie dzisiaj sama na ulicę.

– I słusznie. – Uśmiecham się i czuję, jak wszystko przewraca mi się w żołądku. Mimo to nie oponuję, kiedy Christoph chwytą mnie za ramię.

– Co za paskudny początek nowej pracy, Nina. Strasznie mi przykro, że trafiasz akurat na coś takiego.

– Spoko. To przecież nie twoja wina. – Dziękuję mu skinieniem głowy i ruszam szybkim krokiem przed siebie. Wpadam do pierwszej wolnej kabiny w łazience, lecz poza odrobiną gorzkiego płynu nie jestem w stanie niczego więcej wymiotować.

Mimo to czuję się znacznie lepiej. Nachylam się nad umywalką, spryskuję twarz zimną wodą i mimowolnie prawie śmieję się na widok swojego odbicia w lustrze. Błede policzki, szare usta. I ślady rozmazanego tuszu do rzęs.

Uśmiech znika równie szybko, jak się pojawił, bo niespodziewanie powraca wspomnienie podobnej twarzy, tyle że wykrzywionej paniką.

Papierowym ręcznikiem usuwam ślady po tuszu, trę twarz, aż nabiera różowawej barwy, i myślę. Pomysł, który zaświtał mi wcześniej, kiedy przyglądałam się wynikom głosowania, powraca znacznie intensywniej i kusi.

Jeśli dalej będziemy podążali posłusznie śladami, które zostawia, nie rozwiążemy tej sprawy, a przynajmniej nie dość szybko. Potrzebujemy nowej strategii i nowego podejścia. Włącznie z kontaktem z Trajanem.

Wracam do biura, układając w głowie zdania. Bardzo dobrze, że Daniel jeszcze nie wrócił.

Ostrożnie zamykam za sobą drzwi i siadam do komputera. Wyniki głosowania prawie nie uległy zmianie, jedenastolatka z trzydziestoma sześcioma i siedmioma dziesiątymi procenta dalej jest na prowadzeniu.

Link opisany jako *Nominacje* znajduję pod banerem forum. Klikam na niego i otwiera się formularz. Wystarczy go teraz wypełnić.

*Użytkownik: Leyla*

*Imię i nazwisko nominowanego kandydata/kandydatki: Nina Salomon*

*Zawód: Policjantka*

*Uzasadnienie nominacji:*

Tutaj po raz pierwszy zwalniam. Dopiero od niedawna jestem w mieście i Trajan nie będzie miał problemu, żeby to sprawdzić, oczywiście gdyby tylko chciał. Jak mogłabym komuś zająć za skórę tak bardzo, że życzyłby mi śmierci?

Może... to zależy od tego kogoś. Bardzo starannie dobieram słowa.

*Uzasadnienie nominacji: Po chamsku wykorzystuje swoje stanowisko. Przystawiała się do mojego znajomego, a jak chciał ją pocałować, to zagroziła wezwaniem kolegów, bo ją molestuje. Powiedziała, że i tak nikt mu nie uwierzy, a jeśli będzie się stawiał, to chętnie poczęstuje go gazem. Bo nie tylko jest z policji, ale jeszcze jest kobietą, więc mój znajomy jest na przegranej pozycji.*

*Ja stałam tuż obok i wszystko słyszałam, ale ona miała to gdzieś. Zagroziła mi, że i tak nikt mi nie uwierzy, ale jeśli chcę, to możemy spróbować. Zaczęła się wściekać i dręczyła tego faceta normalnie, spoliczkowała go, żeby zaczął się bronić, bo wtedy mogłaby powiedzieć, że to on zaczął i go aresztować.*

*Udało nam się uciec, ale nie chcę tego tak zostawić. Ona nie powinna pracować w policji. Trzeba jej się pozbyć, bo tylko wszystko*

*niszczy.*

Raz jeszcze czytam, co napisałam, i zastanawiam się, czy zrobiłam to we właściwym tonie i czy nie przesadziłam. Najchętniej zapytałabym kogoś, czy brzmi to wiarygodnie. Może nawet Daniela. Ale z kilku względów jest to wykluczone.

Dlatego najeżdżam myszką na przycisk, zaciskam powieki i klikam „wyślij”, a potem opadam ciężko na oparcie. Na ekranie pojawia się baner z podziękowaniem za przesłaną nominację.

Teraz pozostaje mi jedynie czekać, aż Trajan przeczyta moją wiadomość. Zobaczmy, czy zainteresuje go ta historia na tyle, żeby umieścić mnie na liście. Gdyby tak się stało, w końcu mielibyśmy szansę, by go dopaść.

Z poczuciem, że wykonałam krok we właściwym kierunku, wracam na stronę główną i zaczynam przeglądać forum. Do biura wchodzi Pia i przynosi mi całą stertę protokołów z rozmów telefonicznych z mieszkańcami zgłaszającymi swoje podejrzenia.

– Są już wstępnie posortowane – wyjaśnia. – Większość to spanikowani rodzice, ale zadzwoniły do nas też dwie kobiety, które wygrały w lotto, i kilku notorycznych sępów barowych.

Co rusz spogląda w stronę biurka Daniela. Jest wyraźnie zadowolona, że go nie zastała. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Dzięki. – Przeglądam pierwsze formularze z góry. Jakaś matka przyznaje, że w ich basenie rzeczywiście utopił się kot sąsiadów, jednak jej córka nie miała z tym nic wspólnego, nie było jej w pobliżu i w dodatku jest mocno uczulona na koty, więc ich nie dotyka. Mimo to prosi o ochronę dla dziecka.

Wszyscy dzwoniący oczekują, że zapewnimy im ochronę, a niektórzy zapowiadają, że niezależnie od tego wyjadą z Hamburga na kilka dni.

– Jesteś na bieżąco z tym, co się dzieje w mediach?

Kręcę głową.

– Nie i nie mam zamiaru sprawdzać. Nie zrobię sobie tego.

– Bardzo rozsądnie – potakuje Pia. – Na twoim miejscu...

Za jej plecami otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Daniel, lecz z żadną z nas się nie wita. Wygląda na wymęczonego. Podchodzi do swojego fotela, marynarkę wiesza na oparciu i uśmiechając się z zawodową uprzejmością, spogląda na Pię.

Kobieta natychmiast się odwraca.

– Dobra, muszę lecieć. Pa.

Wychodzi i nieco za głośno zamyka za sobą drzwi. Patrę za nią ze zdumieniem.

Daniel uruchamia komputer, a ciszę w biurze przerywa jedynie szum budzącego się do życia dysku twardego.

– Napijesz się kawy? – pytam zachrypniętym głosem.

– Nie, dziękuję.

– Jak się czuje twoja matka? Wszystko z nią w porządku?

Nie odpowiada na pytanie. Rzuca mi tylko krótkie spojrzenie i z powrotem skupia się na monitorze przed sobą.

– Słuchaj... chodzi o to... Wiem, że to, jak się zachowałam, było bardzo nefajne. – Usprawiedliwienia takie jak to nigdy nie przychodzą mi łatwo, ale tego tutaj nie potrafię uniknąć. – Chciałabym cię bardzo przeprosić. Pracujemy w stresie, ale to oczywiście w żaden sposób mnie nie tłumaczy. Bardzo cię przepraszam za to, co powiedziałam i jeszcze bardziej za ton. To nie mój biznes, z kim i o czym rozmawiasz przez telefon.

Znów na mnie spogląda, tym razem nieco dłużej.

– Bardzo słuszna uwaga.

Słyszę sygnał, cichy, ale wiem, co oznacza. Otrzymałam prywatną wiadomość na forum „Morituri”. Na razie będzie musiała poczekać.

– Ta sprawa angażuje mnie bardziej, niżbym chciała – ciągnę dalej. – Ale wszystko będę miała teraz pod kontrolą. Od teraz pełna profeska. Możesz mi zaufać. – Zapewnienia przechodzą mi przez usta bez wysiłku, a wyrzuty sumienia z powodu autonominacji są tak delikatne, że mogę je zignorować.



W oczach Daniela widzę rozbawienie. Mogę się założyć, że nie spodziewał się usłyszeć ode mnie nic o profesjonalizmie w pracy. Odpowiada mi poważnym tonem.

– Teraz pracujemy razem, Nina. Moje życie prywatne to moja sprawa, jak sama słusznie zauważyłaś, i w drugą stronę działa to tak samo. Jednak dobrze by było wyjaśnić sobie przy okazji kilka spraw, żeby później nie było jakichś niedopowiedzeń.

Domyślam się, co ma na myśli, jednak nie protestuję.

– Racja. Przy okazji.

Sygnał telefonu Daniela przerywa nam rozmowę, dzwoni prokurator. Odwracam się do monitora i niecierpliwie otwieram skrzynkę odbiorczą.

Nadawcą wiadomości jest Trajan. Muszę się pilnować, żeby nie okazywać nadmiernych emocji. Nawiązaliśmy kontakt!

*Cześć, Leyla – pisze. – Podesłałaś bardzo ciekawą nominację. Kusi, żeby poddać głosowaniu kogoś z policji.*

Myślę przez chwilę.

*Kusi, ale to pewnie za duże ryzyko, co?* – odpisuję.

Musiał czekać na moją odpowiedź, bo błyskawicznie dosyła własną.

*Się zobaczy. Wiesz może, co ta Nina Salomon robi w policji?*

Czy w kontekście sytuacji, którą mu opisałam, mogłabym mieć takie informacje?

*Nie, sorry. Ale na pewno jest policjantką, bo pokazała nam legitymację. Wydawało jej się, że powinniśmy wtedy paść przed nią na kolana.*

Tym razem czekam pięć minut, zanim otrzymuję kolejną wiadomość od Trajana.

*Wspominała, czy mieszka sama? Ma kogoś?*

Najbezpieczniej będzie trzymać się prawdy.

*Powiedziała tylko, że niedawno trafiła do Hamburga i że mieszka sama. Ponoć jest jakiś gość, który za nią lata, ale ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nie powinieneś mieć z nią problemów.*

Nie jestem pewna, czy dobrze to sformułowałam. Nie chcę, żeby Trajan skupił się na Tomie i zależy mi, żeby Nina była dla niego stosunkowo łatwym celem. Jestem przekonana, że wszystkie pytania, jakie mi zadaje, służą jednemu celowi: sprawdza, jakie ma szanse, i czy Nina Salomon nadaje się do jego celów.

*Jak ten gość się nazywa?* – pisze znów.

*Pojęcia nie mam. Żadne z nas jej o to nie pytało.*

Trajan przesyła kilka emotek. Niewiarygodne... Zupełnie jakby rozmowa dotyczyła pogody!

*Naprawdę zależy ci na jej śmierci?* – pyta nagle.

Niespodziewanie robi mi się niedobrze, kiedy odpowiadam twierdząco.

*Sama się o to prosi* – dodaję. – *Głupia dziwka.*

Trzy uśmiešky i krótkie:

*Zobaczymy.*

Zamykam skrzynkę pocztową. Wciąż wypełnia mnie poczucie tryumfu, ale jest coraz słabsze. Jeszcze dwa dni do kolejnego głosowania.

Tymczasem jedenastolatka jest dalej na pierwszym miejscu. Na szczęście zmniejsza się jej przewaga nad kolejną osobą. Przeglądam wpisy na forum, w których pojawia się zupełnie nowy ton. Cała masa postów z takim samym przesłaniem: nie pozwólmy umrzeć dziecku. Bierzcie udział w głosowaniu, nawet jeśli nie planowaliście, i wybierajcie dorosłych. Wszystko po to, by uratować dziewczynkę.

I rzeczywiście, z biegiem czasu kolejne osoby na liście mają coraz więcej głosów i zmniejszają się odstępy między nimi.

Jestem przekonana, że Trajan nie posiada się z radości.

# 21

Zmierzam do gabinetu szefowej i z trudem hamuję wzburzenie. Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego to prokurator wezwał mnie na spotkanie, a nie Arendt.

Przed wejściem stoi dwóch mężczyzn w czarnych garniturach i trzeba by być ślepcem, żeby nie rozpoznać w nich ochroniarzy. Obaj mają około trzydziestu lat, przewyższają mnie o głowę i sprawiają wrażenie bardzo wysportowanych. Kiedy podchodzę, zastępują mi drogę i blokują drzwi.

– Buchholz? – pyta mężczyzna po lewej takim tonem, jakby samo zajmowanie się mną było dla niego ujmą na honorze.

Zatrzymuję się metr przed nimi, przez dwie, może trzy sekundy milczę i uspokajam emocje, by mieć pewność, że nie będę mówił podniesionym głosem.

– Nie. Nie jestem Buchholz. Dla was jestem pan komisarz Daniel Buchholz. A wy znajdujecie się w moim miejscu pracy i uniemożliwiacie mi dostęp do gabinetu przełożonej. Dlatego znacznie ważniejsze jest pytanie, co wyście za jedni? I wolałbym szybciotko usłyszeć odpowiedź, bo zaraz wezwę swoich ludzi i posadzę was, dopóki nie potwierdzimy waszych personaliów. Więc jak?

Mężczyźni wymieniają szybkie spojrzenia, po czym jeden z nich uśmiecha się krzywo.

– Spokojnie, kolego, jesteśmy po tej samej stronie. Ochrona pana ministra. Proszę bardzo, czekają na pana.

Ochrona pana ministra? W biurze Arendt poza szefową czeka na mnie prokurator Meierhofer, senator krajowy doktor Klinge, odpowiedzialny za kwestie bezpieczeństwa, i jakiś na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna, w którym dopiero po chwili

rozpoznał ministra spraw wewnętrznych Niemiec. Jego garnitur to z całą pewnością nie gotowy, masowy wyrób, tylko ręczna, staranna robota i bardzo wzmacnia aurę władzy, która otacza właściciela.

Nikt nie miał wątpliwości, że naszym dochodzeniem interesują się wyżsi urzędnicy państwowi, jednak nie spodziewałem się, że minister spraw wewnętrznych rządu federalnego osobiście pofatyguje się do nas do komendy.

– Już pan jest, bardzo dobrze. – Arendt wstaje z fotela. – Chyba nie muszę przedstawiać panu naszych gości.

– Nie. Zadbali już o to zresztą koledzy przed drzwiami, którzy pilnują tu wejścia jak selekcjonerzy przed nocnym klubem.

Arendt i Meierhofer milczą przestraszeni moimi słowami, jednak minister uśmiecha się i wita mnie skinieniem głowy.

– Znają się za to na rzeczy, więc nie narzekam.

– Panie komisarzu. – Doktor Klinge opiera dłonie na udach. – Proponuję, żeby przedstawił pan w skrócie postępy prowadzonego dochodzenia i jego tło.

Jestem przekonany, że Arendt już wszystko im powiedziała, lecz mimo to opisuję sytuację i podsumowuję stan śledztwa oraz aktualne wyniki głosowania.

– I jak dotąd nie ma nawet żadnych przypuszczeń, kto może stać za tak obrzydliwą zbrodnią? – dopytuje minister.

– Nie.

– W takim razie nic się nie zmieniło przez kilka ostatnich dni – burczy Meierhofer niezadowolony i kręci głową, jakby nie mógł pojąć, jak to możliwe.

Wzdycham głęboko i staram się skupić. Z każdą minutą coraz trudniej mi zachować profesjonalizm i rzeczowo odpowiadać na pytania, zamiast ostro ripostować. Na przykład że chętnie przyjmujemy poradę dotyczącą tego, od czego mielibyśmy zacząć.

– Mamy wielką nadzieję, że koledzy z IT poradzą sobie z zablokowaniem tej strony i może również z dotarciem do osoby,

która nią zarządza. Ewentualnie, że uda nam się go dopaść, kiedy będzie próbował porwać kolejną ofiarę.

Minister spogląda na moją przełożoną.

– To rzeczywiście niewiele. Jak pani ocenia, czym kieruje się osoba prowadząca to forum?

Arendt myśli i kiwa głową.

– Jednym z jego motywów jest bez wątpienia znalezienie się w centrum uwagi. Zależy mu na tym, żeby cały świat patrzył, jak publicznie zapowiada morderstwo, a potem je popełnia, grając przy tym policji na nosie. – Po krótkiej przerwie dodaje jeszcze: – W tej chwili, niestety, jest góra. A na jego forum zarejestrowało się już ponad dwa miliony użytkowników.

– Jestem zaskoczony i rozczarowany tym, że w naszym kraju coś takiego jest w ogóle możliwe – wtrąca się Meierhofer. Co za nadęty buc. – I że nasze służby nie potrafią poradzić sobie z takim szaleńcem. Cały świat się z nas śmieje.

– Doprawdy? – nie wytrzymuję i zwracam się do niego wzburzonym tonem. – I to panu zaprzęta głowę, tak? – Zrywam się z miejsca. – Tego się pan boi? Że ktoś będzie się z nas śmiał? To pana martwi? A nie jedenastoletnia dziewczynka na liście do głosowania na kogoś, kto ma zginąć? I setki tysięcy psychopatów przed komputerami, którzy oddają na nią swoje głosy? – Staję przed prokuratorem i z zadowoleniem stwierdzam, że cofa się przestraszony. – Muszę przyznać, że ma pan naprawdę dziwne wyobrażenie o poczuciu humoru całego świata.

– Nie... nie to miałem... na myśli...

– Buchholz. – Arendt ostrym tonem przywołuje mnie do porządku.

– Dziękuję bardzo, to wszystko, co miałem do powiedzenia.

Przesuwam wzrokiem po twarzach zebranych, po czym odwracam się i wychodzę.

Kawałeczek przed moim biurem słyszę za sobą spieszne kroki. Dogania mnie Arendt i woła mnie z daleka. Zatrzymuję się. Wciąż ciężko oddycham. Nerwy mam napięte jak postronki.

– Bardzo mi przykro... – zaczynam, jednak ona daje mi znak dłonią, że to bez znaczenia.

– Nie ma o czym mówić. Przez ostatnich kilka dni prawie pan nie spał. Do tego ścigacie ducha, który nie pozostawia śladów, i jeszcze musi pan wysłuchiwać takich komentarzy. Doskonale rozumiem, co pan czuje. Dlatego bardzo proszę, żeby wrócił pan do domu i trochę odpoczął.

– W żadnym razie. – Odwracam się i chcę wejść do biura, lecz Arendt chwytą mnie za ramię.

– To nie była prośba. Pojedzie pan teraz do domu się wyspać.

– Ale mamy jeszcze...

– Natychmiast.

Spoglądam na nią i widzę, że zakończyła już dyskusję, dlatego wzdycham i się poddaję.

– Jak pani sobie życzy. Ale bardzo proszę o informację, gdyby pojawiło się coś ważnego.

– Oczywiście.

Dwie minuty później wyjaśniam Ninie, co się stało, i zmuszam ją, żeby mi dała słowo, że powiadomi mnie, gdyby pojawiła się choćby najdrobniejsza poszlaka.

– Leć i spróbuj się wyspać.

Nie odpowiadam jej. W głowie mam pustkę.

W mieszkaniu dość szybko ogarnia mnie dziwne uczucie bycia w niewłaściwym miejscu. Kiedy wchodzę do salonu, nie czuję się jak we własnym domu.

Nawet twarz, która spogląda na mnie zapadniętymi oczyma z łazienkowego lustra, wydaje mi się dziwnie obca. Zupełnie jakbym patrzył na kopię siebie, diabelnie wierną, a jednak możliwą do odróżnienia dzięki drobiazgom.

Idę do sypialni, rozbieram się i odwieszam rzeczy do szafy. Wracam do łazienki, wchodzę pod prysznic i przez kilka minut stoję pod letnią wodą. Czekam na powrót chęci do życia. W końcu się poddaję. Gumową ściągaczką usuwam krople z szyby kabiny,

narzucam na ramiona płaszcz kąpielowy i zmęczony wracam do salonu. Padam ciężko na kanapę i zamykam oczy.

Tęsknię za snem, którego bardzo potrzebuję, lecz moje myśli bezustannie krążą wokół „Morituri”, ministra spraw wewnętrznych i prokuratora Meierhofera. Idioci.

I wokół jedenastoletniej dziewczynki, która bawi się gdzieś bez troski, nieświadoma niebezpieczeństwa, jakie jej grozi. Albo już porwanej, która półprzytomna ze strachu krzyczy gdzieś uwięziona i przyzywa matkę.

Oczyrna wyobraźnia widzę martwe dziecko. To obraz, którego nie chcę oglądać. Unoszę gwałtownie powieki i stanowczo zbyt szybko zrywam się z kanapy. Momentalnie robi mi się ciemno przed oczyma i gdybym nie potrzęsnał zdecydowanie głową, straciłbym pewnie przytomność.

Muszę coś zrobić. Tabletki nasenne mogłyby pomóc. Ale jeśli je wezmę, a za godzinę zadzwoni Nina, bo pojawiło się coś nowego w naszym śledztwie, to co wtedy? Będę usypiał na stojąco. Nie, tabletki to nie jest dobry pomysł.

Zresztą może sen wcale nie jest aż tak bardzo ważny? Poza tym przez ostatnich kilka dni złapałem kilka godzin, to tu, to tam. Może wystarczy, żebym na chwilę uwolnił się z karuzeli myśli i analiz związanych z obecnym śledztwem i zajął się czymś zupełnie innym? Taka odskocznia?

Zatrzymuję spojrzenie na smartfonie, który leży na ławie przy kanapie. Jakaś odskocznia...

Sięgam po telefon, otwieram listę kontaktów i przeglądam je po kolei. Prawie same kobiety, często same imiona. W większości przypadków nie pamiętam, jak się nazywają. Niektóre znam tylko z imienia. Za to praktycznie każdy wpis kojarzę z konkretną twarzą. Z częścią zapisanych w telefonie kobiet mam cały czas kontakt. Z niektórymi nie. Większość obraziła się, kiedy usłyszały, że nic między nami nie będzie. Zazwyczaj starałem się wymyślić jakiś powód. Tak było lepiej, bo jak zareagowałyby na przykład Beate,

gdybym jej zgodnie z prawdą powiedział, że przeszkadza mi, jak niedbale maluje paznokcie i że zahacza pędzelkiem o skórki? Albo – to jest znacznie gorsze – że czuję obrzydzenie na myśl, że je obgryza?

W końcu stwierdzam, że rzeczywiście niewiele brakuje, bym skupił się na czymś innym i przestał myśleć o śledztwie. Może powinienem do kogoś zadzwonić. Do kogoś, kto się o to nie wścieknie. Przesuwam ekran i zaczynam przeglądać listę od samej góry. Zatrzymuję się na Franzisce. W przeciwieństwie do pozostałych, ją znam dość długo. Jest o rok młodsza i rozwiedziona. Przez jakiś czas – ale krótki – byliśmy dość blisko, ale to dopiero po tym, jak rozeszła się z mężem, półtora roku temu. Jest nieco ekscentryczna. Albo była, kto wie, jaka jest teraz. Poza tym nie zerwała ze mną kontaktu, zupełnie jakby było dla niej jasne, że między nami nie wypali.

O tak, Franziska to dobry wybór. Nie wiem co prawda, czy historie o klientach, które opowiadała jako agentka ubezpieczeniowa, były prawdziwe, ale zawsze mnie śmieszyły.

Zaproszę ją na obiad. Bardzo się ucieszy. Porozmawiamy. Oderwę się.

Nie zastanawiam się dłużej i wybieram jej numer, po czym przysuwam telefon do ucha. Mam nadzieję, że odbierze. I że będzie miała czas.

– Daniel! Hej! Od dawna nie dawałeś znaku życia! Co u ciebie?

Brzmi bardzo radośnie, swobodnie i naturalnie. I nic dziwnego, bo żyje w kompletnie innym świecie.

– Co u mnie? Kupa stresu, ale przecież wiesz. Słyszałaś pewnie, co się teraz dzieje. Tak się złożyło, że mam dzisiaj wolny wieczór i pomyślałem, że fajnie byłoby się spotkać i pogadać. Wskoczmy coś zjeść? Masz ochotę?

Śmieje się.

– Brzmi nieźle. Gdzie i kiedy?



Umawiamy się na dziewiętnastą w jednej z jej ulubionych włoskich knajp. Czas pozostający mi do wyjścia spędzam – bez większych sukcesów – na próbie złapania godzinki snu, a w końcu skupiam się na mojej kolekcji płyt. Od bardzo dawna korzystam z gramofonu i teraz, słuchając *Hotelu California* The Eagles, przeglądam wydania Stonesów i zaczynam czuć się nieco lepiej.

Franziska wchodzi do niecodziennie pustej restauracji dziesięć po siódmej. Przybrała kilka kilogramów, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Witamy się pocałunkiem w policzek. Siadamy naprzeciwko siebie, a Franziska spogląda na mnie i uśmiecha się szeroko.

– Cudownie! Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że znów się odezwałeś. Opowiadaj, co u ciebie?

Próbuję się uśmiechnąć.

– No cóż, co tu dużo mówić. W pracy mamy akurat...

– Mogłabym poprosić o wino musujące? – woła słodkim głosem do kelnera, który obsługuje gości trzy stoliki dalej. – I coś do przegryzienia.

Czekam, aż znów skupi swoją uwagę na mnie.

– Właśnie mówiłem, że w pracy mam sporo stresu, ale poza tym wszystko w porządku.

– Słuchaj... – Nachyla się i otwiera szeroko oczy. – Te morderstwa... macie jakieś podejrzenia?

– Nie bądź, proszę, zła. – Uśmiecham się. – Ale o tym akurat wolałbym dzisiaj nie rozmawiać.

Potakuje powoli.

– Dobrze. Oczywiście. Zmieńmy w takim razie temat.

Kelner podaje wino, wznosimy toast.

– Naprawdę się cieszę, że pomyślałeś o mnie – ciągnie. – Ale zdradzisz mi może, skąd tak nagle?

Uśmiecha się wyczekująco.

– Bo przypomniałem sobie, jak świetnie się bawiliśmy w swoim towarzystwie.

Jej uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny.

– Tak, ja też to pamiętam – mówi i kładzie dłoń na mojej dłoni.

Okej. Nie chciałem rozmawiać o śledztwie, ale teraz nasza konwersacja zmierza w kierunku, który przynajmniej tak samo mi nie pasuje.

– Franziska, zadzwoniłem do ciebie, bo chciałem się z tobą zobaczyć. Spotkać, porozmawiać... to wszystko. Rozumiesz?

Cofa gwałtownie dłoń.

– To wszystko?

– Tak, to wszystko. Przecież zawsze świetnie się rozumieliśmy.

Zmienia się wyraz jej twarzy i to w sposób, który zupełnie mi się nie podoba, bo nie zwiastuje niczego dobrego.

– Tak tylko. Pogadać. A czy to przypadkiem nie jest tak, że jakaś dupa wystawiła cię do wiatru i szukałeś zapchajdziury na jej miejsce?

O nie, tylko nie to. Nie dzisiaj.

– Franziska... proszę...

– Nic nie mów, wszystko rozumiem. Pomyślałeś sobie, że jeśli Petra czy Martina, czy jak tam jej było na imię, nie przyjdzie na spotkanie, to spędzisz sobie wieczór z kochaną Franziską, żeby się trochę pocieszyć. Ale tylko sobie poplotkujecie. Bo z Franziską nic innego nie wchodzi w rachubę.

– Nie – protestuję z wysiłkiem. – Jest zupełnie inaczej. Naprawdę chciałem się z tobą zobaczyć i...

– ...i poplotkować. No pewnie. Wszystko rozumiem. Co ci nie odpowiada? Hm? Jestem dla ciebie za stara? Za dużo mam ciała? Czy może masz zasadę, że nie tykasz raz odstawionych?

Dobra, starczy. Wyjmuję z portfela banknot dwadzieścia euro, kładę go na stoliku, wstaję i wychodzę.

Liczę się z tym, że zaczniesz wykrzykiwać za mną jakieś obelgi, ale na szczęście tego nie robi.

Kiedy podchodzę do samochodu, serce wali mi jak szalone. Za to w ogóle nie przejmuję się już Franziską. Moje myśli znów krążą

wokół forum „Morituri”.

## IV

Zabawa nieźle się rozkręca, stwierdza i szklanką wody mineralnej wznosi toast w stronę monitora. Dotychczas to była rzeź owieczek, które same ustalały, która z ich grona ma umrzeć, a potem przyglądały się, jak wykonuje swoją robotę. Na koniec wszystkie zaczynały beczeć jedna przez drugą; wzburzone, przerażone... nie mogły się doczekać kolejnej rundy.

A teraz, proszę, jednej z nich wyrosły wilcze zęby.

Odstawia szklankę i sięga po dwie nominacje, które sobie wydrukował.

– Leyla – mówi i się rozmarza. – Miałaś naprawdę świetny pomysł!

Zabicie policjantki będzie niesamowicie satysfakcjonujące i to w kilku wymiarach. Policjanci to symbol systemu, całego aparatu państwa, więc jej publiczna śmierć pokaże wszystkim, jak łatwo zburzyć ten fundament. Trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać.

Bezczelnie wykorzystuje swoją pozycję.

Jeśli rzeczywiście zdecyduje się wciągnąć ją na listę kandydatów poddanych pod głosowanie, wykorzysta to zdanie jako uzasadnienie. I tak dobierze jej przeciwników, żeby ta bezmyślna masa na pewno wskazała Ninę Salomon.

Policjantkę. Tę policjantkę.

Z uśmiechem odkłada kartkę na blat i podnosi kolejną. Ta propozycja jest w przewrotny sposób znacznie, znacznie lepsza.

Bo na samej górze, w rubryce z imieniem i nazwiskiem nominowanego kandydata, znajduje się jego, Trajana, imię i nazwisko. Pieprzone, nudne imię, które nadali mu jego pieprzeni rodzice.

*Zawód: psychopatyczny morderca.*

*Uzasadnienie nominacji: Jw. Psychopatyczny morderca. Serio myślałeś, że nikt cię nie rozpozna? Okej, nieźle zamaskowałeś ślady, tu szacun, ale mimo to nie dałeś rady się powstrzymać i zostawiłeś charakterystyczne ślady. Jakbyś się podpisał!*

*Cały czas się zastanawiam, co powinienem teraz zrobić. Podesłać policji ciekawą informację? To jedna z możliwości, choć najnudniejsza. A tak na serio, to kiedy zasugerowałeś, że możesz zabić dzieciaka, to przeholowałeś. Nawet jeśli to jakaś sadystyczna smarkula.*

*Co byś powiedział na poddanie siebie samego pod głosowanie? Na koniec mógłbyś popełnić jakieś ciekawe samobójstwo z transmisją na żywo. Gdybyś się zdecydował, masz mój głos. Serio.*

*Jeśli chcesz, możesz mnie jakoś przekonać. Pisz tutaj, na priv. Wiesz, co jest w tym najpiękniejsze? To, że ja wiem, kim jesteś, a ty nie masz bladego pojęcia, kim jestem ja. To wywraca do góry nogami zasady twojej zabawnej gry. Nie mogę przestać rechotać. Wszyscy szukają cię jak szaleni i wystarczyłoby, żebym napisał gdzieś, jak masz na imię. Może niedługo to zrobię, co? Kto wie.*

*No dobra, to czekam na jakąś odpowiedź. Ale lepiej się pośpiesz. Nie podoba mi się to, co robisz, ale jeśli od razu przestaniesz, możemy się dogadać co do warunków, żebym cię nie wydał. A lekarza i prawnika zupełnie mi nie żal.*

Czyta wiadomość jeszcze dwa razy z rzędu, zanim odkłada ją na blat. W samym tekście jest wyjątkowo dużo kwiatków, nad którymi warto się zastanowić. I spora dawka naiwności. Bo przecież oczywiście, że wie, kto to napisał.

Sprawdza przygotowany harmonogram i postanawia, że nieco go zmieni. W końcu to jego gra i to on ustala w niej zasady. Nikomu nie musi się tłumaczyć.

## 22

Czuję to, zanim usłyszę. Wciska się w mój dziwny, pokręcony sen, w którym raz jestem nad wodą, a raz pod, ale przez cały czas mogę oddychać. No popatrz, myślę wtedy, nie jest źle, człowiek nie umiera tak od razu...

A potem sen znika, pokonany przez nieustępliwy sygnał dzwonka gdzieś obok mojej głowy.

Komórka. Podnoszę się z trudem, siadam i sięgam po nią po omacku.

Trzy minuty przed piątą rano. Daniel.

– Przykro mi, że cię budzę. – W jego głosie słyszę raczej wyczerpanie niż zmęczenie. – Mamy kolejne zwłoki, właśnie przyszło powiadomienie. Dziesięć minut ci wystarczy? Podjadę po ciebie.

– Czekał... – Mam straszny mętlik w głowie. Przecież to jeszcze nie czas, głosowanie jeszcze trwa. – To ta dziewczynka? – pytam szeptem.

– Nie. Jakiś mężczyzna. Do zobaczenia.

Prysznic, wyjmuję na ślepo świeżą bieliznę z jednego z kartonów i wkładam koszulę. Zapinam dżinsy, kiedy znów dzwoni mój telefon. Daniel czeka już pod drzwiami. Zbiegając schodami, staram się uporządkować myśli. Ofiara to mężczyzna, a to nie pasuje do schematu. Jedyne mężczyzna wśród kandydatów zajmował dopiero trzecie miejsce i miał ogromną stratę.

Daniel rusza, zanim zamykam drzwi. Jest wcześnie rano, ulice są puste, a dodatkowo wspomaga nas kogut na dachu. Dwanaście minut. Jesteśmy na miejscu. Nisza w ścianie przeciwpożarowej, magazyn odpadów do recyklingu, trudno cokolwiek zobaczyć.

Ciało leży w wypełnionym do połowy pojemniku na makulaturę, na boku, jakby zwinął się do snu.

Patrzę na jego twarz i od razu wiem, kto to. Przypominam sobie arogancję, z jaką nas przywitał, i złość, jaką we mnie wtedy wzbudził.

– Jens Vogt – mówi Daniel cichym głosem.

No właśnie. Jens Vogt, który włamuje się do obcych systemów komputerowych i żąda wynagrodzenia za ratowanie życia.

Teraz, kiedy patrzę, jak leży, wydaje się znacznie młodszy niż ostatnio. Mam wrażenie, że znów stał się dzieckiem, którym był kiedyś. Gazety i kartony pod nim są ubrudzone krwią, lecz nie jest jej zbyt wiele, a na ciele denata nie widzę żadnych obrażeń.

Odwracam się.

– Kto go znalazł?

Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy wskazuje głową na mężczyznę, który stoi nieco z boku i ma minę, jakby wolałby być w każdym innym miejscu na ziemi, byle nie tutaj. Sądząc po stanie jego ubrania, to bezdomny.

– Friedrich Kressler – przedstawia się. Wyciągam dłoń. Waha się, ale w końcu ją ściska. – Chciałem tylko zabrać trochę gazet pod śpiwór. Często tak robię.

Zadaję mu standardowe pytania i nie otrzymuję żadnej przydatnej odpowiedzi. Nie, nikogo wcześniej nie widział, tak, od razu pobiegł zawiadomić policję, nie, nie ma pojęcia, która to była. Nie ma zegarka. Ale minęła już przynajmniej godzina.

Podaje nam miejsce, gdzie możemy go znaleźć, bo często tam sypia.

– Jestem tam przeważnie w nocy, gdybym był wam jeszcze potrzebny.

Spogląda na mnie wyczekująco. Liczę kolegów z prewencji i uznaję, że jeden mniej czy więcej nie zrobi różnicy. Proszę pierwszego z brzegu na bok i wciskam w dłoń dziesięć euro.

– Proszę kupić panu Kresslerowi jakieś śniadanie.

Godzinę później, już w biurze, zmuszam się do przełknięcia jednego banana. Na pierwsze miejsce w głosowaniu wysunęła się kobieta, która ma w życiu szczęście. O dwa procent wyprzedziła jedenastolatkę. Czy opis jedyne go mężczyzny w tym zestawieniu pasuje do Jensa Vogta? Nawet jeśli, to sposób, w jaki zginął, nie pasuje do Trajana. Do tego na stronie forum brakuje jakiegokolwiek informacji o kolejnym morderstwie.

Ale nie mam wątpliwości, że istnieje jakiś związek. Musi istnieć.

– Dowiem się wszystkiego – obwieszcza tryumfalnie Marc, kiedy krótko po nas pojawia się na komendzie. – Rozmawialiście już z pozostałymi członkami WPC?

– Dopiero tu jadą. Ale możesz być pewny, że nie wyjdą, dopóki czegoś z nich nie wyciągniemy.

W drzwiach do biura staje Arendt. Jest tak blada, że róż na jej policzkach odcina się rdzaworudo od jasnej skóry.

– Ludzi z WPC przejmie ktoś inny z grupy operacyjnej. Wy sprawdzacie wszystkie ślady i poszlaki. Nie możemy dopuścić do kolejnego morderstwa.

Daniel wstaje gwałtownie.

– To nie wchodzi w rachubę. Znamy współpracowników Vogta, mamy punkt zaczepienia i byłoby zupełnym bezsenssem, gdybyśmy nie mogli przeprowadzić tego...

– Będzie pan robił, co każe, Buchholz! – Po raz pierwszy widzę Arendt w takim stanie. – Jeśli dziś w nocy odbędzie się kolejna publiczna egzekucja, to my jesteśmy następni na liście! Nie dociera to do pana? Za wszelką cenę musimy zapobiec następnej śmierci! Koniec, kropka. Koledzy z USA od wczoraj pracują nad stworzeniem profilu sprawcy i wykorzystują wszystkie swoje kanały i znajomości, żeby pomóc usunąć tę stronę z sieci. Całe szczęście, że dzisiaj szkoły są zamknięte, ale gdybyście wyjrżeli na dwór, to i tak ulice są puste. Miasto wygląda na wymarłe. – Przerzywa i zaciska usta tak mocno, że odpywa z nich krew. Przez chwilę walczy, żeby zapanować nad nerwami. – Od pięciu dni jakiś szaleniec zapowiada,



kogo zamorduje, a potem robi to na naszych oczach. To się musi skończyć. I to natychmiast. Dziś.

Potem odwraca się i odchodzi bez słowa. Daniel natychmiast sięga po telefon.

– Oczekuję wizyty trzech osób – Manueli Donell, Rainera Gerbera i Paula Johansena. Przyślijcie ich prosto do mnie do biura, jak tylko się pojawią. Dzięki.

Zupełnie nie jest mi do śmiechu, jednak nie mogę powstrzymać się przed pełną przekąsą i rozbawienia uwagą.

– Nieposłuszeństwo wobec przełożonych? Myślałam, że to moja specjalność?

Nie podchwytuje mojego tonu.

– Kończy nam się czas, Nina, a Arendt ma teraz ważniejsze rzeczy do roboty, niż zajmować się takimi drobiazgami. Zastanawiałaś się już, czy w przypadku śmierci Vogta mamy do czynienia z pasożytem, czy raczej z kimś, komu puściły nerwy i postanowił samodzielnie pozbyć się Trajana? Teraz w Hamburgu naprawdę może zapanować psychoza. Jeśli damy temu psychopacie jeszcze kilka dni, zdobędzie pełną kontrolę nad miastem.

Manuela Donell zalewa się łzami, jeszcze zanim przekracza próg naszego biura. Gerber niezdarnie obejmuje ją ramieniem, a Johansen trzyma się kawałek za nimi, jakby nie miał z nimi nic wspólnego. On również jest pierwszą osobą, która zaczyna mówić.

– Jens zawsze miał z tym cholerny problem. Uważał, że jest bystrzejszy od wszystkich i nie grał zespołowo, tylko na własny rachunek. A przez ostatni tydzień to już w ogóle.

– Czy rzucał jakieś uwagi? Aluzje? – dopytuje Daniel. – Wiecie może, nad czym akurat pracował?

Kręcą głowami, cała trójka. Po raz ostatni widzieli Vogta poprzedniego dnia, przed południem, kiedy oznajmił, że jedzie do domu się przespać, bo przez całą noc pracował.

To jedno z tych rozpytań, podczas których od samego początku mam poczucie marnotrawienia czasu. Aż do chwili, kiedy napotykam

spojrzenie Gerbera. Patrzy na mnie, opuszcza powieki i zaraz je unosi.

Czekam, aż Daniel skończy listę pytań i pożegna całą trójkę. Kiedy wychodzą, zwracam się bezpośrednio do Gerbera.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy, panie Gerber. Zechciałby mi pan odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie? Ale na osobności.

Czekam, aż zamknie drzwi i usiądzie.

– Chciał pan nam coś wyznać, prawda? Ale nie w towarzystwie współpracowników?

– No, zgadza się. – Spogląda to na mnie, to na Daniela. – Może tylko mi się wydaje, ale przez ostatnie dwa dni Jens wydawał się nadmiernie szczęśliwy. Większość czasu spędzał, zajmując się „Morituri”, i tam... jak by to powiedzieć... nawiązał kilka znajomości.

W dłoni trzymam długopis i jestem gotowa do robienia notatek.

– Zna pan nazwiska?

– Nie. Ale zajęliście przecież jego komputer. Gdybyście nie poradzili sobie z jego zabezpieczeniami, bardzo chętnie pomogę.

Waha się; ma coś jeszcze do powiedzenia, ale nie wie, od czego zacząć. Niemal fizycznie odczuwam rosnące zniecierpliwienie Daniela.

– Poza tym... ostatnio wyszliśmy na piwo... a on przez cały czas nabijał się z imienia Trajana. Gdyby tylko wszyscy wiedzieli, powtarzał. Cały czas.

Daniel stuka długopisem w blat stołu i wybija coraz bardziej nerwowy rytm.

– Powiedział może coś konkretniejszego?

– Nie. – Gerber bawi się rzadką bródką i zwija kilka włosów w kosmyk. – Możliwe, że się mylę. Dlatego nie chciałem, żeby inni to słyszeli. Ale wiecie państwo – Jens był chwalipiętą i lubił robić wrażenie. Mimo to jestem pewien, że wiedział, kim jest Trajan.

Komputer Vogta otrzymuje najwyższy priorytet. Gerber zapewnia, że jest gotów w każdej chwili przyjechać pomóc, gdyby specjaliści z wydziału do spraw cyberprzestępczości nie dali sobie rady.

Czuję, że złość, która narodziła się nieco wcześniej, zaczyna wzbierać i nie daje mi spokoju. Jeśli Vogt wiedział, albo przynajmniej podejrzewał, kto stoi za „Morituri” – dlaczego nic nam nie powiedział? Nie dość, że pewnie by żył, to Trajan byłby już w naszych rękach i nikomu nie groziłoby niebezpieczeństwo, że za kilka godzin stanie się głównym aktorem publicznej egzekucji.

Ale ponoć nawiązał jakieś znajomości na forum. Gerber nie miał pojęcia, pod jakim nickiem Vogt tam funkcjonował, za to miał pewność, że spotkał się tam z kilkoma chłopakami, którzy mieli pojęcie o komputerach.

Dlatego szukam teraz wątków dotyczących jakichś technicznych zagadnień. Większość dyskusji to jakieś dywagacje, pełne aluzji i pozbawione konkretów.

Dopiero po dwóch godzinach trafiam na rozmowę, która ciągnie się przez ponad osiemdziesiąt postów tak najeżonych fachowym słownictwem, że już po kilku chwilach nie wiem, o co w niej chodzi. Na koniec trafiam na to, czego szukam: czterech użytkowników, którzy otwarcie kpią sobie z Trajana. Gogolx, Pustebłume, McQuentin i Blackjack11.

Szczególnie ten ostatni pozwala sobie na mocne uszczypliwości. I dodaje, że Trajan może robić, to, co robi, bo on, Blackjack, mu na to pozwala.

Przesuwam stronę na sam dół. McQuentin ostatni post zamieścił dzisiaj, krótko po dziewiątej rano, czyli w czasie, kiedy Vogt nie żył już od dobrych ośmiu godzin. Teoretycznie więc mógłby skrywać się pod którymś z trzech pozostałych nicków – albo pod żadnym.

Przyjmijmy, że Gerber ma rację i Vogt poznał prawdziwą tożsamość Trajana – czy istnieje możliwość, że zdradził ją któremuś z trójki pozostałych użytkowników, z którymi rozmawiał? W końcu lubił się chwalić...

Mało prawdopodobne, ale też niewykluczone.

Zastanawiam się przez chwilę, czy dalej realizować swój pomysł oficjalnie i widzę, jak Daniel nerwowo dyskutuje o czymś z Marcem.

Dlatego rezygnuję z takiej drogi.

*Hej, McQuentin – piszę kolejną wiadomość prywatną. – Widzę, że jesteś nieźle ogarnięty technicznie. Słuchaj, też jesteś z Hamburga? Czyli grozi ci to samo, co nam?:)*

*Powoli zaczynam się bać o siebie. Bo jeśli na liście pojawi się blond tancerka ze słabością do butów, to wiesz, że chodzi o mnie.*

*Jeśli nie zależy ci na mojej przedwczesnej śmierci i mógłbyś jej zapobiec swoimi komputerowymi sztuczkami, byłabym superwdzięczna! Ale tylko, jeśli ci to niczym nie grozi.*

*Całuski, Leyla*

Wysyłam wiadomość, a w następnej chwili na moim biurku ląduje zapisana kartka. Marc.

– Ktoś się właśnie zgłosił z problemem. Od wczoraj wieczora nie ma kontaktu z matką. Kobieta ma pięćdziesiąt osiem lat i jest wdową. Facet uważa, że ona może być kandydatką, która ma szczęście w życiu, bo przed trzema laty odziedziczyła dom po jakiejś bardzo dalekiej kuzynce.

Jeszcze raz czytam opis. Bzdura totalna, podpowiada mi instynkt, ale też zdaję sobie sprawę, że mam obowiązek sprawdzenia informacji. Bo niechby się okazało, że...

Machina rusza. O czwartej po południu mamy już rozesłaną wiadomość o poszukiwaniach i jedziemy do jej syna, który mieszka samotnie w małym dwupokojowym mieszkanku. Na podłodze trzy puste skrzynki po piwie jedna na drugiej. W tym samym czasie na komendę wpływają jeszcze cztery zgłoszenia zaginięć, w tym jedno dotyczące ośmioletniej dziewczynki, która zniknęła matce z oczu w czasie zakupów w pasażu Europapassage.

Rozpytujemy jeszcze zatroskanego syna w jego chaotycznie urządzonej kuchni, kiedy niespodziewanie dzwoni do niego zaginiona matka. Wyłączyła dźwięk w komórce i dopiero teraz odsłuchiwała jego wiadomości. A pojechała w odwiedziny do przyjaciółki nad Morze Północne. Słyszymy jej śmiech, a ja walczę z sobą, żeby nie kopnąć z wściekłości w ścianę.

– Będzie już tylko gorzej – przepowiada Daniel, kiedy wychodzimy. – Ludzie będą reagowali na każdą nieprawidłowość straszną histerią i zasypią nas zgłoszeniami, a my nie będziemy mieć czasu i sił, by wyłapać właściwe ślady.

I ma rację, przynajmniej jeśli chodzi o ten konkretny dzień. Jesteśmy zalewani zgłoszeniami, jakby ruszyła na nas fala powodziowa. A przecież czas mija nieubłaganie. O dziewiętnastej pojawia się prokurator i trzaskając drzwiami, zamyka się w biurze Arendt. Za dwie godziny głosowanie dobiegnie końca. Wiadomo już, że jedenastolatka jest bezpieczna. Wątek, w którym tysiące użytkowników wzywało do ratowania jej życia i głosowania na kogoś innego, okazał się skuteczny. Na pierwsze miejsce wysforowała się kobieta, która ma w życiu dużo szczęścia, i ona pewnie zwycięży.

McQuentin nie odpowiedział na moją wiadomość.

– On już ją porwał – twierdzi Daniel o wpół do ósmej. – Na pewno. Trzyma ją gdzieś uwięzioną i realizuje swój perwersyjny scenariusz, a jego efekt zaprezentuje nam gdzieś w środku nocy. Spóźniliśmy się.

Tuż przed dwudziestą pierwszą dołączają do nas Christoph, Marc i Pia. W biurze panuje niecodzienna cisza, a wszyscy wpatrują się w ekran komputera Daniela.

Punktualnie co do sekundy znika przycisk umożliwiający oddawanie głosów i zaczyna pulsować krótki opis zwycięzcy. Zaraz potem Trajan publikuje post zawierający te same słowa, co poprzednio.

*Dokonałście wyboru.*

*Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem.*

– Cholera... – słyszę szept Christopha. – To przecież niemożliwe... On musi w końcu popełnić błąd!

Zupełnie jakby Trajan go słyszał, dodaje jeszcze kilka linijek do swojej wiadomości.

*Muszę poprosić Was o chwilę cierpliwości. Show dla Was odbędzie się nie dziś w nocy, a dopiero za dwadzieścia cztery godziny. Za to*

*będzie znacznie bardziej ekscytujący. Macie moje słowo.*

Czuję ulgę tak ogromną, że robi mi się słabo. Opieram się o biurko i dopiero teraz dociera do mnie, jak strasznie jestem zmęczona. Słyszę śmiech Daniela.

– Wygląda na to, że Trajana dręczą podobne problemy – kpi. – Ma za mało czasu.

## 23

Gdy zostajemy sami w biurze, siadam wygodniej w fotelu, opieram głowę i zamykam na chwilę oczy. Nie mogę się zdecydować, czy przesunięcie „show”, jak Trajan nazwał swój brutalny spektakl, to dobry, czy raczej zły znak. Może rzeczywiście zaczyna mu brakować czasu? To by potwierdzało moją teorię samotnego wilka.

No dobrze. Od kiedy znaleźliśmy faceta, który wyprowadzał swojego psa sąsiadom na trawniki, a w głosowaniu zajmował drugie miejsce, wiemy, że Trajan jeszcze przed ogłoszeniem wyników porywa obie prowadzące osoby. Możliwe, że tym razem coś poszło nie po jego myśli. Taką mam przynajmniej nadzieję. I jest szansa, że wkrótce popełni błąd, który naprowadzi nas na jego ślad.

Istnieje jeszcze możliwość, że chce tylko podnieść napięcie i podbić sobie liczbę użytkowników.

– Ziemia do Buchholza! – Otwieram oczy i widzę pytające spojrzenie Niny. Dociera do mnie, że właśnie udało mi się zasnąć przy biurku.

– Słucham? Przepraszam, zamyśliłem się. – Siadam prosto i staram się sprawiać całkowicie przytomne wrażenie.

– Zapytałam, czy nie jesteś głodny – wyjaśnia Nina i wstaje. – Jeśli się nie mylę, ty też od rana nic nie jadłeś. Nie wiem, jak się z tym czujesz, ale ja muszę coś zjeść, bo inaczej padnę.

Zupełnie jakby jej słowa uruchomiły jakiś mechanizm, zaczyna mi burczeć w żołądku. Rzucam ostatecznie spojrzenie na monitor. Treść nowych postów pojawiających się nieustannie na stronie głównej forum jest zbyt rozmyta, bym mógł je przeczytać. Zamykam oczy i masuję powieki kciukiem i palcem wskazującym. To pomaga.

Po raz któryś z rzędu czytam opis „zwycięzcy”. Jest tak ogólny, że nie mamy najmniejszych szans, by zawęzić krąg zagrożonych

osób. Analiza komputera Vogta jeszcze trwa, więc stamtąd na razie nie mamy co liczyć na żadne pomocne wskazówki.

Można się załamać. W tej chwili rzeczywiście nie ma innej możliwości, jak odbierać telefony od zaniepokojonych obywateli i mieć nadzieję, że któraś z informacji okaże się przydatna. Albo, w znacznie mniej korzystnym dla nas scenariuszu – że wpłynie zgłoszenie zaginięcia, które będzie pasowało do któregoś z opisów.

Na szczęście działa gorąca linia, przy której dyżuruje zespół funkcjonariuszy, więc godzina bez nas nie powinna zaszkodzić.

Potakuję.

– O tak, to świetny pomysł, bo też jestem głodny. Tutaj niedaleko jest świetna włoska restauracja. Może być?

– W tej chwili zjadłabym cokolwiek, byle tylko zapełnić żołądek. Więc tak, może być.

Zanim opuścimy komendę, informuję pozostałych o krótkiej przerwie i zobowiązuję – niepotrzebnie, bo i tak by to zrobili – żeby dzwonili przy każdej nowej informacji.

Jest już dwadzieścia po dziesiątej wieczorem, a ulice są kompletnie puste. Siadamy przy stoliku przy oknie, szczęśliwi, że kuchnia jeszcze działa. Ja zamawiam stek wołowy z grilla, a Nina pizzę z serem, szynką i rukolą. Do tego oboje wybieramy po dużej szklance soku jabłkowego z wodą gazowaną. Wolałbym wprawdzie wypić lampkę Barolo, ale po nim czułbym się jeszcze bardziej zmęczony niż teraz.

– Byłeś już kiedyś w takiej sytuacji? – pyta Nina niespodzianie i odstawia szklankę.

– W jakiej? Chodzi ci o to forum? Nie, Bogu dzięki nie.

– Nie, nie mówię o forum. O zapowiedzi morderstwa. Że wiesz, że za kilka godzin zginie jakiś człowiek. – Po chwili, która jest za krótka, bym mógł odpowiedzieć, dodaje: – I nic nie możesz zrobić, żeby temu zapobiec.

Zastanawiam się przez chwilę, choć odpowiedź jest przecież jasna.

– Nie. Bogu dzięki nie.



– No właśnie... właściwie dlaczego zostałeś policjantem?

Matka wszystkich pytań. Nie ma na nie jednej odpowiedzi, a z wielu, których mógłbym udzielić, żadna nie byłaby zmyślona. Wybieram najbardziej podstawową.

– To była kombinacja dwóch przyczyn. W szkole podstawowej, nie pamiętam już, w siódmej albo ósmej klasie, koledzy mnie systematycznie bili. Byłem wtedy raczej drobny jak na swój wiek, co jeszcze bardziej zachęcało agresorów. Dręczyli zresztą nie tylko mnie. Ale żaden z chłopaków z klasy nie odważył się im postawić. Wszyscy okazali się tchórzami.

Za każdym razem, kiedy zabierali się do dręczenia mnie, ja prosiłem i błagałem, żeby ktoś mi pomógł. Oni jednak stali tylko dookoła i przyglądali się, jak obrywam. Cieszyli się, że to ja dostaję lanie, a nie oni. Wtedy właśnie postanowiłem, że zostanę policjantem. Chciałem pomagać właśnie takim ludziom – tym, którym nikt inny by nie pomógł, bo wszyscy wolą odwracać głowy.

Nina delikatnie drży. Trwa to bardzo krótko, ale wyraz jej twarzy też się zmienił i jest odrobinę poważniejszy. I jakby bardziej ponury.

Coś z tego, co właśnie opowiedziałem, musiało do niej przemówić. Czekam, spoglądam na nią wyczekująco, lecz nie nawiązuje do moich słów.

– Rozumiem cię – potwierdza nagle zachrypniętym głosem. – Co jeszcze tobą kierowało?

Żałuję, że nie zdecydowała się powiedzieć czegoś o sobie i wyjaśnić, dlaczego zadrżała. Wiem, że nie mogę na to liczyć. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Mój ojciec. Chciał, żebym przejął jego firmę, a że nie byłem tym zainteresowany, próbował wywierać na mnie presję. To tylko umocniło mnie w mojej decyzji.

Nina potakuje.

– O tak, doskonale cię rozumiem. Bardzo podobnie reaguję na przymus.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Kto by pomyślał! Czyli jednak mamy coś wspólnego!

Nie zastanawiając się długo, dodaję:

– A może w naszych historiach są jeszcze jakieś punkty styczne?

Bo przed chwilą odniosłem wrażenie, że...

– *Prego, signore.* – Salvatore stoi przede mną z dwoma talerzami i spogląda wyczekująco. Odsuwam szybko serwetki i opieram się, żeby mógł podać nam posiłek. – Straszna ta sprawa, *signor commissario*, prawda?

– O tak, zdecydowanie – potwierdzam krótko, na co on potakuje teatralnie.

– Nie wypuszczam mojej *figlia*... mojej dziewczynki samej za drzwi. Coś pan już wie?

– Nie mogę rozmawiać o śledztwie, Salvatore.

W jego spojrzeniu pojawia się pewna poufałość.

– No tak, oczywiście, *signore. Buon appetito.*

Kiedy zostawia nas samych, Nina życzy mi smacznego i od razu zaczyna jeść. Prawidłowo odczytuję to jako znak, by porzucić temat, który rozpocząłem przed przyjściem Salvatore.

Mam na widelcu ostatni kawałek mięsa, kiedy czuję wibrowanie mojego telefonu w kieszeni spodni.

– Arendt z tej strony. Gdzie jesteście?

– U Salvatore. Przez cały dzień...

– Mamy zgłoszenie zaginięcia, chodzi o młodą kobietę, która pasuje do opisu z forum. – Nina przygląda mi się z troską na twarzy, a ja czekam w napięciu, by szefowa przekazała mi jakieś dalsze informacje.

– I jeśli to ją Trajan wybrał na ofiarę, a teraz porwał, to musimy przygotować się na prawdziwe piekło.

– Tak, oczywiście. Wiem – odpowiadam. – Będziemy...

– Nic pan nie wie – przerywa mi wzburzona. – Zaginioną kobietą jest Sandra Ullbrecht.

Lodowate palce zaciskają się na moim wypełnionym żołądku i nie chcą puścić.

– Ta Sandra Ullbrecht? – pytam naiwnie, jakby była szansa, że Arendt dzwoni w sprawie jakiejś innej, nieznannej publicznie Sandry Ullbrecht.

– Ta sama.

– Zaraz będziemy. – Rozłączam się i milczę przez chwilę. Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę.

– Co się dzieje?

Potrzebuję chwili, zanim minie moment ogłuszenia i zdołam zrozumieć pytanie Niny.

– Zgłoszenie zaginięcia młodej kobiety. – Czas znów zaczyna płynąć, a ja jestem gotów do działania. Wstaję. – Chodź, musimy wracać.

Zmierzając do wyjścia, wołam do Salvatore, że rachunek ureguluję nieco później i wybiegam na zewnątrz. Nina jest tuż za mną, kiedy pędzimy do samochodu. W dłoni trzyma jeszcze porcję pizzy, z której zwisa kawałek sera i kołysze się niebezpiecznie blisko jej koszulki. Wzdrygam się wewnętrznie na ten widok; to coś, nad czym nie jestem w stanie zapanować.

– Masz jakieś szczegóły? – dopytuje.

– Chodzi o Sandrę Ullbrecht. Dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. To córka Hansa-Petera Ullbrechta.

Dotarliśmy do samochodu i wsiadamy.

– Hans-Peter Ullbrecht... – powtarza Nina i zapina pas. Wcześniej wytarła palce w spodnie. – Coś mi to mówi, ale nie wiem co...

– Zupełnie się nie dziwię, że go kojarzysz. – Wyjeżdżam z miejsca parkingowego i dodaję gazu. – To hamburski potentat budowlany. Nasz rodzimy Donald Trump. Niewiarygodnie bogaty. I niewiarygodnie wpływowo. Jeśli Trajan rzeczywiście wybrał sobie jego córkę i ją porwał... nawet nie chcę myśleć, co się teraz stanie.

Na komendzie rozpoczęto już wdrażanie wszystkich procedur uruchamianych w przypadku zaginięcia. Każdy wie, kim jest

poszukiwana dziewczyna, i jaką lawinę może wywołać jej ojciec, jeśli jej szybko nie odnajdziemy. Arendt wychodzi nam naprzeciw i zaczynamy rozmowę jeszcze na korytarzu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem ją aż tak podenerwowaną.

– Co mamy? – pytam.

– Nic. Najważniejsze fakty: przyjaciółka zadzwoniła wieczorem do państwa Ullbrechtów, bo umówiła się z Sandrą, a ona nie przyjechała na spotkanie. Nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi, bo dziewczyna nie jest, delikatnie mówiąc, wzorem rzetelności. Dopiero kiedy koleżanka podsunęła matce Sandry opis z „Morituri”, kobieta wpadła w panikę i od razu zawiadomiła ojca zaginionej. A on zadzwonił tutaj. Całej reszty dowiedzie się od kolegów i koleżanek z zespołu, bo ja nie mam jak pracować. Ojciec Sandry dzwoni do mnie co pięć minut i nie daje się na niczym skupić. Szaleje ze strachu, bo jeszcze nie odnaleźliśmy jego córki. A minęła dopiero godzina od zgłoszenia.

Dość szybko mamy pełen obraz sytuacji i wdrożonych procedur. Każda z dostępnych osób została wysłana w teren. Policjanci i policjantki sprawdzają knajpy, restauracje i bary, w których Sandra Ullbrecht zazwyczaj przebywa. Pokazują tam jej zdjęcia i rozpytują gości. Inni sprawdzają jej bliższych i dalszych znajomych, część w terenie, inni przez telefon.

W dużym skrócie: robimy już wszystko, co tylko możliwe.

To oznacza, że my możemy wrócić do dochodzenia w sprawie Trajana.

Nina od razu siada przed komputerem i wbija wzrok w ekran. Pytam Marca, na jakim etapie są nasi specjaliści badający komputer Vogta. Dowiaduję się, że wprawdzie udało się im złamać główne hasło, lecz nie radzą sobie z rozszyfrowaniem danych na dyskach.

Spoglądam na zegarek. Pół godziny do północy.

– W porządku, w takim razie wezwijmy tego Gerbera. Może on sobie poradzi. W końcu to też haker i do tego kolega denata.

Telefonicznie wydaję polecenie, by dwójka funkcjonariuszy udała się po Gerbera i by lepiej nie wracali bez niego. Jest tuż po wpół do pierwszej w nocy, kiedy młody człowiek pojawia się na korytarzu przed naszym biurem, prowadzony przez dwójkę umundurowanych policjantów. Dziękuję im i osobiście prowadzę Gerbera do biur wydziału do walki z cyberprzestępczością.

Zostaję poinformowany, że Andressen jest u siebie w domu, co skłania mnie do gorzkiej konstatacji, że najwyraźniej wybrałem pracę w niewłaściwym wydziale. Po powrocie do biura Nina informuje mnie o najnowszych ustaleniach, a właściwie o ich braku. Dotychczas nie udało się trafić na żaden ślad, który poprowadziłby nas dalej. Wygląda więc na to, że niezależnie od tego, co zrobimy, nie posuwamy się naprzód ani o krok. I to na żadnym polu: ani jeśli chodzi o Trajana, ani jeśli chodzi o zaginioną dziewczynę.

Na zmianę kładziemy nogi na biurku i próbujemy przymknąć na chwilę oczy, lecz szybko stwierdzamy, że nie damy rady.

Kiedy na dworze robi się jasno, Nina proponuje, żebyśmy odetchnęli świeżym powietrzem, co uważam za naprawdę dobry pomysł.

Niska jeszcze o tej porze temperatura i delikatny wiatr sprawiają, że trzęsę się z zimna, ale czuję powracającą energię. Idziemy wzdłuż wielopasmowej Sydneystrasse w stronę niewielkiego skweru, a potem dalej, do miejskiego parku. Wszystkie ulice wyglądają tak samo: są puste. Rośliny dookoła działają uspokajająco.

Dwadzieścia po siódmej rano dzwonię do Instytutu Medycyny Sądowej i pytam, czy zastałem już doktora Diewalda. Mam szczęście i to podwójne. Nie dość, że jest na miejscu, to zaczął już sekcję zwłok Vogta. Przekazuję zebrane informacje Arendt i ruszamy z Niną z powrotem na komendę.

Półtorej godziny później wiemy, że Jens Vogt z dużą dozą prawdopodobieństwa został zabity przez profesjonalistę. Przyczyną śmierci, zgodnie z wnioskami Diewalda, było pchnięcie długa na

piętnaście do dwudziestu centymetrów, bardzo wąską klingą zaostrzoną z obu stron. Zostało ono zadane od tyłu i trafiło prosto w serce.

W samochodzie Nina zastanawia się na głos:

– Skąd Trajan umie zabijać z taką precyzją?

– Na razie nie mamy pewności, czy to rzeczywiście jego robota.

– Ja jestem o tym przekonana. – W jej głosie słychać przekorę. –

Dopadniemy go.

Myślę o Sandrze Ullbrecht i o tym, co nas czeka, jeśli nie uda nam się powstrzymać tego szaleńca. I niczego nie życzę sobie w tej chwili tak bardzo, jak tego, żeby Nina miała rację.

# 24

Coś mną szarpie. Potem czuję dłoń na twarzy, klepanie, coraz bardziej energiczne.

Otwieram oczy, walcząc z ogromnym oporem, bo nie chcę tego robić.

– Już jesteśmy – mówi Daniel zadowolonym tonem i odpina mi pas bezpieczeństwa.

Ma szczęście, że jestem tak zmęczona. Przekleństwa formują kolejkę w mojej głowie, ale nie docierają do ust. Kiedy wysiadam z samochodu, świat zaczyna wirować i w ostatniej chwili przytrzymuję się drzwi.

Oddycham. Czekam, aż wróci mi ostrość widzenia. Nie, w takim stanie nie wytrzymam do końca dnia.

– Wszystko w porządku? – Daniel obchodzi samochód i przygląda mi się uważnie.

To pytanie samo w sobie jest kpina. Znowu wybieram milczenie, bo wiem, że pełna jadu odpowiedź byłaby nie fair. Znam to, zawsze tak się czuję, ilekroć ktoś wyrwie mnie z głębokiego snu. Dlatego wzruszam jedynie ramionami i ospale kieruję się w stronę wejścia do komendy. W takim stanie mogę zapomnieć o pracy, ale przecież w drodze do biura będziemy mijali salę odpraw, w której jest kanapa. Chwytam Daniela za ramię.

– Daj mi godzinkę, dobrze?

Od razu rozumie, co mam na myśli, i potakuje.

– Pewnie. Nawet dłużej. Nie ma o czym mówić.

Jeszcze zanim zwijam się na kanapie, myśli w mojej głowie zaczynają pulsować i urywać się jak migotanie światła przepalającej się żarówki. Obrazy otworzonego do sekcji ciała Vogta pojawiają się na ułamek sekundy, by zaraz zniknąć razem ze świadomością.

Kiedy znów otwieram oczy, jest cztery godziny później. Wstaję i z trudem się przeciągam, bo bolą mnie zeszywniałe od snu plecy. Cholera, wcale nie chciałam tak długo tu leżeć. Zamierzałam ponownie spróbować nawiązać kontakt z Trajanem, jakkolwiek, i pogratulować mu nowego głosowania. Może udałoby mi się sprowokować go do jakiejś nieopatrznej uwagi? W końcu jest trzecia nad ranem. Jeszcze tylko sześć godzin do rozpoczęcia show.

Na korytarzu spotykam Marca. Policjant wita mnie uniesieniem brwi.

– O, śpiąca królowa już wstała?

Mijam go bez słowa. Mam gdzieś, co sobie myśli. W biurze zastaję Daniela. Wisi na telefonie, ale praktycznie nic nie mówi, tylko potakuje bez przerwy. Ma zaczerwienione oczy i mruga bezustannie.

– Teraz twoja kolej – mówię, kiedy tylko odkłada słuchawkę.

– Wykluczone. – Demonstracyjnie upija spory łyk kawy. – Sandra Ullbrecht nie została jeszcze odnaleziona, choć udało się już zlokalizować jej komórkę. Jest zalogowana do stacji przekaźnikowej w St. Georg. Pięć zespołów jest w drodze, sprawdzą całą okolicę. – Wyczerpany osuwa się na oparcie. – Może uda nam się w porę ją odnaleźć.

Bardzo chciałabym w to wierzyć.

– Może. Ale teraz idź i połóż się na godzinkę.

– Wcześniej zdrzemnąłem się na dwadzieścia minut i to musi mi na razie wystarczyć. Teraz...

Drzwi otwierają się gwałtownie i do biura wchodzi koledzy z CIA, których imion ani nazwisk za nic nie mogę sobie przypomnieć. A nie, zaraz, jeden to Gregory. To ten, który do mnie podchodzi.

– Hi, Nina, prawda? Marc powiedział, że mogłabyś nam pomóc. Potrzebujemy kogoś, kto posegregowałby nam protokoły zgłoszeń z dyżuru telefonicznego i zorganizował akta, których będziemy potrzebowali. Pracujemy nad profilem...

– Mam tu sporo roboty – przerywam mu w pół słowa. – Niech pan zgłosi się do szefowej i poprosi o wypożyczenie sekretarki.



Gregory dalej uśmiecha się przyjaźnie, ale z nieco większym przymusem.

– Obiecano nam pełne wsparcie i oczekujemy go.

– I macie pełne wsparcie, tylko że nie z mojej strony. – Siadam przed komputerem, plecami do dwójki amerykańskich agentów. Trzy sekundy później mój fotel zostaje gwałtownie obrócony szarpnięciem za oparcie. Gregory stoi tuż przede mną.

– Powinnaś wykonywać polecenia, kiedy je dostajesz.

Kątem oka widzę, że Daniel wstaje zza biurka.

– Zdecydowanie. Ale moje polecenia. Nina jest moją podwładną i w tej chwili nie mogę zrezygnować z jej pracy. Poza tym nie jest pracownikiem biurowym, tylko policjantką i partnerką w toczącym się właśnie dochodzeniu.

– No właśnie. I dlatego...

– I dlatego będzie kontynuowała to, co robi. A teraz wybaczenie panowie, bo mamy całą masę pracy.

W chwili kiedy odzywa się drugi z Amerykanów, przypominam sobie jego imię. Jason. Uśmiecha się do mnie szeroko i wyzywająco.

– Całą masę pracy, powiada pan? Z tego, co mówił Marc, wynika, że przez ostatnie kilka godzin Nina zajmowała się głównie spaniem.

– Tylko dlatego, że ostatniej nocy nie spała wcale. – Daniel ma coraz większe problemy z zachowaniem spokoju. – Panowie, uważam tę rozmowę za zakończoną. Nina, wracaj do pracy. Nie mamy czasu do stracenia.

Odwracam się bez słowa do monitora. Marc właśnie sobie nagrabił.

– Czyli sabotujecie naszą pracę? – słyszę pytanie Gregory'ego.

– Nie. W żadnym razie. Po prostu chcemy wykonywać własną. O ile przestaniecie nam w tym przeszkadzać.

Agenci z Ameryki odchodzą, a ja już teraz wiem, że to spotkanie będzie miało swoje konsekwencje.

– Dzięki – mówię półgłosem.

– Nie ma o czym mówić. Nie mam w tej chwili ochoty na przepychanki o to, kto ma władzę, a kto nie. A tym bardziej nie mam na to cierpliwości.

W skrzynce z wiadomościami prywatnymi na „Morituri” czeka na mnie list od McQuentina, którego poprosiłam wcześniej o pomoc z wymyślonymi problemami z komputerem.

*Hej, Leyla! Niesamowite, że można tu spotkać dziewczyny :)!*

*Tak, też mieszkam w Hamburgu i chętnie pomogę Ci z kompem, pod warunkiem że dla mnie zatańczysz. Żartuję oczywiście, pomogę Ci bez tańczenia.*

*Będziesz wieczorem oglądała film na forum? Prawdę mówiąc, ja mam z tym duży problem. Od pierwszej listy kandydatów nie biorę udziału w głosowaniach, a to, jak Trajan załatwił tego lekarza... widziałem, ale serio nie chciałem patrzeć. Paskudnie się potem czułem. A dzisiaj, jeśli znów kogoś zabije... i to na dodatek kobietę...*

*W zasadzie loguję się tu tylko po to, żeby spotykać fajnych ludzi. Takich jak Ty :).*

*Daj znać, kiedy będę mógł zająć się Twoim komputerem!*

*McQuentin*

W głębi duszy jestem zaskoczona. Facet brzmi całkiem rozsądnie i sympatycznie. Na pewno jest rozmowny. Odpisuję mu, że jutro się odezwę i ustalimy, kiedy możemy się spotkać. Dodaję jeszcze, że dzisiaj też ktoś został zamordowany. Czy słyszał coś o tym? W sieci mówią, że podobno to ktoś z forum, jakiś znany hamburski haker.

Odpowiedź przychodzi pięć minut później.

*Nie słyszałem o tym. Od rana próbuję skontaktować się ze znajomym, bo mieliśmy dzisiaj pogadać na czacie. Prawdziwy freak komputerowy. A ostatnio pisał mi ciekawe rzeczy, więc mam nadzieję, że to nie on!!!*

W takim razie sprawa przesądzona, muszę się z nim spotkać i to najszybciej, jak to możliwe. Najpierw spróbuję jeszcze jednej rzeczy. Otwieram wymianę wiadomości z Trajanem i po krótkim zastanowieniu zaczynam pisać.

*Cześć! Strasznie mi przykro, ale to był jednak błąd. Mógłbyś wycofać tę policjantkę, Ninę Salomon, z nominacji? Byłam trochę wypita, kiedy ją zgłaszałam. Wiem, że to głupia baba, ale nie chcę mieć jej na sumieniu. Okej? Byłabym Ci bardzo wdzięczna. Wczoraj prawie całą noc przez to nie spałam. Dzięki!*

Jeszcze dobrze nie skończyłam pisać, kiedy przychodzi zgłoszenie telefoniczne. Ktoś miał widzieć Sandrę Ullbrecht, jak zeszłej nocy wychodziła z klubu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Obejmował ją ramieniem i szli tak razem ulicą Holzdamm w kierunku Kirchenallee. Świadek jest przekonany, że to była właśnie Sandra Ullbrecht.

Kolejny wyjazd w teren. Spotykamy się ze świadkiem. To około trzydziestoletni mężczyzna, Jan Kopinski, który pokazuje nam miejsce, gdzie ją zauważył. To w St. Georg, więc nawet mogłoby się zgadzać.

– Proszę nam opisać, jak wyglądał człowiek towarzyszący pani Ullbrecht – prosi Daniel i opiera się o ścianę obok. Niemal fizycznie czuję jego zmęczenie, jakbym mogła je z nim dzielić.

Kopinski się waha.

– Nie widziałem jego twarzy. Ale był bardzo wysoki, miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt. Umięśniony. Nosił dzinsy i ciemnoniebieską kurtkę. – Zastanawia się przez chwilę. – Szli dość wolno, a Sandra Ullbrecht dużo się śmiała. Jeśli to rzeczywiście była ona.

Teraz nagle zaczyna mieć wątpliwości?!

– Przed chwilą powiedział pan, że ma pan pewność – atakuję go ze złością.

– No tak. Mam. W zasadzie to tak. – Nerwowym gestem przeczesuje włosy. – Chociaż osobiście jej nie znam.

– Dobrze. Oboje udali się do jakiegoś samochodu? Może zapamiętał pan markę, albo nawet tablice rejestracyjne? Bardzo by nam to pomogło.

Kopinski kręci zrezygnowany głową.

– Niestety nie. Ale jedna rzecz rzuciła mi się w oczy: ten facet miał na głowie czapkę. Taką zasłaniającą uszy, dlatego nie wiem, jakiego koloru miał włosy. Nie widziałem ich po prostu.

Prosimy Kopinskiego, żeby udał się z funkcjonariuszami na komendę, gdzie zostanie wykonany portret pamięciowy nieznanego mężczyzny. Rozpytujemy personel klubu nocnego, lecz nikt nie pamięta, by Sandra Ullbrecht się tam pojawiła. Tłumaczą to ogromnym ruchem. Wysoki, umięśniony mężczyzna? Pełno tu takich, ale żaden nie zapadł im w pamięć. Nikt nic nie pamięta, ani bramkarze, ani kelnerki, nikt.

Najchętniej złapałabym kilkoro z nich za szmaty i potrząsnęła brutalnie, żeby pobudzić ich zapleśniałe mózgi do działania. Naprawdę nie przyglądają się swoim gościom?

Daniel musi mnie obserwować i widzi oznaki wzrastającego zniecierpliwienia, podchodzi i chwyta mnie pod ramię.

– Chodź, to bez sensu. Pomogliby, ale nie potrafią. Wracamy.

Gotuję się z wściekłości, ale jeszcze nie na tyle, żebym nie mogła się opanować. Najchętniej powiedziałabym Danielowi, jak fatalnie wygląda po takim czasie bez snu. Jakby miał co najmniej dziesięć lat więcej. Jestem przekonana, że to by go zabolalo.

Dlatego oddycham głęboko i po kilku chwilach znów jestem opanowana i zadowolona, bo jeszcze nie odbiło mi na tyle, żebym nie potrafiła powstrzymać agresji. Z lusterka w samochodzie spogląda na mnie moja poszarzała z wyczerpania twarz. Wyglądam, jakby właśnie mnie ekshumowano.

Wracamy na komendę o siódmej wieczorem. Jeszcze dwie godziny. Arendt chodzi nerwowo po korytarzach i zapędza wszystkich do pracy i jeszcze większego wysiłku, jakby to mogło cokolwiek zmienić, gdy porwana Ullbrecht czeka gdzieś na swoją egzekucję. Albo że ta już trwa w najlepsze, jeśli Trajan, jak ostatnio, nie będzie transmitował jej na żywo.

Siadam do komputera. Czekają na mnie trzy nowe wiadomości od McQuentina, który informuje, że jeszcze nie udało mu się

skontaktować z kolegą. Pozostali z ich paczki też nie mają od niego żadnych wieści, więc zaczynają się niepokoić. I że najchętniej już jutro by się ze mną spotkał.

Ani słowa od Trajana. Domyślam się, że jest zajęty.

Policyjna machina pracuje coraz szybciej, ale i coraz chaotyczniej i bez jasnego planu. Ponadstuosobowy zespół sprawdza każdy ślad, mając nadzieję, że przypadkiem trafią na coś, co doprowadzi nas do celu.

Nic to nie daje. O wpół do dziewiątej wieczorem na stronie forum pojawia się krótka informacja od Trajana.

*Dziękuję za cierpliwość. Za godzinę zaczynamy.*

To znacznie gorsze, niż gdyby po prostu od razu umieścił nagranie. Mamy jeszcze czas, by działać. Szansę, by uratować tę dziewczynę. Mimo to nic już nie zrobimy. Pozostaje nam bezczynne czekanie.

Biuro ponownie się wypełnia. Christoph, Pia, Marc i jeszcze kilka osób, które kojarzę z widzenia, ale nie wiem, jak się nazywają i czym zajmują. Milczące, ponure twarze.

Dwudziesta pierwsza. Podobnie jak ostatnim razem pod banerem „Morituri” pojawia się prostokątne okno, w którym ma zostać odtworzony film. Z początku jest czarny, ale po kilku sekundach zaczyna się transmisja.

Sandra Ullbrecht kuca pod ścianą z palonej cegły. Ma na sobie tylko bieliznę. Pomieszczenie jest pozbawione okien, prawdopodobnie to jakaś piwnica. Związane ręce opiera na zgiętych kolanach. Wpatruje się w obiektyw kamery i oddycha ciężko przez otwarte usta.

Obok niej, na drewnianym taborecie, stoi telewizor. Jest włączony i ustawiony na kanale n-tv. W prawym dolnym rogu wyświetlona jest godzina, minuta po dziewiątej wieczorem.

– Szybko! Chcę wiedzieć, czy to jest przekaz na żywo! – krzyczy Daniel. – Sprawdźcie to natychmiast!

Ktoś wybiega z biura. Ja nie odrywam wzroku od monitora. Z komputerowych głośników dobiega szum, a potem słyszę jęk i na

wpół wyszlochane słowo „Proszę!”.

Tym razem Trajan transmituje obraz i dźwięk.

Wpatruję się w ekran, ale nie rozumiem tego, co widzę. Sandra kuca pod ścianą, co pewien czas drży delikatnie, ale zaraz odzyskuje równowagę i nieruchomieje.

Dlaczego utrzymuje taką dziwną pozycję? Czy ktoś do niej celuje?

– Wyciągnijcie mnie stąd! Błagam! Nie wytrzymam dłużej. Zróbcie coś, proszę!

Drżą jej nogi i zaciska pięści.

– Nie wiem, gdzie jestem, ale znajdźcie mnie, proszę, tata da wam tyle pieniędzy, ile będziecie chcieli. On już sobie poszedł, nic się nikomu nie stanie.

Policjant, który wybiegł sprawdzić, co nadaje n-tv, wraca, ciężko dysząc.

– On to nadaje na żywo. Obraz się zgadza.

Sandra jest rzeczywiście sama. Jednak sądząc po tym, jak drży i jak się boi, cały czas grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Pomocy! Błagam, uratujcie mnie! Umrę, jeśli się przewrócę! Tak powiedział! Że umrę! – szlocha. – Pospieszcie się!

Widząc jej przerażenie, nie mogę normalnie oddychać. Spoglądam na Daniela.

– Rozumiesz coś z tego? Co jej zrobił?

Daniel kręci głową.

W pewnym sensie sytuacja wygląda gorzej i bardziej przerażająco niż w przypadku Valenta, bo nikt nie wie, co się rzeczywiście dzieje. I dlatego, że tym razem słyszymy Sandrę, jej płacz, jak wzywa rodziców, a potem jak błaga swojego porywacza i obiecuje mu, że zrobi, co tylko będzie chciał, jeśli ją wypuści.

Nagle zmienia się ujęcie i widzimy Sandrę z innej perspektywy. W pomieszczeniu, gdzie ją przetrzymuje, musiał umieścić przynajmniej dwie kamery. Ta jest z boku. Widzę jej zgięte, drżące nogi i zgarbiony, pochylony tors. I dopiero teraz dostrzegam, że nie

opiera się bezpośrednio o ścianę. Między jej plecami a ceglanym murem znajduje się coś drobnego, owalnego i w ciemnym kolorze.

Nie potrafię odgadnąć, co to takiego, ale Daniel rozpoznał przedmiot, bo gwałtownie przyciska dłoń do ust, a w jego oczach pojawia się przerażenie.

– Co to? – Sama nie rozpoznaję swojego głosu. Jest zachrypnięty i łamie się, jakbym przez kilka godzin krzyczała. – No mów, do kurwy nędzy, co to jest?!

Daniel nachyla się lekko i jeszcze raz uważnie patrzy. W końcu zaciska powieki.

– To granat.

# 25

Oniemiały wpatruję się w monitor.

– Granat... – powtarza Nina, nie odrywając wzroku od komputera. Prawie szeptem. – Ale jak... nie rozumiem...

Ja za to doskonale rozumiem, przez co dostaję mdłości i zbiera mi się na wymioty.

– Wyciągnął zawleczkę i wsunął go jej pod plecy, tak że przyciska nimi pałąk spustowy. Dzięki temu granat nie wybucha.

– A jeśli się poruszy i zmieni pozycję, to to cholerstwo spadnie... i będzie bum – kończy Marc tonem specjalisty. – I się zrobi jatka.

Spojrzeniem chcę dać mu znać, co sędzę o jego wywodach, ale nie potrafię oderwać wzroku od monitora. Obiektyw kamery jest tak ustawiony, że granat znajduje się w samym centrum obrazu i widać wyraźnie, że porusza się przy każdym oddechu Sandry. Minimalny przechył w górę, zatrzymanie i powrót. Centymetr więcej i będzie po wszystkim. Krople potu występują mi na czoło.

Co chwilę słyhać z głośników płaczący głos porwanej. Żebrze i błaga o litość. Zrozpaczona oferuje swemu oprawcy wszystko, czego mógłby chcieć, również swoje ciało.

Obraz znów się zmienia i widać Sandrę od frontu. Kamera robi najazd na jej zapłakaną twarz. Powiększenie jest coraz większe, aż jej rozszerzone przerażeniem oczy wypełniają cały obraz. Potem zoom się zmniejsza.

– Może zdalnie sterować kamerami – zauważa Marc. W jego głosie nie ma już wcześniejszego luzu. – Może moglibyśmy jakoś ten sygnał... – przerywa, bo zdaje sobie sprawę z bezsensu propozycji.

– Przecież granaty nie wybuchają od razu po puszczeniu tego pałąka, prawda? – Nina również nie odrywa wzroku od ekranu. –



Może udałoby jej się odskoczyć i uratować życie?

– Bez szans. Opóźnienie wynosi trzy sekundy. Widziałaś jej pozycję i jak ma zgięte nogi? Do tego jest mocno odchylona w tył. Nie starczy jej sił ani czasu, żeby jednym ruchem się podnieść i jeszcze odskoczyć.

Zastanawiam się, skąd Trajanowi przyszedł do głowy aż tak chory pomysł. I jak długo jeszcze Sandra wytrzyma w takiej pozycji.

– Ty śmieciu! – wrzeszczy niespodziewanie na cały głos. Nie tylko ja podskakuję. – Wypuść mnie! Natychmiast! Mój ojciec wyznaczy za ciebie nagrodę! Każe cię zabić! Będzie wiedział, jak cię dopaść! Gwarantuję ci! – Głos jej się załamuje. Serce wali mi jak szalone. Zginie, jeśli poruszy się nawet odrobinę za gwałtownie.

– Uspokój się, dziewczyno – prosi ją Nina. – Uspokój się.

– Wszyscy będą na ciebie polowali, ty żałosny skurwysynu! – Szlocha i się krztusi. Drżą jej ramiona. Wstrzymuję oddech. Sam nie jestem w stanie choćby drgnąć. W całym biurze panuje kompletna cisza.

Sandra odzyskuje kontrolę nad nerwami. Oddycha kilka razy głęboko, co pewien czas wstrząsana pojedynczym szlochem.

– A... a jak cię już dopadnie... każe cię obedrzeć żywcem ze skóry. Masz moje słowo. – Znów szlocha. Unosi głowę i zaczyna powtarzać tak cicho, że prawie jej nie słyszę:

– Masz moje słowo. – A potem: – Proszę... proszę. Wypuść mnie.

Oczy jej uciekają w głąb czaszki, a głowa kołysze się w niekontrolowany sposób jak u zabawkowych psów, które niektórzy stawiają w samochodach. Na koniec prawie dotyka brodą piersi. Nachyla się jeszcze mocniej.

– O Boże! Nie! – sapie Pia. – Traci przytomność!

– Nie ruszaj się, do cholery! – krzyczy któryś z funkcjonariuszy w biurze. – Nie ruszaj się!

Ktoś obok mnie unosi dłonie i przyciska je do ust. Widzę to tylko kątem oka, bo nie odwracam się w tamtą stronę.

Teraz. Od teraz już w każdej chwili może się osunąć na podłogę. Nie ma już szans. Obraz się przybliża. Ten gnojek też wie, że za kilka sekund będzie po wszystkim. Bawi się tym... niespodziewanie Sandra unosi głowę i rozgląda się nieprzytomnie, jakby nie rozumiała, gdzie jest i co się dzieje. W końcu nieruchomieje. Słyszę głębokie westchnienie ulgi. Po chwili się orientuję, że to byłem ja.

– Ja.. ja już dłużej nie wytrzymam... – z głośników płynie płaczliwy głos. – Nogi... nic nie czuję...

Spogląda wprost w obiektyw, a mnie cierpie skóra na karku, bo mam wrażenie, że patrzy mi w oczy.

– ... nie chcę... umierać...

– Chryste Panie! – To głos Christopha. – A my tu siedzimy i nic nie możemy zrobić, żeby jej pomóc! Tylko patrzymy! To jest chore...

– Mamusiu... dlaczego mnie nie ratujesz... dlaczego... nie pomagasz... – Twarz Sandry Ullbrecht zmienia się w groteskowo wykrzywioną maskę, by zaraz się uspokoić.

– Ja... już nie mogę...

Opadają jej powieki i pochyla się głowa. Mam wrażenie, że nie dam rady. Czuję, że muszę coś zrobić, nawet jeśli to bez sensu. Chcę wsiąść do samochodu i jechać jej szukać.

Nie chcę czekać beczynn timer!

Ale nie potrafię. Nawet nie potrafię przestać patrzeć.

Sandra Ullbrecht już nie błaga i nie żebrze. I nie płacze.

Nagle ciszę przerywa jej śpiew. Ma bardzo słaby głos, zachrypnięty i niepewny. Nie rozumiem słów, ale wydaje mi się, że to jakaś dziecięca piosenka. Trwa to tylko kilka sekund, kilka wersów, a potem zupełnie niespodziewanie dziewczyna się przewraca i znika z ekranu. Nie mogę nabrać oddechu. Czekam. Na to, co musi nastąpić. Co jest nieuniknione. Czuję się, jakby ktoś wyssał całe powietrze z biura. Jakby czas przestał biec... jak długo jeszcze...

Naraz rozlega się dziwny dźwięk i trwa tylko ułamek sekundy, a zaraz potem obraz robi się czarny. Żadnego huku, żadnych

zakłóceń. Wszystko znika zupełnie nagle.

– Co się dzieje? – krzyczy Nina. Zrywa się z miejsca i uderza kilka razy dłonią w monitor. – No kurwa mać, co to ma być? Dlaczego akurat teraz przerwał transmisję? Może ona żyje? Może...

– Nie. Ona nie żyje. – Payne wskazuje na monitor. – To były dokładnie trzy sekundy. Tyle, ile wynosi opóźnienie granatu. Wybuch zniszczył kamerę. Już po wszystkim.

Nina patrzy na niego, jakby nie rozumiała, co powiedział.

– Po wszystkim? Ale jak to? Nie możemy mieć pewności...

– Możemy. Albo ten facet nas oszukał i wszystko idealnie zainscenizował, albo ta kobieta nie żyje. A sądząc po dotychczasowej działalności Trajana, nie obstawiałbym inscenizacji.

– Muszę wyjść. – Nigdy jeszcze nie słyszałem tonu, jakim Nina wypowiedziała te dwa słowa. Martwię się o nią. Z kamienną twarzą mija Marca i opuszcza biuro.

– Nina! – wołam ją jeszcze, ale nie reaguje. Czuję na sobie spojrzenia pozostałych. W pierwszym odruchu chcę ich zganić, że co to ma znaczyć, ale szybko opanowuję nerwy i również wstaję.

Nie widzę jej nigdzie na korytarzu, więc albo schroniła się w którymś z pustych biur, albo zmierza do wyjścia.

Nie udaje mi się pokonać nawet pięciu kroków, kiedy w miejscu zatrzymuje mnie głos prokuratora Meierhofera.

– Kolego Buchholz, proszę poczekać.

Zatrzymuję się i odwracam.

– Nie mam teraz czasu.

– To proszę go znaleźć. – Meierhofer podchodzi i staje metr ode mnie. Jest spięty. Nerwowym gestem przeciera czoło. – Teraz, kiedy... Ma pan coś dla mnie? Cokolwiek, co mógłbym dać Ullbrechtowi, kiedy zadzwoni za kilka minut i zacznie robić nam tu piekło, bo nie uratowaliśmy jego córki? To może mnie kosztować posadę. Wie pan, że to polityka. Potrzebuję czegoś. Czegokolwiek.

– Słucham?! – sapię z niedowierzaniem. – Panu naprawdę się wydaje, że ten człowiek nie ma teraz nic innego na głowie, tylko

niszczyć panu karierę?

– Ullbrecht ma nieprawdopodobnie długie ręce. Ta sprawa może oznaczać gigantyczne kłopoty nie tylko dla mnie, ale też dla pana i pańskiej szefowej.

Mimowolnie zaciskam pięści i robię wszystko, żeby nie stracić panowania nad sobą. Nagle zaczynam rozumieć skłonność Niny do wulgarnych przekleństw, bo najchętniej zapomniałbym o wszystkim, czego nauczyła mnie mama, i obrzuciłbym go stekiem wyzwisk.

– To mnie nic a nic nie interesuje. – Robię krok w jego stronę i zatrzymuję się dopiero, kiedy nasze twarze dzielą tylko centymetry. – Ale wie pan, panie prokuratorze, co mnie interesuje? To, że jakiś ojciec musiał właśnie oglądać, jak jego córka ginie rozerwana na kawałki ku uciechu psychopatycznego tłumu zwyrodnialców! I to, że na razie jeszcze nie dopadliśmy człowieka, który za to odpowiada. I tylko to mnie interesuje. – Czuję, że zaczynam tracić kontrolę. – Tam, gdzie normalni ludzie mają serce, pan ma szkatułkę z karierą, dobrze pana zrozumiałem?

– Kolego Buchholz, teraz to się pan...

Odwracam się i zostawiam Meierhofera samego, zanim posunę się za daleko.

– To się tak dla pana nie skończy. Odpowie pan za to! – woła jeszcze za mną. – Zobacz pan!

Co za skończony idiota!

Idę w stronę windy i sprawdzam po drodze wszystkie biura. W przedostatnim znajduję Ninę. Siedzi na podłodze, oparta plecami o ścianę. Ramionami obejmuje podkurczone nogi. Nie widzę jej twarzy.

Wchodzę do pomieszczenia i robię dwa kroki, akurat tyle, żeby móc zamknąć za sobą drzwi.

– Nina. – Staram się mówić delikatnym, spokojnym tonem. Czekam na jej reakcję. Nagle zauważam, że drży.

## 26

Biegnę przed siebie korytarzem. Nie wiem dokąd. W głowie mam pełno obrazów. Nowe mieszają się ze starymi i razem ciskają mnie na kolana. Wiem, co się teraz stanie, dlatego nie chcę, żeby ktokolwiek mnie widział. Po lewej stronie trafiam na ciemne pomieszczenie. Puste biuro. Wpadam do środka, zaszywam się w najdalszym kącie i poddaję się fali wściekłości, strachu i nawiści.

Jej siła unosi mnie i wyciska z płuc powietrze, jakbym nigdy nie uczestniczyła w terapii, jakby wszystkie moje wysiłki, by pokonać ją i własną bezradność, spętały na niczym.

Widzę przed sobą twarz Sophie, tak wyraźnie, jakby była tam naprawdę. Jak wtedy. Ma rozmazany makijaż i ranę od skroni do kącika ust.

Widzę, jak wierzga, jak walczy, jak krzyczy...

A ja...

Z zewnątrz dobiegają niewyraźne głosy, więc jeszcze głębiej wciskam się w swój kąt. Nie chcę nikogo widzieć, jeszcze choćby przez kilka minut. Proszę...

Lecz nawet to życzenie nie może zostać spełnione. Bardziej czuję, niż słyszę, że ktoś wchodzi do biura.

– Nina.

To Daniel. Nie mogę się zdecydować, czy to najlepsza czy najgorsza z ewentualności.

Ciche pstryknięcie. Mimo zaciśniętych powiek robi się jasno.

– Wyłącz światło!

O Boże, to mój głos?! Jakby należał do maltretowanego dziecka.

Staram się wyprostować, ale nie mogę, bo mięśnie drżą mi przy każdej próbie ruchu. Na szczęście znów otacza mnie ciemność.

Słyszę, jak zamyka drzwi. A potem jego kroki coraz bliżej mnie. I w końcu czuję dłoń na swoim ramieniu. To nie jest delikatny dotyk, tylko mocny chwyt.

– Nina. Musisz ze mną porozmawiać.

Kręcę zdecydowanie głową.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Mowy nie ma. – Zaciska palce. – Ja też nie mogę sobie poradzić ze śmiercią Sandry Ullbrecht, ale w twoim przypadku to coś więcej. Twoja reakcja... to ma związek nie tylko z nią, ale przede wszystkim z tobą, prawda?

Udaje mi się zrzucić jego rękę, ale nie mam sił, by dalej walczyć. Staram się powstrzymać drżenie, które znów przybiera na sile, lecz to nic. Nie jestem w stanie nad nim zapanować.

Daniel siada na podłodze obok mnie, obejmuje mnie ramieniem i przytula. Przez kilka chwil staram się uwolnić, lecz w końcu składam broń. Emocje zwyciężają. Płaczę.

On czeka. Nic nie mówi, o nic nie pyta. W pewnej chwili wygania kogoś, kto chce wejść do pokoju.

Nie mam pojęcia, ile to trwa, ale w końcu docieram do stanu, w którym czuję się pusta. Głowa pulsuje mi boleśnie, oczy pieką, ale poza tym nic już nie czuję. Nawet wstydu, że ktoś, kogo praktycznie nie znam, był świadkiem mojej słabości.

– Chodziło o to, że musiałam patrzeć – wyjaśniam po jakimś czasie, wtulona w ramię Daniela. Nie mam pojęcia, czy cokolwiek z tego rozumie. – Musiałam patrzeć i nic nie mogłam zrobić...

Odsuwam się kawałek. Tym razem mnie nie powstrzymuje.

– To była moja przyjaciółka – zaczynam. – W zasadzie to nawet najlepsza przyjaciółka. Wówczas, w każdym razie. Poszłyśmy razem na imprezę u ludzi, których tylko ona знаła. Ja nie. Bardzo duży dom, masa alkoholu i tłum gości. Sophie zaczęła gadać z jakimś gościem, zaczęli się całować... jak to na imprezie.

Ciągle jeszcze mam przed oczyma podświetlony basen i Sophie, jak zarzuca ramiona na szyję nowo poznanemu chłopakowi. Stoję

tylko kilka kroków dalej i rozmawiam z dwiema dziewczynami, które znam z klubu piłki ręcznej. Z głośników dudni *Hip Teens Don't Wear Blue Jeans*.

– Powiedziała, że skoczy z nim na chwilę do środka. Miał jej pokazać jakieś obrazy. Wiedziałam, że nie chodzi o malarstwo, ale przecież to normalne. A potem... – Opieram czoło o ramię Daniela, by nie musieć go widzieć, kiedy będę dalej mówiła. – W końcu sama też weszłam do domu, ale nie po to, żeby szukać Sophie, tylko do ubikacji. Wracając, usłyszałam coś... jak wiwaty. Albo doping. Jakby na piętrze zebrała się grupa kibiców i oglądali mecz. Równocześnie dobiegały mnie krzyki, ale nie było w nich radości. Nie zastanawiając się długo, weszłam na schody. Na samej górze stało dwóch gości, którzy nie chcieli mnie przepuścić.

Czułam, że pili alkohol. Cały czas słyszę to, co powiedzieli. „To teren zamknięty”. I jakby byli z policji: „Nie robić zbiegowiska. Rozejść się”.

Mimo to chciałam się precyzyjnie, na co jeden z nich złapał mnie za rękę i krzyknął, że ma kolejną chętną. Potem zaciągnęli mnie do sypialni.

Nie mogę wymazać z pamięci tego, co tam zobaczyłam. Sypialnia była urządzona superluksusowo, samymi drogimi meblami. Jasnoszare ściany, geometryczne, białobłękitne obrazy. Designerskie lampy. I designerskie łóżko, a na nim Sophie. Leżała na nim, przytrzymywana przez tych, którzy już na niej byli, albo czekali na swoją kolej.

Oni ją porwali i gwałcili. Wszyscy. A tam było dwunastu facetów. Przez kilka sekund nie mogłam pojąć, co się dzieje, a kiedy to do mnie dotarło, chciałam się odwrócić i pobiec po pomoc. Tylko że oni byli silniejsi.

Chrapliwy oddech. *Ty będziesz następna.*

Kopałam i gryzłam i wrzeszczałam, ale szybko zatkali mi usta i przytrzymali, tak żebym musiała patrzeć. Żebym widziała, jak...

Staram się znaleźć właściwe słowa, ale nie potrafię. Nie wiem, czy Daniel mnie zrozumie, kiedy mu powiem, że to było, jakby rozerwali kokon, w którym żyje człowiek i wierzy, że takie rzeczy się nie zdarzają. Od tamtego wieczoru nie ma dla mnie rzeczy, które mogłabym wykluczyć. Wszystko może się zdarzyć. O każdej porze. Na przykład to, że normalni goście na imprezie zmieniają się w przerażające bestie. Że twoja najlepsza przyjaciółka na twoich oczach zostanie potraktowana jak kawałek mięsa. Że pojawi się nienawiść tylko dlatego, że się tam było i to widziało. Że nigdy już nie spojrzycie sobie w oczy.

– Wszyscy byli oczywiście pijani i powtarzali, że Sophie ich o to poprosiła. I że ja sama jestem sobie winna, bo nie musiałam pchać się na górę. Jeden z nich zaczął rozpinąć mi dżinsy i chciał je ściągnąć, a reszta wrzeszczała: „Druga runda, druga runda!”. A potem...

Znów sama siebie powstrzymuję. Uświadamiam sobie, co to było, co uratowało mnie przed gwałtem grupowym.

– Sophie zaczęła krwawić. Krew lała się z niej strumieniem. Przerażająco silnym strumieniem. Spanikowali. Wierzyć się nie chce, jak szybko uciekli.

Ale zostawili mnie w spokoju. Pamiętam, że nagle ocknęłam się na podłodze. Ledwie udało mi się wstać i trzęsąc się, wyjęłam z kieszeni telefon. W końcu nawet wykręciłam numer alarmowy i wezwałam pomoc. Sophie w ostatniej chwili trafiła do szpitala. Niewiele brakowało, a byłoby za późno.

– Nie zgłosiła sprawy na policję. Rozumiesz? Nie zrobiła tego. Na dodatek zagroziła mi, że popełni samobójstwo, jeśli ja to zrobię. Dlatego powtarzałam jej kłamstwo: że za obopólną zgodą uprawiała seks z Gregorem i za bardzo się wczuła. Ale nie było żadnego seksu grupowego. O nie.

Daniel milczy. Czuję tylko, że potakuje i głaszcze mnie po głowie.

– Dzisiaj poczułam się prawie tak samo jak wtedy. Znów musiałam patrzeć. Tyle tylko, że nie słyszałam wiwatów i kibicowania. Ale



jestem przekonana, że te gnidy przed komputerami...

Drzwi otwierają się gwałtownie. Jednym ruchem uwalniam się z ramion Daniela, akurat na czas, bo zaraz potem pomieszczenie zalewa światło. W progu stoi Christoph, ma twarz szarą ze zmęczenia.

– W tej chwili przyszło zgłoszenie, że znaleziono miejsce zbrodni. Ktoś, kto mieszka w domu obok, usłyszał głośny huk, który przypominał mu eksplozję. Na miejsce wysłano najbliższy patrol i... no właśnie. Powinniśmy ruszać.

Daniel pierwszy zrywa się z podłogi i podaje mi dłoń. Udaję, że nie widzę, że chce mi pomóc. W chwili kiedy Christoph włączył światło, uświadomiłam sobie, jak niewybaczalnie głupio postąpiłam. Otwierać się przed Danielem w taki sposób... Pokazywać swój słaby punkt... Potrafię sobie wyobrazić, jak będzie teraz na mnie patrzył. Pewnie już uznał, że nie zdołam sama podnieść się z podłogi!

Przez całą drogę do dzielnicy Lurup oboje milczymy. Wyglądam przez boczną szybę, choć czuję, że Daniel co chwilę rzuca mi szybkie spojrzenia.

Kiedy docieramy do przeznaczonego do rozbiórki domu, w którego piwnicy zginęła Sandra Ullbrecht, nie czekam na Daniela. Wsiadam pierwsza, bez słowa mijam zabezpieczających teren funkcjonariuszy, a potem zbiegam schodami w dół.

– Nina, poczekaj.

Udaję, że go nie słyszę. Jeśli mu się wydaje, że powinnam mieć taryfę ulgową i chce mi oszczędzić widoku zwłok, to się grubo myli. I zaraz mu to udowodnię.

Charakterystyczna woń pola bitwy jest wszechobecna, jeszcze zanim pokonuję połowę drogi na dół. Krew i spalenizna. Skinieniem głowy witam się z oboma technikami kryminalistyki, którzy zakładają właśnie kombinezony jednorazowe, i staję w wejściu do piwnicy. Chcę jedynie patrzeć, nie chcę myśleć ani czuć.

W pomieszczeniu nie ma zwłok; są za to ich fragmenty. Bezpośrednio przede mną leży dłoń, kawałek dalej coś, co

przypomina goleń. Możliwe, że część została na ścianach. Rozglądam się w poszukiwaniu głowy, ale jej nie widzę.

– Przepraszam. – Pierwszy z techników zabezpieczających ślady jest gotów do wejścia. Odsuwam się. Daniel zszedł na dół i przygląda się miejscu zbrodni.

– O Boże... – szepce. W tej samej chwili powraca fala, która mną kołysała: bezradność, złość, strach, obrzydzenie, nienawiść. Opieram się o najbliższą ścianę, biorę głęboki oddech, wstrzymuję powietrze i staram się uspokoić.

Chcę, żeby Trajan umieścił mnie na liście. Nie może wiedzieć, że jestem przygotowana i że...

– Nina? – Dłoń Daniela znów dotyka mojego ramienia. Chyba odczuwa potrzebę uspokajania mnie co chwilę, tego się obawiałam. Odsuwam się kawałek, poza jego zasięg.

– Tak?

– Nic tu nie działyśmy. Marc i Christoph poszli rozpytać sąsiadów, a całą resztą zajmą się technicy i pirotechnicy. – Ogląda się przez ramię na zbryzganą krwią piwnicę. – Odwiozę cię do domu.

Chcę zaprotestować, przede wszystkim ze względu na sposób, w jaki o tym zdecydował. Nawet nie zapytał mnie o zdanie.

Jestem jednak zbyt zmęczona i tylko potakuję.

Również ten przejazd, ostatni wspólny kurs autem tego dnia, upływa nam w milczeniu. Daniel przerywa ciszę krótko przed końcem drogi.

– Wcale nie uważam, żeby to, jak na ciebie zadziałała transmisja na forum, mogło świadczyć o braku profesjonalizmu. Nie uważam również, żeby świadczyło to o twojej słabości. Możesz mi wierzyć.

– Postaram się. – Ledwie parkuje auto, ja jestem na zewnątrz. – Dobranoc.

Dopiero na klatce schodowej wyjmuję z kieszeni telefon. Od kilku godzin nie sprawdzałam, czy ktoś do mnie dzwonił. Dostałam jedną wiadomość od Toma. Sześć godzin temu: *Dasz znać, jak skończysz? Chciałbym Cię zobaczyć.*

Zamykam za sobą drzwi i odkładam komórkę na komodę w przedpokoju.

Nie odpiszę mu, bo wcale nie skończyłam. I długo jeszcze nie skończę.

## 27

Mam problem, żeby skupić się na drodze i z prawdziwą ulgą zatrzymuję samochód służbowy niedaleko domu, a potem gaszę silnik.

Jeszcze przez chwilę siedzę za kierownicą i zapadam się w ciszę wypełniającą wnętrze auta. Zamykam oczy, wsłuchuję się w oddech i wyobrażam sobie, jak powietrze stopniowo wypełnia moje wyczerpane ciało i zapewnia tlen mojemu mózgowi. To ćwiczenie medytacyjne, które polecił mi kiedyś policyjny psycholog. I rozpaczliwa próba uwolnienia się od prześladujących mnie obrazów. Od rozrzuconych po brudnym pomieszczeniu szczątków zwłok młodej kobiety, która ostatnie minuty życia spędziła w poniżającej sytuacji, wystawiona na spojrzenia milionów ludzi przed komputerami.

I próba uporządkowania myśli, które wirują mi w głowie. „Morituri”, Trajan, prawnik, lekarz, młoda kobieta, zamordowany haker, wszyscy ci ludzie, którzy skrywają się za siecią, zyskując anonimowość i pospiesznie wyzbywają się swojego człowieczeństwa jak ubrania przed pożądanym, wyuzdanym seksem.

I Nina. To, co mi opowiedziała, wyjaśnia nieco jej zachowanie, ale też uświadomiło mi, że jedna rozmowa z nią nie wystarczy. A będę musiał ułożyć sobie z nią współpracę, jeśli zostanie z nami na dłużej. Ale na takie zmartwienia przyjdzie czas później. Teraz nie pozostaje jej nic innego, jak tylko funkcjonować niezależnie od tego, co spotkało ją w przeszłości. Oboje musimy jakoś pracować.

Skupienie się na oddechu było przyjemną, ale niespecjalnie skuteczną próbą uspokojenia. Nie przyniosło mi ulgi.

Otwieram oczy i przyglądam się żywopłotowi, który rośnie między parkingiem a ogrodem. Potrząsam głową, mając nadzieję, że

ociężałość wynikająca ze zmęczenia opuści nie tylko moje ciało, ale też myśli.

Nie pamiętam, kiedy i czy w ogóle czułem się wcześniej równie wyczerpany. Nawet kilka godzin snu niewiele może teraz zmienić. Ale co robić, lepsze to niż nic.

Odpinam pas bezpieczeństwa i spoglądam na zegarek. Zbliża się północ. Jeśli szybko zasnę, mam szansę na sześć godzin snu. Jeśli...

Wysiadam, obchodzę samochód i ruszam w stronę drzwi domu, kiedy niespodziewanie rozlega się trzaśnięcie drzwi jakiegoś auta.

Wóz parkuje przy krawężniku, po przeciwnej stronie ulicy. Mercedes, luksusowa wersja. Zatrzymuję się i przyglądam mężczyźnie, który idzie w moją stronę. W świetle ulicznych latarni rzucających żółtawą poświatę zza jego pleców widzę masywną postać w garniturze. Odruchowo sięgam dłonią do paska, nieco z tyłu i obejmuję palcami rękojeść mojej broni. Nieznajomy jest dziesięć metrów ode mnie.

– Komisarz Daniel Buchholz? – Głos przyzwyczajony do wydawania rozkazów i do posłuchu, nawet jeśli z jakiegoś powodu wydaje mi się dziwny.

– Tak. A pan to kto?

– Ullbrecht. Dietmar Ullbrecht.

Znów ją czuję: pięść zaciskającą się na moim żołądku. Ullbrecht. Ale to na pewno nie jest ojciec dzisiejszej ofiary. Tamten nosi imiona Hans-Peter. Do tego pamiętam jego twarz z różnych magazynów. Jest szczupły i wysoki. A ten mężczyzna nie dość, że grubawy, to na dodatek jest niższy ode mnie o pół głowy. To oznacza rodzinę.

Tylko skąd miałby mnie znać? I skąd by wiedział, gdzie mieszkam?

Bo ma znajomości, to przecież oczywiste. Albo wykorzystał znajomości ojca Sandry.

W końcu jest dość blisko, żebym zobaczył jego twarz: nieruchoma, wykrzywiona maska poorana dawnym życiem. Albo doświadczeniami ostatnich godzin.

– Jestem bratem ojca Sandry. Chciałbym z panem porozmawiać.

Wszystkie słowa wymawia tym samym tonem. Jak robot, bez cienia emocji. Rozwieram palce zaciśnięte na broni i opuszczam dłoń.

– Nikt nie umniejsza tragedii, z jaką mierzy się pańska rodzina, jednak jest już dość późno i wolałbym raczej...

– Sandra zginęła niecałe trzy godzinny temu, rozerwana przez granat. Więc niech pan sobie daruje opowieści, jak jest późno. Porozmawiamy. – Mówi to już innym tonem, bardziej agresywnym. Jak mógłbym mieć mu to za złe?

Nie jestem przekonany, czy znajdę siły, by rzeczywiście skupić się na takiej konwersacji, ale czuję, że nie mam innego wyjścia.

– No dobrze – potakuję. – Proszę, niech pan wejdzie. Ulica to nie jest właściwe miejsce na takie rozmowy.

– Żadne miejsce nie jest właściwe na takie rozmowy. A to, co mam panu do powiedzenia, mogę powiedzieć w każdym miejscu.

Patrzę na Ullbrechta, chociaż nie, nie patrzę, tylko go obserwuję i mam nadzieję, że wyczytam z jego twarzy wskazówkę, czego mam się spodziewać.

Na próżno.

– Jak pan chce. Słucham.

Dalej spogląda na mnie bez emocji.

– Czy miał pan świadomość, że Sandra była jedynym dzieckiem mojego brata? Pewnie tak, musiał pan to wiedzieć. W końcu jest pan policjantem. Jednej rzeczy za to nie mógł pan wiedzieć, a mianowicie tego, że od rozwodu z matką dziewczyny nie było na świecie żadnej innej osoby, na której by mu zależało.

Przerywa na chwilę, jakby oczekiwał, że jakoś to skomentuję.

– Chyba... chyba potrafię to sobie wyobrazić – zapewniam go.

– Nie. Nie potrafi pan – warczy na mnie w taki sposób, że odruchowo robię krok w tył. Ullbrecht ponownie zmniejsza dzielący nas dystans i mówi dalej. – Nie ma pan bladego pojęcia, jaką

krzywdę wyrządził pan naszej rodzinie, tak skandalicznie partacząc swoją robotę.

Rozumiem, że ten człowiek przeżywa w tej chwili niewyobrażalny ból i cierpienie, lecz mimo to nie pozwolę, by zrzucał na mnie odpowiedzialność za śmierć swojej krewnej.

– Zaraz, zaraz. Proszę się uspokoić – przerywam mu. – Bo przy całym współczuciu i zrozumieniu dla pana sytuacji, uważam, że posuwa się pan zdecydowanie za daleko.

Ullbrecht mruży oczy.

– Zrozumienie dla mojej sytuacji? Próbowałem oderwać brata od ekranu komputera, żeby nie musiał patrzeć, jak jego półnaga i oszalała z przerażenia córka na oczach milionów chorych zbrojeńców błaga o litość. A on krzyczał, szarpał się i groził, że mnie zabije, jeśli jeszcze raz go dotknę. Kiedy wybuchł granat i urwała się transmisja, on osunął się na podłogę. Spadł z krzesła, zwinął się jak embrion i zaczął płakać. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby człowiek tak płakał. Musiałem wezwać karetkę. Teraz jest w szpitalu, na tak silnych lekach, że jest nieprzytomny, bo inaczej mógłby popełnić samobójstwo. Dzięki temu przynajmniej na jakiś czas jest bezpieczny. A ty, nadęty, żalosny przygłupie, będziesz mi pieprzył o zrozumieniu dla mojej sytuacji?! Tylko za te słowa powinienem dać ci po ryju. Wiedzieliście, że ten psychol zamierza ją porwać. I nic nie zrobiliście, żeby ją uratować.

Robi kolejny krok w moją stronę. Mam go na wyciągnięcie ręki. Zastanawiam się gorączkowo, jak powinienem zareagować. Czuję wzbierającą złość i jednocześnie przekonuję samego siebie, że ten człowiek ma prawo do wzburzenia.

Ullbrecht otwiera usta i kontynuuje swoją tyradę, a ja czuję od niego woń częściowo przetrawionego białego wina.

– Daliście dupy, zawaliliście na całej linii. I to wy ponosicie odpowiedzialność za śmierć Sandry.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli wezwę panu taksówkę...

– Gównu pan wie, co będzie najlepiej. Przyjechałem, żeby coś panu powiedzieć.

Znów mówi w miarę normalnym głosem i nie krzyczy, za to w jego tonie pojawia się nutka groźby.

– Przez brak profesjonalizmu i nieporadność ponosi pan współodpowiedzialność za to, co się stało. Jeśli nie dopadnie pan tego psychopaty, zadbam, żeby do końca życia nie zaznał pan spokoju. Żeby nie mógł pan przejść ciemną ulicą bez strachu, że zaraz ktoś pana zaatakuje. Nigdzie nie będzie się pan czuł bezpieczny. A kiedy pomyśli pan, że już po wszystkim, zjawi się ktoś, kto panu udowodni, że nigdy nie będzie po wszystkim...

– Wystarczy! – przerywam mu ostrym tonem i mimowolnie zaciskam pięści. – Albo natychmiast przestanie mi pan grozić, albo lepiej niech się pan wynosi!

Odwracam się i zostawiam go na chodniku. Mam nadzieję, że zostało mu dość zdrowego rozsądku, by po prostu odejść.

Nie zostało. Słyszę za sobą kroki i niemal w tej samej chwili czuję na ramieniu ciężką dłoń. Ullbrecht zaciska palce tak mocno, że sprawia mi ból, a potem szarpnięciem próbuje mnie odwrócić. Nie zastanawiając się długo, strząsam z siebie jego dłoń, na co Ullbrecht, z prędkością, o którą nigdy bym go nie podejrzewał, wyprowadza cios drugą ręką zaciśniętą w pięść. Nie mogę w pełni uniknąć uderzenia, ale przekręcam głowę na tyle, że tylko mnie muska. Ullbrecht chybia celu, ale tak wiele siły włożył w zamach, że traci równowagę i całym swoim masywnym cielskiem pada na chodnik.

Stoję nad nim i czekam. Przyglądam się, jak próbuje wstać. Cały czas jestem spięty i gotowy odeprzeć kolejny atak. On jednak nie podejmuje nowych prób. Wstaje i tylko patrzy na mnie nienawistnie. Jakieś brudy przylepiły się do jego mokrego policzka, a oddech stał się krótki i urywany.

– Niech pan już nigdy nie waży się podnieść na mnie ręki. A teraz proszę już iść, od razu, zanim pana aresztuję.



Trzy, cztery sekundy mierzymy się spojrzeniami, po czym Ullbrecht obraca się bez słowa, wraca do samochodu, wsiada i odjeżdża. Odprowadzam go wzrokiem, aż tylne światła jego mercedesa znikną za zakrętem i ucichnie warkot potężnego silnika.

Wracam do mieszkania i siadam ciężko w fotelu. Odchylam głowę i wbijam wzrok w sufit. O śnie w takim stanie mogę w ogóle zapomnieć. Jestem tak poruszony, że nawet siedzenie przychodzi mi z trudem.

Groźby Ullbrechta nie są warte funta kłaków, brzmiały, jakby zapożyczył je z jakiegoś serialu kryminalnego. Za to zrzucanie na mnie współodpowiedzialności za śmierć bratanicy to zupełnie inna historia – tym bardziej że sam miałem takie myśli. Czy naprawdę zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy? Nie mogliśmy zrobić niczego więcej? Wyczerpaliśmy wszystkie możliwości? Przeanalizowaliśmy wszystkie fakty? A może coś przeoczyliśmy? Jakiś drobiazg, który w ostatecznym rozrachunku mógłby ocalić życie Sandry Ullbrecht? Gdybyśmy go nie przeoczyli...

Wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem po pokoju. W końcu zdejmuję marynarkę, odwieszam ją na oparcie fotela i wygładzam zgniecenia. Potem znów siadam. Sześć kroków. Zawracam. Sześć kroków. Zawracam.

Staram się chwytać fragmenty myśli, które wirują mi w głowie, i zbudować z nich jakąś konstrukcję. Nie potrafię. Muszę coś zrobić, porozmawiać z kimś, żeby ująć to wszystko w pełne zdania. Potrzebuję kogoś, kto potrafiłby mnie wysłuchać, i zrozumiałby, co czuję. Teraz. Od razu.

Trzy kroki do fotela. Sięgam do wewnętrznej kieszeni marynarki, trzy, cztery dotknięcia ekranu. Unoszę dłoń i słucham. Dopiero przy drugim sygnale wołania dociera do mnie, że wybrałam numer Niny – Niny, która jest równie wyczerpana jak ja i pewnie śpi już w najlepsze. I że to pewnie ostatnia osoba, która miałaby ochotę wysłuchiwać moich problemów, bo sama...

– Tak?

Musiła spać. Odruchowo chcę się rozłączyć, lecz na szczęście w ostatniej chwili się powstrzymuję.

– Nina... bardzo cię przepraszam za porę... Wybacz, że cię obudziłem, nie pomyślałem w ogóle...

No dalej, powiedz, że rzeczywiście nie pomyślałeś i się rozłącz... Proszę...

Szelest. Ziewnięcie.

– Coś się stało? Dlaczego dzwonisz? – Budzi się powoli, słyszę to w jej głosie. – Bo przecież nie budziłbyś mnie bez przyczyny, prawda?

Nie mogę uporządkować myśli.

– Tak... to znaczy... miałem powód, ale to bez sensu, wybacz. Kończymy rozmowę i wracaj spać.

– Czy odbiło ci już do końca? – Nie jest zła ani wściekła. Raczej zaskoczona. – Wyrivasz mnie ze snu po takim dniu, a potem nie chcesz powiedzieć, o co ci chodzi? No śmiało, mów.

Ma rację. Jest już rozbudzona i tak od razu nie uśnie.

– Przed chwilą miałem gościa – zaczynam.

Nie pyta, o kogo chodzi. Czeka po prostu, aż sam jej powiem.

– Dietmar Ullbrecht. Brat ojca Sandry Ullbrecht.

– O kurwa...

– Można to tak ująć. – Opowiadam jej, jak przebiegło nasze spotkanie i niczego nie opuszczam. Nina ani razu mi nie przerywa.

– Rozumiesz już, dlaczego jestem zbyt poruszony, żeby usnąć?

– Pewnie. Poważnie traktujesz jego groźby?

– Nie wiem, nie mam pojęcia, co siedzi w głowie takiego faceta. Uważam, że to reakcja człowieka na ekstremalną sytuację, z którą sobie nie radzi. Kilka godzin wcześniej przyglądał się, jak jego bratanica...

– Też tak uważam.

Jest tak zmęczona, że ma trudności z mówieniem. Jakby przysypiała. Ale walczy.

– Nina, wiesz, powinniśmy skończyć i dokończyć tę rozmowę jutro, w biurze. Wtedy będzie na to czas. Dzięki, że mnie wysłuchałaś... i przepraszam, że cię obudziłem.

Przez kilka sekund milczy. Chcę zakończyć połączenie, bo domyślam się, że pewnie usnęła.

– Opowiedz, jak się z tym wszystkim czujesz – prosi w końcu półgłosem.

– Słucham? Nie, Nina, powinnaś położyć się spać. Naprawdę.

– Tak. Ale mnie obudziłeś. Więc śmiało, mów, jak się z tym czujesz. A ja będę po prostu słuchała. Rozłącz się, jak przestanę odpowiadać, bo to będzie znaczyło, że zasnęłam.

Nie wiem, co sądzić o jej propozycji, i waham się przez chwilę.

– To jak, zaczynasz? Bo mnie też dobrze zrobi czyjś głos. Przynajmniej nie będę musiała zmagać się z tym, co się teraz dzieje w mojej głowie.

– Tak, już. – Przez chwilę szukam właściwych słów, a potem zaczynam mówić.

## 28

Przed komendą dzieją się dantejskie sceny. Wozy transmisyjne różnych stacji telewizyjnych i tłum dziennikarzy, którzy wykorzystują siedzibę policji jako tło w swoich materiałach, a między nimi normalni ludzie, którzy chcą po prostu wejść do środka. I tacy, którzy przysli tu tylko po to, żeby złożyć kwiaty, jakby Sandra Ullbrecht zginęła gdzieś obok.

– Nie dodzwoniłam się do gorącej linii! – Jakaś kobieta zagradza mi drogę. – Pani jest z policji? To niech pani posłucha! Mój mąż twierdzi, że to bzdury, ale trzy dni temu widziałam, jak...

Mijam ją, mrużąc jakieś przeprosiny, i wchodzę do budynku. W lobby też panuje rozgardiasz. Dziennikarze i umundurowani funkcjonariusze zagradzają przejście do dyżurki i śluzy. Nikt mnie tu jeszcze nie rozpoznaje. Wpuszczają mnie do środka dopiero, kiedy się legitymuję.

Daniel jest już w biurze. Uśmiecha się do mnie krótko z niepewnością, która przysparza mu sympatycznego wyglądu. Zupełnie jakby się spodziewał, że w rozmowie nawiążę do jego nocnego telefonu. Potem wskazuje dłonią na plik gazet czekających na moim biurku.

*CÓRKA MILIONERA ROZERWANA GRANATEM!* – informuje pierwszy tytuł. *OSTATNIE SŁOWA SANDRY ULLBRECHT!* – krzyczy drugi, prezentując poniżej zdjęcia z wieczornej transmisji. Widać na nim na szczęście zamazaną twarz dziewczyny, którą i tak każdy rozpoznaje.

– Do listy poszukiwanych dodaliśmy mężczyznę, z którym Sandra wyszła z klubu nocnego – mówi Daniel. – Wystosowaliśmy też mały apel do mieszkańców, w tym przede wszystkim do gości, którzy tamtego wieczoru byli w lokalu. Ktoś musiał widzieć jego twarz. –

Daniel wraca do swojego komputera, ale po chwili znów unosi wzrok i patrzy na mnie. – Jak się czujesz?

Wzruszam ramionami. Nie znajduję właściwych słów, by opisać głuchą pustkę, która mnie wypełnia.

– Jakoś daję radę.

Z rezygnacją przeczesuje dłonią włosy.

– Za mniej niż godzinę na forum pojawi się nowa lista kandydatów. Z jednej strony już mi się robi niedobrze na samą myśl o tym, a z drugiej to może być nasza szansa.

Pięć minut później Arendt wzywa go do siebie. Ledwie zamyka za sobą drzwi, ja loguję się na swój profil na forum „Morituri”. Myśl o nowej liście budzi moją chęć do życia. Może znajdzie się na niej ktoś z opisem pasującym do Niny Salomon. Wtedy rzeczywiście będzie to dla nas szansa. I to jaka!

W skrzynce odbiorczej znajduję dwie nowe wiadomości prywatne. Jedna jest od Trajana.

*Hej, Leyla!*

*Głupia sprawa. Nominowałaś Ninę Salomon, ja zapytałem cię, czy jesteś pewna, a ty potwierdziłaś. Nieco za późno na wycofywanie się. Dla mnie ta policjantka była i jest wśród nominowanych do kolejnej rozgrywki. Na pewno nie będziesz żałować! Zapowiada się naprawdę ciekawie!*

*Pozdrawiam, Trajan*

I to jak ciekawie, dodaję w myślach, a serce wali mi jak dzikie. Nie, żebym się spodziewała, że wycofa moją nominację, ale dobrze mieć na piśmie, że tego nie zrobi. Cały czas jestem w grze, ba, jestem przekonana, że nie oprze się pomysłowi, by pozbawić życia policjantkę.

Wiadomość przyszła o pierwszej dwadzieścia cztery. O tej porze Sandra Ullbrecht od dłuższego czasu była martwa. A Trajan mógł rozkoszować się wirtualnymi owocami swojego sukcesu. Tysiące, dziesiątki tysięcy nowych komentarzy. Przeglądam tylko najnowsze.

Wygląda na to, że sympatia tłumu powoli się odwraca – prawie nikt nie jest zachwycony publiczną egzekucją Ullbrecht. Z wielu postów przebija poruszenie. Trafiam na liczne prośby o zakończenie tego szaleństwa. I oczywiście całą masę obelg, wybuchów nienawiści i żądań, żeby wybrał sobie w końcu równego przeciwnika.

Mam wrażenie, że każde kliknięcie myszką kosztuje mnie nieskończenie wiele wysiłku, a co gorsza, jest kompletnie bezcelowe. Nie muszę wiedzieć, co ta zgraja myśli o morderstwach Trajana. Jedyne, co muszę wiedzieć, to kim on jest.

Druga prywatna wiadomość w skrzynce odbiorczej została wysłana przez McQuentina.

*Cze, Leyla!*

*Nie wiem, jak ty, ale ja od wczorajszego wieczora czuję się paskudnie. Widziałaś transmisję? Mam nadzieję, że nie, bo była odrażająca. Strasznie mi było żal tej dziewczyny. Mimo że nie głosowałem, czuję wyrzuty sumienia. Wystarczy, że jestem użytkownikiem tego chorego forum.*

*Ale na szczęście już niedługo. Tobie przede wszystkim chciałem o tym powiedzieć. Lada chwila się stąd wynoszę, ale najpierw chciałbym się jeszcze z tobą spotkać. Mam wrażenie, że jesteś bardzo fajna. To jak będzie?*

*Uściski, McQuentin*

Zamykam wiadomość, a po krótkim zastanowieniu ponownie ją otwieram. Śmierć Ullbrecht wysuwa się w tej chwili na pierwsze miejsce, ale nie mogę zapominać o Jensie Vogcie, którego zwłoki znaleźliśmy w kontenerze na makulaturę. O Jensie, który według McQuentina pisał bardzo intrygujące rzeczy na czacie.

O ile to rzeczywiście był on.

*Witaj, McQuentin – odpowiadam po zastanowieniu. – Tak, niestety wszystko widziałam i do dzisiaj nie mogę się otrząsnąć. Zeszłej nocy prawie nie spałam i jeśli mam być szczerą, to teraz też nie czuję się za dobrze. Mimo to chętnie znajdę czas, żeby się z Tobą spotkać.*

*Albo właśnie dlatego, kto wie. Może dobrze będzie pogadać z kimś, kto ma podobne zdanie o tym wszystkim.*

*Lubisz irlandzkie klimaty? Jeśli tak, to co powiesz na pub Barley & Malt przy Deichstrasse? Ósma wieczorem? Jak Cię poznam?*

McQuentin odpowiada niecałe pięć minut później. Uwielbia irlandzkie puby, a poznam go po skórzanej brązowej kurtce i butach motocyklowych. Mam szukać wysokiego faceta z ciemnymi włosami, który będzie pił piwo Kilkenny.

Nie wymieniamy się prawdziwymi imionami. Nie tutaj. Ale mam do niego dwa pytania, na które mógłby odpowiedzieć online, bez czekania do wieczornego spotkania.

*Masz jakieś wieści od tego kumpla, z którym pisałeś? – pytam wprost.*

*Nie – wyjaśnia. – Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Mam tylko nadzieję, że to nie jego wczoraj znaleźli.*

Sama trzymam kciuki, żeby odpowiedział mi na drugie z przygotowanych pytań.

*Jak się nazywał tu, na forum?*

Odpowiedź od McQuentina otrzymuję kilka sekund później.

*Używał nicka Blackjack11.*

Od razu chwytam za słuchawkę, dzwonię do wydziału cyberprzestępczości i proszę, żeby spróbowali zalogować się z komputera Vogta na forum „Morituri” pod nickiem Blackjack11.

Potem, korzystając z przedłużającej się nieobecności Daniela, odpisuję Trajanowi:

*Proszę, zrób dla mnie wyjątek, dobrze? – błagam go. – Widziałam, co się wczoraj stało z Sandrą Ullbrecht, i nie chcę mieć czegoś takiego na sumieniu! Nie zniostabym tego!*

Jestem przekonana, że to go jedynie podnieci. Wybierając Ninę Salomon, skrzywdzi nie jedną, a od razu dwie osoby.

Słyszę za sobą skrzypnięcie drzwi, więc błyskawicznie zamykam forum. Mimo to Daniel zauważa, czym się zajmowałam.

– Jakież tajemnice? – pyta, unosząc brwi.

– Same – odpowiadam chłodno. – Ale na razie nie ma listy.

Spogląda na zegarek.

– Nic dziwnego, jeszcze ma na to czas. Dotychczas Trajan był zawsze bardzo punktualny.

O tak. Albo z wyprzedzeniem zapowiadał opóźnienie. Jest dokładnie ósma dwadzieścia siedem. Czyli do rozpoczęcia kolejnego głosowania zostały jeszcze trzydzieści trzy minuty.

Jeśli któryś z opisów wskaże na mnie, będzie to dla nas ogromny krok we właściwym kierunku. Nieuzgodniony, nieomówiony i samowolny krok, ale taki, który coś nam da. Ludzie oddadzą głosy na policjantkę, choćby dlatego, że wszyscy obwiniają nas teraz o to, że nie potrafimy przerwać tej serii morderstw. Miałabym naprawdę duże szanse, żeby wygrać...

Nagle ktoś otwiera gwałtownie drzwi do naszego biura. Odwracam się szybko. Do środka wpada gruby mężczyzna około pięćdziesiątki w towarzystwie dwóch gości w garniakach i jakiejś kobiety z teczką. Nieznajomy podchodzi do Daniela. Jego lewy policzek ma błękitno-czerwoną barwę.

Daniel wstaje i z pełnym spokojem krzyżuje ramiona na piersi.

– Dzień dobry, panie Ullbrecht. Mam nadzieję, że się pan wyspał i będziemy mogli normalnie porozmawiać.

Ullbrecht! To musi być stryj Sandry Ullbrecht, o którym Daniel mówił w czasie nocnej rozmowy telefonicznej. Za tym przemawia również siniak na jego policzku, którego się nabawił w wyniku próby siłowej konfrontacji.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać, panie Buchholz. Przyszedłem po wyniki. Pańscy przełożeni nie mają pojęcia, na jakim etapie jest śledztwo, bo walczą z prasą i mieszkańcami Hamburga, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Z każdym słowem robi się coraz głośniejszy. – Wiecie już, kto to jest? Kim jest ten śmieć? Nazwisko? Ślady? Cokolwiek?

Nie znam Daniela dostatecznie dobrze, bym potrafiła ocenić, czy jego spokój jest prawdziwy, czy tylko udawany.



– Nie, jeszcze nie. Ale może mi pan wierzyć, że robimy co w naszej mocy. Jak się czuje pański brat?

Ostatnie pytanie wytrąca Ullbrechta z równowagi. Milczy przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy nie zdradzi jakiejś tajemnicy.

– Jest na lekach uspokajających – wyjaśnia w końcu, znacznie ciszej niż przed chwilą. – Ale widać, że ma przed oczyma to, co zobaczył. Bez przerwy. Tak samo jak ja. A nawet dla mnie to nie do zniesienia. Mógł pan temu zapobiec, panie Buchholz. Gdybyście się tak nie pieścili z robotą.

Rozgląda się po pomieszczeniu i dostrzega moją obecność. Mierzy mnie ponurym wzrokiem.

– Nie ma pani nic do roboty? – atakuje mnie. – Z panią nie rozmawiam, więc może zamiast podsłuchiwać, zajmie się pani szukaniem mordercy, który zamordował moją bratanicę! Choć o to pewnie będzie trudno, bo nie wygląda pani na bystrzачę. Trafi pani ręką do dupy? Czy potrzebuje pani przewodnika? No nie gap się na mnie, kobieto, jak jakaś idiotka, tylko bierz się do roboty!

Widzę, że Daniel drży, słysząc jego słowa, więc delikatnie kręcę głową. Osoby towarzyszące Ullbrechtowi spuszczaają zawstydzony wzrok, a mnie się zbiera na śmiech. Albo na płacz, bo domyślam się, co ten człowiek przeżywa. Bo sama na jego miejscu zachowywałabym się równie agresywnie.

Wstaję, podchodzę do niego i ujmuję jego dłoń.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia. – A potem, nie czekając na jego reakcję, mijam go i wychodzę na zewnątrz.

Na korytarzu panuje spory ruch. Obok mnie przebiega Pia. Niesie naręcze jakichś dokumentów do biura, w którym pracują Amerykanie. Czyżby na nią trafiło i musi teraz robić za dziewczynę od wszystkiego?

Za to w kuchni jest pusto. Kiedy pierwsze espresso spływa w akompaniamencie bulgotu ekspresu do filiżanki, opieram czoło o chłodną taflę okna. Jeszcze piętnaście minut do rozpoczęcia kolejnego głosowania. Co wtedy? Jeśli znajdę się na liście,

powinam wtajemniczyć Daniela w swój plan? Tak, pewnie będę musiała to zrobić, choć na pewno nie okaże zachwytu.

Mam nadzieję, że nie będzie tak źle jak pod koniec w Bremie. O nie, bo moja taktyka zaprowadzi nas prosto do Trajana.

Zostaję jakiś czas w kuchni i wracam dopiero, kiedy uznaję, że Ullbrecht ze swoją świtą powinni już wyjść.

I rzeczywiście, kiedy wchodzę do biura, nie ma po nich śladu. Podaję Danielowi filiżankę kawy. Rozmawia akurat przez telefon, więc dziękuje jedynie skinieniem głowy.

– Nie spodziewałem się po tobie takiego opanowania. – To pierwsze słowa, jakie do mnie kieruje po odłożeniu słuchawki.

– Czasem daję radę. – Uśmiecham się do niego, ale z każdą minutą robię się coraz bardziej nerwowa. Być może zaraz, po publikacji listy kandydatów, będę musiała liczyć na to, że sam też daje sobie radę z opanowaniem. – Czy zgłosił się ktokolwiek z informacjami na temat osoby towarzyszącej Sandrze?

– Kilka osób. Opisy są dość rozbieżne, ale powoli krystalizuje się pewien zbiór podobieństwa. Choć jak dotąd nikt nie potrafił powiedzieć, że go zna albo widział wcześniej.

Minutę przed dziewiątą obchodzę biurko Daniela i staję obok niego. Otworzył stronę forum. Ponad milion użytkowników jest online, mimo całego oburzenia, które wylewali na Trajana przez ostatnich kilka godzin.

Dziewiąta. Wstrzymuję oddech i nie odrywam wzroku od monitora. Nie ma nowej listy. Trajan nic nie pisze.

Mija minuta, potem dwie. Marc zagląda do naszego biura.

– Widzicie coś?

– Nie – odpowiada Daniel. – Spóźnia się z listą.

Pięć po dziewiątej dalej nic się nie dzieje. Nie ma nowych kandydatów, nie ma głosowania i nie ma też informacji o opóźnieniu. Trajan nie daje znaku życia.

Użytkownicy forum zaczynają spekulować. Co go zatrzymało? A może chce po prostu podnieść atrakcyjność całości? Zwiększyć

napięcie? Ewentualnie przejął się głosami ze strony czytelników i postanowił porzucić to, co robił?

Mija dziesiąta, potem wpół do jedenastej i jedenasta, a Trajan dalej nic nie pisze. W końcu sama pozwalam sobie na iskierkę nadziei.

Może już mu starczy. Może ma dość. Może będziemy mogli skupić się na spokojnych poszukiwaniach?

## 29

Krótko przed dwunastą do naszego biura wpada z drzwiami szefowa. Zatrzymuje się między biurkami i gniewnym gestem splata ramiona.

– Widzieliście ten wywiad? – Głos drży jej ze wzburzenia, co w jej przypadku jest naprawdę wyjątkową sytuacją. Nina spogląda na mnie zaskoczona.

– Nie, a o co chodzi... – zaczyna, lecz ja wchodzę jej w słowo.

– Jaki wywiad?

– Ten przeprowadzony przez dziennikarza z konferencji prasowej. Pamięta kolega, bezczelny gość, który wcześniej od nas wiedział o porwanym właścicielu psa. Schröter. – Wskazuje na mój komputer. – Jest na jego portalu. Niech pan otworzy stronę blitzreporter.de.

Równocześnie z Niną uruchamiamy przeglądarki i wpisujemy adres. Strona jest utrzymana w typowym bulwarowym stylu. Jaskrawe kolory z dominującym żółtym. Jeden tytuł od razu rzuca się w oczy:

**CZŁONEK WPC ZAPEWNIŁ: ZAMORDOWANY JENS VOGT ZNAŁ TOŻSAMOŚĆ OSOBY PROWADZĄCEJ FORUM „MORITURI”!**

*W wywiadzie przeprowadzonym przez redaktora naczelnego Steffena Schrötera Paul Johansen, członek hamburskiego stowarzyszenia specjalistów komputerowych Web Professionals Community, ujawnił, że zamordowany Jens Vogt musiał znać tożsamość tajemniczej postaci prowadzącej forum „Morituri”, mordercy ukrywającego się pod nickiem Trajan. Kliknij, żeby obejrzeć wywiad!*

Zanim uruchamiam odtwarzanie, z głośników komputera Niny słyszę głos dziennikarza. Żeby nie robić kakofonii, wstaję i podchodzę do jej

biurka. Razem z Arendt spoglądamy na ekran komputera Niny. Widzę Schrötera, jak stoi naprzeciwko Johansena i podsuwa mu mikrofon. Wybrał miejsce gdzieś na dworze, z łąką w tle.

– *Jak dobrze znałeś Jensa Vogta?* – pyta Schröter prosto z mostu, na co Johansen wzrusza ramionami.

– *Świetnie się znaliśmy. Prawie codziennie widzieliśmy się w pracy. Bardzo dużo rozmawialiśmy. Przede wszystkim o sprawach komputerowych. Ta sprawa mocno mnie dotknęła.*

Schröter potakuje i robi strasznie sztuczną minę, która ma wyrażać współczucie.

– *Doskonale cię rozumiem. To okropne, co się stało. Ale skoro świetnie się znaliście... może domyślasz się, co mogło przyczynić się do śmierci twojego kolegi?*

– *Mam pewne podejrzenia.* – Johansen spogląda przez chwilę prosto w obiektyw. – *Rzeczywiście, mam.*

Potakuje kilkakrotnie, jakby musiał podkreślić, że naprawdę tak myśli, po czym spogląda na swojego rozmówcę.

– *Jens robił ostatnio sporo dziwnych aluzji na temat „Morituri”.*

– *Aluzji? Jakich konkretnie? Czego dotyczyły?*

Johansen potakuje.

– *Głównie mówił o tym, że policja mu do pięt nie dorasta. I że Trajan wcale nie jest taki bystry, jak mu się wydaje. I że o nim, Jencie, niedługo będzie bardzo głośno.*

– *Rozumiem. WPC znane jest z bardzo wykwalifikowanych... ze świetnych programistów. Myślisz, że twój znajomy znalazł sposób, żeby złamać zabezpieczenia forum?*

Johansen ściąga usta.

– *Nie mam pewności. Ale to całkiem możliwe. Jednak moim zdaniem udało mu się ustalić, kim jest Trajan.*

Schröter wytrzeszcza oczy, co jeszcze wyraźniej uwidacznia brak zdolności aktorskich i przebija swoją sztucznością zatroskany wyraz twarzy z początku wywiadu.

– *Wow! To rzeczywiście mogłoby posłużyć za motyw. Czy w jakikolwiek sposób napomknął, kim jest ten człowiek?*

– *Powiedziałem już, że...*

– *Pytam jedynie, czy wspomniał, jak się nazywa?*

Johansen marszczy czoło i spogląda w bok, jakby musiał się zastanowić.

– *Jeśli palnie teraz coś głupiego, sam wyda na siebie wyrok śmierci – mówię półgłosem.*

– *Nie, nie wymieniał żadnych nazwisk.*

Pełne zrozumienia potaknięcie.

– *No tak, oczywiście. To by było zbyt proste. Poza tym w takiej sytuacji od razu powiadomiłbyś policję, prawda?*

– *Tak, pewnie tak bym zrobił. Chociaż... wygląda to tak, jakby ktoś z policji miał w tym swój udział.*

– *Słucham?! – Nina uderza płaską dłoń w blat. – Czy on ma dobrze w głowie?*

– *Skąd taki pomysł? – drażży Schröter. – Czy Jens mówił coś na ten temat?*

– *Nie, nic o tym nie wspominał, ale... ale ja tak myślę, że to... jak on robi z policji idio... jak im się wymyka...*

Obraz kołysze się lekko i zmienia się perspektywa. To znak, że obróbka nagrania jest słaba i na niskim poziomie. Schröter zwraca się w stronę kamery i robi co może, żeby wyglądać jak poważny dziennikarz. Na próżno.

– *To był Paul Johansen, najbliższy znajomy zamordowanego Jensa Vogta. Wywiad przeprowadził redaktor naczelny portalu blitzreporter.de*

*Steffen Schröter.*

Nina uśmiecha się przez chwilę w sposób, którego nie potrafię zinterpretować.

– *Powiedział mniej więcej to samo, czego dowiedzieliśmy się od Gerbera.*

– Zgadza się. A ja bardzo chętnie bym się dowiedziała, co konkretnie usłyszał od Vogta. I jak to możliwe, że zdecydował się wypowiadać ze wszystkiego temu udawanemu reporterowi, a kiedy my zadawaliśmy mu pytania, wołał milczeć.

Potakuję i wskazuję głową na drzwi.

– Jedziemy?

Waha się przez chwilę.

– A miałbyś coś przeciwko, gdybym chciała zostać? Nie przebrnęłam jeszcze przez wczorajsze wiadomości. Sporo się zdarzyło. – Patrzy to na Arendt, to na mnie. – Może uda mi się wyłapać coś ważnego i popchnąć śledztwo?

Znam Ninę już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że to wymówka. Ale okej, nie mam nic przeciwko. Kiedy sobie przypomnę, jaka była wyczerpana wczoraj wieczorem, to nawet wolę, żeby została w biurze, niż żeby pojechała ze mną w teren i znów zaczęła tracić nerwy.

– Pewnie, nie ma żadnego problemu. Wezmę kogoś z zespołu. Ale jeśli mogę poprosić cię o przysługę, to znajdź przy okazji jakieś info na temat tego całego Schrötera.

Wychodząc, Arendt chwyta mnie pod ramię.

– Jeśli chodzi o podejrzenia Johansena, że ktoś z policji mógłby współpracować z tym człowiekiem... – nie kończy zdania.

– O tak, to jeden z tematów, który na pewno z nim poruszę – zapewniam ją.

Pierwszą osobą, jaką spotykam na korytarzu, jest Christoph. Czuję się znacznie spokojniejszy na samą myśl, że w czasie rozmowy z Johansenem będę miał przy sobie kogoś tak opanowanego.

Schodząc do garażu, opowiadam mu o wywiadzie i naświetlam sytuację. Chwilę później siedzi obok mnie, na fotelu pasażera.

Jadąc, rozmawiamy o forum i o mechanizmach, które sprawiają, że miliony zwyczajnych ludzi niespodziewanie zmieniają się w żądną krwi i grozy tłum, a tym samym w wirtualnych współsprawców popełnianych zbrodni. Wiem, że są pewne schematy zachowań,

które do tego prowadzą, jednak nie umiem ująć ich tak celnie w słowa, jak robi to Christoph. Co z całą pewnością ma swoje źródło w jego zamiłowaniu do kryminologii i marzeniu, by móc pracować jako profiler.

– Jak ci idzie współpraca z Niną? – pyta niespodziewanie i tak otwarcie, że muszę zebrać myśli, zanim mogę mu odpowiedzieć.

– Całkiem nieźle. – Nie mam pojęcia, z czego to wynika, ale nie uśmiecha mi się rozmowa z nim na temat Niny.

Co za bzdura. Oczywiście, że wiem, z czego to wynika. Ja po prostu nie chcę słyszeć, jak analizuje jej psychikę. Od wczoraj wieczoru wiem o niej znacznie więcej niż pozostałe osoby z naszego zespołu i za nic nie chciałbym się przypadkowo wygadać. Jeśli nieopatrznie zdradziłbym choćby fragment tajemnicy, o której mi opowiedziała, nasza dalsza współpraca byłaby skończona.

Christoph śmieje się krótko.

– Oczywiście. Rozumiem, że nie masz ochoty rozmawiać o niej ze mną, i szanuję to. Ale chciałbym cię poprosić, żebyś nie oceniał jej pochopnie.

– Przecież tego nie robię.

Christoph nie reaguje na mój protest.

– Jej zachowania i reakcje są w znacznej mierze charakterystyczne dla osoby niosącej z sobą jakiś bagaż emocjonalny, z którym nie do końca sobie jeszcze poradziła. Taka osoba potrzebuje zazwyczaj sporo czasu, zanim kogokolwiek do siebie dopuści. – Widząc moje ostrzegawcze spojrzenie, dodaje szybko: – Mówię przede wszystkim o stosunkach czysto służbowych i towarzyskich.

Uznaję, że tego również nie będę komentował, tym bardziej że w zasadzie ma rację. Na początku zdecydowanie za szybko oceniałem zachowania Niny i ją samą. Wiele zrozumiałem dopiero, kiedy mi o sobie opowiedziała.

Znajdujemy miejsce parkingowe przed budynkiem, w którym mieści się siedziba WPC, a Manuela otwiera nam drzwi już po pierwszym



dzwonku i od razu wpuszcza nas do środka. Z jej miny można wyczytać, że zupełnie nie jest zaskoczona naszą wizytą.

– Dzień dobry – mówię poważnym głosem. – Czy zastaliśmy pana Johansena?

Potakuje.

– Tak, jest w biurze. Ostrzegałam go, żeby się przygotował na waszą wizytę. Po tym idiotycznym wywiadzie nie miałam wątpliwości, że się pojawicie.

Kiedy wchodzimy, Johansen jest sam. Siedzi na odwróconym krześle z ramionami na oparciu przed sobą. Na tyle, na ile potrafię ocenić, jego mina wyraża wstyd i wyrzuty sumienia.

– Chyba nie muszę panu wyjaśniać, w jaki zachwyłt wprawił nas pana wywiad na tym gównoportaliku?

– Może to było trochę...

– Czy pan całkowicie postradał zmysły? Jakby nie wystarczyło, że ukrywał pan przed nami ważne informacje, a potem jakby nigdy nic papie pan wszystko jakiemuś żalósnemu pismakowi jak na spowiedzi, to na dodatek otwarcie oskarża pan kogoś z policji o wspieranie tego psychopaty?!

Johanson unosi głowę i siada prosto.

– Przecież wam też powiedziałem...

– Co nam pan powiedział? Bo ja sobie niczego nie przypominam! – mówię podniesionym głosem. – Nie przyszło panu do głowy, że mógł się pan przyczynić do śmierci Sandry Ullbrecht? Że jest pan współwinny jej wczorajszego morderstwa? Że może bylibyśmy znacznie dalej z dochodzeniem, gdyby wczoraj pan przemówił? Może tak daleko, że udałoby się nam zapobiec temu wszystkiemu?! Nie wiem, może mieliśmy zapłacić za pana wiedzę, jak ten dziennikarzyna? Co panu obiecał za publiczne szkalowanie policji? Mam szczerą nadzieję, że to się panu opłaciło. I że co noc będzie pan widział we śnie rozerwane granatem ciało tej biednej dziewczyny i jej wnętrzności rozbryzgane po ścianach dookoła!

– Daniel! – Christoph mówi bardzo spokojnym głosem, lecz w jakiś sposób trafia do mnie tak bardzo, że biorę się w garść. Ostatnio jestem zbyt spięty i za łatwo wybucham. Sam siebie nie poznaję.

– On nic za ten wywiad nie dostał – wyjaśnia Manuela Donell. – Paul zachował się lekkomyślnie i tyle.

– Zdecydowanie lekkomyślnie. Zdecydowanie. – Znow spoglądam na Johansena. – Dotychczas żyłem w przekonaniu, że hakerzy to cholernie inteligentni ludzie. Nawet jeśli, to ten wywiad był tragicznie głupim posunięciem.

Przez chwilę w pomieszczeniu panuje cisza. W końcu biorę głęboki oddech.

– Dobrze, do rzeczy. Co takiego powiedział panu Jens Vogt na temat Trajana? Chcę wiedzieć dosłownie wszystko. Każde jego słowo.

Po raz kolejny zapada cisza i trwa dłużej niż ostatnio. Czekam, aż Johansen zacznie mówić.

– W sumie to niewiele powiedział. Jeśli panowie oglądali ten wywiad... powtórzyłem prawie wszystko, co od niego usłyszałem.

– Prawie. No właśnie. Kto wpadł na pomysł, że Trajan może mieć jakieś znajomości w policji albo znać się na naszej pracy?

Johanson spuszcza wzrok.

– Ten facet, który przeprowadzał wywiad.

– Tak podejrzewałem. Co jeszcze powiedział Vogt? Chodzi mi głównie o to, o czym nie wspomniał pan w tym... wywiadzie.

Johansen wymienia spojrzenia z koleżanką. Dziewczyna potakuje zachęcająco. W końcu się przełamuje.

– Powiedział, że jeśli Trajan jest tym, kogo o to podejrzewa, to nie po raz pierwszy będzie miał na sumieniu takie rzeczy.

Niewiele, ale przynajmniej coś.

– Wyjaśnił może, co miał na myśli? Co takiego ma już na sumieniu? To jakaś konkretna sprawa? Założył wcześniej jakieś forum?

Wzruszenie ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Tego się obawiałem.

– Właśnie, jeszcze coś sobie przypomniałem. Powiedział coś takiego: „Niedaleko jest od Troi do Trajana”. Tutaj chyba jest jasne, co mógł mieć na myśli.

Otóż nie, wcale nie jest to jasne. Przynajmniej nie dla mnie.

– Co takiego?

Johansen znów spogląda na Manuelę Donell, lecz tym razem nie szuka w niej wsparcia. W jego oczach błyszczy znana z poprzedniego spotkania zarożumiałość. Kiedy zwraca się w moim kierunku, widzę, że z trudem powstrzymuje kpiący uśmiech.

– Słyszał pan coś o trojanach?

## V

Bezradność to słowo, które pojawia się prawie w każdej gazecie i to niejednym razem. Obok równie popularnej bestii oczywiście, przy czym bestia to on. Ilekroć czyta taki opis, czuje rozbawienie.

Sandra Ullbrecht bezradnie czekała na śmierć. Policja bezradnie przyglądała się dziełu psychopatycznego mordercy. No tak, jeszcze ta dziewczynka, którą perfidnie umieścił na liście do głosowania. Jaki wrzask oburzenia tym wywołał! Bezradna i bezbronna dziewczynka!

Zaparzył sobie herbatę. Zieloną herbatę, która działa na niego pobudzająco. Wdycha jej zapach.

Bezbronne dziecko. Ależ się wszyscy zdenerwowali! Chociaż – jednak nie wszyscy. Zdecydowanie nie wszyscy. Setki tysięcy głosujących chciało zobaczyć, jak umiera. Z mieszaniną odrazy i ciekawości pragnęli czegoś, co przez kilka tygodni ożywiałoby ich fantazje.

Upija pierwszy łyk parującej herbaty. Robi to bardzo ostrożnie, żeby nie poparzyć sobie ust. Ani przez chwilę by się nie wahał, czy zabijać tę dziewczynkę. Sam doskonale pamięta, jak to jest mieć jedenaście lat. Jak wiele nienawiści odczuwa się w tym wieku i jak przerażające mogą być marzenia rodzące się wtedy w głowie.

Bezradne dziecko budzi w ludziach instynkt, by je chronić. W większości, bo u wielu wygląda to inaczej. U niektórych taki widok budzi podniecenie. Podniecenie, któremu dadzą upust, jeśli będą czuli się dostatecznie pewnie, bo są chronieni. Albo dlatego, że nikt nie patrzy.

To, że jedenastoletka nie zwycięży, było dla niego od samego początku oczywiste. Tak samo jak za każdym razem wiedział, z kim przyjdzie mu się spotkać. Zna ludzi. Są okropnie przewidywalni

w swojej brutalności, zawiści i lenistwie. Wie, jakiej użyć zanęty, żeby tłum dał się na nią złapać, i wybrał to, czego on chce.

Z początku odczuwał nawet satysfakcję, teraz to już prawie nudne. Ale przynajmniej kolejna runda będzie znacznie bardziej ekscytująca, jeśli zrealizuje ją zgodnie z planem.

I to mimo tego, że zgodnie z planem zna jej zakończenie.

Herbata jest tak gorąca, że prawie parzy mu przętyk. Zastanawia się przez chwilę, czy opłacałoby mu się raz jeszcze obejrzeć nagranie z poprzedniego wieczoru. Może tym razem poczuje coś więcej niż przelotny żal, że Sandra Ullbrecht miała w swoim otoczeniu tak wielu zazdrośników.

Zmienia zdanie i decyduje się przejrzeć prasę. Ponoć sprawie przyglądają się najważniejsze osoby w państwie. Politycy z lewa i prawa potępią ostro tę odrażającą zbrodnię.

W końcu może się śmiać. Potępią go. W ten sposób oficjalnie przyznają się do bezradności. A ich bezradność od samego początku była jego celem.

# 30

Spekulacje użytkowników forum, które i tak nie wnosiły niczego nowego, nie były prawdziwym powodem, dla którego nie pojechałam z Danielem do hakerów. W większości postów autorzy wyrażali oburzenie czy smutek, a rzadko trafiały się bardziej prowokacyjne wpisy z narzekaniami, że nie było widać samej eksplozji.

Dość szybko rozeszła się wiadomość, gdzie dokładnie zginęła Sandra Ullbrecht. Kilku użytkowników forum pojechało pod stary budynek i umieściło na forum zdjęcia policyjnej blokady.

Czytam te posty, ale nie przywiązuję szczególnej wagi do ich treści, bo wiem, że nic z nich nie wyniknie. Przy komputerze trzyma mnie ciekawość, czy Trajan zareaguje na moją wiadomość, czy nie.

Dotychczas mi nie odpisał. Na dodatek nie opublikował nowej listy kandydatów, nie zapowiedział opóźnienia i w ogóle nie dał żadnego znaku życia.

Dalej brak odpowiedzi na moją wiadomość.

Bardzo chciałabym wierzyć, że coś wyłączyło go z gry na dłuższy czas. Może w momencie eksplozji granatu był w pobliżu, dostał odłamkiem i jest ciężko ranny. Albo miał najzwyczajniejszy wypadek samochodowy. Albo najzwyczajniej się wycofał, bo nie wierzy, żeby więcej niż trzy razy udało mu się uniknąć odpowiedzialności.

Ale w głębi serca wiem, że tak nie jest, bo w ostatniej wiadomości prywatnej do mnie pisał, że czeka nas kolejna runda...

Dzwoni telefon. Nie odrywając wzroku od monitora, podnoszę słuchawkę.

– Salomon.

– Dzień dobry, Menzel z tej strony, szefowa komendy Hamburg-Południe. W lesie na naszym terenie znaleziono martwego psa.

Zakładamy, że to może być zwierzę, którego poszukujecie w związku ze sprawą „Morituri”.

Przez chwilę nie kojarzę, o co może jej chodzić.

– Pies Gustava Beranskiego? Beagle?

– Tak, beagle. Suczka. Nie jest w najlepszym stanie.

Z nutką współczucia i żalu myślę o Gustavie Beranskim, emerytowanym urzędniku pocztowym, i ze wzbierającą złością o czepialskich sąsiadach, których świętym trawniczkom nic już nie grozi. Tak jak chcieli.

– Jak został zabity?

– Mocne uderzenie w czaszkę, prawdopodobnie kamieniem. Kość w tym miejscu jest wyraźnie wklęsnięta.

Proszę Menzel, żeby zadbała, by truchło psa trafiło do techników kryminalistyki, i odkładam słuchawkę. W tej samej chwili do biura wchodzi agenci CIA. Znów bez pukania.

– Gdzie jest Daniel? – pyta Payne. – Za dwie godziny przylatuje nasz najlepszy specjalista od komputerów, potrzebujemy Daniela, żeby wszystko przygotować.

– Jest w terenie. Pojechał rozpytać świadków. – Wzdycham i odsuwam krzesło. – Ja się tym zajmę.

Pozostałą część popołudnia spędzam z Andressenem i Gerberem w biurach wydziału do walki z cyberprzestępczością, żeby ustalić i zebrać informacje, co do których nie mamy wątpliwości. Wszystko, by zapewnić nowemu specjaliście optymalne warunki do pracy.

– W tej chwili nie ma szans zrobić więcej niż my – burczy Andressen pod nosem. Jest wyraźnie niezadowolony.

Kiedy wracam do biura, Daniel już tam jest. Nie informuję go, że wygląda na wykończonego i nie wspominam, że ma brudny rękaw koszuli. Ta druga uwaga pewnie kosztowałaby go znacznie więcej nerwów.

– Jak było?

Kręci głową.

– Niezbyt owocnie. Jeśli Vogt miał rację w swoich przypuszczeniach, Trajan musiał jakiś czas temu doprowadzić do instalacji trojana na którymś z naszych komputerów i wywołał tym znaczne szkody. Ale Johansen nie wie, o jakie szkody chodziło. A szkoda, bo to byłby przynajmniej jakiś trop.

– Dalej nie ma listy?

– Nie, na razie nie.

Loguję się na forum. Trajan mi nie odpisał i nic nie opublikował. Bardzo bym chciała umieć zacząć się cieszyć.

Niedługo po szóstej wieczorem wyłączam komputer.

– Dobra, starczy na dzisiaj – oznajmiam Danielowi. – Głowa mnie już boli. Nie jestem w stanie myśleć.

Mierzy mnie przez chwilę czujnym spojrzeniem, ale uznaje, że może mi wierzyć.

– Miłego wieczoru. Odpocznij, Nina. Do jutra.

Tancerka nie jest blondynką, co za pech, ale przynajmniej ma związane w kok włosy. Kończę układać fryzurę i nakładam mocny makijaż, a potem wylewam na siebie tygodniowy zapas perfum.

Pub Barley & Malt leży przy wąskiej, otoczonej bardzo starymi kamienicami uliczce Deichstrasse i o tej porze jest w zasadzie pusty. Wchodzę do środka. Wygląda na to, że po śmierci Sandry Ullbrecht, która została porwana z podobnego lokalu, mieszkańcom Hamburga przeszła ochota na wieczorne wyjścia do miasta. Tylko przy trzech stolikach siedzą goście; przy jednym z nich, naprzeciwko mnie, pod zgniłozieloną, obwieszoną licznymi zdjęciami ścianą, siedzi wyrośnięty mężczyzna w skórzanej kurtce. W szklance ma co prawda piwo Guinness, a nie Kilkenny, lecz ja przecież też nie jestem blondynką, choć miałam nią być.

Wstaje na mój widok i witamy się cmoknięciem w oba policzki.

– Leyla – przedstawiam się z uśmiechem.

– McQuentin. A w zasadzie to Marcel. Miło cię widzieć.

Świetnie wygląda. Jest wysportowany. Nie przypomina osoby, która całe dni spędzała na forach internetowych. Przez chwilę analizuję



wszystkie zapamiętane cechy charakterystyczne mężczyzny towarzyszącego Ullbrecht, jednak nie odnajduję niepokojących zbieżności. Po prawej stronie twarzy Marcel ma łukowatą bliznę, na którą świadkowie na pewno by zwrócili uwagę, gdyby tamten człowiek też ją miał.

– Wciąż jeszcze nie mogę się otrząsnąć. – Mówiąc, spogląda na swoją szklankę. – Ten zwyrodnialec wysadził kobietę w powietrze. To się nie mieści w głowie. A pomyśl, że głosowanie mogła wygrać jedenastolatka. Czy z nią zrobiłby to samo?

Sama nie raz zadawałam sobie to pytanie.

– Nie mam pojęcia. Ale domyślam się, że tak.

Dostaję zamówione piwo i wznosimy toast. Przygląda mi się w zamyśleniu.

– No dobra, to powiedz, co jest nie tak z twoim komputerem.

Wzruszam niepewnie ramionami.

– Zwalnia i wiesza się co chwilę. Nie mam pojęcia dlaczego.

Marcel jest w swoim żywiole. Wymienia całą listę możliwych przyczyn, zagłębia się w szczegóły, a ja słucham, potakuję i staram się robić minę, jakbym była pod dużym wrażeniem.

– Wow – mówię w końcu i kładę mu dłoń na przedramieniu. – Masz niezłą wiedzę. Szacunek.

Uśmiecha się szeroko i zaraz potem stara się udawać skromnie, że to nic takiego.

– Oj, to po prostu część mojej pracy. Zajmuję się grafiką reklamową i programuję, kiedy mam czas.

Chwyta moją dłoń, zanim udaje mi się ją cofnąć.

– Bardzo mi się podobasz, wiesz? Gdzie tańczysz? Chciałbym przyjść cię zobaczyć.

Jestem przygotowana na takie pytania.

– W tej chwili nigdzie. Mam przerwę, bo nabawiłam się kontuzji. Staw skokowy. A wcześniej tańczyłam w Bremie. Wtedy jeszcze byłam blondynką.

Uśmiecha się.

– Kiedy zmieniłaś kolor włosów?

– Dopiero trzy dni temu. – Small talk jest okej. Small talk daje mi poczucie bezpieczeństwa. Pozwalam na to jeszcze przez pół godziny. Słucham uważnie, a on opowiada mi o swojej pracy.

– A nie przyszło ci do głowy – pytam niespodziewanie – że skoro sam jesteś ekspertem komputerowym, to może potrafiłbyś znaleźć tego całego Trajana?

Śmieje się.

– Gdzie tam. Oczywiście, że nie. Ten facet gra w zupełnie innej lidze.

– Szkoda. – Splątam nasze palce. – Bo wiesz, od śmierci Sandry Ullbrecht cały czas myślę o tym, że bardzo bym chciała przyczynić się jakoś do złapania Trajana. I jak ciebie tak słuchałam, to pomyślałam, że może byśmy tak razem... – Celowo nie kończę zdania.

Marcel wyjaśnia, dlaczego to nie jest możliwe. Długo i szczegółowo. Ani razu mu nie przerywam. Wygląda na to, że naprawdę zna się na swoim fachu i umie tłumaczyć. Jest dowcipny i autoironiczny. Z minuty na minutę czuję do niego coraz większą sympatię.

W pewnej chwili przesiada się obok mnie i przesuwa dłonią po moich włosach.

– Chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz w rozpuszczonych.

– No to śmiało. – Śmieję się. – Rozpuść je.

Palcem muska moją twarz, rysuje jej kształt, aż dociera do szpilki koka i ją wyjmuję. Pięknie pachnie.

– Cudownie wyglądasz – szepce.

To idiotyczne, ale ja też się świetnie bawię. I zastanawiam się, na ile mogę łączyć przyjemne z pożytecznym. Mężczyzna, z którym siedzę i piję piwo, to nie Trajan. On nie popełniłby takiego błędu, by zostawić portfel z dokumentami i pójść do łazienki. Szybkie spojrzenie na karty płatnicze i dowód potwierdzają, że ma na imię

Marcel. Marcel Rottloff. Zdjęcie z prawa jazdy przedstawia jego młodszą, jeszcze pozbawioną blizny wersję.

Kiedy wraca, przesuвам po niej delikatnie palcami.

– Walka na miecze?

Przyciąga mnie do siebie.

– Wypadek motocyklowy.

Jego pocałunek jest delikatny i jednocześnie pożądlivy. Najchętniej dałabym mu się ponieść, lecz postanowiłam, że niezależnie od tego, jak wielkie będę odczuwała pragnienie, i tak mu się nie poddam.

Nie mam ochoty na dalsze komplikacje. Wystarczy mi myśl, jak ciężko będzie pozbyć się Toma. Niemniej tego tutaj trochę mi szkoda.

Opieram się o jego ramię i rozkoszuję dotykiem jego dłoni we włosach.

– Wiesz – zaczynam zamyślona. – Właśnie przyszło mi do głowy, że wspominałeś o dziwnych rozmowach z kolegą na forum. A ja dzisiaj widziałam w sieci wywiad ze znajomym tego zabitego hakera, który twierdził, że tamten gość mógł wiedzieć, kim jest Trajan. – Siadam i patrzę na Marcela. – Jeśli tamten haker i twój kolega Blackjack11 to ta sama osoba, to może z waszej rozmowy uda nam się wyciągnąć jakieś wskazówki?

– Może... – Całuje mnie w czoło. – Ale w tej chwili „Morituri” nic a nic mnie nie interesuje. W tej chwili wszystkimi myślami jestem przy Leyli.

– Hej, to przecież mogłoby być coś, co byś robił razem z nią! I nie tylko to... – dodaję czule i wtulam się w jego ramiona. – Naprawdę bardzo bym chciała coś zrobić, żeby powstrzymać Trajana. Wtedy nie wydawałabym się sobie taka bezbronna.

Waha się przez chwilę, aż w końcu podejmuje decyzję.

– Niech będzie. Wiesz co? Chodźmy do mnie, tam ci pokażę zapis naszych rozmów.

– Wyślij mi go. – Z niechęcią uwalniam się z jego ramion. – Pierwsze spotkanie i już mam iść do ciebie? Dla mnie nieco za

szybko, nie jestem taka. Ale chętnie wszystko przeczytam i następnym razem... kto wie...

– To może chodźmy do ciebie – żartuje Marcel i się śmieje, lecz czuję, że bardzo by chciał, żebym się zgodziła.

– Taka to już zupełnie nie jestem. – Co akurat nie jest prawdą. Znowm myślę o Tomie. – Dajmy sobie trochę czasu, co? Jesteś bardzo fajny, ale dla mnie to by było naprawdę za szybko.

Od tej chwili odpuszcza i nie naciska. Płaci za nas oboje i proponuje, że odwiezie mnie do domu. Motocyklem.

– Nie sądzę! – Śmieję się, wspinam na palce i całuję go w bliźnię.

Dwadzieścia minut później okazuje się, jak mądrą podjęłam decyzję, odmawiając Marcelowi podrzucenia mnie do domu, bo pod drzwiami mieszkania czeka Tom. Owinął się w grubą niebieską kurtkę, ale i tak drży z zimna. Spogląda na mnie pełnymi wyrzutu oczyma.

Sięgam do kieszeni kurtki i wyjmuję klucze.

– Od jak dawna tu siedzisz?

– Prawie godzinę. – Obejmuje mnie niezdarnie. – Pięć razy do ciebie dzwoniłem, ale nie odbierałaś. I... – W końcu mnie puszcza i odsuwa się kawałek. – Mocno się poperfumowałaś, wiesz? No i nie widziałem cię jeszcze w tak krótkiej spódniczce. Gdzie byłaś? I z kim? – O rany, jeszcze tylko tego mi brakowało!

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, ale niech będzie. To było służbowe wyjście.

Mierzy mnie nieprzychylnym spojrzeniem.

– A to ciekawe, bo myślałem, że jesteś policjantką. W takim stroju bym cię nie rozpoznał.

– Tom, ja... – To naprawdę głupie, ale czuję coś na kształt wyrzutów sumienia. Nie tylko całowałam się z Marcelem, ale jeszcze dobrze się przy tym bawiłam. A to, że nie poszłam z nim do łóżka, nie miało nic wspólnego z tym, co czuję do Toma.

– Byłaś na randce, prawda? Już nie udawaj, przyznaj się. – Taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów. – I ten fagas nawet nie

odwiózł cię do domu?

– Tom...

– Bardzo słusznie zrobił, bo obiłbym mu ryj, gdybym go zobaczył.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Obiłbyś mu ryj? Oj, daj spokój, oboje dobrze wiemy, że żaden z ciebie zabijaka.

Zraniłam go. Robi urażoną minę.

– Ale za to jesteś przecież artystą – dodaję szybko. – I możesz mi wierzyć, że takiego cię wolę. I żebyś się uspokoił: nie byłam na randce.

Biorę go pod ramię i wciągam do mieszkania.

– Chodź. Wszystko ci wytłumaczę.

I robię to, przynajmniej na tyle, na ile mogę. Opowiadam mu, że spotkałam się ze świadkiem, bliskim kolegą ostatniej ofiary. I że miałam nadzieję, że będzie bardziej otwarty, jeśli nie uzna, że to przesłuchanie. Chciałam, żeby czuł się swobodnie. Tom się ze mną nie zgadza, widzę to po jego minie, ale potakuje.

– Bardzo mi na tobie zależy, wiesz? – szepce. Gdybym była szczerą i chciała zachować się fair, musiałabym mu powiedzieć, że bez wzajemności. Nie potrafię jednak tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Obejmuje mnie i chce przytulić, więc cofam się kawałek.

– Jestem potwornie zmęczona. Możesz zostać, zapraszam, ale dzisiaj na nic nie licz. Dobrze?

Nie jest zachwycony, ale niestety nie zniechęciłam go na tyle, żeby zostawił mnie samą i wrócił do siebie. Z saszetki na pasku wyjmuję kawałek grubego papieru, najwyżej dziesięć na dziesięć centymetrów.

– Dla ciebie.

To moja twarz. Śpię. Mam rozchylone usta, a kosmyk włosów zsunął mi się na szyję niczym kolia.

– Dzięki – mówię. Jego mina mówi wyraźnie, że to nie to, co chciał usłyszeć. A w każdym razie nie tylko to.

Idzie do łazienki, a ja sprawdzam komputer, czy na „Morituri” pojawiły się nowe posty administratora. Może lista kandydatów. Cokolwiek. Ale jak dotąd wszystko jest po staremu.

W łóżku Tom odwraca się do mnie plecami. To demonstracja. Mam wiedzieć, jak bardzo jest nieszczęśliwy i zraniony. I że będę musiała się postarać, żeby mu to wynagrodzić. Zaczynam go głaskać, tak po prostu, bo nie chcę, żeby przeze mnie czuł się źle. Przesuwam palcem po jego tatuażu i zastanawiam się, jak bardzo facet musi mieć namieszane w głowie, żeby ozdobić sobie plecy kwiatowymi motywami.

Tom zaczyna reagować na mój dotyk. Wiem, że zaraz się odwróci, więc cofam dłoń i wyłączam światło.

– Dobranoc.

# 31

Pierwszą osobą, którą spotykam we wtorek rano w biurze, jest Helmut Vogelbusch. Wygląda, jakby przez całą noc pracował. Ma nienaturalnie bladą skórę i zaczerwienione oczy. W zasadzie jak większość kolegów i koleżanek z grupy operacyjnej „Morituri”.

Podaje mi złożoną gazetę.

– Zobacz. O, tutaj. Portret pamięciowy gościa, z którym Ullbrecht wyszła z lokalu, trafił na pierwszą stronę. Mam nadzieję, że to coś da.

Odbieram od niego gazetę, rozkładam ją i przyglądam się białoczarnej grafice. Zaczynam się zastanawiać, jak to możliwe, że w filmach i serialach zawsze pojawiają się komputerowo tworzone portrety pamięciowe przypominające zdjęcia prawdziwych ludzi, podczas gdy nasze oprogramowanie tworzy bazgroły, które wyglądają, jakbyśmy szukali człękokształtnych kosmitów.

– No cóż, szczerze mówiąc, do tego portretu pasuje jedna trzecia osób, które dzisiaj mijąłem na ulicy. Dostaniemy setki zgłoszeń z danymi mężczyzn, którzy komuś się skojarzą z tym bohomazem.

Vogelbusch wzrusza ramionami i rusza dalej. Na jego twarzy widać frustrację, która niczym czarny welon spowija cały wydział i udziela się nam wszystkim.

Nina spogląda na monitor, kiedy wchodzę do biura.

– Dzień dobry. – Jej wzrok pada na gazetę w mojej dłoni. – Mamy już pierwsze zgłoszenia. Nasz nieznajomy mieszka prawdopodobnie gdzieś w Wunstorf pod Hanowerem, w Heilbronn, na Majorce i jeszcze w kilku miejscach.

– O, super. W takim razie ja wezmę na siebie rozpytanie na wyspie. Zarezerwujesz mi najbliższy lot na Majorkę?

Krzywi się, co zapewne ma oznaczać rozbawienie, ale potem od razu wraca do monitora.

– Na forum jest straszna zadyma. Oburzenie wywołane sposobem, w jaki Trajan zabił Sandrę Ullbrecht przybiera na sile. Facet jest coraz ostrzej krytykowany. Ale uformowała się również grupa, która najchętniej zlizywałaby krew z monitora po transmisji tej egzekucji i nie może się doczekać kolejnej listy. Rzygać się chce. A Trajan milczy.

Siadam ciężko w fotelu. Czuję się jak staruszek.

– Może przez Vogta zrobił się ostrożniejszy? Jeśli Vogt rzeczywiście odkrył prawdziwą tożsamość Trajana, facet musi brać pod uwagę, że komuś o tym wspomniał.

– Całkiem możliwe. Jestem przekonana, że potrafi przeszukać wiadomości prywatne użytkowników forum i że to robi. Jeśli trafi na taką rozmowę, kolejna osoba znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Trajan nie zaryzykuje pozostawienia przy życiu kogoś, kto dysponuje kompromitującą go wiedzą.

Mam dokładnie takie same przemyślenia.

– A my siedzimy i nic nie możemy zrobić, żeby temu zapobiec. Porzygać się można. – Moje spojrzenie wędruje w stronę gazety. – Przycisnę nieco tego pismaka z blitzreporter.de. Bardzo chciałbym wiedzieć, skąd pomysł, żeby przeprowadzić wywiad akurat z Johansenem. Jakimś cudem trafił na gościa, z którym Vogt miał podzielić się wiedzą o swoim odkryciu. Nic a nic mu nie ufam.

Nina patrzy na mnie znad monitora i to chyba kolejny raz, kiedy w pełni się zgadzamy.

– Jeśli Trajan obejrzał ten wywiad...

– ... będzie się zastanawiał, ile Johansen naprawdę wie – kończę zdanie i sięgam po telefon. Arendt odbiera po drugim sygnale.

– Dzień dobry. Potrzebowałbym zatwierdzenia ochrony dla Steffena Johansena.

– Dzień wcale nie jest dobry. – Szefowa ma głos, jakby była na strasznym kacu. Choć to bardzo mało prawdopodobne, bo



praktycznie nigdy nie bierze alkoholu do ust. – Po co mu ochrona?

Wyjaśniam jej to w kilku słowach. Zajmie się tym. Nina podsuwa mi karteczkę.

– To telefon do Schrötera.

Z uznaniem kiwam głową.

– Dziękuję.

– Nie kosztowało mnie to wiele pracy, spisałam go z jego strony. Nawiasem mówiąc, też umieścił nasz portret pamięciowy. Podpisał go: *Tak wygląda psychopata mordujący granatem!*

– W gruncie rzeczy napisał prawdę. – Wybieram numer, który podała mi Nina. Czekam, aż odbierze. Z tego, jak brzmi, wnioskuję, że spał.

– Komisarz Buchholz, policja kryminalna. Dzień dobry. Chciałbym zaprosić pana do nas na rozmowę. Na... – Spoglądam na zegarek. Zbliży się wpół do dziewiątej. – ...na dziesiątą.

– Słucham? Ale ja...

– Jak pan przyjedzie, proszę powiedzieć, że jesteśmy umówieni. Wyślę kogoś po pana.

– Nie no, zaraz, przecież tak nie można. To jakaś paranoja. Mam kilka spotkań.

– Zgadza się. Najważniejsze z nich ze mną. O dziesiątej. Jeśli nie dotrze pan do pięć po, wpiszę pana na listę poszukiwanych i tak pan do mnie trafi. Więc do zobaczenia.

Rozłączam się i dopiero teraz zauważam spojrzenie Niny.

– O co chodzi?

– Zły glina?

– Nie trawię tego faceta.

Czas do dziesiątej spędzam, przeglądając protokoły zgłoszeń telefonicznych, i sam odbieram kilka połączeń. Nikt jeszcze nie przekazał nam żadnych sensownych informacji na temat towarzysza Sandry Ullbrecht.

Za dwie dziesiątą mam sygnał z dyżurki, że w holu na dole czeka na mnie Schröter. Wysyłam jednego z młodszych policjantów, żeby

go przyprowadził, i przez chwilę kusi mnie, żeby spotkać się z nim w pokoju przesłuchań. Wiem jednak, że to by była przesada i doprowadziłbym pewnie do tego, że bez adwokata nic by mi nie powiedział.

– Przy okazji wyszperałam kilka interesujących drobiazgów o naszym gościu – mówi Nina.

– O. Czyżby miał coś na sumieniu?

– Nie. Ale całkiem możliwe, że niektóre z tych newsów nie będą dla niego przyjemne.

Słyszę kroki z korytarza. Są coraz bliżej.

– W takim razie koniecznie trzeba o nich wspomnieć.

W następnej chwili rozlega się pukanie, otwierają się drzwi i w progu staje dziennikarz.

– Dzień dobry. Proszę, niech pan wejdzie i siada.

Wskazuję mu krzesło obok mojego biurka. Schröter korzysta z zaproszenia. Nie ma już śladu po zaskoczeniu i dezorientacji, którą słyszałem w jego głosie w czasie rozmowy telefonicznej, jednak jego uśmiech nie jest naturalny.

– Musicie być naprawdę zdesperowani, skoro wzywacie dziennikarzy tylko dlatego, że podejrzewacie, że wiedzą więcej od was. Choć z drugiej strony w tym wypadku tak właśnie jest, o ile dobrze pamiętam.

– Zgadza się, choć nikt nie ma wątpliwości, że pańska wiedza pochodzi z jakiegoś źródła w naszych szeregach. Ale do tego wrócimy później. W tej chwili chodzi mi o coś zupełnie innego. Co skłoniło pana do przeprowadzenia wywiadu akurat z Johansenem? Jak pan trafił na człowieka, który twierdzi, że Vogt zdradził mu kilka szczegółów na temat Trajana? Przypadek?

Dziennikarz uśmiecha się jeszcze szerzej i jeszcze bezczelniej.

– Nos zawodowca.

– Skończ pan pieprzyć. Nos zawodowca. A ten zawodowiec to kto? Pan niby?

– To na pewno nie – mówi Nina, na co Schröter spogląda na nią zaskoczony. – Pan Schröter skończył edukację w wieku siedemnastu lat. Zgłosił się na ochotnika do wojska i podpisał czteroletni kontrakt. Dostał przydział do batalionu skoczków spadochronowych w Schwarzwaldzie, jednak większość czasu spędził tam w służbie kwatermistrzowskiej, bo lekarz uznał, że nie może skakać ze spadochronem, i z powodu bólów pleców wystawił mu zaświadczenie, że nie może się przeciągać. – Nina patrzy na Schrötera. – Z tego, co się dowiedziałam, w oddziałach desantowych taka postawa jest wyjątkowo lubiana i szanowana. Ponoć koledzy dali panu to odczuć. – Nie pozwala mu odpowiedzieć, tylko spogląda na ekran i czyta dalej: – Po zwolnieniu z wojska pan Schröter przez jakiś czas sprzedawał ubezpieczenia, aż w końcu przed trzema laty założył stronę blitzreporter.de.

Potakuję.

– Służba kwatermistrzowska... no cóż. Niebezpieczna sprawa. Prawdziwy wojownik z pana.

Uśmiech znika z twarzy Schrötera.

– To wszystko przez problemy zdrowotne. Poza tym jestem bardzo zaskoczony, że tak pilnie studiujecie moją przeszłość.

– Zaskoczenie zaskoczeniem, ale proszę mi jeszcze powiedzieć... ta pana strona... chyba nie jest tak prosto założyć portal i wszystko tam poinstalować... prawda? Komu zlecił pan te prace?

– Nie potrzebowałem nikogo do tak prostych rzeczy. Sam się wszystkim zajmowałem.

– Proszę, proszę... a gdzie się pan tego nauczył?

Mężczyzna wzdycha teatralnie i przewraca oczyma.

– Należę do pokolenia, dla którego komputer to nie jest zaczarowana skrzynka. Jak ktoś się interesuje komputerami, to się uczy, jak ich używać. Dawniej sporo grywałem.

– Grywał pan? – powtarzam. – W karty?

Schröter parska śmiechem i kręci głową.

– O matko... nie. Na komputerze.

– Aha. I grając, nauczył się pan programować i pisać strony?

– Przecież już wyjaśniłem, że dużo wcześniej zacząłem się interesować komputerami.

– Racja – zauważa Nina spokojnie. – Melinując się w służbie kwatermistrzowskiej, zamiast siedzieć na poligonie, miał pan masę czasu, żeby zajmować się komputerami. A pańscy koledzy w tym czasie czołgali się w błocie i skakali ze spadochronem.

– Nie będę więcej powtarzał, że miałem problemy ze zdrowiem! – odpowiada Schröter piskliwym głosem. To jego czuły punkt.

– Wróćmy zatem do mojego pierwszego pytania. Jak wpadł pan na pomysł, żeby przeprowadzić wywiad akurat z Johansenem?

Schröter spogląda na mnie ze współczuciem.

– Przecież to było oczywiste, z kim powinienem rozmawiać. Bliski znajomy ofiary. I z tego, co wiem od tego chłopaka, wy też to zrobiliście.

– Zgadza się. – Nachylam się nad blatem. – W takim razie wróćmy może do konferencji prasowej. Skąd pan wiedział o znalezieniu w Langenhorn związanego mężczyzny?

Schröter wzdycha.

– Moje źródła to moja sprawa.

– Ta wiadomość musiała pochodzić od kogoś z policji, prawda?

Uśmiecha się nieprzyjemnie.

– Może. Z tego, co wiem, wielu waszych ludzi uważa, że w tym śledztwie strasznie dajecie ciała. Szczególnie ci młodzi. Małe trybiki w maszynie. Wszędzie, gdzie się da, dają upust swojej frustracji. Rozmawiają z prasą. Piszą na forum, bezpośrednio do Trajana. Nie czytujecie tego? – Opiera dłonie na udach. – A teraz sobie pójdę. Mam jeszcze kilka spotkań.

Wie, że nie mogę zatrzymać go wbrew jego woli. Widzę to po jego minie. Tak samo jak widzę, że to już nie jest dla niego zabawa i niczego więcej mi nie powie. Sięgam po telefon i proszę jednego z policjantów, żeby sprowadził Schrötera na parter.

– Co za pieprzony dupek – mruczy Nina, ledwie zamykają się za nim drzwi. Nie komentuję jej słów. Głównie dlatego, że wie, że mam takie samo zdanie.

– Sprawdziłam wcześniej, którzy z naszych ludzi odwozili Gustava Beranskiego do szpitala – kontynuuje Nina. – Jednym z nich był niejaki Timo Reichert. Mogę się założyć o kupę pieniędzy, że on i użytkownik Timo776 to ta sama osoba. To jedyny policjant, który ujawnił się na forum. Do tego kolega Schrötera. Chyba powinniśmy nieco nim potrząsnąć, co? Może mózg mu się odblokuje i zacznie logicznie myśleć?

– Jak najbardziej, ale dopiero, jak będziemy mieć czas. Jakies nowości z forum?

Nina odwraca się, klika myszką i po chwili kręci głową.

– Nie ma ani nowej listy kandydatów, ani żadnych postów Trajana. Ktoś chyba chce podnieść napięcie.

– A może nie będzie już żadnych nowych kandydatów? – To pobożne życzenie, bo nie mam nadziei na to, że tak się stanie. Z drugiej strony Trajan był dotychczas bardzo punktualny, a teraz nagle przestał się odzywać i nie daje znaku życia, więc teoretycznie taka możliwość istnieje.

– Nie, napisał przecież, że działa dalej i będzie kolejna runda.

Odchylam się i wyglądam zza monitora, żeby lepiej widzieć Ninę.

– O, proszę, nie wiedziałem. Kiedy to napisał?

Spóźnia się z odpowiedzią.

– On... nie wiem, chyba przeczytałam to gdzieś na forum.

– Oczywiście, że na forum, przecież tylko tam pisał. Ale gdzie konkretnie? Dlaczego mnie nie powiadomiłaś? Kiedy to było?

– Wczoraj. Chyba.

– Chyba? Czyli czytasz jego zapowiedź dalszych morderstw i nic mi nie mówisz? – Mam bardzo silne przeczucie, że coś tu nie gra. Wstaję, obchodzę biurko i staję obok jej stanowiska, tak żeby móc spojrzeć jej prosto w oczy.

– Chcę wiedzieć, gdzie konkretnie to przeczytałaś. Pokaż mi.

Nina nawet nie próbuje sięgać po klawiaturę czy myszkę. Przez chwilę wbija wzrok w blat biurka, by w końcu zebrać się w sobie. Dopiero po chwili unosi głowę.

– Zrobisz coś dla mnie i nie będziesz krzyczał? Chciałam powiedzieć ci o wszystkim, zanim zrobi się poważnie. Słowo.

Przesuwa kursor po ekranie, klika kilka razy i ruchem głowy zachęca mnie do czytania.

Dopiero po chwili orientuję się, że pokazuje mi swoją skrzynkę pocztową na forum „Morituri” i daje do przeczytania prywatne wiadomości. Wiadomości od Trajana. Tematy większości zaczynają się od *Re.:*, co oznacza, że to odpowiedzi.

– Masz z nim kontakt?

Wytrzymuje moje spojrzenie, ale nie odpowiada na pytanie. Dlatego sięgam po jej myszkę i otwieram pierwszą wiadomość, z samej góry listy. Czytam. Potem następną. Czytam. Z początku jestem zaskoczony, potem zdezorientowany.

– Co ci w ogóle strzeliło do głowy? – Chcę zacząć krzyczeć i kusi mnie, żeby złapać ją za ramiona i potrząsać tak długo, aż zrozumie, jak idiotyczne jest to, co zrobiła. I jak niebezpieczne. I jak zabronione. Ale nie mogę tego zrobić, po prostu nie mogę, bo w jej oczach widzę frustrację i złość wywołane naszą bezradnością i brakiem działania. Nie godziła się na to, że jesteśmy skazani na bezczynne czekanie, więc sama spróbowała znaleźć doświadczenie do Trajana. Mimo że oznaczało to złamanie wewnętrznych zasad. I mimo że oznaczało to sprowadzenie na siebie niebezpieczeństwa.

– Ja po prostu musiałam coś zrobić. Pomyślałam, że może nie będzie mógł się oprzeć pokusie, żeby wciągnąć na listę kogoś z drugiej strony. Policjantkę. Pomyśl, użytkownicy na pewno głosowaliby na glinę.

– I co wtedy? – pytam, a w moim tonie słychać ogrom mojego wzburzenia. – Co byś wtedy zrobiła? Kiedy planowałaś mnie poinformować? Po publikacji listy? Czy dopiero po zwycięstwie w głosowaniu? – Zaczynam chodzić po biurze.

– Nie, ja...

– Wiesz przecież dobrze, że Trajan porywa swoje ofiary jeszcze przed zakończeniem wyboru przez użytkowników. Nina... To było... – Nie mogę znaleźć żadnego dobrego określenia, co jeszcze bardziej wyprowadza mnie z równowagi. – To kompletnie poroniony pomysł.

– A masz lepszy? – pyta cicho.

Spoglądam jej w oczy. Jej źrenice mają jaśniejsze punkciki.

– Nie.

– Ja też nie. Dlatego... pozwól mi spróbować, dobrze?

W żadnym razie, podpowiada mi zdrowy rozsądek, ale szybko dodaje, że pewnie i tak jest już zdecydowanie za późno, żeby cokolwiek zmienić. Nina uruchomiła proces, którego nie zdołamy zatrzymać, jednak rzeczywiście moglibyśmy wykorzystać go do własnych celów, jednocześnie zapewniając Ninie właściwą ochronę.

– W porządku – zgadzam się w końcu, wbrew wszystkim głosom, które krzyczą w mojej głowie, że to zły pomysł. Najgłośniej z nich wrzeszczy mój zdrowy rozsądek.

## 32

Oczywiście, że jest wściekły. Najchętniej kopnęłabym się w tyłek za swoją głupotę. Jak mogłam zapomnieć, że Trajan zapowiedział kolejną rundę tylko mnie, w prywatnej wiadomości? Z drugiej strony chyba nic z tego nie będzie. Listę kandydatów powinien był opublikować ponad dwadzieścia cztery godziny temu, tymczasem na forum dalej cisza.

Staram się powstrzymać wzbierającą we mnie nadzieję. Może Trajan został ranny w wyniku wybuchu granatu? Może w Hamburgu zaczęło się robić zbyt gorąco, więc się wycofał... Może... Ale głupotą byłoby robienie takich założeń bez żadnych dowodów. Nowa lista może pojawić się na forum dosłownie w każdej chwili.

Moja komórka zaczyna wibrować, a na zablokowanym ekranie pojawia się odebrana wiadomość: *Chcę porozmawiać. Rano byłaś milcząca. Odezwij się, proszę.*

Tom. Zrobił mi śniadanie o wpół do siódmej rano i próbował wciągnąć mnie w rozmowę. Znów wypytywał o mój poprzedni wieczór. I o to, czy to wyjście naprawdę było służbowe?

Odwracam komórkę ekranem do dołu i ukrywam twarz w dłoniach. Dziwnie się czuję z wyrzutami sumienia. Nie jestem do nich przyzwyczajona, a jednak dręczą mnie teraz strasznie. Chodzi o Toma. I o Daniela, który zachował się wyjątkowo fair i nie poleciał donieść na mnie Arendt.

Mimo to nie zdradziłam mu całej prawdy. Dalej nie ma pojęcia o randkach Leyli z BigBastardem, Manxxo i McQuentinem, *alias* Marcelem. Jestem trochę zawiedziona i rozczarowana, bo liczyłam, że ten ostatni odezwie się do mnie, a nic nie napisał. Ani jednej nowej wiadomości. Zero. Nie przysłał mi zapisu swoich rozmów z Blackjackiem11.



Przychodzi za to mejl od zespołu zabezpieczającego ślady. Zdjęcia z piwnicy, w której zginęła Sandra Ullbrecht oraz ekspertyza pirotechnika. Granat produkcji rosyjskiej, zmodyfikowany, o bardzo dużej sile rażenia. Stosunkowo łatwy to zdobycia na czarnym rynku. Szkoda.

Mój telefon znów zaczyna wibrować: *Hej, nie możesz mnie ciągle ignorować* – pisze Tom. – *To nie fair.*

Czuję na sobie uważne spojrzenie Daniela, kiedy wysyłam mu krótką odpowiedź: *Nie teraz. Mam kupę roboty, wiesz przecież. Później. OK?*

Po niecałych dwóch minutach dostaję kolejne pytanie: *Kiedy później?*

– Daj mi w końcu spokój! – szepczę wściekła, na co Daniel spogląda na mnie zniecierpliwiony. Cudownie. Teraz pewnie myśli, że gadam do siebie!

Sobie na złość otwieram zdjęcia z miejsca wybuchu. Widok zapisanych obrazów natychmiast powoduje nieważność wszystkiego innego. Dwadzieścia siedem fotografii. Wysoka rozdzielczość, ostre, szczegółowe. Mogę przyrzeć się uważnie temu, na co dwie noce wcześniej jedynie rzuciłam okiem.

Prawe przedramię Sandry Ullbrecht z nienaruszoną dłonią. Tors z częściowo oderwaną głową; obie części ciała mocno poranione odłamkami – do tego stopnia, że ledwie rozpoznawalne. Druga dłoń, brakuje dwóch palców. Czerń, szkarłat, spalenizna. Plamy krwi.

Potem zdjęcia pozostałości granatu i rozbitych kamer. Model obsługiwany pilotem, zdalnie włączany i wyłączany. Zasięg maksymalnie dziesięć metrów. To oznacza, że na początku transmisji Trajan musiał być tuż obok. Dopiero potem uciekł.

Komórka wibruje w regularnych odstępach czasu, ale nie zwracam na nią uwagi. Tym razem Trajan nie może opublikować żadnych zdjęć na forum, niezależnie jak wielu użytkowników go o to prosi. No chyba że włamie się do policyjnej bazy danych, ale to byłoby cholernie lekkomyślne.

Daniel również odebrał mejla od techników. W prawej ręce trzyma myszkę i otwiera kolejne zdjęcia, a lewą zaciska w pięść.

– Ullbrechtowie zażądali wglądu w dokumentację fotograficzną – mówi jakby mimochodem. – Ojciec Sandry cały czas przebywa w szpitalu, ale jego brat bez przerwy naciska Arendt.

W milczeniu przyglądam się fotografii tego, co pozostało z twarzy Sandry. Nikt nie powinien oglądać takich rzeczy. A już na pewno nie rodzina.

– Dietmar Ullbrecht naciska ponadto na dopuszczenie do okazania zwłok bratanicy. Chce pojechać do Instytutu Medycyny Sądowej i zobaczyć zwłoki tej biednej dziewczyny. Zupełnie jakby chciał podsycić swój ból.

Swój ból. I nienawiść. W pewnym stopniu go rozumiem. Wiem, jak to jest znaleźć się w miejscu, w którym nie ma już nic poza bólem i nienawiścią.

Dochodzi południe, kiedy przy ikonce skrzynki odbiorczej na forum „Morituri” pojawia się czerwona jedynka. Powstrzymuję się, by nie spojrzeć odruchowo w stronę Daniela, zanim otworzę wiadomość. Akurat dziś momentalnie by się zorientował, że znów się podejrzenie zachowuję.

Nadawcą jest Marcel. Miałam nadzieję, że w końcu do mnie napisze, jednak spodziewałam się innej treści.

*Hej, Leyla,*

*przez całe przedpołudnie robiłem co mogłem i szukałem jak głupi, ale cała moja wymiana wiadomości z Blackjack11 zniknęła z mojej skrzynki. Nie wiem, jak to się mogło stać. Ja na pewno niczego nie kasowałem, tym bardziej że pozostałe wiadomości z mojej skrzynki są cały czas dostępne. Niczego nie rozumiem. Domyślam się, o co chodzi, ale wolałbym tego nie roztrząsać. Świetnie się z Tobą bawiłem, to był bardzo udany wieczór. Chciałbym to powtórzyć! Co powiesz na piątek? Znam świetną japońską restaurację w Eppendorfie. Masz ochotę?*

*Będzie mi bardzo miło, jeśli znajdziesz czas i mam nadzieję, że Cię nie rozczarowałem!*

Odsuwam się na oparcie krzesła obrotowego i zaczynam się zastanawiać. Rozczarowana? O tak, to na pewno. Ale przede wszystkim lekko spięta. Marcel pisze, że nie wie, jak to się stało, ale to nieprawda. Wie doskonale. Trajan wykasował ich wymianę mejlową, bo w wiadomościach do Blackjacka11 znajdowało się coś, co mogło zdradzić jego tożsamość. Może nie na pierwszy rzut oka, ale po dokładniejszej analizie już tak.

Sięgam po słuchawkę. Andressena mam już zakodowanego w pamięci urządzenia pod jednym przyciskiem.

– Cześć, udało się już złamać zabezpieczenia komputera Vogta? Może weszliście na jego konto na forum?

– Gdyby się udało, dowiedziałybyś się o tym pierwsza – odpowiada zrezygnowanym tonem. – Od wczoraj atakujemy jego hasło generatorem, ale dotychczas nie udało nam się zalogować na konto Blackjack11. Mamy za to dostęp do części pozostałych zasobów z dysku, ale nie ma tam niczego, co choćby odlegle łączyło się z naszym śledztwem.

– Okej. – Najchętniej oparłabym głowę o blat biurka i po prostu zasnęła. – Dzięki.

Ledwie kończę połączenie, telefon zaczyna dzwonić.

– Diewald z tej strony. Mam interesujące nowości.

Ullbrecht, myślę od razu. Pojechał tam bez naszej zgody, siłą wszedł do Instytutu Medycyny Sądowej i widok szczątków bratanicy nawet dla niego okazał się nie do zniesienia...

– Na miejscu zbrodni zabezpieczyliśmy DNA niezidentyfikowanej jeszcze osoby. Z dużą dozą prawdopodobieństwa materiał biologiczny pochodzi od sprawcy. To drobinki skóry znalezione pod paznokciami ofiary. Rozpoczęliśmy procedurę analizy porównawczej z próbkami z naszej bazy danych.

– Genialnie! – Mój nagły krzyk wyrwa Daniela z zamyślenia. – Kiedy możemy spodziewać się wyników?

– Niedługo. Pod warunkiem że w federalnej bazie danych znajdziemy materiał porównawczy. Jeśli nie będzie żadnych trafień, będziemy szukali w międzynarodowych bazach danych, ale to znacznie bardziej skomplikowane i pracochłonne.

– Rozumiem. Dawajcie znać, jak tylko będzie cokolwiek wiadomo, dobrze?

– Oczywiście!

Ta wiadomość sprawia, że Daniel uśmiecha się po raz pierwszy od kilku godzin.

– Przy odrobinie szczęścia udałoby się za jednym zamachem odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Nieco zbyt piękne, żeby było prawdziwe, myślę sobie. Sandra Ullbrecht miałyby wskazać na swojego mordercę? Możliwe, gdyby walczyła, kiedy ją wiązał. A jeśli wcześniej ją uśpił?

Zatrzymuję spojrzenie na zdjęciach, które wciąż mam otwarte na monitorze. Zamykam je, jedno po drugim. Mój telefon znów zaczyna wibrować. Tym razem bez przerwy. To nie SMS-y, tylko połączenie.

Odwracam go i spoglądam na ekran. Tom. Któż by inny! Do wieczora nie da mi spokoju, jeśli z nim nie porozmawiam.

– Przepraszam, Daniel, muszę wyjść na chwilę.

– Po co?

Nie ufa mi, niestety, ale nie mam mu tego za złe. Sama dałam mu powód.

– Prywatna sprawa. Muszę coś wyjaśnić. To nie ma nic wspólnego z naszym śledztwem.

Ma świetną okazję, żeby zemścić się za mój atak, kiedy dzwonił z domu opieki w sprawie jego matki. Nie robi tego. Kiwa tylko głową, że mogę iść.

Znajduję sobie spokojny kąt na naszym piętrze i opieram się plecami o ścianę. Tom już nie dzwoni, ale przez ostatnią godzinę wysłał mi pięć wiadomości.

*Nie możesz mnie tak traktować.*

*Wiesz w ogóle, jaka jesteś dla mnie podła?*

*Jak długo jeszcze zamierzasz mnie ignorować?*

I tak dalej. Wybieram jego numer. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Nina! W końcu! Przeczytałaś moje wiadomości?

Głupie pytanie. Mam to na końcu języka, ale udaje mi się powstrzymać.

– Tak, przeczytałam. Ale dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że naprawdę nie mam teraz czasu. Mamy straszny młyn.

– Wiem, rozumiem – mówi z ulgą. – Chciałem cię tylko usłyszeć. Nie mogę przestać myśleć o wczorajszym wieczorze. Wiesz, dla mnie nigdy się tak nie ubierałaś... to nie znaczy, że nie podobasz mi się w dżinsach, ale wiesz...

– Ty chyba na serio masz za dużo czasu, Tom – przerywam mu. – Przestań w końcu zajmować się tym wieczorem, mówiłam ci, że próbowałam się czegoś dowiedzieć, ale niestety, nie dałam rady. A teraz, wybaczone, muszę...

– Jestem dla ciebie taką niezobowiązującą znajomością, tak? – Tym razem to on nie daje mi dokończyć. Mówi cicho i z naciskiem. – Bo dla mnie to znacznie więcej. Czujesz to chyba?

Wzdycham głęboko i zamykam oczy.

– Tom, nie zaczynaj. Nie. Teraz.

– A dlaczego nie teraz? Przecież chyba wiesz, co czujesz, prawda?

– Tak. Czuję presję. Czekam na wyniki badań DNA i przeglądam wielki stos zgłoszeń dotyczących opublikowanego portretu pamięciowego, który – być może! – przedstawia zabójcę. Poza tym mamy na głowie rodzinę ostatniej ofiary, a jeśli będziemy mieli pecha, zaraz na forum pojawi się nowa lista do głosowania. Dlatego w tej chwili nie mam po prostu dla ciebie czasu. Nie dociera to do ciebie?

Przez chwilę nic nie mówi, za to słyszę jego oddech.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo potrafisz ranić – cedzi powoli.

Mimowolnie wybucham śmiechem. Ranię biedaczka. Niech będzie. W takim razie postanawiam zachować się konsekwentnie. Skoro go zraniłam, to z litości go dobiję, żeby się dłużej nie męczył.

– Słuchaj, Tom. Między nami to nie to. Sam chyba widzisz, że nic z tego nie będzie. Praktycznie się nie znamy, a już się żremy. Dajmy sobie spokój, tak będzie dla nas lepiej. Ja skupię się na pracy, a ty poszukasz sobie kogoś, kto cię nie będzie ranił.

Korytarzem przechodzi Marc i spogląda na mnie, znacząco unosząc brwi. Jestem pewna, że usłyszał ostatnie zdanie.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Tom szepce tak cicho, że ledwie go słyszę.

– Wręcz przeciwnie. Śmiertelnie poważnie.

– Ale...

– Dobra, muszę kończyć. Trzymaj się.

Wracając do biura, spodziewam się, że w końcu poczuję ulgę, ale ta nie nadchodzi. Za to pojawiają się znajome już wyrzuty sumienia. I mieszają z odrobiną żalu. Szczerego żalu.

Daniel unosi wzrok i patrzy na mnie, jakby z niecierpliwością czekał na mój powrót.

– Diewald dzwonił – oznajmia. – Nie mamy go w bazie danych.

Przyglądam się uważnie, jak Nina wchodzi do biura i siada na swoim miejscu. Jak na mój gust nieco zbyt energicznie zabiera się do pisania czegoś na klawiaturze.

Kusi mnie oczywiście, żeby zapytać, z kim i o czym musiała tak pilnie porozmawiać. Z drugiej strony powiedziała przecież, że to nie ma nic wspólnego z naszym śledztwem i mimo jej lekkomyślnej i samowolnej akcji nie podejrzewam jej o kolejne kłamstwo. A przynajmniej mam szczerą nadzieję, że powiedziała prawdę. Poza tym gdybym teraz drążył i wypytywał, wysłałbym jej negatywny sygnał.

Aż zbiera mi się na śmiech. Szanowna pani Salomon kłamie w żywe oczy i nawet jej powieka nie drgnie, a ja się zastanawiam, czy nie urażę albo nie zniechęcę jej swoim zachowaniem! Znowu zbiera się we mnie złość, ale zdecydowanie ją tłumię. Nie wolno mi marnować energii na takie emocje. Teraz nie ma na to czasu.

Znacznie bardziej interesuje mnie odpowiedź na inne pytanie: jak powinienem się zachować w sytuacji, w której mnie postawiła? W której postawiła nas oboje.

Gdybym zgłosił to Arendt, szefowa nie miałaby innego wyjścia, jak tylko wszcząć postępowanie dyscyplinarne. Co nie wyglądałoby dobrze, tym bardziej że Nina dopiero co się do nas przeniosła.

Tyle że naruszenie przepisów i zasad jest zbyt drastyczne, żeby Arendt mogła je zignorować.

Czy tego właśnie chcę? Czy zależy mi na tym, szczególnie w kontekście braku nowej listy kandydatów na forum? A jeśli cała afera stanie się bezprzedmiotowa, bo nowa lista w ogóle się nie ukaże? Jeśli jednak Trajan ją opublikuje, to skąd mamy wiedzieć, że Nina na niej będzie?

– Jesteś zły, prawda?

Patrzę na nią znad komputera i nie widzę, żeby pytała o to z przekorą czy kpina. Jest po prostu zainteresowana.

– Jestem – potwierdzam zgodnie z prawdą. – Zastanawiam się właśnie, co powinienem teraz zrobić.

– Mogę ci jakoś pomóc w tych rozmyślaniach?

No właśnie, czy może?

– Nie nadam tej sprawie oficjalnego biegu. Na razie.

– O rany, stokrotne dzięki, stary! – Sposób, w jaki to mówi, nieskrywana ironia, którą ociekają jej słowa, bardzo utrudniają mi zachowanie spokoju. Jakby nie potrafiła inaczej.

– Mogłabyś w końcu dać sobie spokój z udawaniem, że psuję ci wspaniałą zabawę, okej? Jedynym rozsądnym rozwiązaniem byłoby przekazać sprawę twojego idiotycznego i samowolnego wyskoku szefowej. Wtedy ona podejmowałaby dalsze decyzje. A możesz mi wierzyć, że ona nie zna litości, jeśli chodzi o tak poważne naruszenia przepisów i dyscypliny. Bo, cytując prokuratora Meierhofera, jak coś pójdzie nie tak, to jej urwą szanowne cztery litery, a nie nam. Dlatego byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś nie trywializowała gigantycznej głupoty, jaką odstawiałaś, dobrze?

Mija chwila. Patrzę na nią, lecz Nina nie okazuje żadnych emocji. W końcu marszczy czoło.

– Z nogami czy bez?

– Słucham?

– No z tym urywaniem dupy. Staram się właśnie sobie wyobrazić, jak by to miało wyglądać. Dlatego pytam, czy urywają wam tu dupy z nogami, czy bez?

Przez chwilę mam ochotę zacząć na nią krzyczeć, ale widząc jej uśmiech, nie mogę inaczej, jak też się uśmiechnąć i pokręcić głową. Nigdy nie używam takich słów.

Przez chwilę oboje milczymy. Jakbyśmy chcieli przedłużyć to porozumienie, moment, w którym nie myślimy o otaczającej nas grozie. Kilka sekund później jest już po wszystkim.



– Nina – odkasłuję. – Nie mam pojęcia, czy Trajan uważa twoją propozycję za tak kuszącą, że umieści cię na liście. Oczywiście, jeśli w ogóle ukaże się jeszcze jakaś lista. Jeśli jednak miałby to zrobić, nie będziemy mieć pojęcia, kiedy spróbuje cię porwać. Wiemy na pewno, że potencjalnych zwycięzców uprowadza jeszcze przed końcem głosowania. Pewnie robi to na wszelki wypadek, żeby mieć pewność.

– Ale jeszcze nie porwał nikogo przed ukazaniem się listy.

– Niby prawda. Jednak dotychczasowa praktyka jest taka, że Trajan łamie swoje własne schematy. Inaczej rzecz ujmując: jest nieobliczalny.

Przerywam i szukam w myślach właściwych słów, które pozwoliłyby nam tym razem uniknąć nieporozumienia.

– Ja też chcę mieć pewność. A że z konieczności muszę wziąć odpowiedzialność za twoją samowolną akcję, wolałbym, żebyś nie spała u siebie w domu, tylko u mnie na kanapie. W ten sposób...

– Czy myśmy przypadkiem już przez to nie przechodzili?

Powinienem był to przewidzieć! Spokojnie, tylko spokojnie! – powtarzam sobie jak mantrę. Obojętnie co powie, ty zachowasz spokój i nie pozwolisz na eskalację!

– Nie. Wyjaśniliśmy sobie za to, na czym polegały błędne wnioski, które wyciągnęłaś ostatnio z mojej propozycji. Ale z przyjemnością to powtórzę: niczego od ciebie nie chcę. Masz jedynie sumiennie wykonywać swoją pracę i zachowywać się jak odpowiedzialna funkcjonariuszka policji. Możemy czasem wyjść coś zjeść czy wypić razem kieliszek wina, ale to wszystko. Chodzi mi jedynie o twoje bezpieczeństwo. Czy to jasne?

Zastanawia się przez chwilę, a potem potakuje.

– Tak. Ale mimo wszystko nie będę u ciebie spała. To przecież śmieszne.

Okej, skoro nie chce po dobroci, trzeba zmienić podejście.

– Otóż będziesz. Bo to nie była propozycja, tylko polecenie służbowe, które musisz wykonać.

Prycha.

– Polecenie służbowe spędzenia nocy na kanapie przełożonego? Zechciałbyś wskazać mi przepis, który to sankcjonuje?

– Z największą przyjemnością. To ten sam paragraf, w którym zapisano, że nie mam obowiązku zgłaszać przełożonym drastycznego przekroczenia uprawnień i złamania przepisów przez partnerkę, i w którym można jeszcze wyczytać, że jeśli tego nie zgłoszę, to absolutnie nic mi za to nie grozi. Ustawodawca dołączył całą listę sankcji, które mnie nie dotyczą: że nie stracę pracy i że dalej będę mógł cieszyć się życiem, jeśli takiej przemądrzałej partnerce coś się stanie.

Zazwyczaj Nina potrafi zachować kamienną twarz, do tego stopnia, że nie wiem, co sobie myśli. Teraz jednak jej mina wyraża wewnętrzną walkę.

Dzwonek mojego telefonu brzmi głośniejsze niż zazwyczaj. I zupełnie nie na miejscu. To Vogelbusch. Zgłasza pierwsze zajścia związane z opublikowanym przez nas portretem pamięciowym. Na razie to stosunkowo niegroźne zdarzenia – ktoś został obrażony, bo wyglądał podobnie do komputerowo wygenerowanego obrazu, albo trzech mężczyzn zatrzymało czwartego na stacji metra i poczekają na przybycie funkcjonariuszy, którzy od razu ustalili, że ten człowiek nie ma nic wspólnego ze śledztwem. Wiem jednak, że to dopiero początek i zwiastun prawdziwej burzy, która przetoczy się nad miastem, jeśli szybko nie dopadniemy Trajana.

W chwili kiedy kończę rozmowę, Nina kiwa głową.

– Niech będzie.

Spoglądam w jej kierunku, a ona jeszcze raz potakuje.

– Mogę nocować u ciebie. Ale tylko tak długo, aż sytuacja się wyklaruje. I ani jednej nocy dłużej.

Kamień spada mi z serca.

– Świetnie. W takim razie wracając do domu, zahaczmy o twoje mieszkanie, żebyś mogła wziąć...

– Nie, to zły pomysł – przerywa mi. – Jeśli mamy działać spójnie i logicznie, musimy założyć, że Trajan już wie, gdzie mieszkam, i że być może obserwuje już okolicę. Gdyby rzeczywiście czekał, aż wrócę, mógłby pojechać za nami do ciebie i wtedy oboje znaleźlibyśmy się w niebezpieczeństwie.

Ma rację. Jakkolwiekby patrzeć, uprowadzenie policjantki zamiast zwykłego cywila to bardzo ryzykowna decyzja. Czy to dlatego nie publikuje jeszcze listy? Potrzebuje więcej czasu, żeby sprawnie przeprowadzić całą akcję?

– W takim razie zatrzymamy się pod jakimś supermarketem – decyduję.

Nina unosi brwi.

– Prawdę mówiąc, myślałam, że będziesz miał wszystko potrzebne do przenocowania kobiety. No wiesz, jako singiel...

Ignoruję jej zaczepkę.

– Jak już wspomniałem, wracając, wpadniemy do sklepu.

I zgodnie z planem podjeżdżam pod centrum handlowe, kiedy po długim dniu analizowania wskazówek, tropów i zgłoszeń od mieszkańców i regularnego sprawdzania forum uznajemy, że możemy wracać do domu.

Kiedy zatrzymuję samochód na dużym parkingu i zastanawiam się, czy nie powinienem zaproponować swojego towarzystwa podczas zakupów, Nina rzuca mi takie spojrzenie, że opuszczają mnie jakiegokolwiek wątpliwości.

Czekam więc w aucie, aż dziesięć minut później wraca z papierową torbą i wsiada.

Nieco później otwieram drzwi do mieszkania. Nina mija mnie i pierwsza wchodzi do salonu, jakby doskonale знаła rozkład pomieszczeń. Odkłada torbę na stół, rozgląda się i kiwa głową.

– Tak, dokładnie tak to sobie wyobrażałam.

– Aha – mówię i odwieszam klucze w skrzyneczce z haczykami w korytarzu. – Tak, czyli jak konkretnie?

Dłonią zakreśla szeroki łuk.

– Właśnie tak. Porządek. Elegancja. Pewnie kosztowało cię to fortunę. Założę się, że masz sprzątaczkę?

– Zgadza się. Dwa razy w tygodniu przychodzi pani do sprzątania. Dlaczego?

– Tak tylko. – Siada na kanapie i głaszcze siedzenie obok siebie. – Tutaj będę kimała. Pięknie. Delikatna skóra.

– Masz rację, jest świetna. Wyśmienicie się na niej śpi.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Kilka razy zasnąłem przed telewizorem.

Milczy zamyślona. Jeszcze raz rozgląda się po pokoju.

– Tak zupełnie serio, myślisz, że jestem szurnięta, bo mam nadzieję, że umieści mnie na tej liście?

– Jesteś. Mimo to mogę zrozumieć, dlaczego się zgłosiłaś.

– To może być nasza jedyna szansa.

– Oby nie. – Milczę przez kilka sekund. – Napijesz się czegoś?

– Masz wino?

– Tak się składa, że całkiem spory wybór. Białe czy czerwone?

– Białe.

– Jaki szczep najchętniej? Riesling? Elbing? Chardonnay? A może Auxerois?

– Obojętnie. Nie znam się na winie. Najważniejsze, żeby było smaczne.

Wybieram butelkę wytrawnego mozelskiego wina Riesling, owijam go w chłodzący pokrowiec i niosę do salonu z dwoma kieliszkami.

Wchodzę niemal równocześnie z Niną, która na mój widok z uznaniem kiwa głową.

– Niezła wanna. Chciałam powiedzieć: basen.

– Dzięki. – Stawiam kieliszki, nalewam do połowy i wznoszę toast.

– A nie trzeba przy tym powiedzieć czegoś mądrego? – pyta Nina lekko ironicznym tonem.

– Nic mądrego nie przychodzi mi akurat do głowy – odpowiadam zgodnie z prawdą i upijam łyk.

Potem nasza rozmowa toczy się wokół spraw związanych z aktualnym śledztwem, spekulacji co do sprawcy i wszystkiego, czego nie mogliśmy wyjaśnić sobie w biurze. Nina co chwilę spogląda na komórkę. Brak listy na forum nie daje jej spokoju. Prawdę mówiąc, mnie również.

W pewnej chwili muszę iść do łazienki. Pierwsza rzecz, jaka rzuca mi się w oczy, to to, że Nina nie odłożyła mydła na przewidzianą do tego podstawkę, tylko bezpośrednio na brzegu umywalki. W ten sposób ubrudziła białą porcelanę, a ociekająca z niego woda zostawiła ciemniejszą smugę. Już chcę sięgnąć do szafki poniżej po szmatkę, ale w porę się powstrzymuję.

Moja matka. Wiecznie słyszałem jej nieprzerwaną litanię wezwań, bym utrzymywał swoje otoczenie w czystości. I jak wyjątkowo ważna jest higiena w łazience. Że po tym ocenia się człowieka: po czystości i wadze, jaką do niej przywiązuje...

Zatrzymuję się w pół ruchu i zamykam oczy. Bronię się przed jej przenikliwym głosem, który słyszę w głowie.

Czasem, w chwilach takich jak ta, biegnę w myślach najszybciej jak mogę, by uciec przed samym sobą. Ale nie daję rady. Kiedy spoglądam na siebie, widzę dłonie mojej matki ze skórą spękaną od środków dezynfekcyjnych. To one chwytają mnie i przytrzymują w miejscu.

Nie – powtarzam sobie w myślach. – Nie – rozkazuję. – Nie tym razem.

Odwracam się, wychodzę z łazienki i wracam do Niny. Wypijam łyżeczek wina.

Ona jakby na to czekała. Wstaje i udaje się do łazienki. Wraca po kilku sekundach i uśmiecha się szeroko.

– Szacun – mówi i siada naprzeciwko. Nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Szacun? Ale za co?

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Byłam gotowa się założyć, że odłożysz mydło na swoje miejsce i wyczyścisz umywalkę. – Sięga po swój kieliszek i przepija do mnie. – Cieszę się, że nie miałam racji.

Tym razem uśmiechamy się oboje. I przez chwilę wszystko jest takie proste.

# 34

Otwieram oczy i w pierwszej chwili nie mam pojęcia, gdzie jestem. Słyszę szum prysznic, moja pościel ma obcy zapach, a na stoliku obok łóżka stoi abstrakcyjnie powyginany świecznik.

Potem wraca mi pamięć i wiem, co się stało poprzedniego wieczoru. Wszystko się zgadza, mam teraz niańkę.

Dziesięć minut później do salonu wchodzi Daniel, ja zdążyłam dopiero poskładać pościel i umyć w kuchni zęby.

– Łazienka jest już wolna. – Wskazuje za siebie. W czasie, którego potrzebuję na wzięcie prysznic i toaletę, on przygotowuje śniadanie godne luksusowej restauracji.

W odpowiednio dobrym humorze jadę do komendy. Daniel zostawił mi obsługę radia i w milczeniu znosi moje popisy wokalne, kiedy razem z Adele śpiewam *Rolling in the Deep*.

Na parking wjeżdżamy tuż przed ósmą. Niemal równocześnie z nami Marc parkuje swoje auto. Czeka obok samochodu i przygląda się nam z oszczędnym uśmiechem.

– No proszę, w końcu rozumiem, dlaczego wczoraj tak ci się spieszyło, żeby zerwać z facetem.

Jego uwaga skierowana jest bezpośrednio do mnie, a jej działanie mogę porównać z ciosem w splot słoneczny. Marc ma jednak pecha, bo Daniel słyszy każde słowo.

– Wygląda na to, że masz za duży luz w pracy, skoro wystarczy ci czasu i energii na zajmowanie się życiem prywatnym innych. – Uśmiecha się serdecznie. – Ale dzisiaj temu zaradzimy. Zajrzyj, proszę, do mnie do biura.

Mimo że Daniel wziął mnie w obronę, dobry humor nie wraca. Choć w kontekście tego, co się dzieje, i tak by nie pasował.

Wyprzedzam Marca w drodze do wejścia i przechodzę przez służbę obok dyżurki. Chcę po prostu zająć się pracą. Nie muszę dobrze żyć ze wszystkimi. Wystarczy, że z częścią zespołu będę miała dobre kontakty. Z Christophem na przykład. Akurat on przyszedł mi do głowy, bo widzę go na korytarzu.

– Trajan dalej nie daje znaku życia – wyjaśnia radośnie i przepija do mnie kubkiem kawy.

– Może nie ma jak, bo nie żyje? – podsuwam ponuro.

– Taka wiadomość ucieszyłaby wszystkich.

Poranna odprawa w znacznej części prowadzona jest przez Amerykanów, w głównej mierze przez specjalistę IT, który po angielsku wyjaśnia nam działania, które podjął lub planuje podjąć. Obok mnie siedzi Helmut Vogelbusch i ziewa szeroko.

W międzynarodowych bazach również nie ma danych na temat pobranego materiału genetycznego. Spływa za to coraz więcej zgłoszeń dotyczących portretu pamięciowego. Arendt kończy odprawę krótko przed dziewiątą i zrezygnowana informuje nas, jakie nastroje panują wśród mieszkańców. Zupełnie jakbyśmy nie wiedzieli.

Nie zaszczycam Marca nawet przelotnym spojrzeniem, kiedy wracam do biura. Kątem oka widzę za to, że Daniel prowadzi go do Amerykanów. Może przejmie obowiązki Pii. Cóż, to też jakiś rodzaj kary.

Mimo wszystko lepsze to, niż musieć oddzwaniać do Dietmara Ullbrechta, który, zgodnie z karteczką pozostawioną na biurku Daniela, trzykrotnie prosił dzisiaj o kontakt. Diwald również czeka na telefon od nas. I...

Przez całe piętro wędruje głośny szmer, jakby ze wszystkich biur jednocześnie płynęły głośne westchnienia i krótkie krzyki. Przypomina to reakcję stadionu piłkarskiego, kiedy drużyna przeciwników strzela gola lokalnemu klubowi. Wymieniam z Danielem szybkie spojrzenia. Jeszcze żadne z nas nie logowało się na forum.



Ktoś biegnie korytarzem. Słyszę, że przeklinając, mija nasze biuro. W następnej chwili ktoś wsuwa głowę do środka. Christoph.

– Chyba pospieszyłem się ze świętowaniem – rzuca i idzie dalej.

Nagle ścina mi się krew w żyłach. Loguję się na swoje konto na „Morituri”; domyślam się, co się wydarzyło. Albo Trajan wszedł w posiadanie zdjęć zmasakrowanych zwłok Sandry Ullbrecht i je opublikował, albo...

Daniel jest szybszy ode mnie.

– Nowa lista – wyjaśnia zachrypniętym głosem. – I... Nina! Nie umieścił cię na niej!

W końcu ładuje się strona główna. Pod banerem z napisem „Morituri” widzę grafikę przedstawiającą na żywo pozycje wszystkich kandydatów. W tej chwili paski postępu każdej z czterech osób są równie krótkie.

Czytam opisy kandydatów. Rzeczywiście, żaden z nich nie pasuje do mnie. Ale...

Po raz któryś przesuwam wzrokiem po wyświetlonych słowach i mam wrażenie, że w gardle wyrosła mi ogromna klucha. Nie mogę nabrać powietrza.

*Facet na wózku, który wykorzystuje swoje kalectwo dla lepszego traktowania.*

*Samozwańczy artysta, który na wszystkie sposoby stalkuje dziewczynę.*

*„Wzorowy” urzędnik, który idzie po trupach, żeby robić karierę.*

*Użytkowniczka Facebooka, która wiele razy w ciągu dnia zaśmieca ścianę głupimi maksymami.*

To moja wina. Nie mam wątpliwości, że to przeze mnie. Sprowokowałam Trajana, a teraz przychodzi mi za to zapłacić.

– Nominował Toma.

Daniel odwraca się w moją stronę.

– Co proszę?

– Nominował Toma – powtarzam, tym razem głośniejszym głosem. Mam wrażenie, że mój głos brzmi zupełnie obco. – To... to mój chłopak.

Znajomy w zasadzie. Samozwańczy artysta, który stalkuje dziewczynę. To o nim. Mogę się założyć.

Sięgam po komórkę. Ręce trzęsą mi się tak bardzo, że słuchawka prawie wypada mi z dłoni. Moja wina, moja i niczyja inna. Tak bardzo chciałam podrzucić Trajanowi spreparowaną i zatrutą przynętę, że zrobił się ostrożny, zaczął węszyć i uznał w końcu, że odwróci zabawę.

– A tą stalkowaną dziewczyną, jak rozumiem, jesteś ty? – Głos Daniela dociera jakby z bardzo daleka.

Nie odpowiadam mu. Wybieram numer Toma i naciskam zieloną słuchawkę. Trzy sygnały wołania, a potem odrzucone połączenie.

Niech to kurwa jasna. Serce wali mi jak oszalałe. Kolejna próba. Tym razem odrzucenie połączenia następuje po drugim sygnale.

Nie chce ze mną rozmawiać. Oczywiście, że nie. Po co miałby to robić? Wczoraj brutalnie dałam mu kosza, pewnie ma za sobą bardzo ciężką noc, a w głowie silne postanowienie wyrzucenia Niny Salomon ze swojego życia. I właśnie realizuje swoją decyzję.

Czekam dziesięć minut, które wleką się w nieskończoność. Tym bardziej że odwiedza nas Vogelbusch, by omówić opublikowaną właśnie listę.

– Kto zabija znajomego z Facebooka za to, że publikuje głupoty? – pyta i z niedowierzaniem kręci głową. – Przecież wystarczy usunąć takiego kogoś ze znajomych. A gdyby tego było mało, to zablokować. Po co od razu mordować?

Użytkownicy są chyba tego samego zdania. Dziewczyna z Facebooka plasuje się za kaleką na wózku. Tom za to szybko wysuwa się na drugą pozycję. Pierwsze miejsce zajęte jest przez urzędnika, który jest wzorowy w cudzysłowie. Domyślam się, że chodzi o kogoś skorumpowanego.

– Daj mi swoją komórkę. – Żądam od Daniela, ledwie za Vogelbuschem zamykają się drzwi. Mój przełożony waha się przez chwilę, a potem odblokowuje ekran i podaje słuchawkę.

– Co zamierzasz...

Uciszam go zniecierpliwionym gestem i wybieram numer Toma. Wbijam sobie przy tym paznokcie w skórę zaciśniętej dłoni. Sygnał wołania.

– Tak? – To jego głos. Chwała Bogu!

– Tom, nie rozłączaj się, tylko wysłuchaj mnie. Stało się coś złego.

Poirytowane westchnienie.

– Daj mi spokój.

– Chodzi o ciebie – tłumaczę tak szybko, jak potrafię. – O twoje życie. Znalazłeś się na liście mordercy z „Morituri”. Musimy...

– Słucham? Jak to, jestem na liście? – pyta szyderczym tonem. – Czyli jest jakaś nowa lista?

– Tak. Niestety. I...

– Rozumiem... i tym razem są na niej konkretne osoby, z imionami i nazwiskami?

Przełykam głośno ślinę.

– Nie. Bez nazwisk. Ale czytając opis, nabieram pewności, że chodzi o ciebie. Zapewnimy ci ochronę...

– Niczego od ciebie nie chcę! Niczego! Nawet ochrony! – krzyczy do słuchawki. – Daj mi spokój! To przecież dokładnie to, czego ty zażądałaś ode mnie, prawda?

– Tom, ja...

– Tom, ja... – przedrzeźnia mnie kpiąco. – Przecież masz w głębokim poważaniu, co myślę i czuję. Masz swoją pracę i tylko to się dla ciebie liczy.

– To nieprawda! Wcale nie jest mi to obojętne! – protestuję. – Podaj mi, proszę, swój adres. – Kątem oka widzę, że Daniel marszczy brwi. – Proszę.

Milczy. W słuchawce słyszę trzask klawiszy i klikanie myszki. A potem wzburzony śmiech.

– *Samozwańczy artysta, który stalkuje dziewczynę?* To niby jestem ja? Czy ci kompletnie odbiło? Ale dobrze. Przynajmniej wiem, co o mnie sądzisz.

Zrywam się z krzesła, nie zwracając na to uwagi.

– Tom, do kurwy nędzy, przecież to nie ja napisałam...

– No i co z tego? Wystarczy, że przeczytałaś i uznałaś, że to o mnie. Czyli uważasz, że cię stalkuję. Popieprzyło cię? – Z każdym słowem robi się coraz bardziej wściekły, a ostatnie pytanie wykrzyczał tak głośno, że nawet Daniel musiał je słyszeć.

– Boję się o ciebie! – krzyczę w odpowiedzi. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale jeśli nie chcesz skończyć jak ten topielec albo wylecieć w powietrze, to podaj mi, do cholery, swoje nazwisko i adres! Tylko tyle, a ja zajmę się całą resztą!

Jeszcze zanim kończę ostatnie zdanie, dociera do mnie, co właśnie powiedziałam. Sądząc po spojrzeniu Daniela, on również zaczyna rozumieć. I Tom....

– Mam ci podać swoje nazwisko... – szepce z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że nawet nie wiesz, jak się nazywam?

Milczę. Staram się skupić i szukam w pamięci, ale wiem, że to na nic. Nigdy go o to nie zapytałam, a on sam nie wspomniał, jak się nazywa. I jeśli miałabym być szczerą, to... to było mi to kompletnie obojętne. Nigdy nie planowałam, że Tom będzie czymkolwiek innym niż przygodą.

– Pocałuj mnie w dupę, Nino Salomon – syczy jadownicę po chwili ciszy. – Jak widzisz, ja wiem, jak ty się nazywasz. Niestety. Nie dzwoń do mnie więcej.

Rozłącza się. Mimo to przez dłuższą chwilę stoję jak skamieniała ze słuchawką przy uchu i próbuję się uspokoić.

– Okeeej – mówi Daniel powoli, kiedy oddaję mu telefon. – Czekał, czy ja dobrze zrozumiałem, że nie wiesz, jak ten mężczyzna się nazywa?

– Co... ja nie planowałam... Nie chciałam... Tak jest prościej... Niech to kurwa jasna.

Rzucam się na swoje krzesło i ukrywam twarz w dłoniach.

– Tom się po prostu nawinał. Zdarzyło się i tyle, rozumiesz? Przeprowadziłam się akurat do Hamburga, a on był miły i nie czułam

się taka samotna...

Wiem, co Daniel zaraz powie, bo kiedy próbuję się tłumaczyć, rozsądek podpowiada mi dokładnie to samo, co teraz usłyszę.

– Jednym słowem wykorzystałaś go?

Tak. Nie.

– Nie, to nie tak – bronię się, choć przecież ma rację. – Nigdy niczego mu nie obiecywałam. To on naciskał, że chce więcej niż chodzić ze mną na piwo. A ja pomyślałam...

Przerywam. Daniel i tak ma o mnie nie najlepsze zdanie, a nie chcę, żeby jeszcze się pogorszyło.

Większość facetów byłaby cholernie szczęśliwa, gdyby po przygodzie na jedną noc mogli zniknąć bez zobowiązań i bez niebezpieczeństwa, że kobieta będzie oczekiwała od nich czegoś więcej. Miałam pecha, że trafiłam akurat na Toma, który ma inne podejście do tych spraw.

– W takim razie zajmijmy się uzupełnieniem braków w twojej wiedzy – słyszę spokojny głos Daniela. Chwilę potem przekazuje numer telefonu Toma do telekomu. Za pół godziny będziemy znali nazwisko i adres właściciela. Szef polecił również rozpocząć ustalanie lokalizacji aparatu.

Wracam do komputera. Pieką mnie oczy i mam takie wyrzuty sumienia, że robi mi się niedobrze.

Marcel wysłał mi wiadomość. Pyta, czy nie chcę się już z nim spotkać i dlaczego przestałam do niego pisać. Zamykam wiadomość od niego i przechodzę do wcześniejszej, od Trajana. Może to głupie, co robię, ale nie potrafię inaczej.

*Grasz nie fair – piszę. – Dobrze wiem, że nikt nie nominował tego artysty. Nie trzymasz się własnych zasad i sprowadzasz swoją grę do absurdu. Daj sobie spokój, odpuść temu artyście. Nie będzie z nim żadnego show, bo to nie wojownik. Wiem, że nie zależy ci na nim, tylko na mnie, ale to nie miało być tak.*

Wysyłam wiadomość i sprawdzam stan głosów. Artysta i urzędnik cały czas prowadzą i na moje oko nic się już nie zmienia. W komentarzach kompletny chaos, jak wcześniej. Wezwania, by głosować na tego czy innego kandydata. Słowa nienawiści kierowane do Trajana. I podziwu. Ale, o dziwo, więcej nienawiści.

Tym razem odpisuje mi już po dziesięciu minutach.

*Cześć, Leyla,*

*nie rozumiem, o co ci chodzi. Skąd możesz wiedzieć, czy ktoś nominował artystę, czy nie? I dlaczego miałbym umieszczać go na liście, gdyby zależało mi na tobie? Prosiłaś mnie ostatnio, żebym oszczędził Ninę Salomon. Zrobiłem to, a tobie ciągle mało? Usiądź wygodnie i ciesz się spektaklem.*

*Najchętniej natychmiast bym mu odpisała. Wygarnęłabym, że ma przestać udawać, że mnie nie rozumie. Bo przecież doskonale wie, kim jest Leyla.*

Zanim ponownie sięgam po klawiaturę, Daniel kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Wiemy już nieco więcej. Tom nazywa się Tilsen. Coś ci to mówi?

Kręcę głową i odwracam wzrok, bo nie mogę znieść chłodu, jaki widzę w spojrzeniu Daniela.

– Thomas Tilsen. Mieszka w Stellingen. Dobra, to jedziemy złożyć mu wizytę.

# 35

Jedziemy do Stellingen, pod adres otrzymany od operatora telefonii komórkowej, i całą drogę oboje milczymy. Prowadzę i myślę o wydarzeniach ostatniej godziny. Można się załamać. Za każdym razem, kiedy już mi się wydaje, że znam Ninę nieco lepiej, pojawia się coś, co burzy moje wyobrażenie o niej. I to burzy je doszczętnie.

To, że łączył ją z tym Tomem jakiś wynaturzony związek, to przecież jej prywatna sprawa. Koniec końców, nic mnie nie powinno obchodzić to, jak bardzo – czy raczej jak mało – jej zależy, by cokolwiek wiedzieć o swoim... kochanku. Źle natomiast, że to skłania mnie do formułowania wniosków na temat jej charakteru. Bo to przecież bez sensu. Dopiero co przeniosła się do Hamburga, nie знаła tu żywej duszy i najpewniej przeżywała jeszcze sprawy, które doprowadziły do zmiany miejsca pracy. Potrzebowała ramienia, na którym mogłaby wesprzeć głowę. I nie zależało jej, żeby to ramię miało jakieś nazwisko czy adres. Miało po prostu być. Domyślam się, że pewnie było nawet tak, że nie chciała o nim nic wiedzieć, żeby zachować dystans. Bo od samego początku nie planowała...

– Ty będziesz musiał przejąć całość – oznajmia Nina, czym wrywa mnie z zamyślenia. Patrzę w jej stronę.

– Co będę miał przejąć? Jaką całość?

– No, rozmowę z Tomem. Musisz mu wyjaśnić sytuację i powiedzieć o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi. Mnie nie będzie chciał słuchać.

– Pewnie, zajmę się tym. Obojętnie jak jest.

– Obojętnie jak jest? O co ci chodzi?

– Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że Tom jest osobą wymienioną na liście do głosowania. Ale...

– To jest on, cholera jasna! – krzyczy Nina.

– A ty to wiesz na pewno, tak? – wypalam w odpowiedzi. – Dlatego, że czujesz się jak stalkowana dziewczyna? Zaskakujesz mnie, bo w takiej roli trudno mi sobie ciebie wyobrazić. Może wyjaśnisz, jak miało wyglądać to stalkowanie? Co robił?

Nie daję jej czasu na odpowiedź, bo domyślam się, że zaczęłyby mówić o sprawach, które nie powinny mnie obchodzić.

– Nieważne zresztą. Nawet gdybyś miała rację, to skąd Trajan miałby o tym wiedzieć? Ktoś musiałby go zgłosić. No chyba że Tom wziął przykład z ciebie i sam się nominował.

Nina milczy przez chwilę.

– Nie sądzę, żeby Tom trafił na listę w wyniku nominacji. Przypuszczam za to, że Trajan wie, że Leyla to Nina Salomon i że sama wysłałam swoją nominację. Nie wiem skąd, ale w którymś momencie musiał się zorientować. Obserwował mnie. Zauważył, że Tom siedzi pod moim mieszkaniem i czeka, aż wrócę, a kiedy... – przerywa i patrzy na mnie niepewnie. – A kiedy wróciłam później, zrobił mi scenę.

– Tom wysiadywał pod twoimi drzwiami? Chcesz powiedzieć, że nie wiedział, do której pracujesz?

– Tak. To znaczy nie.

Całość wygląda coraz dziwniej.

– Tylko czy to już można nazwać stalkingiem? Nina, w Hamburgu jest pewnie cała masa artystów i jeden czy drugi przeżywa problemy w związku, przez które jest oskarżany o stalking.

– To na pewno on – upiera się z przekorą małego dziecka. – Wiem, że to on.

Docieramy pod wskazany adres i nawet znajdujemy miejsce parkingowe dosłownie naprzeciwko drzwi budynku. Thomas Tilsen mieszka na drugim piętrze. Po pierwszym dzwonku nic się nie dzieje, więc Nina kładzie palec na przycisku i przez dobrych pięć sekund go nie cofa.



– Otwórz, Tom! – powtarza z naciskiem, co oczywiście niczego nie zmienia.

– Do kogo państwo chcecie wejść? – Odwracamy się jak na komendę. W naszą stronę zmierza około siedemdziesięcioletnia staruszka.

– Do pana Tilsena – wyjaśniam szybko. – Czy pani mieszka w tym budynku?

Kobieta jeszcze mocniej marszczy czoło.

– Tak, mieszkam tu. A czego chcecie od pana Tilsena?

Z kieszeni marynarki wyjmuję policyjną legitymację i pokazuję ją staruszce.

– Buchholz, policja. Zechciałaby nas pani wpuścić?

– Policja kryminalna? A co takiego pan Tilsen zrobił? Wpadł w jakieś kłopoty? Nie wierzę, żeby zrobił coś złego, to taki miły i serdeczny człowiek. Maluje obrazy. To prawdziwy artysta.

– Niechże pani otworzy w końcu te cholerne drzwi! Proszę.

Rzucam Ninie karcące spojrzenie, lecz na szczęście jej słowa przynoszą skutek. Kobieta robi obrażoną minę, ale sięga do kieszeni i wyjmuje klucze.

– Już dobrze, dobrze, otwieram. Nie musi pani być niegrzeczna. Człowiek ma prawo martwić się o swoich sąsiadów, prawda?

– Czy jest tu jakiś dozorca albo zarządca? – pytam, kiedy drzwi stoją już przed nami otworem.

– Nie, nie ma takiej potrzeby – wyjaśnia staruszka jeszcze nieco urażonym tonem. – Właściciele kamienicy mieszkają na parterze.

– Sprawdź, czy są na miejscu – zwracam się do Niny. – Będziemy potrzebowali klucza. Ja idę sprawdzić jego mieszkanie.

Wbiegam, przeskakując po dwa stopnie, i po dwudziestu sekundach stoję przed drzwiami mieszkania Toma Tilsena. Niestety, nawet teraz nikt nie reaguje ani na przeciągłe dzwonienie, ani na walenie pięścią i moje głośne wołanie.

Z dołu słyszę czyjeś głosy. Wygląda na to, że Nina miała szczęście. Wyjmuję szybko komórkę i informuję Arendt o sytuacji.

Ostrzegam ją jednocześnie, że zaraz wejdziemy sprawdzić mieszkanie.

W chwili kiedy kończę połączenie, telefon zaczyna dzwonić. Odbieram, nie sprawdzając numeru. To szef warsztatu jaguara. Mój wóz jest gotowy i mogę przyjechać go odebrać. Pod koniec dnia wystawią go na zewnątrz, a kluczyki zostawią w umówionym miejscu.

Właścicielka jest nieco młodsza od kobiety, która wpuściła nas do środka. To bardzo zadbana kobieta i ma wyjątkowo gładką – jak na swój wiek – skórę, co może oznaczać albo bardzo dobre geny, albo bardzo duże rachunki z salonów kosmetycznych.

– Co tu się właściwie dzieje? – pyta, podchodząc z kluczem do drzwi mieszkania Tilsena. Nina idzie pół kroku za nią.

Kręcę głową.

– Podejrzewamy, że panu Tilsenowi może grozić bardzo poważne niebezpieczeństwo. Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Właścicielka nieruchomieje i zaczyna się zastanawiać.

– Już, zaraz...

– Niechże pani otworzy! – ponagla ją Nina.

– To musiało być przedwczoraj. – Szczęk zamka. – Widujemy się tylko, jak wpadniemy na siebie przypadkiem na schodach. A kiedy...

– Dziękuję, może pani zostawić nas samych i wracać do siebie. – Żegnam ją skinieniem głowy i czekam, aż się odwróci i zacznie schodzić, choć robi to z wielkimi oporami i niechęcią. Dopiero wtedy spoglądam na Ninę, kiwam delikatnie głową i wyjmuję broń, po czym ostrożnie przekraczam próg mieszkania. Minutę później wiemy już, że jest puste.

Mieszkanie Tilsena ma dwa pokoje, maleńką kuchnię i jeszcze mniejszą łazienkę. Salon – wyróżnia go tylko telewizor i dwumiejscowa kanapa, zastawiony jest gotowymi i niedokończonymi, w większości abstrakcyjnymi obrazami, blejtramami i świeżymi płótnami. Na szafkach i podstawkach leżą w połowie zużyte tubki farby, pomazane różnymi kolorami palety,

chusteczki i pisaki. Sypialnia wygląda całkiem podobnie, tyle że zamiast kanapy znajduje się w niej łóżko na stalowej ramie.

– To miejsce rzeczywiście wygląda jak atelier artysty. – Przesuwam wzrokiem po niezbyt odpowiadających mojemu poczuciu estetyki obrazach. – Czy on z tego żyje?

– Chyba tak. W końcu jakoś musi płacić za wynajem. Ale przynajmniej w końcu rozumiem, dlaczego zawsze spotykaliśmy się u mnie. Spróbuję jeszcze raz do niego zadzwonić.

Nie odbiera. Kiedy Nina chowa telefon do kieszeni, ja wyjmuję swój i też próbuję szczęścia, jednak z takim samym rezultatem. W końcu dzwonię na komendę i zarządzam dodanie Toma Tilsena do listy osób poszukiwanych.

– Tak tylko, na wszelki wypadek – uspokajam Ninę, widząc jej wzrok. – Wciąż jeszcze nie jestem przekonany, że to on jest kandydatem, na którego swoje głosy oddają użytkownicy forum.

– Serio? Jeszcze nie jesteś przekonany? To gdzie niby jest? I dlaczego nie odbiera telefonu?

– Może chce się po prostu odciąć? Może chce mieć trochę spokoju? Odpocząć od ciebie i twoich ostrzeżeń? Jeśli chodzi o pierwszą część, to nawet byłbym w stanie go zrozumieć. – Żałuję tych słów, jeszcze zanim kończę zdanie. – Przepraszam, nie chciałem... – dodaję szybko.

– Nie ma o czym mówić. Masz przecież rację. Mimo to daję głowę, że Trajan go już porwał.

Nie komentuję jej przypuszczeń. Również dlatego, że sam powoli zaczynam się przychylić do jej teorii. Rozglądamy się jeszcze jakiś czas po mieszkaniu, ale nie znajdujemy niczego interesującego. Mój telefon znowu dzwoni. Tym razem to Vogelbusch.

– Ludzie z telekomu się pospieszyli. Dzisiaj przed południem komórka Tilsena logowała się do sieci WLAN kawiarni internetowej niedaleko jego mieszkania. – Dyktuje mi adres, który powtarzam na głos i jednocześnie zapisuję w notatniku. Rozłączam się, przekazuję informację Ninie i pytam, czy przypadkiem nie dysponuje zdjęciem

Toma. W gruncie rzeczy idiotyczne pytanie. Skąd miałyby mieć jego zdjęcie, skoro nawet nie wiedziała, jak się nazywa.

– Ale poczekaj, w sypialni widziałam chyba jakiś album.

Znika w małym pokoiku, by po jakimś czasie wrócić, niosąc pojedynczą fotografię.

– Jest niezbyt aktualne, ale da się go rozpoznać.

Rzucam krótkie spojrzenie na fotografię przedstawiającą ciemnowłosego mężczyznę na tle jakiegoś starego budynku.

– W takim razie ruszajmy.

Właściciel kawiarni internetowej imieniem Manuel ma ramiona wytatuowane aż do nadgarstków, a w brwi nosi kolczyk.

– No, znam gościa, a co? Często do nas wpada – oznajmia, kiedy pokazuję mu zdjęcie.

– Sam?

Manuel potakuje.

– Ta, zazwyczaj sam. Ale dzisiaj rano był z jakimś legionistą.

Wymieniamy z Niną szybkie spojrzenia. Widzę, że jest spięta.

– Legionistą? – pytamy niemal równocześnie. Manuel uśmiecha się szeroko.

– Gość miał ten tatuaż, więc zwróciłem na niego uwagę. Zawsze patrzę na takie rzeczy – tłumaczy, wskazując palcem na wewnętrzną stronę przedramienia. – Tutaj dokładnie. Granat z siedmioma płomieniami.

– Granat! – Nina odwraca się gwałtownie. – Daniel, to nie może być przypadek!

Nie, raczej na pewno nie. Jednak skojarzenia, jakie natychmiast mi się nasuwają, nie łączą się jedynie ze śmiercią Sandry Ullbrecht.

– Ale to nie jakiś tam granat, tylko granat z siedmioma płomieniami. Symbol Legii Cudzoziemskiej. Co wiele tłumaczy. Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, jak ten człowiek w pojedynkę... – przerywam, widząc ciekawskie spojrzenie Manuela.

– Umiałby pan go opisać? Możliwie dokładnie, żebyśmy sporządzili portret pamięciowy?

Twarz Manuela po raz kolejny rozpromienia szeroki uśmiech.

– Przy odrobinie szczęścia dam wam jego fotkę – oznajmia i wskazuje na kilka miejsc pod sufitem. Monitoring, zgaduję, choć nie widzę ani jednej kamery.

– No to na co czekamy! – pogania Nina i kładzie Manuelowi dłoń na przedramieniu.

Po niecałych dziesięciu minutach znajduje na komputerze właściwy fragment nagrania.

– O, proszę, tutaj jest.

Mężczyzna, który siedzi obok Toma i rozmawia z nim przy stoliku bez komputera, ma około czterdziestu lat, nosi krótko obcięte blond włosy i wygląda przynajmniej podobnie do portretu pamięciowego, którym dysponujemy. Nie potrafię oderwać wzroku od ekranu. Czy właśnie w tej chwili po raz pierwszy spoglądam na twarz Trajana?

Ustalamy miejsce na nagraniu, gdzie twarz nieznanego jest w miarę wyraźna, zapisujemy kilka zrzutów ekranu i drukujemy je na laserowej drukarce kolorowej.

– W końcu jakiś postęp! – Cieszę się, kiedy z wydrukiem wychodzimy z kawiarni. Nina wzdycha ciężko.

– Oby dzięki temu udało nam się pomóc Tomowi.

Dzwonek mojej komórki nie daje mi możliwości reakcji na jej słowa. Marc.

– Daniel! Nie uwierzysz! – krzyczy podekscytowany do słuchawki. – Nasi koledzy ze Stanów! Ich specjalista! Dał radę!

– Z czym dał radę? – pytam szybko i boję się nadziei, która się we mnie budzi.

– Forum! „Morituri”. Wywalili tę stronę z sieci!

## 36

Gnamy na łeb na szyję z powrotem do komendy. Ze względu na styl jazdy Daniela przez większą część drogi mam zamknięte oczy. Szkoda by było zginąć w akompaniamencie gnącej się blachy akurat teraz, kiedy prawie na pewno mamy Trajana.

Bez widzów nie będzie mu się opłacało dalej mordować, powtarzam sobie z nadzieją. Wypuści Toma, tak samo jak wypuścił Gustava Beranskiego.

Ledwie Daniel zatrzymuje samochód, ja wyskakuję i wpadam do budynku. Biegiem przecinam hol, służę i wzywam windę. Tam dogania mnie Daniel.

– Chcę zobaczyć to na własne oczy – sapię. – Jeśli rzeczywiście dali radę, padnę przed nimi na kolana. Odkąd tu są, czekają na uznanie z naszej strony, więc je dostaną.

Korytarze na naszym piętrze są praktycznie wymiecione z ludzi. Mijamy jedynie Pię, która jak zwykle unika wzroku Daniela.

Aż w pewnej chwili Marc wychodzi ze swojego biura. Zaraz za nim w drzwiach pojawia się Christoph. Nie muszą nic mówić. Wszystko mają wypisane na twarzach.

– Niech to diabli – szepce Daniel. – Kiedy?

– Pięć minut temu. – Po raz pierwszy od początku naszej znajomości Marc jest wyczerpany. – Przez dwadzieścia minut forum nie działało, a potem udało mu się przerzucić mirror na inny serwer i znów są online. Porzygać się można.

Nie mam nawet siły, żeby przeklinać. Zostawiam całą trójkę na korytarzu, wchodzę do biura i siadam przed komputerem, żeby na własne oczy przekonać się o rozmiarach katastrofy.

No i jest online. Strona „Morituri” ładuje się bez problemu, a głosowanie trwa. Tom zajmuje drugie miejsce, zaraz za

urzędnikiem, ale niewiele do niego traci. Wiem, że w większości urzędów i sądów zaostrzono środki bezpieczeństwa, jednak nikt się nie łudzi, że to go powstrzyma. Trajan uprowadzi urzędnika tak samo, jak uprowadził Toma. W najgorszym razie poczeka kilka dni.

Wiem, że to bez sensu, ale znów wybieram numer Toma. Nie odrzuca połączenia. W żaden sposób nie reaguje. Nawet poczta głosowa się nie włącza... a ja nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek z niej korzystał. Zawsze odbierał prawie natychmiast.

Wysyłam mu SMS-a, bo to jedyna możliwość kontaktu, która przychodzi mi do głowy: *Możesz mnie nienawidzić i przeklinać, proszę bardzo. Ale odezwij się. Proszę. Bardzo się o ciebie martwię.*

W biurze spędzam dobre trzydzieści minut i przez ten czas tylko patrzę tępo na monitor komputera albo na telefon. Czuję się jak sparaliżowana. Winna, bezużyteczna i bezradna. Znów mam przed oczyma twarz Sophie. Znów słyszę jej krzyki i zadaję sobie pytanie, czy dziś wieczorem będę słyszała krzyki Toma? Czy będę musiała przeżywać to samo, tyle że nie na żywo, a przez ekran komputera? I ze śmiercią na końcu...

Jeśli tak się stanie, nie wiem, czy się jeszcze pozbieram.

Daniel za to jakby nabrał skądś świeżych sił i zapału do pracy. Wpada do biura, informuje mnie, że zdjęcie z kamery monitoringu kawiarni internetowej trafiło już na wszystkie komisariaty, do wszystkich radiowozów i do wszystkich mediów, a Trajan znalazł się na liście najbardziej poszukiwanych osób. Potem siada za biurkiem, bierze do ręki słuchawkę i zaczyna wybierać numery z zestawienia przygotowanego przez Pię.

– Wysłałem panu zdjęcie – informuje pierwszego rozmówcę. – Proszę mu się dokładnie przyjrzeć. Czy zna pan tego człowieka?

Potem czeka. Nie słyszę odpowiedzi, ale wiem, że nie jest długa. Kolejna rozmowa przebiega według bardzo podobnego scenariusza. Daniel zaciska nerwowo zęby. Z trudem panuje nad nerwami, ale na koniec nie wytrzymuje i ciska słuchawką na blat.

– Legia sregia – cedzi, nie parząc na mnie. – Mają coś w rodzaju kodeksu honorowego. Wszyscy są braćmi i żaden nie wyda drugiego. Bezwzględna lojalność. Jeśli któryś z nich rozpoznał człowieka ze zdjęcia, to i tak się tego nie dowiemy.

Mimo to Daniel próbuje dalej.

– Braterstwo to nie jedyna zasada waszego kodeksu! – krzyczy w końcu do słuchawki. – Macie tam jeszcze przestrzeganie prawa i szacunek dla pokonanych! Widział pan, co ten człowiek robi ze swoimi ofiarami? – Wybuch do niczego nie prowadzi. W końcu Daniel przerywa połączenie, a potem udaje się do Arendt.

Ze strony Toma dalej nie mam znaku życia. Za to jego komórka została namierzona i wiemy, że znajduje się między jego mieszkaniem a kawiarnią internetową, w której spotkał się z weteranem Legii Cudzoziemskiej. Pewnie w jakimś koszu na śmieci, dodaję w myślach.

Przed piątą zgłasza się Andressen. Udało im się złamać hasło do profilu Blackjack11 na forum „Morituri”, ale wszystkie jego wpisy i prywatne wiadomości zniknęły. Jakby nigdy nie rozmawiał z żadnym z innych użytkowników i nic nie publikował. Zero. W ten sposób nie mamy też dowodu, że Blackjack11 to rzeczywiście Vogt.

Tom wciąż zajmuje drugie miejsce w głosowaniu. Jestem przekonana, że głosują na niego ci, którym się wydaje, że jest darmozjadem żyjącym z ich podatków. Do tego to stalker. A stalkera nikomu nie będzie szkoda, jak wynika z postów użytkowników zachęcających do oddawania głosów na jego kandydaturę.

Urzędnik zawdzięcza prowadzenie chyba jedynie temu, że nikt nie lubi urzędników. Żyją z naszych podatków, a potem traktują nas jak śmieci.

Jednak może środki bezpieczeństwa odniosły jakiś skutek, bo jak dotąd nie docierają do nas żadne informacje o porwaniach.

Krótko przed siódmą wieczorem Daniel zagląda do biura.

– Ja mam już dość na dzisiaj. Odbiorę jeszcze wóz z warsztatu, a potem idę spać. Chcesz może...



– Nie, dzisiaj będę nocowała u siebie – przerywam mu. – Nic mi nie grozi. Nie ma mnie na liście.

Poza tym mam plany, którymi nie chcę się z nim dzielić.

– W porządku. Ale zrób mi, proszę, tę uprzejmość i daj znać, zanim się położysz. Będę się lepiej czuł.

– Pewnie. Jasne.

Kiedy wychodzi, piszę do Marcela. Przepraszam, że tak późno mu odpowiadam i proponuję spotkanie. To samo miejsce co poprzednio, wpół do dziewiątej wieczorem.

Odpisuje mi niemal natychmiast, jakby tylko na to czekał. Zapewnia mnie, że nie może się doczekać naszego spotkania. I że bardzo się na nie cieszy.

Siedzi przy tym samym stole co poprzednio i ma na sobie tę samą kurtkę skórzaną, lecz tym razem zrywa się na mój widok z miejsca, bierze mnie w ramiona i całuje, jakby takie zachowanie było między nami całkowicie naturalne. Odsuwam go od siebie, choć staram się być przy tym bardzo delikatna. Tak nie można, nie teraz, nie kiedy cały czas mam w głowie Toma i to, co się z nim dzieje.

– Co się stało? – Marcel bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą do stolika.

– Boję się – wyjaśniam zgodnie z prawdą. – Od kiedy na stronie jest nowa lista, nie mogę przestać się bać. A miałam nadzieję, że już po wszystkim.

– Ja, prawdę mówiąc, też. – Obejmuje mnie ramieniem, a ja opieram o niego głowę. Tak mogę. To dodaje mi otuchy.

– Napisałeś, że zapis twojej rozmowy z Blackjackiem został skasowany – mówię, kiedy dostajemy zamówione napoje.

– Ktoś go musiał skasować, inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak mógł zniknąć.

Głaszczę jego dłoń i splatam nasze palce.

– Dużo bym dała, żeby wiedzieć, co takiego w nim było, że ktoś uznał to za zagrożenie – szepczę zamyślona. – Pamiętasz jeszcze cokolwiek? O czym pisaliście?

Marcel przyciąga mnie bliżej.

– Wiesz, to głównie były jakieś techniczne sprawy. O protokołach szyfrujących i mirrorach... takie tam. Blackjack naprawdę nieźle się na tym znał. – Zanurza twarz w moich włosach. – Boże, ale pięknie pachniesz!

– Myślisz, że doszedł do tego, jak włamać się na forum?

– Nie. – Marcel przestaje mnie tulić, sięga po szklanke i upija łyk piwa. – Nie sądzę, żeby zdołał to zrobić. Ale zgaduję, że nasza rozmowa została skasowana, bo strasznie się nabijał z Trajana. Nazywał go na zmianę parową i zwierakiem. Czasem. A czasem bydlakiem. Mnie to jakoś nie pasowało, ale rany, przecież nie każdy musi mieć takie samo poczucie humoru, prawda?

Nie za bardzo wierzę, żeby Trajan skasował zapis ich rozmów z czystej próżności. Gdyby tak łatwo było go urazić, musiałby skasować przynajmniej połowę wpisów na swoim forum, bo w porównaniu z tym, co tam o nim piszą, bydlak jest komplementem.

– Zapytałeś może Blackjacksa, dlaczego akurat tak go nazywa?

– Zapytałem. – Marcel przesuwając palcami po mojej brodzie, obraca moją twarz do siebie i przywiera do mnie ustami. Drżę cała, nie mogę się uspokoić. Nie czuję się dobrze, bo zżera mnie stres. Możliwe, że kolejna runda już trwa. A jeśli już zaczął transmitować finał?

Ktoś by mnie zawiadomił, prawda? Ktoś by mnie poinformował – chyba że Daniel polecił im wyraźnie, żeby trzymali mnie na dystans. Przez Toma.

Bzdura. Przecież nikt o tym nie wie.

Odsuwam się odrobinę, żeby przestał mnie całować.

– No i? Co wtedy powiedział?

– Nie pamiętam już. – Po raz pierwszy w jego odpowiedzi słyszę lekkie zniecierpliwienie. Nie przyszedł tutaj rozmawiać o forum. – Napisał coś w rodzaju, że Trajan sam tak siebie widzi i że nie robi nic nowego, tylko odświeża stare triki. Odniosłem wrażenie, że albo się znają z realu, albo już wcześniej spotkali się w sieci.

To by się mogło zgadzać z tym, co Johansen powiedział w wywiadzie ze Schröterem. Że Vogt najprawdopodobniej znał prawdziwą tożsamość Trajana.

Ale nasi ludzie sprawdzili, w jakich kręgach towarzyskich obracał się Vogt, i nic. W takim razie będą musieli zrobić to powtórnie.

Wypijam z Marcelem drugą szklankę i pozwalam mu obejmować się ramieniem. Kiedy chce czegoś więcej, bronię się najdelikatniej, jak mogę, żeby go nie spłoszyć.

– Sorry, dzisiaj nie mam ochoty – tłumaczę nieśmiało. – Nie czuję się dobrze.

Jest wyrozumiały. Albo przynajmniej dobrze udaje.

Tym razem nie proponuje, że podwiezie mnie do domu.

W mieszkaniu pierwsze co robię, to dopadam do komputera, otwieram stronę „Morituri” i oddycham z ulgą. Żadnych nowych zdjęć, filmów czy transmisji wideo. Nie ma również żadnych zapowiedzi. Tom wciąż zajmuje drugie miejsce, jednak odrobił dwa procenty do lidera.

Wyczerpana padam na łóżko. Sześć godzin snu. Może siedem. Dzięki temu rano znów będę mógł sprawnie myśleć i koncentrować się na ważnych rzeczach.

Prawie zasypiam, kiedy przypominam sobie obietnicę daną Danielowi. Jestem mu to winna. Dałam słowo, że zadzwonię, zanim pójdę spać, ale zbliża się już wpół do dwunastej...

Nieważne. Sam mnie o to poprosił. Wybieram jego numer i czekam na sygnał. Po czwartym przerywam połączenie. Jutro rano zobaczy, że dałam znak życia. Zgodnie z umową.

Zanim odkładam słuchawkę, próbuję jeszcze raz dodzwonić się do Toma. Bez wielkiej nadziei, że mi się uda. I słusznie. Nie ma już nawet sygnału wołania. Od razu włącza się poczta głosowa. Jego telefon wylogował się już z sieci.

Następnego dnia wchodzę do pustego biura. Daniela jeszcze nie ma, za to pięć minut później odbieram telefon od Dietmara Ullbrechta.

– Czyli już wiecie, jak wygląda morderca Sandry, ale jeszcze go nie dopadliście? Co za banda żalosnych amatorów! Daliście mu dość czasu, żeby uciekł za granicę!

– Panie Ullbrecht...

– Zamknij się i nie przerywaj, jak mówię! Mam was dość! Nie będę czekał, aż spartaczycie wszystko do końca! – Po czym się rozłącza.

Głosowanie trwa dalej, ale kolejność kandydatów się nie zmienia. Artysta zmniejsza dystans do prowadzącego urzędnika, ale nie na tyle, żeby mu zagrozić – przy założeniu, że głosowanie skończy się dziś wieczorem.

Na razie nie wpłynęło żadne nowe zgłoszenie zaginięcia. W kontekście tego, co się dzieje, brak złych wiadomości jest dobrą wiadomością.

Na porannej odprawie nie stawiają się ani Christoph, ani Daniel.

– Janning pracował wczoraj do jedenastej wieczorem, więc przyjdzie później – tłumaczy Arendt.

– Buchholz podobnie, wczoraj padał z nóg – dodają. – Pewnie pośpi dzisiaj nieco dłużej.

Nawet jeśli tak zaplanował, to nie dał mi wcześniej znać. W czasie odprawy co chwila sprawdzam komórkę. W końcu przepraszam i wychodzę na korytarz. Wybieram numer Daniela.

Dwa, trzy, cztery sygnały. Potem zgłasza się poczta głosowa.

Jeszcze jedna próba. Czyżby wyłączył dźwięk? Zupełnie nie w jego stylu, na tyle, na ile zdążyłam go poznać. Przy tak dużej sprawie nie pozwoliłby sobie na brak kontaktu.

Wracam do sali. Do końca odprawy siedzę jak na szpilkach i nie mogę się skupić. Kiedy Arendt kończy, jestem pierwszą osobą, która wychodzi i biegnie do swojego biura. Wpadam do środka. Ani śladu Daniela.

Znów próbuję się z nim skontaktować. I znów bez rezultatu. Rodzi się we mnie pewne przeczucie i staje coraz wyraźniejsze, jakby chciało, bym je przeanalizowała, ale przecież to niemożliwe, to idiotyczne, dlaczego to miałby być...

Dłużej nie mogę odrzucać takiej możliwości. Wszystko dookoła zaczyna wirować. Muszę przytrzymać się blatu.

Urzędnik. Który idzie po trupach.

Bo zajmuje się nimi na co dzień. Zawodowo.

Ekran komputera rozmywa mi się przed oczyma.

Tom jest na drugim miejscu.

Zaraz za Danielem.

# 37

Dzień był nieskończenie długi i kiedy zamykam za sobą drzwi gabinetu Arendt, czuję się tak wyczerpany, że najchętniej oparłbym się plecami o ścianę, osunął na podłogę i siedział tam bez ruchu tak długo, jak się da. Po prostu. Nic nie robić. O niczym nie myśleć. Nic nie mówić. Mieć spokój.

Chcę wrócić do domu. Byle tylko wyjść z firmy i przespać się kilka godzin, choć jeśli mam być szczery, to wątpię, by udało mi się zasnąć. Ale przede wszystkim chcę choćby przez chwilę nie musieć myśleć i mówić o śledztwie. Skupić się na czymś innym.

Jaguar. Czy to nie głupie, że w takim momencie przychodzi mi do głowy samochód? Kiedy siedzimy bezradni i przyglądamy się, jak kolejne osoby tracą życie tylko dlatego, że miały za dużo szczęścia? Ktoś ma umrzeć, bo jest urzędnikiem. Albo malarzem wysiadującym pod drzwiami dziewczyny-policjantki, która nie zdaje sobie sprawy, że dla niego ten związek ma daleko większe znaczenie niż dla niej?

Nie. Ruszam w stronę biura i kręcę głową. Jakaś młoda policjantka, którą mijam na korytarzu, spogląda na mnie ze zdziwieniem.

Nie, to nie jest głupie. To instynkt przetrwania. Skupiam się na czymś innym, żeby choć na chwilę dać głowie odpocząć.

Nie wchodzę do gabinetu, tylko zaglądam do środka i informuję Ninę, że ja już na dzisiaj kończę i co zamierzam zrobić. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie powinienem jej przynajmniej zaproponować spędzenia nocy u mnie w mieszkaniu, lecz ku mojej uldze nie daje mi nawet dokończyć i odrzuca ofertę. Żegnam się więc i pięć minut później wychodzę z budynku komendy. W zasadzie powinienem był poprosić Ninę, żeby podrzuciła mnie do warsztatu,

a potem pojechała dalej służbowym wozem. Tyle że przeraża mnie nawet wizja krótkiej rozmowy w czasie jazdy. To byłoby zbyt wiele. Chcę, nie, ja po prostu muszę chwilę pobyć sam. Teraz. Od razu. Z daleka od dochodzenia i każdej osoby, która ma z nim jakikolwiek związek. Bez pytań, bez odpowiedzi... i bez mojej nowej partnerki.

Dlatego pojedę teraz do domu, zostawię samochód służbowy na parkingu i wezwę taksówkę, która zawiezie mnie do warsztatu. Kluczyki leżą na prawej tylnej oponie, jak zawsze zresztą. Wsiądę, uruchomię silnik i ruszę. Opuszczę szyby, żeby napawać się głębokim dźwiękiem dwustu siedemdziesięciu koni mechanicznych. Będę chłonał drżenie wozu przez drewnianą kierownicę, by w ten sposób stopić się z autem w jedno. Trudno to opisać. Jeśli w jakikolwiek sposób miałbym nabrać dystansu do sprawy i skupić się na czymś innym, to tylko tak.

Kiedy zamykam za sobą drzwi mieszkania, tępa bezradność i poczucie porażki powoli ustępują miejsca ekscytacji i oczekiwaniu na ryk silnika jaguara.

W drodze do kuchni wydaję z kieszeni marynarki telefon, otwieram listę kontaktów i wybieram numer warsztatu. Może ktoś jeszcze jest na miejscu. Zanim dotykam palcem zielonej słuchawki, sięgam do lodówki i z półki na drzwiach wydaję butelkę wody. Zaschło mi w gardle, ale nic w tym dziwnego, bo od wczesnego popołudnia nie miałem nawet czasu się napić. Otwieram szafkę, żeby wyjąć z niej szklankę, i nagle mam wrażenie, że gdzieś obok słyszę delikatny szelest. Przez chwilę stoję nieruchomo i skupiony wytężam słuch, lecz dookoła panuje niczym niezmacona cisza. Zmęczenie, powtarzam sobie w myślach. To tylko zmęczenie, nic więcej.

W chwili kiedy unoszę dłoń, by chwycić szklankę, tuż przed twarzą widzę jakiś cień, a w następnej chwili usta i nos zasłania mi nasączona czymś szmatka. Czuję przenikliwy, słodkawy zapach. Chcę się uwolnić i odwrócić, lecz uchwyt jest zbyt silny. Zanim dociera do mnie, co się dzieje, zapadam się w ciemność.

Ciepło. Czuję je na ustach i nosie. Jest dziwne. Pojawia się falami, co kilka sekund. Jednocześnie z dziwnym swędzeniem twarzy i pulsującym bólem głowy. Otwieram oczy, lecz widzę tylko ciemność. Chcę unieść dłoń, ale nie mogę się ruszyć. Nagle wracają wspomnienia i świadomość tego, co się stało. Zostałem napadnięty w swojej własnej kuchni. Ktoś mnie uśpił, najprawdopodobniej za pomocą chloroformu. Na to w każdym razie wskazuje dudniący ból pod czaszką.

Mam coś naciągnięte na głowę i związane za plecami ręce. Staram się poluzować więzy, ale szybko się poddaję, bo z każdym ruchem głębiej wrzynają się w skórę na nadgarstkach. To coś cienkiego – domyślałam się, że opaski zaciskowe. Wszystko mnie boli.

Leżę na boku, na ziemi, tyle jestem w stanie stwierdzić. Ale gdzie? I przede wszystkim: dlaczego?

– Halo? – wołam cicho. – Jest tu kto?

Mój głos nie odbija się echem od pustych ścian, tylko brzmi naturalnie i znajomo. Nawet nie szczególnie słabo czy niepewnie. Mimo to nie otrzymuję odpowiedzi.

Przekręcam się odrobinę, by dotknąć palcami podłogi. Jest gładka i czysta. Twarda, ale z całą pewnością nie jest to beton. Opuszką trafiam na fugę. Drewno? Tak, możliwe, że to parkiet. Odrobinę dalej środkowym palcem dotykam czegoś miękkiego, nie, już wiem, to coś jak grube nitki... czyżby frędzle? Tak. Jestem u siebie w domu. W korytarzu. Frędzle to obramowanie berberyjskiego chodnika, który mój ojciec przywiózł z jakiejś podróży.

Czyjeś kroki. Są coraz bliżej. Ktoś wychodzi z salonu.

– Halo? – wołam znowu i staram się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i pewnie. – Nie mam pojęcia, kim jesteś ani czego ode mnie chcesz. Ale chętnie pomogę, jeśli mi powiesz, o co chodzi.

Brak odpowiedzi. Czyżby ktoś się dowiedział, że mam w domu dość cenne dzieła sztuki? Po nie przyszedł? Jeśli tak, to... to dlaczego ktoś, kto przyszedł mnie obrabować, miałby zadawać sobie



trud z usypianiem mnie, krępowaniem i zakładaniem worka na głowę? Nie, to musiało być zaplanowane.

W następnej sekundzie zaczynam rozumieć, co się dzieje. Forum „Morituri”. Pewnie zaczęliśmy deptać Trajanowi po piętach, więc postanowił uderzyć bezpośrednio w nas.

Z drugiej strony to przecież bez sensu, bo wyeliminowanie pojedynczych funkcjonariuszy nie spowolni śledztwa. Chyba że...

Lista. Urzędnik, który idzie po trupach. Nie, to przecież niemożliwe.

A jednak w ułamku sekundy przychodzi olśnienie i z pełną jasnością dociera do mnie, dlaczego leżę spętany na podłodze własnego mieszkania. Co więcej, wiem, kto mnie napadł.

– Trajan – mówię głośno. Mój głos nie brzmi już spokojnie i wyraźnie, teraz jest raczej głuchy. – Trajan, prawda? A ja jestem urzędnikiem z listy do głosowania. Zgadza się?

Znów na próżno wyczekuję odpowiedzi. Czyżbym został sam? Czy Trajan wyszedł z mieszkania? To byłaby szansa, którą powinienem wykorzystać, żeby zwrócić na siebie uwagę sąsiadów.

Otwieram usta, nabieram głęboko powietrza i wołam, nie, ja wrzeszczę po pomoc. Trwa to dwie, może trzy sekundy, bo potem czuję coś twardego przy skroni. To chyba lufa pistoletu.

– Trzym ryj.

Sposób, w jaki wypowiedziane zostają te słowa, jest władczy, jakby wydawał komendy. I zmieniony, żeby nigdy nie potrafił go rozpoznać.

– Proszę! – wołam i w końcu muszę przyznać się przed samym sobą, że się boję. Bo wiem, co Trajan robił ze swoimi wcześniejszymi ofiarami.

– Porozmawiajmy – proponuję, jakbym zakładał, że dam radę go przekonać. – Pan musi mieć jakiś cel, prawda? Co pan chce osiągnąć? Może uda się nam znaleźć jakieś...

Czuję jakiś ruch obok głowy, a potem dłoń chwytającą za worek na mojej głowie. Ciągnie za materiał i obraca mnie trochę. Mam

wrażenie, że Trajan chce go ze mnie zdjąć. Ale wtedy bym go zobaczył, a to nie zwiastuje niczego dobrego. Wręcz przeciwnie. Będę musiał zginąć, jeśli zobaczę jego twarz.

Chcę się odwrócić, żeby nic nie widzieć, ale on jest szybszy. Wsuwa dłoń pod materiał i przyciska mi coś do ust i nosa... poznaję ten słodkawy zapach. Znów zapadam się w ciemność.

Tym razem ból głowy jest tak przenikliwy, że kiedy wraca mi przytomność, nie mogę powstrzymać jęku. Mam wrażenie, że w rytm uderzeń serca mój mózg pęcznieje do granic wytrzymałości. Jakby chciał rozsadzić czaszkę. Rozsadzić... Na myśl o tym czuję mdłości. Przed oczyma staje mi obraz zakrwawionej i zniszczonej piwnicy. I rozerwanego ciała Sandry Ullbrecht, która została rozsadzona granatem.

A teraz padło na mnie. Co najdziwniejsze, pierwszą myślą, która przychodzi mi do głowy, jest kto mnie nominował. Ktoś z firmy? Nina, żeby podrzucić Trajanowi kolejną przynętę? Bzdura, tak daleko by się nie posunęła. Poza tym to kompletnie bez znaczenia, dlaczego akurat ja tutaj trafiłem. Znacznie ważniejszą kwestią jest odpowiedź na pytanie – gdzie jestem. Bo już pierwszy oddech po odzyskaniu przytomności uświadamia mi, że to na pewno nie jest moje mieszkanie. Tutaj jest znacznie chłodniej i mimo materiałowego worka na głowie wyczuwam w powietrzu wyraźną stęchliznę, coś w rodzaju starej, poprzerastanej pleśnią wilgoci.

Struktura podłogi również jest kompletnie inna niż u mnie w domu. To prawie na pewno kamień, pokryty jakimś pyłem, drobnymi kamyczkami i śmieciami. Niech to diabli. Nienawidzę pyłu i brudu.

– Trajan? Jest tu kto?

Czy ja naprawdę spodziewałem się jakiejś odpowiedzi?

Odwracam się odrobinę i próbuję usiąść. Po dłuższej chwili wytężonych wysiłków daję radę uklęknąć. Do tego jednak musiałem oprzeć się czołem o brudną podłogę. Nacisk jest tak silny, że czuję palący ból, który od głowy promieniuje na całe ciało i wyciska łzy z oczu.

Mimo to przez kilka chwil utrzymuję tę pozycję. Zbieram siły, skupiam się i w końcu odpycham głową od kamiennej posadzki. Mięśnie brzucha palą żywym ogniem, kiedy próbuję wykorzystać ten ruch i unieść tors. I daję radę, choć nie bez głośnego i bolesnego jęku. Jeśli Trajan jest w pobliżu i obserwuje moje wysiłki, musi mieć sporo radości. Spodziewam się wręcz, że zaraz silnym kopnięciem pośle mnie z powrotem na podłogę.

Dyszę ciężko i chrapliwie, ale w końcu udaje mi się wspiąć na nogi. Mam wrażenie, że się kołyszę, ale nie mam pewności.

Ostrożnie wyciągam nogę i stawiam krok. Kamyki i brud chrzęszczą pod podeszwą buta. Potem kolejny krok. I jeszcze jeden.

Sześć albo siedem kroków później uderzam twarzą w ścianę. Odwracam się, przysuwam do niej plecami i opuszkami palców badam chropowatą powierzchnię. Jest nie tylko szorstka, ale na dodatek bardzo nierówna. Zagłębia się, a potem nagle trafiam na gładki, wklęsły fragment. To fuga. Już wiem. To nieotynkowany, surowy piaskowiec, jestem prawie pewien. To stąd ten zapach i wilgoć. Najprawdopodobniej jestem zamknięty w starej piwnicy.

Odwracam się i opieram czołem o szorstką ścianę.

– Trajan! Porozmawiajmy! Proszę. I tak ma mnie pan tutaj zamkniętego, więc co panu szkodzi!

Jak poprzednio: brak odpowiedzi.

Niech będzie. W takim razie muszę znaleźć inny sposób, żeby ustalić, czy jest w tym pomieszczeniu, czy może zostawił mnie samego. Otwieram usta, nabieram głęboko powietrza i wydaję głośny, przeciągły krzyk. Spodziewając się jakiejś brutalnej reakcji, chowam głowę w ramionach, bo boję się uderzenia. Albo że znów przyciśnie mi lufę do skroni.

Nic takiego się nie dzieje.

Albo Trajan wyszedł i zostawił mnie tu samego, albo nie widzi potrzeby przeszkadzania mi w krzykach. Z obu tych możliwości wyłania się jedna smutna konkluzja: obojętne gdzie jestem, mogę

krzyczeć i robić tyle hałasu, ile tylko mam ochotę. I tak nikt mnie nie usłyszy.

## 38

Za drugim telefonem dodzwaniam się do właściwego warsztatu zajmującego się jaguarami.

– Tak, pan Buchholz zostawił u nas samochód do naprawy. Wczoraj wieczorem miał go odebrać, ale się nie pojawił. Pewnie coś mu wypadło.

W tym momencie nie mam już wątpliwości. Wybiegam z biura, pędzę korytarzem do szefowej i bez pukania wpadam do jej gabinetu.

Arendt siedzi ze słuchawką przy uchu i patrzy na mnie poirytowana.

– Chodzi o Daniela – wyrzucam z siebie. – To on jest urzędnikiem z listy Trajana. Zniknął.

Szefowa przeprosza pospiesznie swojego rozmówcę i kończy połączenie.

– Jak to? Buchholz zniknął?

– Tak jest. Pojadę sprawdzić jego mieszkanie. Mogłaby pani wysłać tam szybko ekipę techników?

Potakuje.

– Oczywiście. Proszę wziąć Vogelbuscha.

Gdybym miała wybór, na pewno nie zdecydowałabym się na niego, ale teraz nie ma czasu na dyskusje. Nie mam również czasu ani ochoty odpowiadać na denerwujące pytania, którymi Vogelbusch mnie zasypuje od chwili, gdy tylko zamknął drzwi. A już zdecydowanie nie mogę znieść jego uwag na temat mojego stylu prowadzenia. Po pięciu minutach nie wytrzymuję i coś mu odpyskuję. Do końca drogi siedzi cicho.

Daniel mieszka dość blisko komendy. Wyobrażam sobie, że dzwoniemy do niego jak szaleni, a on otwiera nam po jakimś czasie,

zaspany i w płaszczu kąpielowym. Chcę trzymać się nadziei, że tak właśnie będzie, jakbym mogła sprawić, że rzeczywiście tylko zasnął. Niezależnie od tego, jakie to głupie.

Nie wiem jednak, jak miałabym się zmierzyć z drugą, bardziej prawdopodobną opcją, że Trajan porwał nie tylko Toma, ale i Daniela. A wszystko z zemsty za to, że sama się nominowałam. Dwie osoby z mojego bezpośredniego otoczenia prowadzą w głosowaniu na forum; nikt mi nie wmówi, że to przypadek.

Na ulicy, przy której mieszka Daniel, nie ma ani jednego wolnego miejsca. Dostrzegam za to jego auto służbowe. To znaczy, że na pewno dotarł do domu. Zostawiam samochód na ulicy, podbiegam do drzwi i zaczynam dzwonić.

Nie otwiera. Minutę później dzwonię do wszystkich mieszkańców klatki schodowej. Zaraz ktoś nas wpuszcza.

Rzucam się schodami na górę, nie zważając na to, czy Vogelbusch za mną nadażę. Dzwonię do drzwi mieszkania Daniela, walę w nie pięściami i krzyczę. Przyciskam ucho i nasłuchuję. Nic się nie dzieje.

– Otwieraj! – wrzeszczę, jakby to mogło cokolwiek zmienić i naprawić wszystko, co się wydarzyło.

Vogelbusch pokonuje ostatnie stopnie i zatrzymuje się obok mnie.

– I co? Pusto? – pyta głupkowato, a ja mam ochotę zrzucić go ze schodów. W pewnej chwili piętro wyżej ktoś otwiera drzwi i wygląda na klatkę schodową.

– Co się tu dzieje?

Daję Vogelbuschowi znak, że ma tam iść.

– Trzeba porozmawiać z sąsiadami. Może to coś przyniesie. Ja nie dam rady, jestem zbyt...

– ...zdeenerwowana. Wiem, widzę. Trudno byłoby to przeoczyć – mruczy i rusza na górę.

Technicy kryminalistyki pojawiają się trzy minuty później. Odsuwam się od drzwi, które sprawdzają pod kątem sforsowania, po czym je

wyłamują.

Resztkami sił powstrzymuję się, żeby nie wparować tam zaraz za nimi. Oczyma wyobraźni widzę eleganckie mieszkanie zdemolowane śladami walki i ociekające krwią. Zwłoki...

Nie. Niemożliwe. To by oznaczało koniec zabawy, a ta rozgrywka ma jeszcze trwać. Trajan sam mi to napisał. Miałam usiąść wygodnie i oglądać finał. Tyle że kiedy to czytałam, nie przyszło mi do głowy, że chodzi o Toma i Daniela.

– Pusto – woła jeden z techników. – Nic nie wskazuje na włamanie i napad.

Przez otwarte drzwi obserwuję, jak zabezpieczają odciski palców i nie mogę powstrzymać uśmiechu na myśl o minie Daniela, kiedy zobaczy ślady proszku daktyloskopijnego na wszystkich meblach i ścianach. Jednocześnie muszę walczyć z uśmiechem i ze łzami.

Nie mam pojęcia, kto w tej chwili prowadzi w głosowaniu, lecz domyślam się, że to cały czas urzędnik. Ale nieważne, czy to on, czy Tom, i nieważne, kto na końcu zginie: to wszystko moja wina. To, co się dzieje i co się stanie, to skutek mojej samowoli. Mojej próby przechytrzenia Trajana.

Muszę wyznać wszystko Arendt.

Tyle że jeszcze nie teraz. Wiem, że z miejsca by mnie zawiesiła, a wtedy znalazłabym się w jeszcze gorszej sytuacji, bezradna i odcięta od informacji.

Siadam na schodach i ukrywam twarz w dłoniach.

– ...rzuciło się coś w oczy? Coś nietypowego? – słyszę pytania Vogelbuscha. Rozmawia z sąsiadami z kolejnego mieszkania. Nie rozumiem odpowiedzi, ale z jej tonu domyślam się, że nie wnosi niczego nowego. Tak jak od początku tej sprawy. Nikt nic nie widział, nikt niczego nie słyszał ani niczego nie zauważył.

Trajan wie, co robi. Trajan, żołnierz Legii Cudzoziemskiej. Jak nazwał go Blackjack, czyli Jens Vogt? Zwierzak. Bestia.

Dlaczego bestia? Dlatego, że wiedział, jaki jest niehumaniczny? Czy może to nawiązanie do jego wyglądu? Facet na nagraniu

z monitoringu kawiarni internetowej nie miał w sobie niczego szczególnego. Niczego, co pozwalałoby go nazwać bestią czy choćby zwierzęciem.

Dwadzieścia minut później Vogelbusch wraca i siada obok mnie.

– W tej chwili tylko troje sąsiadów jest na miejscu i nikt nie zauważył niczego podejrzanego ani choćby niepokojącego. Jedna z kobiet widziała wczoraj Daniela, jak parkuje i idzie do siebie. Twierdzi, że to było wpół do ósmej i że był sam.

– Okej – mówię i wstaję z wysiłkiem. Mam wrażenie, że zamiast krwi moimi żyłami płynie ołów. – Wracajmy do firmy. Potem wyślemy kogoś, żeby rozpytał w pozostałych mieszkaniach, jak wszyscy wrócą.

Vogelbusch potakuje i nic nie mówi. Musiał zauważyć, jak bardzo mnie to poruszyło. Nie protestuję, kiedy siada za kierownicą. Dzięki temu mogę zamknąć oczy i przez całą drogę myślę. Myślę intensywnie. W kółko te same wskazówki, bez żadnych wniosków i bez sukcesów. Jestem coraz bardziej zrozpaczona.

Kiedy dojeżdżamy pod komendę, nie czekam, aż zaparkuje. Wyskakuję z auta i wbiegam schodami na nasze piętro, tak szybko, że brakuje mi tchu.

Dopiero ogromne rozczarowanie na widok pustego biura uświadamia mi mimowolną nadzieję, że to wszystko okaże się pomyłką i że Daniel tymczasem przyjechał do pracy. Dyszę jeszcze po biegu, kiedy do pomieszczenia wchodzi Arendt.

– Rozpoczęliśmy poszukiwania kolegi Buchholza. Zaraz mam spotkanie z ministrem kraju związkowego. Jeśli pojawią się jakiegolwiek nowe informacje, proszę mnie bezzwłocznie informować.

W innej sytuacji cieszyłabym się, że tak naturalnie traktuje mnie jako zastępstwo Daniela, kiedy nie ma go na miejscu. Teraz to dodatkowy wyrzut obciążający moje sumienie i brzmię, z którym muszę się mierzyć.



Szefowa czeka na moją odpowiedź. Potakuję tylko, bo i tak nie potrafię wydobyć z siebie głosu.

Na forum nie dzieje się nic nowego. Daniel prowadzi w głosowaniu i tutaj nic już się nie zmienia. Użytkownicy, którzy jeszcze nie mają dość krwi i śmierci, wyrażają swoje zadowolenie tym wyborem.

Kiedy ktoś na co dzień idzie po trupach, powinien dla odmiany zobaczyć, jak to jest być trupem – podsumowuje jeden z użytkowników, za co otrzymuje całą masę pochwał.

Na Leylę nie czekają żadne nowe wiadomości. Nie napisał do mnie ani Marcel, ani Trajan. Kładę dłonie na klawiaturze. Kusi mnie, żeby samej napisać do Trajana i błagać, żeby dał spokój i oszczędził Daniela. Jego jedyne przewinienie polega na tym, że miał pecha trafić na współpracowniczkę, która nie trzyma się reguł.

Nie, w ten sposób mu nie pomogę. Jedyne, co osiągnę, to sprawię Trajanowi więcej radości.

Nie wytrzymam dłużej za biurkiem. W zasadzie to nigdzie nie znajdę dla siebie miejsca, ale ruch jest zawsze lepszy. Zrywam się z krzesła, wybiegam na korytarz i prawie wpadam na Christopha Janninga.

– Nina, rany boskie! Wyglądasz okropnie! – woła i nie czekając na odpowiedź, ciągnie mnie do kuchni. Zamyka za nami drzwi i zmusza mnie, żebym usiadła.

Mimo że on dalej stoi, mamy twarze prawie na tej samej wysokości.

– Żadnego znaku życia od Daniela, tak?

Potakuję i milczę. Mam łzy w oczach i wiem, że już niedługo będę umiała je powstrzymywać. Wystarczy jedno słowo, a popłyną po moich policzkach.

– Uruchomiliśmy wszystkie procedury i wprawiliśmy w ruch całą policyjną machinę – mówi Christoph i nalewa mi szklankę wody. – Więc spokojnie, bo mamy duże szanse, że go odnajdziemy.

Chciałabym w to wierzyć, ale wiem lepiej. On zresztą też. Odbieram szklankę. Dłonie drżą mi tak bardzo, że rozlewam i już

przy pierwszym łyku zaczynam się krztusić. Nie mogę zaczerpnąć powietrza i przestaję panować nad emocjami. Christoph klepie mnie po plecach, a potem bierze w ramiona, jakbym była małym, smutnym dzieckiem. I jak dziecku daje mi się wyplakać na swoim ramieniu.

– To moja wina – wyznaję w końcu nie swoim głosem.

– Oczywiście, że nie.

– Nie, naprawdę. Prowokowałam Trajana. I teraz on się mści. Jeśli Daniel zginie, to przeze mnie.

Christoph chwyta mnie mocno za ramiona, ale nie na tyle mocno, żeby sprawić mi ból.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale Daniel żyje. I nie da się tak łatwo zabić. Możesz mi wierzyć.

– Ale dał się porwać. Tak po prostu. A teraz...

Drzwi otwierają się gwałtownie i do kuchni zagląda Vogelbusch.

– Tutaj jesteście! Słuchajcie, właśnie wpłynęło zgłoszenie. Nad Łabą znaleziono faceta odpowiadającego rysopisowi. I... ma nawet ten sam tatuaż. Granat z siedmioma płomieniami.

Zrywam się z miejsca, rękawem wycieram łzy z twarzy i patrzę na Vogelbuscha.

– Nad Łabą? Gdzie konkretnie? I co to znaczy, że go znaleziono?

– Gość ledwie uszedł z życiem. Dopadło go czterech mężczyzn. Niewiele brakowało, a zatłukliby go na śmierć. Uciekli dopiero, kiedy jakiś przechodzień wezwał policję.

Rzucam się do drzwi.

– Który szpital?

– Uniwersytecki. Mam jechać...

Nie czekam, aż dokończy pytanie, bo nie, nie chcę, żeby mnie tam zawoził. Christoph dogania mnie przy parkingu, ma w dłoni kluczyki. Okazuje się niesamowitym kierowcą. Mimo dużego ruchu niecałe piętnaście minut później jesteśmy w Eppendorfie, przed izbą przyjęć oddziału ratunkowego.

To, że w ogóle pozwalają nam zobaczyć nowego pacjenta, zawdzięczamy talentowi dyplomatycznemu Christopa i jego znajomości z jednym z lekarzy, który akurat pełni dyżur. W niebieskich fartuchach jednorazowych, z maseczkami na twarzach i w ochraniaczach na buty możemy wejść do pomieszczenia, w którym lekarze zajmują się ciężko rannym legionistą. Mężczyzna ma opuchniętą twarz, częściowo przykrytą maską tlenową i trudno go rozpoznać. Mimo długiej rany na przedramieniu, tatuaż z płomieniami jest bardzo wyraźny.

– Złamane żebro przebiło płuco, które się zapadło – tłumaczy jeden z lekarzy. Mówi cicho, jakby nie chciał rozpraszać reszty personelu. – Poza wstrząsem mózgu pacjent nie odniósł poważnych uszkodzeń tej części ciała. Ma pękniętą wątrobę i prawdopodobnie również odbite nerki. – Nachyla się w moją stronę. – To naprawdę on? Trajan? Czy to możliwe?

Przyglądam się ofierze pobicia unieruchomionej na stole zabiegowym i nie jestem w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi.

– To całkiem możliwe – mówię w końcu i staram się powstrzymać wzbierającą we mnie nadzieję. Jeszcze za wcześnie, żeby świętować. Może się okazać, że jedyną winą tego człowieka jest wcześniejsza służba w Legii Cudzoziemskiej i podobieństwo do innego weterana, którego pewnie nawet nie zna.

Lecz jeśli to rzeczywiście jest Trajan... to już po wszystkim. Wystarczy, żebyśmy znaleźli Toma i Daniela, bo żadnego finału nie będzie.

Ullbrecht – przychodzi mi do głowy. Jego ludzie muszą być naprawdę dobrzy w swoim fachu. Udało im się znaleźć sposób, by zidentyfikować i dopaść człowieka z portretu pamięciowego. Zgaduję, że za pomocą sporej sumy pieniędzy i może też jakichś nielegalnych metod przekonał innego byłego legionistę, by zapomniał na kilka minut o kodeksie honorowym i wyspał towarzysza broni. Wykrzyczał mi w słuchawkę, że nie jest skazany na naszą pomoc.

Idę za Christophem. Wychodzimy na dwór, wsiadamy do samochodu i wracamy do komendy. Wcześniej muszę go przekonać, że nie chcę wracać do domu.

W biurze od razu siadam przed komputerem. Sprawdzam forum, ale Trajan nie publikuje żadnych informacji. Głosowanie się nie kończy. Nie ma zapowiedzi kolejnego show.

Nic się nie dzieje. Za to po południu, krótko przed szesnastą dzwoni doktor Diewald.

Skończył analizę DNA mężczyzna znalezionej nad Łabą. Próbki zgadzają się z próbkami spod paznokci Sandry Ullbrecht.

## 39

Muszę zachować spokój. Zacząć logicznie myśleć i skupić się na zachowaniu spokoju. Nie wolno mi wpadać w panikę. Przede wszystkim muszę odrzucić obrazy, które wciąż widzę oczyma wyobraźni. Przypominam sobie zakrwawionego prawnika. Utopionego lekarza. Rozerwaną granatem młodą dziewczynę... wszyscy zwyciężyli w głosowaniu na stronie forum. A teraz ja jestem na pierwszym miejscu. Wszystko we mnie buntuje się przeciwko tej myśli.

Cały czas zastanawiam się, co się dzieje z Tomem. Kiedy poprzedniego wieczoru sprawdzałem stan głosowania na forum, zajmował drugie miejsce. Zaraz za mną.

Naraz przypominam sobie mężczyznę z psem, który załatwiał się w ogródkach sąsiadów. On również zajmował drugą pozycję. Wtedy Trajan porwał osoby z dwóch pierwszych miejsc, żeby mieć pewność, niezależnie od tego, który z nich wygra. I zrobił to jeszcze przed końcem głosowania. I to jest logiczne: porywanie zwycięzcy, kiedy już wiadomo, kto nim został, może być problematyczne czasowo. Nie umiem za to wyjaśnić sobie, dlaczego nie postąpił tak w przypadku adwokata i Sandry Ullbrecht.

Roztrząsanie tego teraz prowadzi donikąd. Koniec z krwawymi obrazami i koniec ze spekulacjami. Muszę postarać się zgromadzić jak najwięcej informacji o pomieszczeniu, w którym się znajduję. Nie wiem jeszcze, czy mi się to do czegokolwiek przyda, ale z całą pewnością nie zaszkodzi. A nie mogę siedzieć beczynnie. Nie potrafię siedzieć z założonymi rękoma i czekać w tym brudzie na wyrok. Z workiem na głowie robię pierwszy ostrożny krok przed siebie. Słyszę skrzypienie kamyczków pod podeszwami i wyobrażam sobie, jak musi wyglądać warstwa brudu na podłodze. Żwir, pył,

pewnie też odchody jakichś zwierząt. Same zarazki. Wszędzie bakterie. Na pewno pełno tu myszy i szczurów...

Zatrzymuję się i walczę z obrzydzeniem, które wywołała we mnie myśl o tych gryzoniach. W mojej głowie rozlega się niespodziewanie głos matki, która histerycznie krzyżąc, wyjaśnia, jak łatwo złapać jakąś straszną chorobę, jeśli nie dba się o czystość. Kręcę głową i zadaję sobie pytanie, czy ja już tracę rozum – żeby w takiej sytuacji myśleć o brudzie? I o bakteriach? I o matce...

Kolejny krok. Drugi. Liczę je. Trzy, cztery, pięć...

Przy dwunastym docieram do przeciwległej ściany. Tym razem dotykam jej czubkiem buta. Dwanaście ostrożnych, małych kroczków. To siedem, może osiem metrów.

Dobrze, teraz w inną stronę. Obracam się, aż ramieniem dotykam ściany i ruszam przed siebie, cały czas utrzymując kontakt z murem. Idzie mi dość szybko i już po kilku krokach natrafiam na przeszkodę. Odwracam się plecami do ściany i zaczynam iść. Jeden, dwa... jakiś dźwięk sprawia, że nieruchomieję. Umęczony chrobot przypominający stare, nieużywane zawiasy... ale jest głuchy, jakbym miał zatyczki w uszach.

– Proszę, wypuście mnie.

Ten głos – bez wątpienia męski – również brzmi, jakby docierał do mnie przez jakąś przeszkodę. Mimo to serce zaczyna bić mi szybciej. Domyślam się, kto to może być. Znow rozlega się umęczony jęk zawiasów, głuchy trzask i zapada cisza.

Stoję nieruchomo jak słup soli. Odwracam jedynie głowę, mając nadzieję, że uda mi się wychwycić jeszcze jakikolwiek dźwięk w otaczającej mnie ciemności. Na próżno. Cisza.

Jeśli się nie pomyliłem, dźwięki, które słyszałem, docierały z pomieszczenia obok. To by oznaczało, że oddzielająca je ściana jest albo cienka jak papier, albo znajduje się w niej jakiś otwór.

– Halo? – wołam ostrożnie. – Słyszysz mnie pan?

Mija kilka sekund, zanim pada odpowiedź.

– Tak... kim pan jest? I gdzie pan jest?

Z trudem rozumiem słowa.

– Nazywam się Daniel Buchholz, jestem policjantem. Tom, prawda? Może pan mówić nieco głośniej?

Znów muszę czekać na odpowiedź.

– Tak, Tom. Skąd pan wie?

– Pracuję z Niną. Niną Salomon. Jak się pan czuje?

Mam wrażenie, że nie chce mi odpowiedzieć.

– Tom?

– Jestem... tylko... tylko to głupie pytanie, wie pan? Zostałem porwany i uwięziony. Ale dlaczego pan... – przerwa. – O Boże... urzędnik! Pan jest tym urzędnikiem, który idzie po trupach?

– Tak, obawiam się, że to ja – potwierdzam i staram się nie myśleć o ucisku w żołądku.

– O kurwa... jeśli nawet policja nie jest bezpieczna... a Nina próbowała mnie ostrzec...

– Wiem.

– Tylko że ja nie chciałem jej słuchać. Byłem na nią wściekły. Skąd wiedziała, że ja jestem tym artystą na liście, a nie domyśliła się, że pan...no...

– Też nie potrafię tego wyjaśnić.

Tom mówi dalej, ale jego głos brzmi już inaczej. Jest jakby bliżej. Jakby przywarł do cienkiej ściany, która oddziela nasze pomieszczenia.

– Jeden z nas umrze, prawda?

O tak, na to niestety wygląda, ciśnie mi się na usta. Przesuwam się szybko wzdłuż ściany, aż znajduję miejsce, gdzie słyszę go najwyraźniej. Ale Tom może być spokojny, bo wszystko wskazuje na to, że to ja zajmuję pierwsze miejsce.

– Nie ma jeszcze powodu do paniki – odpowiadam, żeby go uspokoić. – Cała policja w mieście robi wszystko, żeby nas znaleźć. To naprawdę sporo doświadczonych śledczych.

– Tych samych, którzy dotychczas prowadzili dochodzenie?

Chcę powiedzieć mu coś do słuchu i wyjaśnić, że mógłby sobie oszczędzić takich prowokacyjnych komentarzy. I że nie ma pojęcia, jak trudno prowadzić dochodzenie w tej konkretnej sprawie, ale... ale w zasadzie rozumiem jego irytację.

– Wie pan, gdzie jesteśmy? – słyszę jego głuchy głos. – Mam worek na głowie i nic nie widzę.

– Nie, ja też mam zasłonięte oczy.

– Dlaczego jesteśmy tu obaj? Nie rozumiem tego. Przecież pan... to znaczy urzędnik był przez cały czas na pierwszym miejscu.

– Myślę, że Trajan z wyprzedzeniem uprowadził obu prowadzących, żeby móc natychmiast po zakończeniu głosowania rozpocząć swój chory show.

– Ma pan na myśli, że będzie chciał jednego z nas szybko zabić?

Oddycham głęboko i skupiam się, żeby panować nad głosem.

– Poczekamy, zobaczymy.

Przez chwilę żaden z nas nic nie mówi. Opieram się o ścianę w miejscu, w którym stoję, i osuwam na podłogę. Na szczęście szybko udaje mi się odgonić myśl o brudzie, którego dotykam.

– Ona chciała m... ec...

Tom mówi tak cicho, że niczego nie rozumiem.

– Słucham? Musi pan mówić nieco głośniej.

– Ona chciała mnie ostrzec – powtarza. – Nina, znaczy się. Zaproponowała mi ochronę. A ja odrzuciłem jej propozycję. Z głupiej, urażonej próżności i dlatego, że chciałem, żeby miała wyrzuty sumienia za to, że tak się wobec mnie zachowała.

– Wiem, słyszałem.

– Sporo pan wie. Pewnie też to, jak się zbłąźniłem, wydzwanając do niej, kiedy się nie odzywała?

– Nie – odpowiadam i tym razem nie muszę kłamać. – Do momentu pojawienia się ostatniej listy kandydatów nie miałem pojęcia o pana istnieniu. Nigdy nie rozmawialiśmy o waszych prywatnych sprawach. Ale teraz myślę, że jej pan nie docenia. Nina



naprawdę strasznie się o pana martwiła, kiedy zobaczyła opisy na liście.

– Tak, teraz wiem. Ale jej zależy na pracy w policji, a nie na mnie jako mężczyźnie. Nieważne zresztą. Ma pan rację. Nina ostrzegła mnie wielokrotnie i rzeczywiście brzmiała przy tym zupełnie szczerze. Chyba naprawdę się martwiła.

– Ma pan jakieś podejrzenia, gdzie jesteśmy? – pytam powtórnie, głównie po to, żeby zmienić temat, bo niezbyt wierzę, żeby mógł cokolwiek wiedzieć.

– Nie, żadnych.

– Gdzie został pan uprowadzony? I kiedy? Od razu po spotkaniu w kawiarni internetowej? Właściwie to po co się pan z nim spotykał?

Przez dłuższą chwilę panuje cisza. Tom nie odpowiada, a ja domyślam się, że jest zaskoczony, skąd wiemy o tamtym spotkaniu.

– Tak, zaraz potem. Udawał, że jest zainteresowany moimi obrazami, i zwabił mnie, bo opowiadał, że chciałby zorganizować mi wystawę.

– A potem?

– Wszedł przede mną. Ja chciałem zostać i wypić jeszcze jedną kawę. A kiedy wróciłem do domu, on już tam był. Zaszedł mnie od tyłu i uspił jakimś świństwem. Nie mam pojęcia, jak długo byłem nieprzytomny. Po przebudzeniu leżałem na jakimś dziwnym wózku. Stamtąd zwlókł mnie tutaj, do tego pokoju. Nic więcej nie wiem. A pan?

– W moim przypadku było bardzo podobnie.

Oczywiście wyobraźni widzę tatuaż Trajana. Legia Cudzoziemska. Weterani tej formacji są świetnie wyszkolonymi żołnierzami, więc nic dziwnego, że ich ofiary nie mają praktycznie żadnych szans w konfrontacji. I że dotychczas nie udało nam się wpaść na jego trop.

Ale teraz dysponujemy zdjęciem. Fotografia w połączeniu z bardzo charakterystycznym tatuażem powinna popchnąć śledztwo i zaprowadzić policję na jego trop. I to możliwie szybko.

Nie mam pojęcia, która jest godzina, ale wiem, że dotychczas wszystkie głosowania trwały równo trzydzieści sześć godzin. To oznacza, że nie zostało nam zbyt wiele czasu.

A ja wyraźnie prowadziłem.

# 40

Nikt nie dał nam znać, czy weteran Legii Cudzoziemskiej może z nami rozmawiać, czy nie, ale i tak ryzykujemy i jedziemy z Christophem do szpitala.

Mamy go, powtarzam sobie w myślach. Próbki DNA się zgadzają. To on. Mamy go. Mimo to niepokój mnie nie opuszcza. I obawiam się, że nie opuści, dopóki nie odnajdziemy Daniela i Toma i nie zyskamy pewności, że są bezpieczni. Jeśli uda mi się porozmawiać z byłym żołnierzem, może zyskam jakieś nowe wiadomości. A bez odpowiedzi na przynajmniej jedno pytanie nie ruszę się ze szpitala na krok.

Mężczyzna leży w strzeżonej przez policję jednoosobowej sali. Przed wejściem czeka na nas wysoki lekarz z dziwacznymi kosmykami włosów nad uszami.

– Pacjent odzyskał przytomność, a jego życiu nic nie zagraża – wyjaśnia nam. – To niesamowicie mocny i odporny człowiek, a obrażenia wewnętrzne okazały się na szczęście znacznie mniej poważne, niż z początku podejrzewaliśmy.

Uśmiecham się niewinnie, na tyle, na ile jestem w stanie.

– Możemy wejść i zamienić z nim kilka słów? – Staram się brzmieć jak zaniepokojona krewna, a nie gotowa na wszystko policjantka.

Lekarz mierzy nas niepewnym wzrokiem znad podkładki z dokumentami.

– Sam nie wiem...

– Bardzo proszę! Cały czas poszukujemy dwóch osób, którym grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Mamy coraz mniej czasu i ryzykujemy, że możemy ich nie znaleźć.

– Pięć minut. – Wskazuje głową na drzwi. – Będę tu czekał. Proszę pilnować, żeby się nie denerwował ani nie przeciążał.

Nic chyba nie jest mi tak serdecznie obojętne, jak samopoczucie tego człowieka, ale potakuję posłusznie i udaję, że będę spokojna, a potem razem z Christophem wchodzimy do sali. Czekam, aż zamkną się za nami drzwi, po czym stoję przy łóżku i spoglądam na leżącego w nim mężczyznę.

– Witaj, Trajan.

Unosi wzrok i patrzy na mnie bez emocji. Prawe oko ma tak opuchnięte, że niewiele przez nie widzi, a skóra nad kością policzkową pękła mu od uderzenia. Do piersi ma podpięty gruby na palec wężyk, którego drugi koniec sięga do pojemnika z przejrzystym płynem, przymocowanego do brzegu łóżka.

Nasze pojawienie się nie robi na nim żadnego wrażenia. Nie drga mu żaden mięsień twarzy, a wykres pracy serca i ciśnienia na monitorze nad wezgłowiem łóżka nie wykazuje najmniejszych zmian.

W karcie pacjenta zawieszanej w nogach łóżka lekarze nie wypełnili rubryki z imieniem i nazwiskiem. Wygląda na to, że nikt nie wie, jak Trajan ma na imię.

– Pański lekarz twierdzi, że może pan mówić – zaczynam. – Zróbmy sobie przysługę i skróćmy to wszystko do minimum: dokąd zabrał pan Toma Tilsena i Daniela Buchholza?

Nic w jego zachowaniu nie zdradza, żeby w ogóle mnie usłyszał. Przysuwam sobie krzesło i siadam. Chwytam go za dłoń. Nie protestuje. Za to Christoph robi się nerwowy, kiedy to widzi. Słyszę, że przestępuje z nogi na nogę i pokasłuje.

Nachylam się do Trajana, do jego pofarbowanego jodyną ucha.

– To między nami są osobiste porachunki – szepczę. – Prawda? Chciałam cię przechytryć, a ty odpłaciłeś mi pięknym za nadobne. Gratki. Ale teraz zmieniamy zasady i układ sił. Pomożesz sobie, jeśli będziesz współpracował. Gdzie są Tom i Daniel?

Po raz pierwszy widzę jakąkolwiek reakcję na moje słowa, bo mam wrażenie, że zadrżały mięśnie jego twarzy. Wstrzymuję oddech, żeby nie opuścić żadnego słowa, gdyby coś powiedział. Ale nic nie mówi. Jedynie opuszcza delikatnie lewy kącik ust.

W przeciwieństwie do jego pulsu, mój szaleje. Serce wali mi jak dzikie, czuję jego pulsowanie w głowie i w gardle. I czuję, że robię się coraz bardziej zła i zniecierpliwiona.

– Słuchaj, ja wyciągam do ciebie dłoń, to chyba rozumiesz, co? – mówię nieco głośniejszym głosem, niż zamierzałam. – Ale musisz ją schwycić, jeśli mam ci pomóc. I tak jest już po wszystkim.

Jego głowa obraca się delikatnie w moją stronę. Szare oczy bez śladu emocji wytrzymują moje spojrzenie. W końcu jego usta zaczynają się ruszać i układają w słowa:

– A kto tak twierdzi?

W jego głosie słyszę nutkę rozbawienia.

Odruchowo zaciskam palce, a on odpowiada tym samym, tyle że z siłą, przez którą prawie krzyczę z bólu. Rozluźnia ucisk dopiero na widok mojej reakcji.

Uwalniam palce z jego dłoni.

– Czyli że co, jeszcze nie jest po wszystkim?

Odwraca głowę tak, żeby na mnie nie patrzeć. Potem zamyka oczy. Jeśli chce dać mi w ten sposób do zrozumienia, że skończył rozmawiać i liczy, że dam mu spokój, to chyba na głowę upadł.

– Gdzie są Tom i Daniel? – Mimowolnie sięgam po pojemnik połączony węzłem z jego klatką piersiową. W następnej chwili czuję na ramieniu dłoń Christoph'a.

– Daj spokój, Nina.

Cofam ramię.

– Gdzie są Tom i Daniel? – powtarzam znacznie głośniejszym głosem. – Mów, skurwysynu jeden! Nie rozumiesz, że przegrałeś? Jeśli nie powiesz...

– Wystarczy – mówi Christoph zdecydowanie. – Wyjdź, proszę, ja zajmę się resztą.

– Ale...

– Nie ma ale. Nie ma dyskusji. Wychodzisz i albo ochłoniesz, albo wszystko zepsujesz. Zrób to dla siebie, Toma i Daniela.

Spokój i serdeczność, które słyszę w jego słowach mimo zdecydowanego tonu, sprawiają, że wstaję i wychodzę na korytarz. Ma rację, ja tylko pogarszam sytuację. O ile to w ogóle możliwe.

„Kto tak twierdzi?” Trzy słowa, które odbijają się echem w mojej głowie. Czy to możliwe, że Trajan przygotował wszystko zawczasu i uruchomił procedurę, żeby finał odbył się nawet bez jego udziału? Technicznie jest to wykonalne – nikt przecież nie wie, jaki sposób stracenia zwycięzcy wybrał w tej rundzie.

Krótkie spojrzenie na ekran komórki i wiem już, że jest wpół do szóstej. W wiadomościach odnajduję oświadczenie prasowe, które Arendt niedawno upubliczniła. Komunały, które słyhać za każdym razem, kiedy policja uważa, że złapała sprawcę, jednak nie posiada dowodów, by takie twierdzenie podeprzeć.

Arendt ogłosiła, że dokonano zatrzymania związanego ze sprawą forum „Morituri”, że poszlaki są bardzo silne, jednak jak dotąd nie można ujawnić tożsamości domniemanego sprawcy i tak dalej. Mimo ostrożnego tonu w komunikacie dla mediów da się wyczuć radość i ulgę.

Na końcu korytarza stoi automat z kawą. Wracam właśnie z kubeczkim cappuccino, kiedy z sali legionisty wychodzi Christoph. Jest bledszy niż poprzednio. W milczeniu podchodzi do stolika w kącie dla gości i tam siada.

Zajmuję miejsce obok niego i podaję mu kubeczek. Sięga po niego bez słowa i upija łyk.

– Mam złe przeczucia – mówi w końcu. – Ten człowiek ma jeszcze asa w rękawie. Nie odezwał się do mnie ani słowem, ale sposób, w jaki milczał... ta jego obojętność... wiesz, o czym mówię? – Upija kolejny łyk. – Dopiero teraz zacząłem się poważnie bać o Daniela.

Christoph ma za sobą jakieś szkolenia psychologiczne, więc jeśli on tak to widzi, to optymizm jest zdecydowanie nie na miejscu.

A odpowiedź na wszystkie pytania, klucz do ratunku moich przyjaciół, znajduje się niecałe dziesięć metrów ode mnie. To człowiek podłączony do aparatury medycznej. Pod wpływem

środków farmakologicznych, ale dość sprawny i przytomny, żeby bawić się naszą bezradnością.

– Zostań tu. – Christoph chwytą mnie za nadgarstek. Nawet nie zauważyłam, że zerwałam się z miejsca.

– Nie mogę – szepczę. – Nie mogę siedzieć tutaj spokojnie i trzymać się zasad, kiedy mamy coraz mniej czasu. Jeśli Trajan mówi prawdę i rzeczywiście jeszcze nie wszystko skończone, to mamy trzy godziny do zakończenia głosowania. Sto osiemdziesiąt minut. Gdyby ten śmieć zaczął współpracować, wystarczyłoby nam czasu, żeby znaleźć Daniela.

Christoph przytrzymuje mnie jeszcze mocniej, a brodą wskazuje dyskretnie na wejście na korytarz. W naszą stronę sunie delegacja grupy operacyjnej „Morituri”. Arendt, Pia, Greg Payne i Jason Moore. Ku mojemu zaskoczeniu widok Amerykanów budzi we mnie nadzieję. Znacznie częściej mają do czynienia ze sprawcami kalibru Trajana, więc może będą wiedzieli, jak rozmawiać z zatrzymanym, żeby przekonać go do współpracy.

Do nas dołącza Pia, a pozostali znikają w pokoju zatrzymanego.

– Kamień spadł mi z serca. – Pia siada na krześle obok i wzdycha głęboko. – Straszne, że zatrzymanie zawdzięczamy jakiejś grupce chuliganów, ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, to i tak mieliśmy szczęście, prawda? – Spogląda na mnie i na Christopha, jakby chciała sprawdzić, czy się z nią zgadzamy. Nie znajduje takiego potwierdzenia, więc przestaje się uśmiechać.

– Co się z wami dzieje? Przecież już po wszystkim, teraz wystarczy znaleźć Daniela. Arendt poruszyła niebo i ziemię, żeby tak się stało. Jej zdaniem znajdziemy ich jeszcze dzisiaj w nocy.

Christoph wypija ostatni łyk kawy z kubeczka, wstaje i wyrzuca plastikowe naczynko do kosza na śmieci. Potem splata dłonie na plecach i podchodzi do okna. Spogląda na zasłonięte chmurami niebo.

Mijają kolejne minuty. Pia ma coraz większe problemy z tolerowaniem mojego towarzystwa. Wraz z mijającym czasem

przybliża się koniec głosowania, a ja siedzę tutaj i nic nie robię, tylko czekam. Z trudem panuję nad nerwami.

Daniel jest cały czas na prowadzeniu i Tom mu nie zagrozi. A to oznacza jedno – Tom przeżyje, a Daniel umrze. Zastanawiam się, czy taka świadomość przynosi mi ulgę, ale nie. Wypełnia mnie straszna wściekłość. Sporo wysiłku kosztuje mnie każdy oddech, który nabieram z dala od łóżka Trajana, kiedy nie próbuję wytrząść z niego siłą odpowiedzi na moje pytania.

W końcu Arendt z Amerykanami wracają na korytarz. Zrywam się z krzesła.

– No i? Co powiedział?

Payne spogląda na mnie z kamienną twarzą.

– Nic. Ale nie spodziewaliśmy się, żeby zaczął mówić. To żołnierz i do tego...

– Co to znaczy, że nic nie powiedział? – przerywam mu wzburzona. – Myślałam, że jesteście specjalnie przeszkoleni, jak rozmawiać z takimi twardzielami. Nie chwaliliście się tym przypadkiem?

Payne robi odpychającą minę.

– Czy pani coś sugeruje?

– Nie miałam na myśli waterboardingu – wyrzucam z siebie podminowana. – Więc spokojnie. Raczej chodziło mi o jakieś psychologiczne sztuczki, żeby wyciągnąć z niego informacje. – Kątem oka widzę, jak Arendt z rezygnacją kręci głową, jakby nie wiedziała, co się dzieje. W następnej chwili dopadam drzwi do sali i otwieram je gwałtownie. Czuję, że muszę coś zrobić, muszę go przebłagać albo zaszantażować, nieważne...

Czuję na sobie uchwyt kilku dłoni. Payne trzyma mnie za prawe ramię, a lekarz za lewe.

– Lepiej będzie, jeśli już pani pójdzie – mówi.

Uwalniam się.

– Najpierw muszę z nim porozmawiać.



– Nie – decyduje Arendt. Lodowato. Z naciskiem. – Proszę wyjść ze szpitala, Salomon, i jechać od domu. Nie jest pani w stanie wypełniać swoich obowiązków. Do pracy proszę wrócić za dwa dni.

I kto tu nie potrafi wypełniać obowiązków? – chcę na nią nawrzeszczyć. W ostatniej chwili zmuszam się do słabego uśmiechu.

– Najpierw muszę na chwilę zajrzeć na komendę.

Niechętnie wyraża zgodę.

– Janning panią zawiezie.

Wychodząc ze szpitala, spoglądam na duży zegar w poczekalni. Niedawno minęła szósta. Mamy już tylko dwie godziny z minutami.

# VI

Zawsze miał specjalne nastawienie do policji i już w pierwszych projektach planu utworzenia forum „Morituri” wyznaczał im do odegrania całkiem sporą rolę, z którą i tak będą musieli się zmierzyć.

Chce być blisko nich. Obrońców i pocieszycieli. Nie tylko wyobrażać sobie, jak dają plamę, ale widzieć to z bardzo bliska. Rozkoszować się ich bezradnością. Karmić ich frustracją. A na koniec delektować ich strachem.

Pierwszym, bardzo przyjemnym krokiem prowadzącym do drzwi, których się nie spodziewał, był dostęp do mejli inspektor Arendt. Jak się okazało, były to prawdziwe drzwi. Dosłownie.

Świetnie było wiedzieć, że Magdalena Arendt regularnie kupuje przez internet środki na przeczyszczenie. Ma słabość do takich drobiazgów, bardzo osobistych tajemnic. O tych, którzy na niego polują, wie znacznie więcej niż oni o nim. W tym zna sporo intymnych szczegółów.

Policjant, który zagra w wielkim finale, jest o krok od tego, żeby rzucić swoją maskę. Jak dotąd trzyma się całkiem nieźle, nie krzyczy szaleńczo jak wcześniej lekarz, tylko siedzi na podłodze albo chodzi od ściany do ściany. A przecież musi się bać. Tym bardziej że przecież wie, jak jego koledzy i koleżanki mają daleko do rozwiązania tej sprawy. Jest znacznie lepszym wyborem, by zakończyć tę grę, niż ofiara, którą wcześniej wybrał.

Ale i tak ofiara pozostanie ofiarą. Tyle że w znacznie gorszy sposób. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Wszystko jest już przygotowane. Wie, że musi uważać i że jego radość może być przedwczesna, więc powinien zachować ostrożność. To ostatni akt. Zaraz to ogłosi. Ale to oczywiście nie oznacza zakończenia zabawy. Bo mają polecieć głowy. Od

najwyższych do najniższych poziomów. Zaraz po tym, jak podaruje swój prezent pożegnalny i zniknie.

Może wtedy zazna spokoju.

# 41

Siedzę na podłodze z nogami podciągniętymi pod brodę. Po kilku próbach udaje mi się tak przechylić głowę, żeby między workiem a moim nosem powstało kilka centymetrów przerwy. Dzięki temu mogę w miarę swobodnie oddychać, nie dmuchając sobie w twarz zużyтым powietrzem.

W pewnym momencie rozmowa z Tomem naturalnie się urwała, a ja myślę cały czas o tym samym. Nina, Trajan... śmierć. To nie pierwszy raz, kiedy zajmuje mnie umieranie. Jeżdżąc na niebezpieczne akcje, często zastanawiałem się, co się może zdarzyć. Ale jeszcze nigdy sytuacja nie zmusiła mnie do tak konkretnych rozważań.

Ciekawe, jak wygląda w tej chwili stan głosowania? Czy w ogóle jeszcze można oddawać głosy? Całkowicie straciłem poczucie czasu, bo nie potrafię nawet w przybliżeniu oszacować, jak długo byłem nieprzytomny.

Czy moi ludzie zdają sobie sprawę z tego, że zostałem porwany? Pewnie tak. Nina na pewno próbowała się ze mną skontaktować, kiedy nie pojawiłem się rano w biurze. Jestem pewien, że szybko skojarzyła, w jaki sposób moje zniknięcie łączy się z głosowaniem na forum i postacią wzorowego urzędnika. Wiem, że poruszy niebo i ziemię i skorzysta ze wszystkich sposobów, legalnych i nielegalnych, ale... no właśnie. Co to da? Gdzie mieliby mnie szukać?

– Tom? – Przez dłuższą chwilę nie otrzymuję odpowiedzi i zaczynam się martwić, że Trajan już go zabrał. Wtedy z pomieszczenia obok dociera głucho:

– Tak?

– Wiesz, która może być godzina?

– Nie, nie mam pojęcia. Jak długo trwają głosowania na tym forum?

– Trzydzieści sześć godzin. Więc jeśli Trajan znów nie zmienił zasad, nasze zakończy się w czwartek wieczorem.

– Czyli jeszcze na pewno nie ma czwartku wieczorem, bo inaczej jeden z nas by stąd zniknął.

Ma rację.

– Boisz się? Czy jako policjant odczuwasz strach?

– Tak.

– Ja też. Panicznie się boję. I nic nie rozumiem. Dlaczego on to robi? Nigdy go nie spotkałem i nic mu nie zrobiłem. Dlaczego miałby któregoś z nas zabijać?

– Nie wiem i nie potrafię tego wytłumaczyć – kręcę głową.

– Ale z drugiej strony, on nikogo nie zabija. To ci chorzy zboczeńcy w wygodnych domach i przed komputerami. To oni wybierają ofiary i decydują, kto ma żyć, a kto umrzeć. Anonimowi i tchórzliwi.

– Nie, to nie oni zabijają. On morduje.

– Nieprawda. Gdyby nie głosowali, nie byłoby zwycięzcy i Trajan nie musiałby nikogo zabijać.

Rozumiem tok myślenia Toma, jednak takie postawienie sprawy byłoby zbyt proste i nie obejmowałoby całości sytuacji. Gdyby Trajan nie stworzył tego forum i nie publikował list do głosowania, nikt by nie wpadł na to, żeby wybierać ofiary i skazywać je na śmierć.

– Wiesz, czego jeszcze nie rozumiem? – Tom znów mówi cichszym głosem.

– Nie, czego? I mów proszę głośniej, bo nic nie słyszę.

– Ciebie.

– Mnie? – Zaskoczony unoszę głowę i momentalnie czuję materiał worka na nosie. – Jak to? W jakim sensie?

– Z tego, co mówiłeś, wynika, że lubisz Ninę, prawda?

– Tak – przyznaję po chwili zastanowienia, choć muszę szybko dodać wyjaśnienie, które łagodzi moje słowa: – W końcu to moja

partnerka.

– W takim razie dlaczego pozwoliłeś jej chodzić na te wszystkie spotkania samej? No bo wiesz, nie mogłeś przecież wiedzieć, czy któryś z tych gości, z którymi się umawiała, nie jest Trajanem. To było przecież kurewsko niebezpieczne. Ja bym pewnie nie wytrzymał, gdybym wcześniej o wszystkim wiedział i musiał siedzieć beczynnym w domu.

Nie mam bladego pojęcia, o czym mówi.

– Spotkania? O jakie spotkania ci chodzi?

– Te z użytkownikami forum. Żeby coś z nich wyciągnąć.

Czyżby Nina spotykała się w tajemnicy z użytkownikami „Morituri”? Czy to znaczy, że nawet po tym, jak dowiedziałem się o jej sekretnej wymianie wiadomości z Trajanem, dalej mnie okłamywała?

– Nie... zaraz... czyli ty nic o tym nie wiedziałeś? To się nie mieści w głowie. Serio ani słowem ci o tym nie wspomniała? To normalne u was w policji? Wszyscy tak się zachowujecie?

Sam właśnie zadaję sobie to pytanie. I nie umiem znaleźć na nie odpowiedzi.

– Ups. Wygląda na to, że Nina nieszczególnie sobie ceni szczerość i prawdomówność, co?

Mimo ścian utrudniających porozumiewanie się, w głosie Toma słyszę zgorzknienie. I doskonale go rozumiem.

– Myślę, że łapała się wszelkich możliwych sposobów, byle tylko popchnąć śledztwo naprzód. Właśnie to sprawia, że jest taką dobrą policjantką.

– Tak, wszystko można sobie jakoś wytłumaczyć.

Znowu ma rację. Dopiero po dłuższej chwili poszukiwania możliwie przekonujących uzasadnień dla postępowania Niny zauważam, że Tom się nie odzywa.

– Gdzie i kiedy się poznaliście?

Mija trochę czasu, zanim mi odpowiada.

– W barze. – Śmieje się smutno. – Brzmi jak klasyczny banał. Oboje byliśmy tam sami. Szukała tego samego co ja. Tak mi się

wtedy wydawało. Tamtego wieczoru i nocy. Ale potem szybko się okazało, że ona potrzebowała kogoś, po kogo mogłaby zadzwonić, kiedy przyjdzie jej ochota. I ignorować go przez resztę czasu.

Zastanawiam się przez chwilę nad jego słowami i dochodzę do wniosku, że postępowanie Niny dawało podstawy do takich wniosków. Oczywiście jeśli się jej nie znało.

Mimowolnie się śmieję, choć nie jest mi wesoło. Co ja sobie wmawiam? Że niby znam Ninę Salomon na tyle dobrze, by trafniej ją ocenić niż człowiek, z którym spędzała najintymniejszy czas we dwójkę?

A jednak... moja znajomość charakterów ludzkich i umiejętność ich oceny nie mogła aż tak zawieść! I jakie to ma znaczenie, że nie wspomniała mi o jednym czy dwóch spotkaniach? Jeśli wyjdę stąd żywy, będziemy mogli sobie wszystko wyjaśnić. Bo jeszcze jest szansa, że znajdą mnie niedługo uśpionego gdzieś na brzegu Łaby.

To by jednak oznaczało, że Tom...

Podskakuję prawie, bo w pomieszczeniu obok rozlega się skrzypienie. Potem na chwilę zapada cisza, którą w końcu przerywa jęczenie i odgłosy, jakby ktoś wierzgał nogami i uderzał piętami o posadzkę.

– Tom? – krzyczę, lecz w odpowiedzi słyszę jedynie przytłumione rżenie, odgłos uderzeń i szuranie, jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego po ziemi. Zaraz potem skrzypienie zawiasów, trzaśnięcie drzwiami i ponownie zapada cisza.

Stękając z wysiłku, wstaję z podłogi i przywieram do ściany, za którą musi być Tom.

– Co się dzieje? – krzyczę. Wiem jednak, że nie otrzymam już odpowiedzi, bo domyślam się, co się właśnie wydarzyło w pomieszczeniu obok. Trajan. Ponownie uśpił Toma i gdzieś go wywłókł.

To znaczy, że musiała minąć dziewiąta wieczorem w czwartek. Głosowanie dobiegło końca i wynik jest ustalony. Wiadomo, kto zwyciężył.

Najważniejsze pytanie, które nie daje mi spokoju i przez które uginają się pode mną kolana, brzmi: czy Trajan zabrał Toma, by umieścić go przed kamerą i na żywo transmitować jego egzekucję w sieci?

Czy może żeby porzucić go gdzieś w ustronnym miejscu?

I wrócić potem.

Po mnie.



## 42

Przez całą drogę do komendy nie mówię ani słowa. Christoph próbuje zagaić jakąś rozmowę, jednak w ogóle go nie słucham. Byłam u źródła, stałam obok człowieka, który zna odpowiedź na moje najbardziej palące pytania, ale nie pozwolono mi dokończyć.

W takim razie muszę znaleźć inny sposób.

Jak dotąd nie mamy pewności, kim jest osoba podająca się za Trajana. Zgoda, wpadł w nasze ręce, jeśli tak można powiedzieć, ale nie potrafimy go zidentyfikować. On sam nie zamierza nam pomagać i się przedstawić.

Za dwa, trzy dni poznamy jego tożsamość, ale to zbyt długo. Daniel nie ma tyle czasu. Jeśli finał rzeczywiście jest tak zorganizowany, że odbędzie się niezależnie od wszystkiego.

Był jednak ktoś, kto wiedział, kim jest Trajan. Jens Vogt. I ta wiedza kosztowała go życie, bo nie potrafił trzymać języka za zębami. Paplał na prawo i lewo i rzucał aluzjami. Niestety, tylko aluzjami.

Po wejściu do biura natychmiast sprawdzam wyniki głosowania. Daniel na pierwszym miejscu, Tom zaraz za nim. Tak jak przypuszczałam. I nic się już nie zmieni.

Potem odszukuję notatki, które zrobiłam po rozmowie z Marcelem. To, co zapamiętałam z tego, co on zapamiętał z rozmowy na forum. Niewiele, ale lepsze niż nic.

„V. kpił z Trajana, naśmiewał się i przezywał go. Parówa, zwierzak, bydlę, bestia. Trajan miał sam siebie tak postrzegać. Dawniej tak robił”.

A potem wybrał sobie imię rzymskiego cesarza i został Trajanem. Nie pierwszego lepszego cesarza, tylko jednego z największych władców, który doprowadził do rozkwitu Rzymu. A on swoją areną

uczynił Hamburg. Nie daje ludziom chleba, ale igrzyska na pewno tak.

O tym wszystkim rozmawialiśmy już niejednokrotnie w większym gronie. Megalomania, kompleks wyższości, pragnienie władzy.

Staram się połączyć jakoś to wszystko, co wiemy, z człowiekiem, przy którego łóżku stałam pół godziny wcześniej. I nie czuję, żeby to było możliwe. Nie pasuje mi to, tym bardziej że w zasadzie w ogóle się do mnie nie odzywał. Jest jednak ciężko pobity. Kto wie, jaką aurę roztaczał wokół siebie, kiedy był w pełni sił.

Określenie *Bestia* też nijak mi do niego nie pasuje. Jest wysoki i umięśniony, okej, ale nie na tyle, żeby rzucał się w oczy. Może chodziło raczej o jego zwierzęce zachowania? Okrucieństwo?

Uruchamiam normalną przeglądarkę i ładuję wyszukiwarkę Google. Po chwili zastanowienia wpisuję Trajan, bestia, wielki. Wstrzymuję powietrze i klikam wyszukaj.

Opis pierwszego linka brzmi 666 – *liczba cesarza Trajana?* Kolejny sugeruje, że Trajan jest bestią z liczbą 666. W obu artykułach znajdują się odniesienia do Apokalipsy Świętego Jana. Jeden z historyków dowodzi, że bestia, smok, który w Apokalipsie ma symbolizować Szatana, to w rzeczywistości cesarz Trajan.

Przeglądam tekst dość pobieżnie, bo ani historyczne, ani biblijne szczegóły niewiele mi pomagają. Zaczyna mi jednak świtać, dlaczego ktoś, kto czyni miasto swoją areną, czy raczej miejscem kaźni, nadaje sobie imię Trajan. To odpowiada jego mniemaniu o sobie. Vogt miał rację, on sam się tak postrzega. I już wcześniej tak było.

Zwracam uwagę na jeszcze jeden szczegół, a konkretniej na słowa Johansena, który rzucił, że od Trajana do Troi nie jest szczególnie daleko.

Wpisuję szybko w Google: *trojan 666*.

Jak porażona wpatruję się w niekończącą się listę wyników. 666 to trojan, czyli złośliwe oprogramowanie wykradające dane dostępowe użytkowników banków internetowych. I to nie tylko osób prywatnych,

ale też firm i instytucji. Przez cztery ostatnie lata wyrządzono za jego pomocą szkody wyceniane na co najmniej trzydzieści milionów dolarów.

Trzydzieści milionów. Czy ta kasa w całości trafiła do Trajana? Facet musi spać na pieniądzach, więc po co mu igranie z ludzkim życiem?

Zbliża się wpół do ósmej. Na korytarzach sporo ludzi. Poszukiwania Toma i Daniela trwają, nikt nie zwalnia, ale nastroje nie są już takie ponure. Panuje odprężenie. Tylko Vogelbusch wpada do mnie, by podzielić się swoim przeczuciem. Jego zdaniem zatrzymany i pilnowany w szpitalu legionista to zbyt łatwe rozwiązanie.

W pełni się z nim zgadzam. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie podzielić się swoim odkryciem, ale uznaję, że na razie lepiej milczeć. Nikt nie wie, kto napisał trojana 666. Nam też nie uda się tego ustalić przez najbliższe półtorej godziny, więc lepiej, żeby zespół skupił się na wykorzystaniu tradycyjnych metod śledczych. A ja będę siedziała i czekała na dziewiątą wieczorem, by znów zmienić się ze śledczej w bezradnego widza.

Dostaję bolesnego skurczu na samą myśl, że mogę zostać zmuszona do oglądania Daniela w równie upokarzającej sytuacji jak Sandrę Ullbrecht. Przyciskam dłonie do żołądka, nabieram głęboko powietrza i staram się zapanować nad nerwami. Tym bardziej że to wszystko moja wina. Cokolwiek się stanie, obciążę to moje sumienie.

I nagle pojawia się pragnienie tak silne, że przyćmiewa wszystkie inne. Chcę się usprawiedliwić, wyjaśnić, oczyścić – a przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, która mogłaby mi wybaczyć.

Mam jej numer w komórce, choć nie wiem, czy wciąż jest aktualny. Po kilku sygnałach zaczynam się bać, że nikt nie odbierze, lecz potem słyszę znajomy głos.

– Sophie Verhagen.

Przetykam ciężko ślinę.

– Cześć. Tu Nina. Nina Salomon.

Odpowiada mi milczenie. Dopiero po dłuższej chwili rozlega się krótkie westchnienie.

– Och.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego do ciebie dzwonię. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, ale chciałam cię usłyszeć i zapytać, co u ciebie.

Nic nie mówi, więc powtarzam ostatnie pytanie.

– Co u ciebie?

Głębokie westchnienie.

– Wszystko okej.

– Poza tym – zbieram się na odwagę. – Poza tym chciałam cię przeprosić. Za to, że wtedy niczego nie zrobiłam. Jest mi potwornie źle, bo mam poczucie, że cię wtedy zawiodłam. – Płaczę i rozumiem, że te łzy są nie tylko dla niej, ale też dla Sandry Ullbrecht, Valenta i przede wszystkim dla Daniela i Toma. – Chciałam, żebyś to wiedziała, i że cały czas możesz iść z tym na policję. Obiecuję, że będę cię wspierała i cię nie zostawię. Przysięgam...

– Daj mi spokój – przerywa mi. – To było dawno temu. I to nie twoja wina. Ale już nigdy do mnie nie dzwoń, dobrze? Nie życzę sobie. Nie chcę mieć z tobą żadnego kontaktu.

Potem rozłącza się, nie czekając na moją reakcję. Siedzę jak skamieniała i czuję się gorzej niż przed telefonem, choć nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. Jakie to typowe, wyrzuca mi głos w głowie. Jak zwykle ubzdurzałaś sobie, że komuś pomożesz, a tak naprawdę chodziło ci tylko o siebie, egoistko. Chciałaś pozbyć się wyrzutów sumienia!

Wstaję, wychodzę i idę do łazienki. Obmywam twarz lodowatą wodą, aż przestaję cokolwiek czuć. Przyglądam się swemu odbiciu w lustrze. Nienawidzę siebie. Z całego serca się nienawidzę.

Ostatnią godzinę do zakończenia głosowania spędzam na rozpaczliwych poszukiwaniach w internecie. Czy były jakieś

podejrzenia, kto stał za trojanem 666? Czy w jakichś rozmowach padały nazwiska albo nazwy instytucji? Cokolwiek?

Za pięć dziesiątą przerywam. Dołącza do mnie Christoph. Przysuwa sobie krzesło Daniela, za co mam ochotę na niego nawrzeszczyć. Zupełnie jakby to miejsce było wolne, jakby Daniel miał go już nie potrzebować...

Punktualnie o dziesiątej wieczorem kończy się głosowanie. Zwycięża urzędnik. Artysta jest na drugim miejscu. Na ekranie pojawia się komunikat od Trajana.

*Dokonałście wyboru.*

*Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem.*

Jednak tym razem podświetlone zostaje nie tylko pierwsze, ale i drugie miejsce.

– Coś tu jest nie tak... – mówi Christoph z przejęciem.

Milczę. Nie jestem w stanie logicznie myśleć i nie wiem, co jest gorsze: że zaraz zobaczę Toma, czy że zobaczę Daniela?

Pojawia się okno transmisji wideo. Przez chwilę nie wiem, co dokładnie widzę, lecz kiedy zaczynam rozumieć, serce omal mi pęka. Trajan życzył mi miłego oglądania finału. Uznałam, że to cynizm, ale dopiero teraz rozumiem, co miał na myśli.

To finał, który przygotował specjalnie dla mnie. I jest znacznie straszniejszy, niż się obawiałam.

# 43

Myślę gorączkowo, kiedy został wypuszczony mężczyzna od psa, ale nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak się nazywał. Znaleziony został następnego dnia rano. Tak, na pewno. Tuż przed rozpoczęciem konferencji prasowej policji, w czasie której ten żaloszny dziennikarzyna zaskoczył mnie swoją wiedzą. Tylko jak długo ten staruszek leżał spętany, zanim go znaleziono? Za żadne skarby sobie tego nie przypomnę.

No dobrze, w takim razie podejźmy do sprawy logicznie. Logicznie... od czego zacząć?

Tom. I pytanie, czy Trajan zabrał go z pomieszczenia obok, żeby go wypuścić, czy może jednak został zwycięzcą głosowania.

Czy znajduje się teraz przed kamerą, która przekazuje jego obraz do internetu? A może już nie żyje...

Może też gdzieś leżeć. Już na wolności. Ale... nie. Zacznijmy inaczej: dlaczego Trajan miałby zająć się nim na początku? A nie mną?

Niech to diabli. Jestem strasznie zdenerwowany i nie potrafię ułożyć myśli w logiczny ciąg. Skoncentruj się, Daniel! Weź się w garść i działaj!

Podnoszę się z ziemi, szurając plecami po chropowatej ścianie.

Do rzeczy: głosowanie dobiegło końca. Co robi Trajan? Przede wszystkim zależy mu na tym, żeby użytkownicy forum dostali to, na co liczą. A liczą na show, prawda? Tak, to rozsądne. Osobą, którą zamierza wypuścić, może zająć się później. Jak już będzie po wszystkim. Na nią nie czekają miliony ciekawskich przed komputerami.

Z drugiej strony... urzędnik od samego początku głosowania utrzymywał się na prowadzeniu. W zasadzie nie ma się co dziwić.

Każdy chciałby pozbyć się urzędników. Czy są tacy, których nie spotkało coś niemiłego w urzędach? A teraz ludzie dostali szansę na wyrównanie rachunków. Mają okazję oddać tym leniwym, tępym typkom zza biurka. Dać im nauczkę. To znacznie fajniej niż załatwić jakiegoś nieznanego artystę.

Istnieje zatem bardzo duże prawdopodobieństwo, że na długo przed zakończeniem głosowania urzędnik tak bardzo wysforował się na prowadzenie, że artysta z drugiego miejsca nie mógł mu już zagrozić. Jakie działania Trajan mógłby podjąć przed dziewiątą wieczorem?

– Pozbędzie się faceta z drugiego miejsca, żeby mieć to z głowy. Proste, prawda?

Słyszę swój własny głos. Z przerażeniem łapię się na tym, że gadam do siebie. Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Ale to wszystko przez strach. Nieważne, że jestem policjantem. Mimo swojego zawodu tak samo jak każdy boję się śmierci. I to śmierci na oczach milionów widzów, na dodatek zadanej w jakiś okrutny sposób. Wszystko, żeby zapewnić rozrywkę tym chorym psychopatom.

Zimny pot spływa mi po twarzy. Przy najmniejszym ruchu materiał przywiera do mokrej skóry i potęguje niekomfortowe uczucie. Zginam palce. Nie chcę, żeby ścierpły. Przy kolejnym oddechu zaczynam się krztusić. Zanim udaje mi się uspokoić, przez głowę przebiega mi myśl, że pewnie po raz ostatni w życiu kaszlę. Że wszystko, co teraz robię, dzieje się po raz ostatni. W każdej chwili mogą otworzyć się drzwi do mojej celi. I zostanę wyprowadzony.

Tak pewnie czują się skazańcy czekający na egzekucję. Tyle że oni widzą przynajmniej, co się dookoła dzieje.

Myślam nagle przenoszę się w inne miejsce. Jestem przy Ninie. Po co Tom opowiedział mi o jej spotkaniach z użytkownikami forum? Zrobił to przez przypadek? Czy celowo? Wiedział, że nic mi o tym nie napomknęła? Cieszył się, że może mi dopiec? Może jest o mnie zazdrosny i dlatego chce postawić ją w negatywnym świetle? Albo,

co jest chyba bardziej prawdopodobne, chce mi pokazać, że jemu ufała bardziej niż mnie. Tylko dlaczego miałby uważać, że to ważne, kiedy nie ma pewności, czy sam dożyje jutra?

Mój mózg wykorzystuje skróty i mosty, które pobudowałem, rozmyślając o śmierci. Oczyma wyobraźni znów widzę te obrazy. Jak w jakiejś nowoczesnej wideoinstalacji rozbłyskują na chwilę, znikają i zaraz potem pojawiają się kolejne. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie mogę dostrzec szczegółów. Mimo to rozpoznaję zakrwawionego adwokata i oderwaną dłoń Sandry Ullbrecht.

Dostaję skurczu żołądka i czuję rosnący nacisk na przetyk. O Boże, proszę, nie chcę teraz zwymiotować. Nie z workiem na głowie. Całą twarz umażę sobie wymiocinami, będę je wdychał... Myśl o tym tylko potęguje mdłości. Staram się skupić i walczę z całych sił.

W końcu udaje mi się powstrzymać odruch wymiotny. Przynajmniej na jakiś czas.

Niespodziewany dźwięk sprawia, że podskakuję przestraszony. Brzmi inaczej, inaczej niż to, co słyszałem z pomieszczenia obok, a jednak oznacza to samo: otwierające się drzwi. Potem słyszę chrzęst podeszew na zasypanej pyłem i kamykami posadzce.

– Trajan... zaraz... proszę... – zaczynam nerwowo. Nie mam pojęcia, co powinienem powiedzieć. Kroki cichną. Zatrzymał się.

– Nie wiem, co planujesz, ale... daj mi szansę zrozumieć to wszystko. Czy ktoś cię skrzywdził?

Nie otrzymuję odpowiedzi, ale też nie słyszę kolejnych kroków. Czy Trajan zastanawia się teraz, co powiedzieć? Czy może stoi, karmi się moim strachem i rozkoszuje przewagą?

– Cokolwiek się stało – mówię szybko, zanim znów ruszy w moją stronę – zawsze możesz skończyć z zabijaniem. Jeśli odejdziesz, nie będę cię gonił. Możesz odejść i nikt ci w tym nie przeszkodzi.

Przez chwilę panuje cisza, a potem kilka rzeczy dzieje się bardzo szybko. Kroki. Szarpnięcie za worek na mojej głowie. Chusteczka



przyciśnięta do moich ust. Obrzydliwy, słodkawy zapach. Zawroty głowy. Ciemność.

# 44

Trajan nie tylko porwał obu mężczyzn, ale na dodatek obu postanowił nam pokazać. Stoją wyprostowani, z nagimi torsami, przywiązani za ręce do stalowej belki nad głowami. Tom po lewej stronie, a pięć metrów od niego w prawo Daniel. Kilka kroków przed nimi widać zamontowaną na postumencie broń – strzelbę wycelowaną w środek dzielącej ich przestrzeni.

Broń widać też z innej perspektywy, bo obraz na ekranie jest podzielony. W mniejszym okienku widać wszystko jakby znad lufy, a obie postaci są lekko rozmazane po bokach. Na pierwszym planie wyświetlone jest duże czerwone zero.

Zaczynam podejrzewać, co Trajan sobie wymyślił i jak zaplanował ten ostatni akt, jeszcze zanim poniżej okna z transmisją pojawia się wyjaśnienie po niemiecku i angielsku.

*Ostatnia runda należy w całości do Was. Wy podejmiecie decyzję i Wy pociągniecie za spust. Poruszacie bronią, oddając głos. Strzał padnie w chwili, gdy lufa wychyli się o dwadzieścia stopni w stronę któregoś z kandydatów.*

*Każdy z was ma jeden głos. Od was zależy, ile to potrwa. Od was zależy, kto umrze, a kto przeżyje.*

W następnej chwili pojawiają się dwa przyciski. Jeden jest opatrzony podpisem *malarz*, a drugi *policjant*. Niemal natychmiast broń zaczyna się poruszać. Lufa wędruje w stronę Daniela.

On również to widzi. W przeciwieństwie do Toma, który nie jest w stanie utrzymać głowy i wisi przywiązany za ręce, Daniel jest spokojny i opanowany. Wraz z ruchem strzelby jego ciałem wstrząsa dreszcz. Spojrzeniem szuka kamery. Znajduje ją.

– To nie jest żadna piwnica, raczej stara hala, może magazyn – zaczyna. – Wygląda jak nieczynna hala produkcyjna, po lewej

stronie stoi chyba taśma transportowa.

Z początku jego głos jest zachrypnięty, ale teraz słyszę go czysto i wyraźnie.

– Nie wiem, w jakiej części miasta jesteście. Nie widziałem też Trajana.

Broń znów przesuwa się w jego stronę. Jeśli można wierzyć wygenerowanej komputerowo cyfrze nad lufą, to jest już wychylona o cztery stopnie. Widzę, że Daniel przesuwa wzrokiem między kamerą, bronią i trzecim punktem. W to samo miejsce spogląda Tom.

Co to może być? Powiększam obraz. Ciemny kształt, równe krawędzie... to tył monitora. Trajan chciał, żeby obaj mogli na żywo śledzić głosowanie. W ten sposób oglądają swoją sytuację, jakby patrzyli na siebie w lustrze.

– Dzwońcie do szpitala – wołam obcym głosem. – Ten legionista musi nam zdradzić, gdzie jest hala, bo opis Daniela to za mało. I niech wyśpiewa, kto tam jeszcze jest. Sami się przecież nie związali i nie powiesili na tej belce. Gdyby on to zrobił, to by znaczyło, że stoją tam od rana, ale to niemożliwe, bo tyle by nie wytrzymali.

Ratuję się, uciekając w logiczne myślenie i procedury. Dobrze mi to robi, daje poczucie choćby częściowej kontroli nad sytuacją. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze zdołam sama siebie okłamywać i zwodzić, bo lufa strzelby pokonuje kolejny milimetr w stronę Daniela.

Daniel zamyka na chwilę oczy. Zaraz je otwiera i spogląda prosto w obiektyw.

– Posłuchajcie mnie, proszę – mówi. – Możecie temu zapobiec. Możecie to przerwać. Dacie radę utrzymać broń w równowadze, bez celowania w żadnego z nas. Wystarczy że będziecie odpowiednio głosować. Albo w ogóle przestaniecie oddawać głosy. Nikt dziś nie musi umierać.

– To prawda – wtóruje mu Tom. Brzmi, jakby zaraz miał zacząć płakać. – Nikt nie musi umierać. Jeśli nie będziecie nic robili...

Jakby w odpowiedzi na jego apel broń znów zaczyna się poruszać, jednak po raz pierwszy wędruje z powrotem w stronę środka. Mimo to Tom jak szalony szarpie kajdankami, jakby zaraz miał się znaleźć w polu rażenia. Łańcuszek kajdanków jest tak przewleczony między wzmocnieniami stalowej belki, że nie da się go przesunąć. Żaden nie zdoła uciec z linii strzału, kiedy przyjdzie co do czego.

Ledwie rejestruję, że w pewnej chwili otwierają się drzwi i do biura wpada Marc, a zaraz za nim Vogelbusch. Christoph rozmawia przez telefon z lekarzem, który jakby na złość nam, nie pozwala nikogo wpuszczać do pobitego pacjenta. A tylko on zna odpowiedzi na nasze pytania.

– Jadę tam – krzyczy Marc i wybiega na korytarz. Teraz on przejmie rozmowę z człowiekiem, który, jak się okazuje, prawdopodobnie jednak nie jest Trajanem. Weteran Legii Cudzoziemskiej jest moim zdaniem jego najemnikiem, świetnie opłacanym, bo jak przypuszczam, Trajan dysponuje przecież trzydziestoma milionami dolarów, które ukradł za pomocą trojana 666.

– Znajdą nas – mówi Daniel do Toma. Cicho i uspokajająco. – Zobaczysz, że poruszą niebo i ziemię. Znasz przecież Ninę. Mogę się założyć, że stawia właśnie Hamburg na głowie, żeby nas uratować.

Jego wiara we mnie sprawia, że czuję kluchę w gardle. Nie, Nina nie stawia niczego i nikogo na głowie. Nina siedzi jak sparaliżowana przed monitorem i nie wie, co robić. A najgorsze, że zaraz zaleje się łzami, bo lufa przesuwana się o milimetr w stronę Daniela.

Odruchowo sięgam do klawiatury i zaczynam nowy wątek, choć widzę, że jest już kilka o takiej samej treści.

*Nie głosujcie! – piszę. To nie jest wybór między życiem i śmiercią, tylko między śmiercią i śmiercią!*

W ciągu kilku sekund zasypują mnie odpowiedzi. Wiele osób zgadza się ze mną, ale równie wielu nie.

*Nie pieprz, to jest glina! Trzeba być debilem, żeby nie wykorzystać takiej okazji!*

Wyrazy poparcia dla takiego podejścia.

*A to nie jeden z tych psów, które szukały Trajana? Pewnie teraz żałuje, że się bardziej nie przykładał!*

Lufa przesuwa się w prawo. Czerwona cyfra pokazuje 10, a więc połowę wychylenia, po którym padnie strzał.

Widzę twarz Daniela. Widzę strach w jego oczach i rozumiem, ile wysiłku kosztuje go zachowanie spokoju.

– Przestańcie, proszę – mówi do obiektywu. – Przestańcie głośować. Nie róbcie tego ani mnie, ani sobie.

Tom przyznaje mu rację. Jest znacznie głośniejszy i wyraźnie spanikowany.

– Błagam, nie głośujcie już! O Boże... przecież nic wam nie zrobiliśmy! Dlaczego...

– Cicho! – Daniel przekręca głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale też to słyszę. Ciche i trudne do zdefiniowania warczenie.

– Nie jestem pewien – mówi, zwracając się prosto do kamery, jakby szukał mojego spojrzenia. – Ale moim zdaniem to samolot. Możliwe, że jesteśmy gdzieś w osi pasa startowego lotniska. Zapiszcie dokładny czas. I sprawdźcie loty.

# 45

Nie mogę uspokoić rozszalałych myśli, od kiedy tylko odzyskałem przytomność i dotarło do mnie, w jakiej sytuacji się obaj znaleźliśmy.

Trajan zmienił sposób działania. Samo głosowanie było tylko półfinałem, a po wyłonieniu finałowej pary przygotował konkurencję, która w sposób jednoznaczny i bardzo widowiskowy wskaże zwycięzcę. Jak się okazuje, również teraz artysta cieszy się większą sympatią tłumu niż urzędnik. Policjant.

Mój apel do widzów w pierwszej chwili przyniósł jakiś efekt, jednak tylko na chwilę zaburzył widoczną od początku tendencję. Lufa znów wędruje w moim kierunku. Na moje oko przebyła już połowę drogi, na końcu której czeka wystrzał.

Niski pomruk, być może silników samolotowych, obudził we mnie nadzieję. Irracjonalną nadzieję. Istnieje maleńka szansa, że Nina i pozostali dzięki tej wskazówce odnajdą miejsce, gdzie jesteśmy uwięzieni, zanim szaleńcy przed komputerami za bardzo wychyłą broń. Ale to niemożliwe.

Przy dużej dozie szczęścia wylot podwójnej lufy zatrzyma się jeszcze na jakiś czas w miejscu, ale przecież ludzie zaczną się nudzić. I przestanie im zależeć na równowadze. Wrócą do głosowania i postarają się, żeby broń przekroczyła punkt krytyczny – po mojej albo Toma stronie.

Nie mogę oderwać wzroku od strzelby. Wciąż jest mocno wychylona w moją stronę. Za każdym razem, kiedy sterujący nią silniczek budzi się do życia i przesuwa ją o milimetr w prawo albo w lewo, serce zaczyna mi walić jak szalone. Tak mocno, że w całym ciele czuję jego bicie.

– Posłuchajcie mnie wszyscy, którzy teraz na nas patrzycie – zwracam się w stronę kamery. Mam ogromne problemy

z kontrolowaniem głosu, żeby nie drżał i się nie załamywał. Nie chcę brzmieć słabo ani bojaźliwie, tylko rzeczowo i logicznie. Jeśli ci psychopaci pomyślą, że błagam o życie, będą czuli pokusę, by zrobić mi na złość.

– Pomyślcie, proszę, co właśnie robicie. Próbujecie zabić człowieka. Tak, oddając głos, bierzecie udział w morderstwie i nie będziecie mogli się z tego wykręcić, tłumacząc, że przecież to nie wy pociągnęliście za spust. To wy strzelicie. Każdy i każda z was. Jeśli przestaniecie oddawać głosy, broń przestanie się poruszać i nikogo nie spotka krzywda. Jednak klikając na któryś z przycisków, aktywnie bierzecie w tym udział. To zupełnie tak, jakbyście brali broń do ręki i celowali w nas. Trajan dał wam narzędzia i wszystko zorganizował, ale to tyle. Teraz to wy działacie. To wy chcecie zabijać. A ja proszę, byście posłuchali swoich sumień i przestali.

Spoglądam na Toma.

– To było dobre – szepce.

– Powiedziałem tylko prawdę – odpowiadam. Wtedy znów rozlega się znajome brzęczenie silniczka pod strzelbą. Moje słowa przyniosły efekt, ale nie taki, jakiego się spodziewałem i na jaki liczyłem. Lufa powędrowała jeszcze kawałek w moją stronę i zatrzymała się w miejscu niebezpiecznie bliskim punktu, którego nie powinna przekroczyć. Jest pod takim kątem, że mogę zajrzeć w oba czarne wyloty.

Śrut, myślę odruchowo. Trajan wykorzystał dubeltówkę załadowaną śrutem, żeby mieć pewność. I żeby zwycięzca nie mógł się uchylić. Zgaduję, że wybrał śrut bardzo dużego kalibru, by osiągnąć jak najbardziej krwawy efekt. Zależy mu na widowiskowości. A drugi z nas, ten, który przeżyje, będzie musiał oglądać to z bardzo bliska.

– Trajan – mówię, patrząc prosto w obiektyw. – Wiem, że siedzisz gdzieś w pobliżu i nie możesz się nacieszyć tym, co zrobiłeś. Pewnie jesteś cholernie z siebie zadowolony, że udało ci się zmanipulować tak wielką grupę ludzi i zmienić ich w morderców. Tak, idą za tobą

jak posłuszne owieczki i nawet przez myśl im nie przechodzi, że ich wykorzystasz. Mają złudne wrażenie kontroli. Ale prawda jest inna. To żalosne tchórze chowające się za anonimowością internetu.

Ostatnie słowa są jak pogardliwe splunięcie. Z trudem powstrzymuję złość.

– Obiecuję ci, że cię dopadniemy. Może nie od razu. Ale w końcu spotka cię kara. Mam wielką nadzieję, że dopadniemy cię całego i zdrowego, żebyś całą resztę życia mógł spędzić za kratami i każdego dnia rozmyślać, że dla ciebie nic już się nie zmieni. Do samego końca. Że już nigdy nie postawisz nogi poza murami więzienia. Dlatego, Trajan, już teraz życzę ci dużo zdrowia i stu lat...

Silniczek pod strzelbą ożywa i lufa zaczyna się przesuwać. Ponownie w moją stronę. Pokonuje prawie centymetr. To by było na tyle, jeśli chodzi o efekt mojej przemowy. Silniczek nie milknie, a broń nie przestaje się obracać. To już teraz. W każdej chwili może paść strzał. Wstrzymuję oddech i przygryzam dolną wargę, aż czuję słodki smak krwi. Zaczynam się trząść, jakby było mi zimno. Nie, nie chcę umierać. Krzyczę jednak tylko w duchu, a na zewnątrz zachowuję ciszę. Nie będę skamlał o litość. Nie będę się użalał. Nie zrobię tej uprzejmości ani Trajanowi, ani psychologom przed ekranami.

Nagle nastaje cisza. Spokój. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, co się stało.

Broń znieruchomiła. Lufa jest niebezpiecznie mocno wychylona w moją stronę, ale jeszcze nie padł strzał. Niespodziewanie opuszczają mnie siły. Nie dam rady. Nie ustoję dłużej. Kolana uginają się pode mną, a kajdanki zatrzaśnięte na nadgarstkach boleśnie wrzynają się w skórę, kiedy całym ciężarem ciała zwisam na wyciągniętych w górę ramionach. Nie wiem, czy cokolwiek mówię, albo wydaję jakiś inny dźwięk. Teraz to już bez znaczenia. Zamykam oczy i opuszczam głowę. Dociera do mnie, że wraz z następnym ruchem broni zginę.

Jest mi zimno. Czuję się samotny jak jeszcze nigdy w życiu. Sam, wystawiony na widok milionów gapiów. Zastanawiam się, jaka



będzie moja ostatnia myśl i stwierdzam, że chyba tracę rozum.

Chciałbym dalej pracować z Niną. Jest co prawda bardzo trudna w...

Nina.

Otwieram oczy, unoszę głowę i staram się znów oprzeć na nogach. Zaskakująco szybko stoję wyprostowany.

Spoglądam w obiektyw. Nie pozostało mi zbyt wiele czasu.

– Nina, nie mam pojęcia, czy to oglądasz, ale mam nadzieję, że tak. I chciałbym ci coś powiedzieć. – Muszę przerwać, uporządkować myśli i dobrać właściwe słowa.

– Wiem, że wszystko, co dotychczas robiłaś i wszystko, co jeszcze zrobisz, służy jednemu tylko celowi: żebyś była świetną policjantką. W czasie naszej współpracy właśnie tak działałaś. I chcę, żebyś wiedziała, że za nic nie ponosisz winy. Ani za to, co teraz, ani za to, co zdarzyło się wcześniej. Wiesz, o czym mówię. Czasem człowiek przygląda się strasznyom rzeczom i nic nie może zrobić... ale to, że nie może nic zrobić, zdejmuje z niego winę. Bo gdyby tylko istniała możliwość działania, na pewno by ją wykorzystał. Ale nie było szans. Ani wtedy, ani teraz.

Oddycham głęboko i myślę intensywnie. Pewnie będzie miała problemy, jeśli inni usłyszą, co jeszcze mam do powiedzenia, ale ja po prostu muszę wyrzucić to z siebie i nie obchodzi mnie, co pomyślą ludzie. Odsuwam od siebie świadomość, że oglądają mnie i słuchają miliony ciekawskich, i skupiam się tylko i wyłącznie na niej.

– Nina! Jesteś cholernie dobrą policjantką. – Udaje mi się nawet uśmiechnąć. – Nawet jeśli nie mówisz mi o wszystkich swoich pomysłach i działaniach. Spotkania z użytkownikami forum... Tom mi powiedział. Dlaczego zataiłaś to przede mną? Naprawdę uważasz mnie za takiego sztywniaka, że nie mogłaś mi nic powiedzieć? Mimo że jestem twoim partnerem? Tak, to na pewno było cholernie niebezpieczne i starałbym się ciebie od tego odwieść, ale... no właśnie. Przecież jesteśmy zespołem! I znam cię już trochę. Wiem, że i tak byś poszła, a jedyna różnica polega na tym, że ja

poszedłbym za tobą, żeby w razie czego interweniować. Każdy dobry partner by się tak zachował.

Niech to cholera. Nie mogę zacząć płakać! Nie dam Trajanowi tej satysfakcji. Skupić się, głęboko oddychać. I pospieszyć. W każdej chwili może być po wszystkim. Jeszcze jedno spojrzenie w obiektyw.

– Jeśli się już nie zobaczymy... powodzenia, Nina.

Silniczek pod strzelbą budzi się do życia.

# 46

– Powodzenia, Nina.

Prawie nic nie widzę przez łyzy, które od kilku minut płyną mi z oczu. Broń rusza w stronę Daniela, jakby ten motłoch przed monitorami chciał sprawdzić, czy świadom rychłego końca będzie dalej przemawiał. Czy może wreszcie się załamać i zacznie błagać?

Wierchem dłoni wycieram oczy i patrzę na ekran. Daniel zamyka oczy i spuszcza głowę. Drży. Spodziewa się strzału.

Tyle że strzelba obraca się w przeciwnym kierunku. Odrobinę. A potem jeszcze tyci.

– W grę wchodzi cztery loty – krzyczy Christoph sprzed drugiego komputera. Od kilku minut rozmawiał z lotniskiem. – Zaraz doślą nam mejlem korytarze, którymi się poruszają.

Teraz jest mi to obojętne, bo i tak mamy za mało czasu. Jedyne, co się liczy, to żeby lufa była jak najbardziej na środku. I żeby przestała się ruszać.

Daniel unosi wzrok. Na jego twarzy nie widzę ulgi, tylko ogromne wyczerpanie. Za to Tom robi się nerwowy. Też spogląda na kamerę i walczy z sobą.

– Chyba też powinienem powiedzieć coś Ninie – zaczyna. Przesuwa nerwowym wzrokiem między obiektywem i strzelbą. – Mogę, Nina? Nie umiem tak pięknie mówić jak on, ale co tam. Nie obiecywałam sobie po mnie wielkiego show. I masz rację, bo nie jestem wojownikiem. – Opuszcza głowę, ale zaraz znów spogląda na strzelbę, która obraca się trochę w stronę Daniela. Współczucie widzów. Żałosne zagranie, ale nie mogę mieć mu tego za złe. Pewnie miał nadzieję, że zaraz będzie po wszystkim i nic mu nie zagrozi.

– Czeka! Zaraz! Co ty zrobiłaś?! – woła Vogelbusch z za moich pleców.

Nie odwracam się. Daniel ma chyba zawroty głowy. Znow nie może ustać na nogach. Kołysze się. Czasem nie pozostaje nam nic innego, jak patrzeć.

Wie, jak strasznie się z tym czuję. Ja za to nie potrafię sobie nawet wyobrazić przerażenia, które go wypełnia.

– Nina! Spotykałaś się z użytkownikami forum, nie informując o tym zespołu?! – naciska Vogelbusch. – Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile zasad i przepisów złamałaś?

Chyba nie zajmuje się tym teraz na poważnie.

– Weź się, kurwa, zamknij.

Od dobrej minuty strzelba jest nieruchoma. Daniel spogląda w obiektyw, jakby oczekiwał z jego strony jakiejś pomocy – a ja nie mogę mu żadnej zaoferować.

Ma rację. Powinam mu była zaufać. Wyobrażam sobie, jaki zawód i rozczarowanie musiał poczuć, kiedy dowiedział się od Toma o moich eskapadach. Świadomość, że nie dość, że okłamałam go w pracy, to jeszcze potem mówiłam o tym w prywatnych...

Sekunda. Czy aby na pewno?

Nie odrywając wzroku od monitora, przypominam sobie trzy wieczory, kiedy spotkałam się z BigBastardem, Manxxo i McQuentinem.

Po pierwszym spotkaniu zadzwoniłam do Toma i poprosiłam go, żeby przyszedł. Po drugim czekał już pod moimi drzwiami. A po trzecim... nic się nie działo.

Po drugim spotkaniu miał pretensje o to, jak się wystroiłam – Tom uważał, że mam za krótką spódniczkę i za mocno pachnę perfumami. Na co ja mu... sprzedałam kłamstwo. Że spotkałam się z kolegą ostatniej ofiary.

Świat wiruje wokół mnie. Nikt poza nimi samymi nie wiedział, że spotykam się z użytkownikami forum. Oni jednak nie mieli jednak pojęcia, kim naprawdę jestem.

Jedyna osoba, która mogłaby mieć wiedzę o tych spotkaniach, to ktoś, kto miał wgląd w wiadomości prywatne przesyłane przez forum i zdawał sobie sprawę, że Leyla i Nina to ta sama osoba. Albo przynajmniej to podejrzewał, od kiedy Leyla nominowała Ninę.

To wskazuje na administratora forum. Czyli na Trajana.

Nie, to bzdura. Myśl, która nie daje mi spokoju, jest kompletnie niedorzeczna. Musiałam niechcący chlapanąć coś w rozmowie z Tomem i stąd wiedział, że coś ukrywałam przed zespołem. Gdybym nie była w takim stanie, pewnie szybko bym sobie przypomniała.

Strzelba przesuwana się w stronę Daniela. Mój partner spina się i odwraca głowę.

– Przestańcie! Dajcie mu spokój! – wrzeszczy Tom. Czyżby chciał pokazać, że jednak jest wojownikiem?

Wojownikiem...

Po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęła się transmisja, skupiam się tylko na nim. Jest mokry od potu i ciężko oddycha. Znam jego ciało. Szczupłe, żylaste, ale nieszczęśliwie wysportowane. Utrzymywanie pozycji z rękoma nad głową musi go mocno nadwyręzać, a jednak wygląda znacznie lepiej niż Daniel. Tyle że mój partner jest pod znacznie większą presją.

Niepostrzeżenie wracają niejasne podejrzenia. I kolejne fragmenty wspomnień. Jeśli mam rację, Trajan musiał być dezorientowany, kiedy zobaczył nominację Niny Salomon. Akurat ją. Chciał wiedzieć, czy mieszka sama, a Leyla odpowiedziała, że kogoś tam ma, ale to nic ważnego. Doskonale to pamiętam.

W moich wiadomościach prywatnych były wszystkie informacje o spotkaniach z użytkownikami. Ich nicki, godziny i miejsca. Dla kogoś, kto znał Ninę Salomon, zajrzenie do lokalu, w którym była Leyla, nie nastęczało wielkich trudności. A ten ktoś zyskiwał wiedzę, czy ona i Nina Salomon to ta sama osoba.

Dla kogoś, kto znał Ninę Salomon, śledzenie jej po pracy nie stanowiło problemu.

Trzęsącymi się palcami otwieram skrzynkę odbiorczą, odszukuję ostatnią wiadomość, którą wysłałam, i czytam ją. Bingo.

Kiedy wracam do transmisji, broń znów przesuwana się w prawo. Osiemnaście stopni przechyłu. W stronę policjanta.

Daniel unosi wzrok. Widzi lufę. Wie, jak niewiele zostało. I po raz pierwszy mam wrażenie, że traci nadzieję.

Patrzy w obiektyw, jakby szukał mojego wzroku.

– Zrób coś dla mnie, Nina – prosi. – Odejdź od komputera. Nie patrz. Nie musisz. Nie chcę.

– Jeśli ci się wydaje, że się odwrócę i zostawię cię samego, to cię popieprzyło – szepczę.

Tom odwraca się w stronę Daniela. Tylko trochę, na tyle, na ile pozwalają mu więzy.

W tym momencie coś zauważam. Nie po raz pierwszy, bo przecież byliśmy kilka razy w łóżku, ale po raz pierwszy widzę to tak, jak powinnam. I już wiem, co to jest.

I nie mam już wątpliwości.

Sięgam do klawiatury. Jestem przerażająco spokojna. Piszę najszybciej, jak potrafię. Słowa płyną naturalnie, bo same układają się w mojej głowie. Jeśli popełniam błąd, zapłacę za niego głową. Ale mam to gdzieś.

Tym bardziej że się nie mylę. Jestem tego pewna.

# 47

Wszystko zostało powiedziane.

Próbowałem wszystkiego i niczego nie osiągnąłem. Chcą, żeby ktoś umarł. Od pierwszego morderstwa tego chcą. Za każdym razem od nowa. I jest ich coraz więcej. Dlatego nie powinienem się dziwić.

Spojrzenie na monitor. Spojrzenie na broń. Nie słyszę buczenia. Nic się nie rusza. A jeśli nawet... i tak nic już nie mogę zrobić.

Nagle coś zaczyna mnie zastanawiać.

Dotychczas Trajan mordował tylko kandydatów z najwyższą liczbą głosów. Bez wyjątku. Ktoś z listy musiał umrzeć. Tym razem jest inaczej. Chcę zacząć krzyczeć do kamery, żeby w końcu coś zrozumieli: „Dzisiaj nikt nie musi umrzeć. Nikt. Chyba że wy uznacie, że jednak musi. Do oddania strzału potrzebnych jest bardzo wiele waszych głosów. I co robicie? Klikacie. Trajan was zachęcił, wzbudził w was pragnienie krwi. I oddał decyzję wam. A wy chcecie jeszcze więcej krwi. Mojej krwi”.

Drzę. Brzęczenie. Silniczek kamery. Ostatnia iskierka nadziei każe mi unieść głowę. Spoglądam nie na broń, tylko na kamerę. Nic nie powiem, ale chcę, żeby widzieli moje oczy, kiedy będą mnie zabijali.

Brzęczenie nie ustaje. Wpatruję się w obiektyw, lecz kątem oka widzę, że lufa dubeltówki porusza się w drugą stronę, ode mnie.

Serce bije mi szybciej. Tym razem nie ze strachu czy złości, tylko... no właśnie. Z ulgi?

Dźwięk pracującego silniczka milknie nagle, a strzelba celuje w środek, prawie dokładnie między mnie i Toma. Czyżby ludzie odzyskali zdrowy rozsądek? Czy się opamiętali? Czy moja przemowa jednak odniosła skutek? Wszystko na to wskazuje... więc jak... silniczek znów się budzi. Dopiero po chwili widzę, w którą stronę przesuwa się broń i nie mogę w to uwierzyć. Lufa jest prawie

na środku... gdyby teraz się zatrzymała, byłoby optymalnie. Jeśli użytkownikom uda się utrzymać ją w tym miejscu...

– Hej! Co się dzieje? – W głosie Toma słychać niedowierzenie i niepewność. W innych okolicznościach byłbym gotów przysiąc, że na jego twarzy pojawia się nieszczęśliwy uśmiech, ale tak naprawdę to chyba jest zaskoczenie.

– Możecie przestać? Proszę? No już, skończcie. Zostawcie to tak, jak jest.

Broń dalej wędruje w jego stronę. Nieskończenie powoli, ale silniczek pracuje bez przerwy. Jest bezlitośnie konsekwentny. Tom podciąga się na kajdankach i szarpie uniesionymi ramionami, czym powoduje głośny, metaliczny hałas.

– Starczy! Co wy wyprawiacie? Ja... ja jestem przecież artystą! Artystą, rozumiecie? Nigdy nikogo nie skrzywdziłem! Maluję obrazy. Chyba nie chcecie... przestańcie!

Wygląda na to, że Tom traci panowanie nad sobą. Nie mam mu tego za złe. Nie mogę przecież. Wiem, jak sam się przed chwilą czułem. Przenoszę wzrok na obiektyw kamery.

– Przestańcie oddawać głosy. Ten psychopata nie ma nad wami władzy, a jego plan nie wypali. Wystarczy, że przestaniecie głosować.

Nie wiem, czy to na skutek mojego apelu, czy może z innego powodu, ale brzęczenie rzeczywiście ustaje. Milczę na wszelki wypadek. Boję się cokolwiek mówić i boję się poruszyć. Patrzę na broń, jakbym najlżejszym bodźcem mógł ją znów obudzić. Tom czuje chyba to samo, bo jest jak skamieniały.

Lufa pokonała połowę drogi między środkiem a nim.

– Chyba się porzygam.

Patrzę na Toma. W końcu prawie udaje mu się uśmiechnąć.

– Dopiero teraz rozumiem, co musiałeś czuć.

Potakuję bez słowa, bo wciąż się boję, że każde nieprzemyślane słowo może sprawić, że broń znów zacznie się ruszać. Myślę



o Ninie. Musi przechodzić przez piekło, jeśli cały czas nas ogląda. A tak naprawdę wiem, że mnie nie posłuchała i widzi, co się dzieje.

Odwracam wzrok od Toma i patrzę w kamerę. Zastanawiam się, czy zmuszanie użytkowników forum do spojrzenia mi w oczy to był dobry pomysł. Mimo wszystko uważam, że taka nagła zmiana nastrojów jest zastanawiająca. Co ją wywołało? Czy to możliwe, że widzowie nagle się opamiętali?

A może jakoś Trajan interweniował? Może zmienił wyniki, żeby podnieść napięcie? Chce być pewien, że nikt nie ruszy się sprzed komputera, dopóki trwa show. I świetnie się bawi, oglądając, co się dzieje. Nie mam wątpliwości. Co miałoby go powstrzymać przed zrobieniem zamieszania? Z pewnością dysponuje narzędziami, które mu to umożliwiają. Wszystkie zasady ustalał on, narzędzia do głosowania również on umieścił na stronie. Na pewno może nimi manipulować według swojego uznania.

Przeszywający ból pleców zmusza mnie do zmiany pozycji. Staram się poruszyć rękoma, ale nie mogę. Są tak ścierpnięte, że w ogóle ich nie czuję.

Brzęczenie. Unoszę szybko wzrok i dostrzegam ruch. Po kilku sekundach znów zapada cisza. Patrzę na Toma. Jego twarz rozświetla ulga.

Nie, to na pewno nie był Trajan. To użytkownicy próbują utrzymać broń w neutralnej pozycji. Zastanawiam się, jak długo dadzą radę. A mój mózg natychmiast podsuwa mi kolejne pytanie, które jest niczym stalowa pięść wbijająca się w mój splot słoneczny.

Jak długo Trajan będzie przyglądał się bezczynnie? Bo skoro zakładam, że może manipulować wynikami... to przecież w końcu zacznie to robić.

# 48

– Coś ty napisała? – Vogelbusch szarpie mnie za ramię. Tak mocno, że niewiele brakuje, a znalazłabym się z dala od klawiatury. Zanim mu się to udaje, naciskam klawisz enter.

– Artysta to Trajan? Kompletnie ci odbiło? Przecież nie możesz rzucać takich oskarżeń! To jakaś bzdura!

– To żadna bzdura.

Próbuję wrócić razem z krzesłem do biurka, jednak również Christoph zrywa się ze swojego miejsca i podbiega zablokować mi dostęp do komputera.

– Nina, to było cholernie nieodpowiedzialne. Wszystkim nam zależy, żeby Daniel z tego wyszedł, ale nie możesz poświęcić kogoś, żeby tak się stało!

– Nikogo nie poświęcam. On tam stoi, bo chce. A nie dlatego, że musi.

– Jesteś nienormalna.

Nie pierwszy raz słyszę te słowa, lecz tym razem padają z ust Christopha, a to rani.

– Znam Toma Tilsena, nawet całkiem nieźle. A dziś po południu wpadłam na pewien trop...

Nie słucha mnie. Wskazuje za to na ekran.

– Patrz! Widzisz? Broń przesuwana się w drugą stronę. I to bardzo szybko. Gratulacje. Ludzie robią to, co chciałaś. – Przesuwam myszką ekran na mój post. – *Jeśli chcecie zobaczyć coś interesującego, głosujcie na malarza – czyta na głos. – Trajan jest tak pewny, że wie, jaką podejmiecie decyzję, że sam odważył się stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Zaskoczmy go, co?*

Jest czerwony ze złości, kiedy znów na mnie patrzy.

– To się nie mieści w głowie! Wezwałaś do zamordowania człowieka!

– Spokojna głowa, nie ma szans, żeby coś mu się stało – mówię z przekonaniem, choć wcale nie mam pewności. – A teraz, Christoph, ty mnie posłuchaj. Daniel powiedział, że wie o moich spotkaniach z użytkownikami, bo Tom mu o nich powiedział. Tyle że on nie mógł o nich wiedzieć... chyba że czytał wiadomości prywatne na forum. A do nich miałyby dostęp jedynie jako administrator.

Christoph marszczy czoło.

– Twierdzisz, że go znasz. Czy bywał u ciebie w domu?

– Tak, nie raz.

– Czy miał wtedy dostęp do twojego komputera?

– Laptop w domu jest zabezpieczony hasłem. Nie ma szans, żeby ktoś je złamał.

Broń się nie rusza. Jest wychylona dwanaście stopni w stronę Toma. I dobrze.

– Vogt wiedział, kim jest Trajan. Dlatego musiał zginąć. W rozmowach robił dość interesujące aluzje o trojanach i bestii. W Biblii liczbą bestii jest 666. – Broń znowu się przesuwają. Trzydzieści stopni. Tom wykrzywia płacząco twarz i patrzy w obiektyw. O Boże, a co, jeśli nie mam racji?

– Rzymski cesarz Trajan również był kojarzony z bestią. 666 jest też nazwą trojana, który od kilku lat wykrada dane dostępowe do bankowości internetowej i jest odpowiedzialny za kradzież kilkudziesięciu milionów dolarów.

Christoph kręci głową.

– Nic z tego nie zrozumiałem.

– Dobra. W takim razie popatrz na to. – Sięgam po pierwszy lepszy kawałek papieru i rysuję na nim kwiat. Trzylistny, z kolcami, które w jakiś sposób mogą przypominać gwiazdki rzucane przez ninja. – To tatuaż Toma. Dotychczas byłam przekonana, że przedstawia kwiat, ale jak się dokładnie mu przyjrzeć, to to są trzy splecione z sobą szóstki.

Christoph przygląda się mojemu rysunkowi. I znów kręci głową.

– Chrzaniś od rzeczy, Nina. Naciągasz fakty tak strasznie, że nikt ci tego nie uzna za dowód. Nic nie masz! – Kładzie mi dłoń na ramieniu i mocno zaciska palce. – Odwołaj to, co napisałaś. Natychmiast. Napisz, że to był głupi dowcip. Myślisz, że Daniel by chciał...

Dzwoni telefon. Christoph natychmiast odbiera.

– Tak? Marc? Aha.

Korzystając z tego, że jest zajęty rozmową, przysuwam się do komputera. Otwieram skrzynkę pocztową i odszukuję moją wymianę wiadomości z Trajanem. W międzyczasie sprawdzam szybko sytuację w hali. Jedenaście stopni w lewo. W stronę Toma, który ciężko oddycha i z niedowierzaniem kręci głową.

– Weteran Legii nie puszcza pary z ust – wzdycha Christoph bardziej do Vogelbuscha niż do mnie. Odkłada słuchawkę. – Marc spędził z nim dziesięć minut sam na sam, ale facet tylko na niego patrzył. W żaden inny sposób nie reagował.

Wbija wzrok w ekran.

– Co to takiego?

– Prywatne wiadomości, które wymieniałam z Trajanem.

Christoph nabiera gwałtownie powietrza.

– Co... nie miałem o tym pojęcia. Helmut? Wiedziałaś o tym?

Vogelbusch kręci głową i robi pełną wyrzutu minę.

– Nikt o tym nie wiedział – wyjaśniam zniecierpliwiona. – Ale to bez znaczenia. Pamiętasz, co Tom powiedział o mnie?

Jest wyraźnie zdenerwowany. Wzrusza ramionami.

– Niezbyt dokładnie. Coś takiego, że nie uważasz go za wojownika.

– No właśnie. I że nie zakładałam, że finał z nim będzie niezłym show.

Powiększam okno z wiadomością i przechylam ekran w stronę Christopha.

*Daj sobie spokój, odpuść temu artyście. Nie będzie z nim żadnego show, bo to nie wojownik.*

W końcu nie odrzuca czegoś z miejsca jako idiotyzmu. Sprawdza, czy ta wiadomość rzeczywiście została wysłana do Trajana.

– Mogłaś mu to zarzucić w jakiejś rozmowie. Pokłóciliście się albo coś. Nie wiem.

– Niby co miałam mu powiedzieć? Że nie da dobrego show? Ale to by przecież oznaczało, że rozmawiamy o jego porwaniu!

Christoph i Vogelbusch wymieniają niepewne spojrzenia.

– No dobrze. Przyjmijmy, że naprawdę tak jest – mruczy Vogelbusch. – Dziwaczne to wszystko. Zgoda. Ale to wciąż żaden dowód.

– Zaraz dostaniecie dowód. Wystarczy, że strzelba jeszcze trochę przekręci się w jego stronę – mówię. – Mogę się założyć, że tak będzie.

Christoph patrzy w milczeniu na ekran, po czym sięga po telefon.

– Chciałbym sprawdzić niejakiego Toma... – patrzy na mnie pytająco.

– Tilsena – podpowiadam szeptem.

– Toma Tilsena. Czy coś na niego mamy?

Broń przez dłuższy czas jest nieruchoma. Po raz pierwszy, od kiedy opublikowałam swój demaskatorski post, sprawdzam, jak ludzie na niego zareagowali. Myśl, że rzeczywiście mogą mieć przed sobą Trajana, dla wielu jest niesamowicie ekscytująca. Inni pozostają nieprzekonani.

*Skąd to niby wiesz? Każdy może pisać, co ma ochotę. Dowody albo spadaj.*

Zastanawiam się przez kilka sekund, zanim piszę odpowiedź.

*Poczekajcie po prostu. To będzie najlepszy dowód. Wystarczy, że poczuje presję. W żadnym razie nie posuwajcie się zbyt daleko. Nie możemy dopuścić do strzału!*

Jakby z przekory broń przesuwana się w stronę Daniela. Nieruchomieje na niecałą minutę, po czym zaczyna wracać. Jeden

stopień, dwa, trzy. W stronę Toma. I dalej.

Nie spuszczam go z oczu. Jego twarz wyraża kompletne zaskoczenie. Nie liczył się z tym, że sytuacja może się tak diametralnie zmienić.

Podciąga się na kajdankach.

– Wystarczy już! Wystarczy! Przecież ten facet to policjant! I to słaby gliniarz! Gdyby się postarał i dobrze robił swoją robotę, to byśmy dzisiaj tutaj nie stali!

Daniel spogląda na niego zmęczonym i pogardliwym wzrokiem.

– Kto idzie do policji, wie, że będzie ryzykował życiem – peroruje Tom. – Dla nich to ryzyko zawodowe, dla mnie nie! – W końcu jest w nim więcej złości niż strachu, lecz wystarczy, że broń znów drga w jego stronę, podciąga się na kajdankach i próbuje odsunąć. – Wystarczy! Proszę! Przestańcie! Jestem zwykłym człowiekiem! Takim jak wy! Nic nie rozumiem! – Odwraca głowę i patrzy na Daniela. – To jakiś trik? Sztuczka, którą wymyśliłeś z Niną?

*Nie przestawajcie – piszę. – Niech czuje presję. Jeszcze odrobinę.*

Szesnaście stopni. Siedemnaście. Tom wytrzeszcza oczy.

– Zastrzelcie tego gliniarza! Nie mnie! – wrzeszczy do kamery. – Nie celujcie we mnie, tylko w niego!

Broń nieruchomieje, ale on dalej się szarpie. Kiedy zaczyna płakać, ogarnia mnie zwątpienie. Po chwili znów próbuje przekonać ludzi, by głosowali na Daniela.

Nie zauważam, że Vogelbusch wyszedł z gabinetu. Orientuję się dopiero, kiedy rozlega się trzaśnięcie drzwiami. Podchodzi do mnie i opiera się o blat biurka.

– Rozmawiałem właśnie z Arendt – oznajmia. – Zdałem jej relację, żeby wiedziała, co narobiłaś. Jest wściekła. Wygląda na to, że jesteś zawieszona.

# 49

Słyszę rozpaczliwy głos Toma, który stara się przekonać widzów, żeby głosowali na mnie. W pierwszej chwili chcę zaprotestować, ale potem... Boi się panicznie i chwyta się wszystkiego, żeby ratować życie. Nie mam mu tego za złe.

Jednak jego usiłowania przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego, jak się szybko okazuje. Lufa broni po raz kolejny przesuwa się w jego kierunku.

Co mogło spowodować taką zmianę zdania większości użytkowników? Od pierwszej minuty głosowania do samego końca zajmowałem pierwsze miejsce. Tutaj też od samego początku zaznaczała się wyraźna tendencja, by wybierać mnie. A potem... nagle następuje zmiana. I to tak diametralna. Coś musiało się stać. Coś wyjątkowego.

– To jakiś trik? Sztuczka, którą wymyśliłeś z Niną? – zwraca się do mnie. Nie reaguję. Czy to rzeczywiście może być jakiś trik? Czy komuś udało się złamać mechanizmy zabezpieczające stronę? I coś zmienić, żeby broń zamiast w moim kierunku przesuwała się w stronę Toma? Ratunek w ostatniej sekundzie. I to dosłownie. Nie, to niemożliwe. Mało prawdopodobne, żeby akurat teraz udało się coś, z czym sztab specjalistów nie poradził sobie przez cały tydzień. Poza tym na pewno żaden z naszych ludzi nie ratowałby mnie w taki sposób, żeby zamiast mnie na śmierć skazać Toma.

Ale... ale jeśli to nie robota policji? Może to ktoś inny?

Tom krzyczy coś podenerwowany, ale ja nie zwracam uwagi, o co mu chodzi. Wpatruję się w monitor i staram cokolwiek odczytać, ale nie mogę. Nie jestem w stanie, niezależnie od tego, jak bardzo się staram. Jest za daleko.

Znów rozlega się szum silniczka. Patrzę na broń. Lufa przesuwa się w stronę Toma. Niedługo osiągnie krytyczny punkt. Nic już nie rozumiem. Tom nie przestaje mówić.

– ...żartujecie chyba! Zastanówcie się, jaki macie wybór. Malarz. Nieszkodliwy tak, że bardziej się nie da. A ten tam... – wskazuje na mnie głową. – Policjant. To jeden z tych, którzy czają się za zakrętem i wyciągają wam kasę z kieszeni, bo jechaliście kilka kilometrów za szybko. A spróbuj się postawić, to wyleci na ciebie z pałką i nic mu nie można potem zrobić. I nawet jak wy będziecie połamani, to sąd i tak uwierzy im. Bo to urzędnicy. Pierdzą w stołki i żyją z waszej kasy. A was traktują jak ostatnie gówno!

– Tom – mówię, siląc się na spokój. – Przestań. To na nic.

On mówi dalej, jakby nic do niego nie docierało. Jakby mnie nie słyszał.

– Tom, do cholery! – krzyczę. W końcu milknie i patrzy w moją stronę. Przyglądam się jego twarzy. To, co na niej widzę... to niekoniecznie jest strach. Raczej niedowierzanie... i złość? – Zamknij się wreszcie. Nie widzisz, że twoje krzyki przynoszą odwrotny efekt?

Spogląda na strzelbę, jakby chciał sprawdzić, czy go nie okłamuję. Przez dwie, trzy sekundy patrzy przed siebie, a potem znów na mnie.

– Daj mi spokój – mówi tak cicho, że ledwie go rozumiem. – Muszę coś zrobić, inaczej mnie odstrzelą.

– Spróbuję jeszcze raz do nich przemówić – proponuję, również znacznie ciszej. – Widziałeś chyba, że to przyniosło lepszy skutek, prawda?

– Tak, pewnie. Tylko że twój lepszy skutek to dla mnie wyrok.

– Nie. Sam wydajesz na siebie wyrok, wrzeszcząc jak opętany.

Zastanawia się przez chwilę. Walczy z sobą.

– Dobra. Spróbuj.

Kiwam głową. Chcę go uspokoić, ale dalej patrzy na mnie w ten sam sposób.



– Nie wiem, co się stało – zaczynam, zwracając się do obiektywu. – Ale Tom zginie, jeśli dalej będziecie na niego klikać. To dokładnie tak samo, jakbyście zabili mnie. Nie chodzi o to, który z nas umrze, tylko o to, żebyśmy obaj przeżyli. Dlatego bardzo was proszę, przesuniecie broń z powrotem na środek. I to jak najszybciej. Nie wiem, ile czasu dał nam Trajan, ale boję się, że nie mamy go zbyt wiele. Dlatego bardzo was proszę... nie bierzcie na siebie odpowiedzialności za czyjąś śmierć.

Przez chwilę nic się nie dzieje, a potem silniczek na stojaku ze strzelbą zaczyna mrużyć. Czuję ogromną ulgę... do chwili, kiedy się orientuję, że lufa przesuwana się w stronę Toma.

– Niech to kurwa... specjalnie to zrobiłeś! – Tom szarpie dziko za kajdanki. – Przyznaj się! To był twój plan! Udawać kaznodzieję telewizyjnego, a owieczki podrepczą grzecznie za nowym panem. A ja dostanę po dupie, tak?

Spokój. Muszę zachować spokój. Strzelba nieruchomieje. Pięć sekund. Dziesięć. Obaj na nią patrzymy. Nie ruszamy się. Oddycham szybko i płytko. Nadzieja powraca... na kilkadziesiąt sekund.

Tom krzyczy z przerażenia, kiedy silniczek budzi się do życia. Potem gwałtownie milknie. Nie mogę oderwać wzroku od podwójnej lufy. Jeśli nic się nie wydarzy, Tomowi pozostało tylko kilka sekund. Mimo to milczy.

Stoi z mocno odchyloną głową i patrzy na swoje ręce spięte kajdankami. W pierwszej chwili nie rozumiem, co się dzieje. Nie dociera do mnie, co widzę. Tom ma coś w prawej dłoni. Coś małego. Srebrnego. Manipuluje tym przy kajdankach...

Kluczyk. To kluczyk, dzięki któremu uwalnia lewy nadgarstek. W tym samym momencie milknie siłownik strzelby. Tom opuszcza lewe ramię, wspina się na palce i szarpie gwałtownie prawą ręką. Rozpięta połówka kajdanków uderza z brzękiem o metal i... zatrzaskuje się na jednym ze wsporników.

Z gardła mężczyzny wydobywa się wściekły krzyk. Rzuca się i szarpie dziko za łańcuszek, by się uwolnić, a do mnie zaczyna docierać, co się dzieje. I znaczenie tego, na co patrzę.

Najwyraźniej nie tylko do mnie.

Strzelba ożywa. Przesuwa się w tym samym kierunku. Ruchy Toma stają się przeraźliwie nerwowe, wręcz paniczne. Wbrew rozsądkowi ciągnie za łańcuszek i próbuje wyrwać dłoń z potrzasku.

– Nie! – ryczy na całe gardło. – Przestańcie! Starczy!

Zmienia się dźwięk silownika strzelby. Jakby rosły obroty silniczka. Trwa to dwie, może trzy sekundy.

A potem halę wypełnia ogłuszający huk.

# 50

W biurze panuje martwa cisza. Wyrażane bardzo głośno zaskoczenie na widok Toma rozpinającego kajdanki ustępuje miejsca milczeniu.

Znika również moje poczucie tryumfu. Miałam rację. Wyciągnęłam właściwe wnioski, prawidłowo połączyłam fakty. Prawidłowo przewidziałam nawet, że Tom zabezpieczył się na wszelki wypadek. Założył, że użytkownicy mogą nie chcieć zabijać policjanta.

Teraz, kiedy widzę go tam zakrwawionego, jak zwisa za jedno ramię, czuję potworną pustkę.

Nie będę miała szans, by go zapytać, dlaczego podszedł do mnie dwa tygodnie wcześniej w barze. Dlaczego do mnie zagadał. Nie wiem, jak to zrobił, ale to musiał być element jego planu. Może dzięki bliskiej relacji ze mną chciał rzucać nam kłody pod nogi. Ale przecież nie mógł wiedzieć, że trafię do zespołu pracującego nad jego sprawą. Nie, przez całą znajomość ani razu nie zapytał mnie o pracę.

Wisi z głową odchyłoną do tyłu. Jego ciało obraca się powoli dookoła własnej osi na wyciągniętym w górę ramieniu. Śrut wyrwał fragment ciała poniżej lewego oka, rozerwał klatkę piersiową i serce, i zmienił większość torsu w jedną zmasakrowaną ranę.

– O Boże... – słyszę szept Daniela. – O Boże.

Jego słowa przerywają ciszę. Nie odwraca wzroku od Toma. Domyślam się, że jest w szoku, bo chyba nawet nie zauważył, że sam też jest ranny. Jedna ze śrucin trafiła go w prawe ramię. Krew ścieka po jego bladej skórze. Dziesięć centymetrów wyżej i dostałby w głowę.

– Musimy go znaleźć – szepczę i w tej samej chwili kamera się wyłącza. Znika też okno z transmisją.

– Niech to cholera. – Christoph sięga po telefon i wybiera jakiś numer. – U was coś widać? – krzyczy, ale potem już nie słucham, bo na moich oczach znika forum „Morituri”.

Na ekranie pojawia się zupełnie nowa strona. Czarny tekst na białym tle. Nic więcej.

*Igrzyska dobiegły końca, a ja kończę swoją misję. Służba Wam była dla mnie przyjemnością. Razem pokazaliśmy miastu, państwu, ba, całemu światu nawet, jak bezradna jest policja i ich specjaliści.*

*Dla mnie to była osobista sprawa. Ale nie tylko. Kiedy ludzie myślą, że są anonimowi i że nikt nie zobaczy ich twarzy, popełniają odrażające czyny. Zachowują się tak, wierząc w dalszą anonimowość. Wiem to od dawna. Wy też to wiecie.*

*Morderstwa, do których doszło, to nasze wspólne dzieło. Nie zabijałem sam. Robiliśmy to razem. Każdy, kto zgłaszał kandydatów, i każdy, kto głosował, brał w tym udział. Wy byliście oskarżycielami, sędziami i katami. Wy wydawaliście wyroki śmierci i dokonywaliście egzekucji.*

*Wiedzieliście o tym, prawda? Mordowaliście z wygodnych foteli i kanap swoich salonów. Myśleliście, że jesteście anonimowi.*

*I byliście. Aż do teraz.*

*Powodzenia. Trajan mówi adieu.*

– Aż do teraz? – powtarza Vogelbusch zza moich pleców. W tej samej chwili pod tekstem otwiera się nowe okno. Zawiera niekończącą się listę wpisów.

Mrużę oczy, żeby je odczytać. To nazwy użytkowników z adresami IP. Część podkreślona czerwonym kolorem. O ile się nie mylę, są już podzieleni według regionów, skąd pochodzą.

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Christoph.

– Chyba udało się ustalić, który samolot było słychać. To lot o dwudziestej pierwszej szesnaście. O tej porze przelatywał nad

dzielnicą Langenhorn. Chyba pasuje, bo tam jest sporo obiektów przemysłowych.

Zrywam się z miejsca.

– Jedziemy tam. Nic się nikomu nie stanie, jeśli zawiesicie mnie jutro od samego rana.

Biegniemy na parking. Christoph bez słowa sprzeciwu pozwala mi wsiąść za kierownicę. I tak bezustannie rozmawia przez telefon, głównie z kolegami z komisariatu w Langenhorn. Wpłynęły tam dwa zgłoszenia. Obaj dzwoniący twierdzili, że rozpoznali halę dawnego zakładu produkującego turbiny, w którym kiedyś pracowali.

Christoph podaje mi adres. Dodaję gazu.

W pewnej chwili spogląda na mnie z boku.

– Jeździsz tak samo, jak prowadzisz śledztwa – stwierdza oschle. – Jak wariatka.

– Sorry.

– Nie ma za co.

Tak naprawdę zależy mi na prędkości. Mogę skupić się na drodze. Nie myśleć o rozerwanym ciele Toma. Nie widzieć ran i krwi. Nie muszę sobie wyobrażać, co by się stało z Danielem, gdyby głosowanie poszło w odwrotnym kierunku.

Christoph przeczesuje rzadkie włosy.

– Wiesz, że nie uciekniesz przed postępowaniem dyscyplinarnym?

– Domyślam się.

– W Bremie było tak samo, co? Dlatego chcieli się ciebie pozbyć.

Wzruszam ramionami i wyprzedzam wlekącego się golfa.

– Wygląda na to, że inaczej po prostu nie potrafię.

Krótki śmiech.

– Jeszcze wiele... – Nie kończy, bo dzwoni jego komórka. – Tak. Pia? Tak, wal.

Skupiam się na drodze i innych autach. Widzę kątem oka, że Christoph praktycznie nic nie mówi, tylko słucha i potakuje. W końcu rzuca krótkie „dzięki” i się rozłącza.

– No i? – Do celu pozostało nam jakieś siedem minut. – Nowości?

– W pewnym sensie tak. Dla nas, w każdym razie. Pia odszukała w archiwum akta dotyczące Thomasa Tilsena.

– No i? – powtarzam, bo Christoph milczy.

– Jego nazwisko pojawia się w związku z procesem toczącym się dwadzieścia trzy lata temu. Chodziło o jakiś państwowy dom dziecka. Miał bardzo złą opinię, a jeden z wychowawców przyznał, że dochodziło w nim do wykorzystywania podopiecznych. Śledztwo toczyło się bardzo szybko i równie szybko utknęło. Media w ogóle nie podjęły tematu. Pia twierdzi, że całość sprawia wrażenie, jakby komuś z góry zależało na ukręceniu sprawy.

Dwadzieścia trzy lata temu Tom był dwunastolatkiem. Wiem, bo zapytałam go o wiek. I o zawód. O nic więcej. O nic. Jak to o mnie świadczy?

– Tom wtedy zeznawał?

– Tak. Jednak Pii nie udało się uzyskać dostępu do jego zeznań. Jutro przejdzie się do archiwum i będzie ich szukała, ale nie jest przesadnie optymistyczna.

*Kiedy ludzie myślą, że są anonimowi i że nikt nie zobaczy ich twarzy, popełniają odrażające czyny. Zachowują się tak, wierząc w dalszą anonimowość. Wiem to od dawna. Wy też to wiecie.*

Współczucie byłoby chyba właściwą reakcją, ale nie mogę go zaoferować. Znów czuję w sobie jedynie pustkę.

Już z daleka widzę niebieskie światła przed starą halą. Dwa radiowozy, dwie karetki.

Kilku funkcjonariuszy wyważa drzwi. Kiedy kończą, wiem, że trafiliśmy pod właściwy adres.

W powietrzu czuć proch strzelniczy.

# 51

Tom to Trajan. Trajan to Tom.

Wpatruję się w betonową posadzkę i powtarzam to sobie raz za razem. Nie na głos. W myślach. Tak mi się wydaje.

Staram się sobie wyobrazić, co sprawiło, że Tom poczuł się zagrożony i zrzucił maskę.

Fragmenty myśli rozbłyskują w mojej głowie niczym spalające się w atmosferze meteoryty. Nie mogę ich uchwycić. Nie mogę ich uporządkować. Jeszcze nie.

Coś mnie zmusza, by co chwilę unosić wzrok i spoglądać na okaleczone strzałem ciało. Krótkie spojrzenia, przy których odwracam głowę tylko tyle, ile to konieczne. Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Czyżbym oczekiwał odpowiedzi od zmasakrowanego ciała?

Nie wiem. Wiem jednak, że nigdy już nie pozbędę się tego widoku z pamięci.

W pewnej chwili zwracam uwagę na kamerę. Unoszę głowę nieco bardziej. Kosztuje mnie to wiele siły, tyle, ile tylko we mnie zostało. Wpatruję się w ciemne oko obiektywu. Patrzę w twarze milionom ludzi, którzy przed obiektywami podziwiają zmasakrowane zwłoki. Podziwiają, czego dokonali.

Chciałbym im coś powiedzieć, ale mam pustkę w głowie.

Co zresztą miałbym im przekazać? Podziękowania, że mnie nie zabili? Wyrazy wdzięczności, że wybrali psychopatę, który za to wszystko odpowiada?

Wysłuchuję się w sobie i staram zrozumieć, co właściwie czuję. Czy to rzeczywiście wdzięczność, ulga, czy może nawet radość, że nie trafiło na niewinnego? Nie. W takim razie co?

„Nic” to również w tym przypadku właściwa odpowiedź. Nic nie myślę i nic nie czuję. Jestem pustką.

Opuszczam głowę i wyobrażam sobie, że w ten sposób znikam milionom ludzi sprzed oczu.

Ogarnia mnie potworne zmęczenie. Wszystko zaczyna się kołysać i wirować. Mam wrażenie, jakby ktoś wysysał ze mnie świadomość. Coś sprawia, że podrywam się przestraszony. Nie wiem, ile czasu minęło.

Jakieś dźwięki. Nadgarstki palą mnie żywym ogniem, bo nieprzytomny zwisałem na nich całym ciężarem ciała. Odgłosy dobiegają od strony drzwi. Zupełnie jakby ktoś przy nich majstrował.

Zaraz... Tom. Trajan. Odwracam gwałtownie głowę i widzę nieruchome, zakrwawione ciało. Wszystko wraca. To nie majaki zrodzone w czasie, gdy wisiałem tu bez zmysłów. To prawda.

Boleśnie głośny huk rozlega się gdzieś za moimi plecami. Kroki. Głosy. Krzyk:

– Daniel!

Nina dopada mnie jako pierwsza, ale zatrzymuje się gwałtownie, zanim mnie dotyka. Starannie sprawdza wzrokiem moje ciało i zatrzymuje się na ramionach. Ma wilgotne oczy.

– Daniel – powtarza i próbuje mnie objąć, ale szybko zmienia zdanie. – Jesteś ranny. Poczuleś trafienie?

Ranny? Podążam za jej wzrokiem i patrzę na swoje ramię. Zaskoczony dopiero teraz widzę krew i dopiero teraz czuję ból.

– Teraz czuję – szepczę. – Ale nie za mocno. Możesz mnie odpiąć?

Obok Niny pojawia się dwóch mężczyzn. Jeden to umundurowany funkcjonariusz, który natychmiast wyjmuję z kieszeni kluczyk do kajdanek. Drugi to Christoph. Ulgę ma wypisaną na twarzy.

– Daniel, Bogu dzięki.

– Co wam to tyle zajęło?

Wilgoć w oczach Niny przekracza masę krytyczną i spływa po policzkach, zostawiając mokre ślady na skórze.



– Uwaga! – słyszę funkcjonariusza prewencji, lecz zanim do mnie dociera, o co mu chodzi, moje ramiona opadają bezładnie w dół i ciągną mnie za sobą. Przewracam się wprost na Ninę. Obejmuje mnie mocno. Ugina się, ale wytrzymuje mój ciężar. W końcu odzyskuję równowagę i się prostuję.

Nina nie chce mnie puścić. W zasadzie to mnie też zupełnie na tym nie zależy. Opieram zdrętwiałe dłonie na jej biodrach i się nie ruszam.

– Tak bardzo się cieszę, że nic ci się nie stało. – To tylko szept.

– Ja też – odpowiadam równie cicho.

Uścisk jej ramion staje się mocniejszy. Tylko na chwilę, ale wyraźnie. Mijają kolejne sekundy, a żadne z nas się nie rusza. Unoszę dłoń i kładę ją delikatnie na jej plecach. Czuję, że się spina. Puszczam mnie w końcu i odsuwa się kawałek, więc również cofam ramiona. Patrzę na nią. Szybkim ruchem wyciera łzy z policzków.

– Tylko niech ci się nic nie wydaje, Daniel. Cieszę się po prostu, że członek naszego zespołu nie ucierpiał, to wszystko.

Po raz pierwszy od śmierci Trajana czuję ulgę.

Dopiero kiedy Nina spogląda w stronę zwłok, którymi zajmują się już nasi technicy, jestem gotów, by zadać pytanie.

– Co się właściwie stało? Jak to możliwe, że ludzie nagle przestali na mnie głosować? Dlaczego wybrali Toma? I jeśli on to Trajan, to kim jest ten weteran Legii?

Nina oddycha głęboko, a potem odsuwa z czoła kosmyk włosów.

– To był, zdaje się, jego pomocnik. Zakładamy, że to on, w imieniu Toma, dokonywał morderstw. A teraz chodź, wyjdziemy na zewnątrz, do karetki. Potem powiem ci całą resztę. W czasie gdy będą cię opatrywali.

Potakuję zgodnie i przyjmuję jej pomoc. Wychodząc, rzucam ostatnie spojrzenie na martwego Trajana.

## 52

Leży w sali numer dwadzieścia cztery. Jedyńka z widokiem na park. Zastanawiałam się, czy przynieść mu kwiatka w doniczce – fiołka na przykład albo może lizaka, bo był takim dzielnym chłopcem. W końcu doszłam do wniosku, że to nie jest najlepszy moment na przyjacielskie dogryzanie sobie i kupiłam mu cygaro. Najgrubsze, jakie mieli.

Pukam i wchodzę, Daniel siedzi wyprostowany na łóżku, a obok, na szafce nocnej, leży stos gazet. Jedną ma otwartą przed sobą na kołdrze. Czyta artykuł o Brunonie Haubardzie, mężczyźnie, który leży dwa piętra niżej, w tym samym szpitalu. Weteran Legii Cudzoziemskiej.

– Cześć. – Daniel unosi wzrok.

– O, jak miło. Kobieta mnie odwiedza. – Uśmiecha się szeroko.

Siadam na brzegu łóżka.

– Nie masz nic lepszego do roboty, tylko czytasz o tym całym szambie?

– Nie, to zdecydowanie bardzo ciekawe. – Wskazuje na zdjęcie żołnierza. Wąska twarz, wąsko osadzone oczy, głębokie zmarszczki w kącikach ust. – Nic jeszcze nie powiedział?

– Ani słowa – potwierdzam. – Wszystko, co o nim wiemy, pochodzi od kelnerki z lokalu, w którym przesiadywał. I pił. To nieformalne miejsce spotkań weteranów Legii Cudzoziemskiej. Jeśli ktoś wie, gdzie szukać, to znajdzie tam świetnie wyszkolonych najemników do różnych zadań. Tam trafił na Toma.

– Zdradził tej kobiecie, jak się nazywa?

– Nie. Tylko imię. I adres, bo dwa albo trzy razy wziął ją do siebie. – Unikam spojrzenia Daniela, bo wiem, co ma na myśli.

„Tylko imię” wywołało w nim dokładnie to samo skojarzenie co we mnie.

– Sprzedała potem te informacje ludziom Ullbrechta – dodaje. – Dostała dość pieniędzy, by mogła rzucić pracę.

Daniel sięga po gazetę i przesuwa wzrokiem po kolejnych liniijkach artykułu.

– W gruncie rzeczy cesarz Rzymu również wysługiwał się legionistami.

– Myślę, że tak to powinniśmy widzieć. Jego pomysły, jego plan, jego igrzyska. Tylko ktoś inny musiał odwalać fizyczną robotę.

Nie wspominam Danielowi, z jaką myślą budziłam się co kilka godzin przez ostatnie dwie noce. Jaka byłam przerażona i zagubiona, kiedy się okazało, że w noc pierwszej śmierci Tom był u mnie w mieszkaniu. Kiedy Bruno karmił grubego prawnika tłuczonym szkłem, pomysłodawca i scenarzysta mordu leżał spokojnie obok mnie w łóżku. Miał najlepsze alibi, jakie mógł sobie wymarzyć.

A ja niczego nie zauważyłam. Ani nie był nerwowy, ani zamyślony, nawet niczym się nie ekscytował.

Był kimś, kogo nic a nic nie znałam.

– Zajrzał do mnie Vogelbusch.

Słowa Daniela wrywają mnie z zamyślenia. Wskazuje na trzy żółte kwiatki w szklance na stoliku.

– Powiedział, że znaleźliście jego serwerownię. Kwaterę główną Trajana.

– To nie nasza zasługa. Kiedy zdjęcie Toma trafiło do mediów, zgłosiła się do nas kobieta, od której wynajmował lokal. I to od czterech lat. Nieumeblowany pokój, maleńka kuchnia i kibel. Wszędzie pełno komputerów. – Upijam łyk herbaty, która stoi na stoliku. Za późno uświadamiam sobie, że najpierw powinnam była zapytać o pozwolenie i natychmiast się krztuszę. Daniel uśmiecha się ze złośliwą satysfakcją.

– Czy Vogelbusch zdradził ci pointę całej sprawy? – pytam, kiedy znów mogę oddychać.

– Pointę?

– Tak. Przez dwa pierwsze lata wynajmu Tom działał tam do spółki z Vogtem. To oznacza, że znali się całkiem dobrze. Prowadzili to swoje małe biuro hackerskie przez dwa lata razem, a potem Jens Vogt przeniósł się do WPC. A Tom zaczął opracowywać swój plan.

Widzę, że Daniel ma podobne przemyślenia jak ja. Gdyby Vogt od razu z nami porozmawiał, musiałby zrezygnować z satysfakcji, którą dawała mu świadomość posiadania wiedzy niedostępnej innym.

– O ileż byłoby nam łatwiej – szepce, składa gazetę i odkłada na stosik. Potem, ku mojemu zaskoczeniu, bierze mnie za rękę. Chcę się wyrwać, ale trzyma mnie mocno.

– A ty? Jak ty się czujesz? Dajesz sobie radę? Vogelbusch sugerował, że możesz mieć problemy, ale nie chciał mi niczego zdradzić.

Przygryzam wargi.

– Jeszcze nie zapadły ostateczne decyzje, ale wygląda na to, że uda mi się wykpić ostrzeżeniem.

– Byłoby super.

– Wiem.

Po raz pierwszy od kiedy weszłam do pokoju, zapada milczenie. Daniel wciąż trzyma mnie za rękę. Dziwnie się przez to czuję. Udaję nawrót kaszlu i obiema dłońmi zasłaniam usta.

– Jutro mnie wypiszą – oznajmia Daniel, kiedy się uspokajam. – A najdalej pojutrze wracam do biura.

Potakuję. Wtedy Daniel mógłby sam zapoznać się z przebiegiem procesu, w którym zeznawał Tom. Potem opinią psychiatry zamknięto mu usta. Christoph stara się wyciągnąć z archiwum wszystkie dostępne dokumenty i odnaleźć żyjących świadków, głównie dzieci, które mieszkały w tym domu. Placówka dawno została zamknięta, ale część sprawców może żyć spokojnie na emeryturze.

Wiele osób dawało mu do zrozumienia, że powinien dać sobie spokój, ale Christoph się zabrał.

– Świetnie, że do nas wracasz – mówię po dłuższej chwili. – Tom upublicznił zawartość baz danych forum. Mamy do zweryfikowania setki adresów IP. Głównie to użytkownicy, którzy zgłaszali nominacje. Na szczęście postanowił ułatwić nam sprawę i te osoby pozaznaczał na czerwono. – Wyglądam przez okno. Słońce chowa się właśnie za ciemnoszarą chmurą. – Przy okazji wyszło na jaw, że Kornmeiera rzeczywiście zgłosił Henri Wilbers. A Gustava Beranskiego sąsiedzi, których ten emeryt wskazał jako pierwszych. Probstowie.

– No proszę – mówi Daniel. – Wyniki. W końcu. Meierhofer pewnie nie posiada się z radości.

– Jestem tego pewna. – Wstaję z łóżka. – Dobra, muszę powoli uciekać. Ale gdybyś czegoś potrzebował, mogę wpaść i wieczorem i ci podrzucić. Jedwabna piżamka? Krem na noc? Pięciowarstwowy papier toaletowy o zapachu drewna sandałowego?

Uśmiecha się szeroko.

– Uciekaj stąd.

W progu odwracam się po raz ostatni.

– Jesteś pewien, że będziesz chciał dalej pracować ze mną w parze?

Daniel marszczy czoło.

– Żadnych tajemnic?

– Żadnych – zapewniam go. – Prawie żadnych. Tylko trochę. Tych ważnych.

Uśmiecha się i potakuje, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi.

– Przemyślę to.